

ROSEMARY
ROGERS

Blekitna krew

Rosemary Rogers

Błękitna krew

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Martynika

Francuskie Indie Zachodnie Kwiecień, 1831

- Jeden pocałunek, moja śliczna słodka Sapphire, i znikam. - Ciemnowłosy przystojny Francuz położył dłoń na piersi i tak zastygł, stojąc po kolana w krystalicznie czystej szmaragdowej wodzie u podnóża wodospadu.

- Musiałbyś mnie najpierw schwytać. - Zanosząc się śmiechem, Sapphire opryskała go wodą i przyjęła prowokacyjną pozę, wdzięcznie wyginając biodro osłonięte długą halką.

Maurice rzucił się ku niej, ale była szybsza: zanurkowała, schodząc aż na samo dno strumienia.

- Mam cię! - Złapał ją za kostkę i zaczął ciągnąć w swoją stronę, przesuwając palcami po łydce.

- Nie! - Sapphire wychyliła głowę nad powierzchnię wody. - Puść mnie, z łaski swojej.

- Najpierw muszę dostać całusa, piękna panienko. - Zaparł się mocno o piaszczyste dno i chwycił ją w ramiona.

Sapphire skapitulowała. Zarzuciła mu ręce na szyję i odchyliła głowę, pozwalając długim po pas kasztanowym włosom opaść swobodnie, tak że ich końce pławiły się w wodzie. Zamknęła oczy, przycisnęła uda do ud Maurice'a i przez chwilę rozkoszowała się jego bliskością.

Wpadł jej w oko na jednym z balów minionej jesieni: on i jego brat Jacques wrócili właśnie ze szkół we Francji, by znowu zamieszkać z ojcem na rodzinnej plantacji. Tamten wieczór był dla Sapphire magiczny: kilka niewinnych całusów, gorące spojrzenia poprzez tłum tańczących, szepty na uboczu. Potem odbyli parę potajemnych schadzek i zadurzyła się po uszy w Maurisie, a on w niej. Już widziała oczami wyobraźni j wspaniały ślub w ogrodach Orchid Manor. Pozostawało tylko przekonać kochanego papę, że to odpowiednia dla niej partia - że on właśnie jest tym jednym, jedynym.

- Sapphire, musimy wracać do domu! - zawołała Angelique, która w towarzystwie Jacques'a zażywała kąpieli opodal, przy skałkach, w miejscu szczególnie przez oboje ulubionym. - Jak zaraz nie pójdziemy, papa zacznie nas szukać, a dzisiaj przecież baronowa daje recital gry na harfie.

Angelique, tylko o rok starsza od Sapphire, była nie tylko jej siostrą, ale też najwierniejszą przyjaciółką. Kiedy rodzice Sapphire adoptowali małą Angelique, dziewczynki od razu stały się nierozłączne. Angelique, córka niewolnicy o włosach czarnych jak heban, miała skórę ledwie o ton ciemniejszą niż skóra białych kolonizatorów. Patrząc na jej złotą karnację, nikt by się nie domyślił, że jej przodkowie ze strony matki zostali kiedyś przywiezieni na wyspę przez handlarzy niewolników.

- Nie mam chęci siadać do kolacji z tymi nudziarzami, których papa zaprosił. - Sapphire musnęła ustami wargi Maurice'a. - Po stokroć wolę zostać tutaj.

- Powinnaś chyba iść, najdroższa - szepnął Maurice. - Nie chcę, żeby monsieur Fabergine się na mnie gniewał. Nie jest dobrze ani mądrze narażać się przyszlęmu teściowi. Spotkamy się wieczorem, po kolacji, w naszym zwykłym miejscu? - zapytał Maurice nagłoco.

- Tak, spotkamy się, a potem urządzimy sobie konną przejażdżkę. Uwielbiam zapuścić się nocą w dżunglę albo galopować po plaży, mając księżyc za jedyne towarzysza i przewodnika. Po stokroć piękniej będzie, kiedy wybierzemy się razem.

- Moglibyśmy... gdzie indziej skierować nasze kroki, oddać się innym zajęciom - zasugerował Maurice i pocałował Sapphire, co wywołało u niej ciche westchnienie rozkoszy. W przeciwieństwie do pełnej temperamentu Angelique udzielała swych łask z dobrze odmierzoną powściągliwością i strzegła cnoty, ale postanowienia powoli zaczynały tracić moc. Sapphire była już kobietą i chciała w pełni doświadczyć, co to oznacza. W końcu oderwała wargi od ust Maurice'a i zaczerpnęła powietrza.

- Usiądźmy na chwilę w słońcu – powiedział Maurice, po czym objął ją wpół i pociągnął ku brzgowi. - Musisz się wysuszyć, zanim wrócisz do domu. - Wziął leżący na kamieniach koc i poprowadził Sapphire między ogromne paprocie na skraju dżungli. Rozłożył koc na miękkim poszyciu i zaprosił swoją najmilszą, by usiadła.

- Posiedzę tylko chwileczkę i musimy wracać do domu. - Uśmiechnęła się i wciągnęła w płuca balsamiczne powietrze. - Angelique ma rację. Powinniśmy pokazać się papie, zanim zacznie nas szukać.

- Ach, ci ojcowie pięknych córek. Zawsze tacy nadopiekuńczy...

Sapphire spojrzała swojemu ukochanemu w oczy i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Tak, przynajmniej nasz papa taki jest - przytaknęła z uśmiechem i musnęła wargami jego usta, a on objął ją i osunęli się na ziemię spleceni w uścisku.

- Sapphire! Wielkie nieba! A ty natychmiast odsuń się od mojej córki, mój panie!

- Papa! - Sapphire nie słyszała nadjeżdżających koni. Zaskoczona, skonfundowana, odepchnęła Maurice'a i usiadła prosto, zasłaniając piersi rękami.

- Dzień dobry, panie Fabergine. Miło mi pana widzieć. - Maurice przywitał ojca Sapphire uprzejmie, z niezmaconym spokojem, jakby nic niezwykłego nie zaszło.

- Miło ci mnie widzieć! - zawołał gniewnie pan Armand Fabergine, zsiadając z konia i tnąc powietrze pejcem dla wyładowania złości. Ubrany był w białe bryczesy, białą jedwabną koszulę, jasnoniebieski kaftan i bardzo kosztowne sztylpy. Za nim zatrzymało się, w przyzwyczajonej odległości, kilku goszczących u niego panów i teraz ciekawie wyciągali szyje, by lepiej widzieć rozgrywającą się przed ich oczami scenę. - Na twoim miejscu nie byłbym taki pewien, czy to na pewno miła okoliczność, panie Dupree - powiedział Armand i zwrócił się do córki: - A ty, *ma filie*, wstawaj. Natychmiast! - Zmrużył gniewnie oczy; twarz mu pobladła.

Kiedy Sapphire podniosła się, Armand chwycił pled z ziemi i zarzucił jej na ramiona.

- Gdzie Angelique?

Ojciec naprawdę rzadko się gniewał, ale tym razem był wściekły.

- Idę, idę! - zawołała Angelique.

- A ty, mój panie - Armand zmierzył młodzieńca pełnym wzgardy spojrzeniem - masz szczęście, żeś człowiek cywilizowany. Mój ojciec, widząc to, zastrzeliłby cię jak psa. Zabieraj się stąd czym prędzej, bo nie wiem, czy długo jeszcze zdzierzę. Wynoś się, pókiś cały, bo jak pejcem dzielę...

- Nie, papo! - krzyknęła Sapphire.

- Wstyd mi przynosisz, córko. Okryj się. - Obejrzał się za siebie. - Panowie zechcą zostawić nas na chwilę samych.

Trzej Anglicy, bawiący w gościnie, wycofali się z niejakim ociąganiem i zniknęli wśród gęstej zieleni.

- Angeliq! - zawołał Armand.

- Idę, papo.

Sapphire kątem oka dojrzała, jak Jacques daje nura między wielkie paprocie. Angeliq od dziecka słuchała rodziców, nie próbowała z nimi dyskutować czy wdawać się w sprzeczki. Podobną taktykę przyjęła także wobec ciotki Luci. Uśmiechała się słodko,

kiwała głową, przytakiwała, a potem robiła to, na co miała ochotę.

- Papo, to nie tak jak myślisz - zaczęła Sapphire bezradnym tonem.

- A co tu jest do myślenia? - huknął Armand. - Ten... ten młodzian, który niegodzien jest zwać się dżentelmenem, najwyraźniej chciał wykorzystać twoją naiwność.

- Nieprawda! - Sapphire cofnęła się, zrzuciła koc z ramion i chwyciła Maurice'a za rękę. - My się kochamy, papo.

- Kochają się, słyszał to kto! - prychnął Armand, podchodząc bliżej. W ostatnich miesiącach schudł, ciemne kiedyś włosy całkiem mu pobielały, ale ciągle miał mocny głos i władcą postawę, które przyprawiały ludzi o drżenie, zmuszając do posłuchu.

- Na mnie już pora, moja kochana - powiedział Maurice.

- Bardzo słuszna decyzja, panie Dupree - przytaknął Armand. - Zabieraj nogi za pas, zanim przestanę się miarkować i oćwiczę cię, boś sobie na to prawdziwie zasłużył.

- Zobaczmy się później - szepnął Maurice Sapphire do ucha i czmychnął.

W tej samej chwili na polanie pojawiła się Angeliq, kompletnie ubrana, pantofelki tylko trzymała w dłoni.

- Papo - zaczęła z przymilnym uśmiechem - właśnie miałyśmy wracać do domu, żeby przygotować się do kolacji. Nie mogę się już doczekać, kiedy włożę tę śliczną suknię, którą przywiozłeś mi z Londynu...

Sapphire, jakby nie słyszała świergotu siostry, podeszła do ojca i spojrzała na niego hardo.

- Nie zrobisz mi tego, papo. Nie zgadzam się. My się kochamy. Tak jest, kochamy się i chcemy się pobrać.

Armand wysłuchał deklaracji córki z niewzruszonym wyrazem twarzy.

- Nie wyjdiesz za Maurice'a Dupree - oznajmił stanowczo. - Nie jest godzien czyścić ci trzewików.

- Odwrócił się i podszedł do swojego konia.

- Papo, nie jestem już dzieckiem i nie pozwolę traktować się jak dziecko.

Armand włożył stopę w strzemień i wskoczył na siodło.

- Jestem twoim ojcem, właścicielem tej plantacji i panem wszystkich, którzy na niej mieszkają - oznajmił z naciskiem, nie patrząc na córkę. - Nadal odpowiadam za ciebie, tak jak odpowiadam za moich niewolników, co oznacza, że i ty i oni macie postępować zgodnie z moją wolą. Mogę zamknąć cię w twoim pokoju, gdzie będziesz siedziała pod kluczem, a jeśli będę musiał, odeślę cię do sakramentek i zacne siostrzyczki zajmą się już tobą jak należy.

- Nie ważysz się odesłać mnie do klasztoru! Skończyłam już szkołę i ani myślę wracać do siostr! - krzyknęła Sapphire za odjeżdżającym ojcem.

- Nie ustąpię - powtórzyła Sapphire, wychodząc za siostrą z sypialni na oświetlony lampami gazowymi korytarz.

Orchid Manor został wzniesiony przez jej dziadka w stylu, który w zamyśle antenata miał się kojarzyć z architekturą zamków nad Loarą, ale bliższy był kolonialnym rezydencjom Indii Zachodnich: posadowiony w ogrodzie, miał mnóstwo szerokich, dwuskrzydłowych drzwi, ogromne okna i pełne zawsze zielonych roślin patia.

- Nie będzie mi rozkazywał, Angel. - Sapphire odchyliła głowę i zapięła kolczyk z perłą. - Kiedy umarła mama, powiedział mi, że jestem już dorosła i że odtąd tak właśnie będzie mnie traktował. - Uniosła kraj wydekoltowanej sukni z ciężkiego jedwabiu w kolorze śliwkowym i dogoniła idącą spiesznym krokiem siostrę.

- A teraz, kiedy znalazłam swoją miłość, grozi, że odeśle mnie do klasztoru. Niedoczekanie!

- Nie pędź tak, bo zniszczysz sobie fryzurę. - Angelique poprawiła lok nad uchem siostry. - Pod żadnym pozorem nie wspominaj przy kolacji o Maurice. W ogóle o nim nie wspominaj.

- Jakże to, w ogóle o nim nie wspominaj? - obruszyła się Sapphire. - Myślmy o ślubie i nie będziemy czekać.

Angelique wygładziła fałdy różowej sukni.

- Powoli, powoli, siostrzyczko. Jesteś jeszcze młoda i niewiele wiesz o miłości. Spotkasz jeszcze wielu takich Maurice'ow, którzy...

- Ty też przeciwko mnie?!

- Jestem po twojej stronie, tak samo jak papa.

- Przechyliła głowę, łowiąc dźwięki dochodzące z ogrodów: to muzycy stroili instrumenty, przygotowując się do koncertu, mającego umilić wieczór angielskim gościom papy, którzy przyjechali na Martynikę w interesach. - Chodź już. Nie możemy się spóźnić, bo to jeszcze bardziej zgniewa papę. Potem porozmawiamy o twoich kłopotach.

- Mówisz zupełnie jak on! - napadła na siostrę Sapphire. - A ja wiem swoje i nie ustąpię.

- Nie musisz mnie o tym przekonywać - mruknęła Angelique pod nosem i panny weszły do sali jadalnej.

- Oto i moje drogie dziewczęta. - Ciotka uściskała je kordialnie i szepnęła, nachylając się do ucha Sapphire: - Coś ty takiego zrobiła? Dawno nie widziałam Armanda tak rozsierzonego.

- Nie zrobiłam nic złego.

Lucia, korpulentna, rudowłosa pani o ślicznej, choć niemłodej już twarzy, spojrziała pytająco na Angelique, ale ta uniosła tylko brwi i z właściwym sobie wdziękiem wzruszyła ramionami.

- Akurat. - Ciotka Lucia zaszeleściła fałdami sutych spódnic wytwornej kreacji z jasnożółtego atłasu. - Skoro wszyscy już są, siadajmy do stołu. Lady Carlisle ma dzisiaj pyszną suknię. A spójrzcie tylko, jaki stroik wpięła we włosy. - Lucia mówiła z mocnym francuskim akcentem, który stawał się jeszcze wyraźniejszy, gdy w domu pojawiali się zagraniczni goście. - Czyż ten maleńki ptaszek usadowiony pośród koronek nie jest wprost boski?

- Boski - powtórzyła Sapphire i z wymuszonym uśmiechem podeszła do stołu. Nic jej nie obchodziła lady Carlisle, jej kreacje, stroiki i ptaszki w koronkach. Dzień wcześniej, przechodząc obok pokoju bibliotecznego, podsłuchiwała, jak hrabina mówi do swojej

przyjaciółki lady Morrow: „Pan Fabergine to bardzo miły jegomość, ale ta jego córka... Stanowczo zbyt swobodnie sobie poczyną. Ojciec powinien ją utemperować, bo w przeciwnym razie panna nie będzie miała wstępu do dobrego towarzystwa”. - Papo - uśmiechnęła się do ojca, po czym zwróciła do gości: - Proszę zajmować miejsca. Podano do stołu. Możemy zaczynać.

Armand stanął za córką i odsunął jej krzesło.

- Wyglądasz ślicznie, skarbie - powiedział. - Do twarzy ci w tej nowej sukni.

Ciągle była zła na ojca, ale odpowiedziała na komplement szczerym uśmiechem.

- Bardzo ci dziękuję za tę suknię, papo. Jest naprawdę śliczna. - Wygładziła śliwkowe spódnice nowej toalety i podsunęła krzesło bliżej stołu, sadowiąc się wygodnie.

- *Merci tellement*. - Skłonił głowę, zwracając się do gości, odsunął krzesło dla ciotki Luci, po czym zajął miejsce u szczytu stołu.

Sapphire zauważyła, że jeden z panów pomógł usiąść Angelique. Mężczyźni ją uwielbiali, bo nigdy z nikim nie wdawała się w spory, a jej trochę egzotyczna uroda fascynowała.

- Czujcie się jak u siebie w domu - ciągnął Armand, rozkładając ramiona w geście zaproszenia. - Tu, w Orchid Manor, żyjemy sobie swobodnie, nie lubimy sztywnych konwenansów.

Skinął na jedną z dziewcząt. Musiała wpaść mu w oko. Żona pobłażliwie odnosiła się do tej jego słabości, powiadając, że nie ma mężczyzny, który byłby od niej wolny. W przypadku Armanda musiała być to prawda, gdyż od kiedy Sapphire pamiętała, szeptała, że Angelique jest jego córką.

Nowa służąca, Tarasai, zapewne rówieśniczka Sapphire, skromnie spuszczać wzrok, podeszła do stołu z wielką wagą zupy żółwiowej i tak rozpoczęła się długa, trwająca dwie godziny kolacja.

Goście bawili na plantacji od tygodnia, wyczerpano już tematy do rozmów towarzyskich i konwersacje przy stole stawały się z dnia na dzień nudniejsze. Panowie rozprawiali wyłącznie o plonach i swoim zdrowiu, ale z dwojga złego Sapphire wolała już słuchać nużących dyskusji na temat kóz i cen trzciny cukrowej niż plotek angielskich dam na temat londyńskiej socjety. Ciotka Lucia potrafiła kiwać głową w odpowiednich momentach, rzucając na przemian krótkie *oui* i tak, oraz uprzejmie się uśmiechać, Angelique flirtowała lekko z panami, a Sapphire umierała z nudów, nie potrafiąc wykrzesać krzty zainteresowania.

W przerwie między daniami podniosła wzrok i z ciężkim westchnieniem spojrzała na wielki kryształowy kandelabr, wiszący nad równie wielkim stołem. Orchid Manor był pod wieloma względami rezydencją bardzo nowoczesną: w większości pomieszczeń używano lamp gazowych i olejowych, ale w jadalni, na wyraźne żądanie ojca, musiały palić się świece.

Sapphire usłyszała ciche skomlenie i po chwili mokry nos trącił jej zwieszoną dłoń. Upewniła się, że nikt nie patrzy, i wsunęła pod stół kawałek chleba. Pies pochłonął natychmiast poczęstunek i domagał się jeszcze. Sapphire chyłkiem podsunęła psu kolejny kawałek chleba.

Baronowa Wells, zajmująca sąsiednie krzesło, uśmiechnęła się porozumiewawczo. Sapphire lubiła Patricię, która niedawno wyszła za mąż. Mogłaby być świetną towarzyszką zabaw, ale pilnowała jej ciotka, straszna lady Carlisle. Sapphire proponowała Pat, żeby wybrały się razem pojeździć konno albo popływać, ale za każdym

razem lady Carlisle się nie zgadzała. Dowodziła, że dżungle Martyniki to zbyt niebezpieczny teren dla białej kobiety, i jakoś umykał jej uwagi fakt, że na wyspie mieszka wiele francuskich arystokratek, które czują się tu całkiem bezpieczne.

Sapphire podsunęła psu kolejny kawałek chleba. Tym razem kudłaty biesiadnik wychylił nos spod białego obrusa i Pat na widok psiej kufy szybko zasłoniła usta serwetką, tłumiąc śmiech.

Lady Carlisle chrząknęła znacząco, Sapphire podniosła wzrok i dopiero teraz zorientowała się, że wszystkie panie przy stole na nią patrzą. Ktoś najwidoczniej zwrócił się do niej z pytaniem, którego nie usłyszała, pochłonięta dokarmianiem przyjaciela.

- Opowiedz lady Carlisle, kochanie - pospieszyła jej z pomocą ciotka Lucia - o stułach, które ostatnio haftowałyście z Angelique dla ojca Richmonda. Właśnie mówiłam hrabinie, jak staranne wychowanie otrzymałaś u siostrzyczek.

- Mam powiedzieć prawdę? - Sapphire doskonale wiedziała, że nikt nie chce od niej prawdy. - Hafty Angelique były piękne, ścieg w nich równy, a moje okropne, krzywe i w dodatku poplamione krwią, bo ciągle kłułam się igłą i stuła była do wyrzucenia.

Lady Morrow i lady Carlisle dech zaparło z wrażenia, Sapphire uśmiechnęła się wdzięcznie, a ciotka Lucia wychyliła jednym haustem wino, które miała w kieliszku. Kiedy panie już ochłonęły, zaczęły rozmawiać o kłopotach ze skompletowaniem wyprawy dla Pat. Sapphire, którą pozostawiono na wszelki wypadek w spokoju, mogła wrócić do karmienia psa.

Kiedy ze stołu zniknęły ostatnie talerze, podniosła się, licząc na to, że wymknie się z sali jadalnej przez nikogo niezauważona.

- Zapraszam na przechadzkę po ogrodzie, *mes dames*, o ile nie jest zbyt chłodno - powiedział Armand, wskazując prowadzące na patio drzwi. - Ja tymczasem zabiorę panów do gabinetu na cygaro, a potem dołączymy do was.

- Chłodno? - Sapphire dotknęła dekoltu serwetką.

- Na litość boską, papo. Wieczór jest tak ciepły, że nikomu raczej nie grozi przeziębienie.

Ojciec nachylił się ku niej z uśmiechem i położył dłoń na jej ramieniu.

- Proszę cię, Sapphire - zaczął cichym głosem.

- Rozumiem, że jesteś na mnie zła, ale miej wzgląd na gości. Prowadzę interesy z tymi panami i nie zawadzi, jeśli postarasz się być miła dla ich żon.

- Rozumiem, papo. Przepraszam. Każę Tarasai przynieść szale, jeśli którejś z pań zrobi się zimno.

- Dziękuję ci. - Wyszedł, prowadząc panów do gabinetu, a Sapphire, chcąc nie chcąc, musiała zająć się paniami.

- Przejdźmy na patio. Zapraszam na kordiał, a przy okazji obejrzymy sobie orchidee, które dzisiaj właśnie rozkwitły.

- Ja bardzo przepraszam. - Angelique stanęła za krzesłem siostry. - Nie czuję się najlepiej. Chyba migrena. Proszę o wybaczenie, pójdę do swojego pokoju.

- Oczywiście, oczywiście - przytaknęły panie zgodnym chórem.

Kiedy Sapphire udało się wreszcie wyjść z domu, ciotka Lucia pokazywała Pat jedną z hybryd wyhodowanych przez Armanda, niezwykle jasnoróżowy storczyk o czarnym słupku, a dwie starsze damy szeptały coś zawzięcie, nachyliwszy ku sobie głowy. Nie mając ochoty przyłączać się do żadnej z tych par, Sapphire ruszyła nad oczko wodne, w

którym mieszkały złote rybki. Przykucnęła i zaczęła wypatrywać lokatorek oczka, ciekawa, czy dojrzy jakąś w blasku oświetlających ogród pochodni.

Nie dojrzała żadnej, zauważyła natomiast dużą zieloną żabę, pomarańczowo nakrapianą. Żaba zaczęła się przemieszczać w stronę patia, Sapphire ruszyła za nią i po kilku krokach doszły ją kobiece głosy.

- Naga? - Usłyszała pełen zgorzienia szept lady Morrow. - To być nie może.

- Owszem - przytaknęła samej sobie lady Carlisle. - Tak mówił lord Carlisle. No, prawie naga.

- Oburzające - powiedziała lady Morrow. - I pomyśleć, że biedny Fabergine musi znosić takie rzeczy, kiedy żaloba jeszcze się nie skończyła.

- To jedno, dwa, to ta kolorowa. Siada z nimi przy stole jak swoja. Nie do wiary.

- Kolorowa? A ja myślałam, że to jakaś ich kuzynka z Francji czy coś takiego...

Sapphire straciła zainteresowanie dla żaby, wyprostowała się, uniosła dumnie głowę i podeszła do dzielących się sensacjami dam.

- Panie wybaczą, ale mimo woli usłyszałam fragment waszej rozmowy-powiedziała chłodno, spoglądając prosto w oczy najpierw jednej, potem drugiej plotkarce.

- To bardzo niegrzecznie przysłuchiwać się cudzym rozmowom. Jesteś zupełnie niewychowana, moja panno. Nie uczono cię dobrych manier? - zbesztła ją lady Carlisle.

Lady Morrow miała na tyle przyzwoitości, by odwrócić wzrok.

Sapphire podeszła jeszcze bliżej, na dobre już rozeźlona.

- Pani pyta o maniere? Owszem, uczono mnie manier. Moja matka zawsze mi powtarzała: „Jeśli nie masz nic miłego do powiedzenia, lepiej milcz”.

- Co ona mogła wiedzieć? - wycodziła lady Carlisle z pogardą. - Jakaś wywłoka.

- Moja matka... - Sapphire zabrakło słów z oburzenia. Oslupiała, urwała w pół zdania i patrzyła na lady Carlisle szeroko rozwartymi oczami.

- Twoja matka była zwykłą nowoorleańską dziwką. Tak samo jak twoja droga cioteczka. Twój ojciec poznał ją w domu rozpusty.

- Jak pani śmie! - krzyknęła Sapphire.

- Kochanie - u boku Sapphire pojawiła się ciotka Lucia; położyła jej łagodnym gestem rękę na ramieniu - goście twojego ojca...

Sapphire odepchnęła jej dłoń.

- Słyszałaś, co ta kobieta powiedziała przed chwilą o mojej matce? Jak ją nazwała?

- Zapytaj lady Morrow. - Lady Carlisle wyprostowała się dumnie. Ptaszek na jej głowie zakołysał się lekko, jakby zamierzał wydziobać dziurę w czaszce właścicielki absurdalnego stroiku. - Jej kuzyn widywał obie w Nowym Orleanie, kiedy prowadził wspólne interesy z Armandem.

- Edith, wystarczy - rzuciła ciotka Lucia ostrym tonem.

- To nie może być prawda! To jest kłamstwo. Ciociu Luciu, powiedz im, że moja matka nie była... -

Sapphire spojrzała na ciotkę i zrozumiała, że nie uzyska od niej zaprzeczenia. Czyżby te kobiety wiedziały coś, czego ona nie wiedziała? - Nie, nie - szepnęła wstrząśnięta.

- Sapphire, moja maleńka... - Ciotka Lucia ujęła jej dłoń.

- Nieprawda! To wszystko kłamstwo!

- Prawda jest skomplikowana, Sapphire - powiedziała Lucia cicho. - Wejdzmy do domu i...

- Nie! - zawołała Sapphire i z oczami pełnymi łez wybiegła z ogrodu w ciemną noc.

ROZDZIAŁ DRUGI

Biegła jak szalona, łzy płynęły jej po policzkach. Niemal na oślep, w ciemnościach, drogą na skrót, przedzierała się przez gęstwinę w kierunku stajen.

- To nieprawda - powtarzała na głos. - Moja matka nie była dziwką. - W głębi serca wiedziała jednak, że to prawda. Pamiętała wyraz twarzy ciotki Luci, który mówił wszystko. Jej najdroższa mama Sophie, ukochana Armanda, była prostytutką. Sapphire dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, że w gruncie rzeczy od dawna wiedziała, że matka skrywa jakiś sekret. W Sophie był smutek, którego nigdy nie przemogła. Nawet miłość córki i oddanego męża nie była w stanie go rozproszyć. - Jak mogłaś, mamó? - szepnęła Sapphire, zwalnając kroku. - Jak mogłaś odejść, nie wyznając mi prawdy? - pytała, spoglądając w rozgwieżdżone niebo, jakby oczekiwała, że matka stamtąd jej odpowie.

Ale oczywiście odpowiedź nie przyszła; milczało niebo, milczała nieżyjąca od prawie roku matka. Rok bez mała, a zdawało się, że tak niedawno chowali ją w pięknym miejscu. Krótco chorowała. Zaczęła gwałtownie tracić na wadze, coraz gorzej widziała, miała zawroty głowy, ciągnęła suchość w ustach. Lekarz, którego wezwano, nie był w stanie nic pomóc. Rozłożył bezradnie ręce, mówił coś o „chorobie cukrowej”; trzy tygodnie później Sophie nie żyła.

Na widok stajen Sapphire odetchnęła z ulgą. Zawsze tu przybiegała, kiedy czuła się smutna, przygnębiona albo gdy coś wytrąciło ją z równowagi. Tutaj, mając za towarzystwo jedynie konie, mogła albo szukać zapomnienia w ich oporządzaniu, albo po prostu im się przyglądała. Czasami dosiadała któregoś z wierzchowców i galopowała plażą; kopyta rozpryskiwały falę przyboju, zły nastrój pierzchał, a ona czuła się naprawdę wolna. W ostatnich latach coraz bardziej tęskniła za swobodą i wolnością.

W pomieszczeniu, w którym trzymano uprząż, paliło się światło. Sapphire serce zabiło mocniej. Czyżby Maurice czekał, licząc, że po kolacji uda się jej wymknąć z domu? Przyspieszyła kroku, weszła do stajni i podeszła do uchylonych drzwi, zza których padała smuga światła.

- Maurice? - szepnęła, robiąc krok.

Zza drzwi doszedł ją kobiecy głos. Angeliq? Co jej siostra, do krośet, robi w stajni o tej porze? Przyszła po konia, by jechać na schadzkę z Jacques'em?

- Angeliq?

- Sapphire? Myślałam, że jesteś w ogrodzie z... Sapphire pchnęła drzwi.

- Nie uwierzysz, co się stało... - Przerwała w pół słowa i znieruchomiała.

Angeliq uwolniła się gwałtownie z objęć mężczyzny.

- Maurice! - Sapphire nie wierzyła własnym oczom. Miała uczucie, że za chwilę serce jej pęknie.

- Sapphire, moja ukochana...

- Nie! - Niewiele myśląc, chwyciła stojące w kącie widły.

- To nie jest tak, jak myślisz, najdroższa. - Maurice podszedł, by ją wziąć w ramiona.

- Nie jest tak, jak myślę?! - krzyknęła Sapphire.

- Sapphire, proszę cię - próbowała uspokoić ją Angeliq.

Miała na sobie prostą suknię, sięgającą za kolana, z tych, jakie noszą rdzenne mieszkanki wyspy. Wkładała taki strój, kiedy wymykała się z domu na schadzkę.

- Nie zbliżaj się do mnie - ostrzegła siostrę Sapphire i odwróciła się do Maurice'a, pochylając widły. - Zapewniałeś, że mnie kochasz. Przysięgałeś, że chcesz się ze mną ożenić. - Była tak zła, tak zawiedziona, że z trudem formułowała wyrazy. - Mówiłeś, że dochowamy się ślicznych dzieci.

- Chcę się z tobą ożenić, ukochana. Kocham cię. Chodzi tylko o to, że...

- Chodzi o to, że mnie kochasz, ale całujesz się z moją siostrą?

- Sapphire... - próbowała się wtrącić Angelique.

- Nic nie mów - syknęła Sapphire, ciągle nastawiając widły tak, jakby chciała zaatakować Maurice'a. - Najpierw skończę z moją „wielką miłością”, z moim „kochanym”. - Tu wykonała gwałtowny ruch i Maurice musiał uskoczyć. Przywarł płasko do ściany.

- Sapphire, proszę, pozwól sobie wytłumaczyć. To nie ma nic wspólnego z tobą i ze mną... z nami. Nas łączy prawdziwa miłość...

- Prawdziwa miłość! O tak! - Sapphire zaśmiała się gorzko. - Wynoś się stąd! Natychmiast! - nakazała pełnym pogardy głosem.

Maurice wybiegł, jakby go sam diabeł goił.

- Nigdy więcej nie pokazuj mi się na oczy! - zawołała za nim. - Nigdy więcej. Słyszysz?

Stała tak przez chwilę, wpatrując się w mrok rozświetlony nielicznymi lampami, a kiedy usłyszała trzaśnięcie zamykanych wrót, postawiła widły pod ścianą i wróciła do pomieszczenia na uprzęż, gdzie czekała Angelique.

- Jak mogłaś? - szepnęła, spoglądając na siostrę. - Wiesz przecież, że go kocham.

- Przepraszam - wymamrotała Angelique, wbijając wzrok w podłogę.

- Przepraszasz? Zdradziłaś mnie, zawiodłaś moje zaufanie, i to wszystko, co masz do powiedzenia?

- Lepiej, żebyś nie słyszała tego, co mogłabym jeszcze powiedzieć.

- Ale ja chcę usłyszeć. - Sapphire podeszła bliżej.

- Przepraszam, że pozwoliłam na pocałunek, ale on ciebie nie kocha.

- O czym ty mówisz? - Sapphire spojrzała zdumiona na siostrę. - Oczywiście, że mnie kocha.

- Gdyby cię kochał, nie całowałby się ze mną.

- Nie mów tak.

- Maurice kocha ziemię twojego ojca, nie ciebie. Małżeństwo z tobą zapewni mu majątek i pozycję. On ma starszego brata i nie odziedziczy nic po swoim ojcu, w dodatku ich plantacja jest mocno zadłużona. Jeśli nie znajdzie bogatej żony, będzie musiał zająć się handlem albo pójść do rzemiosła.

Sapphire założyła ręce za siebie i oparła się o ścianę.

- To nieprawda.

- Już kilka razy próbował się ze mną spotkać. Kiedy zobaczyliśmy się pierwszy raz, zaraz po ich powrocie z Francji, jesienią minionego roku na balu namawiał mnie, żebym zgodziła się na schadzkę w lesie.

Sapphire pokręciła głową z niedowierzaniem, próbując zebrać myśli.

- Tamtego wieczoru przetańczyłam z nim wszystkie tańce. Mówił, że jestem najpiękniejszą kobietą, jaką zdarzyło mu się w życiu spotkać, i że zakochał się we mnie od pierwszego wejrzenia.

- Chyba jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką zdarzyło mu się w życiu spotkać, ale on nie wie, co to znaczy być wiernym. Zaslugujesz na kogoś lepszego.

- Nie odwracaj kota ogonem. Całowałaś go. A co z Jacques'em? - zapytała Sapphire. - Wydawało mi się, że go lubisz.

- Ach, Jacques. Owszem, lubię go, ale on nie ma zamiaru się żenić. Ja też nie myślę wychodzić za niego za mąż. - Angelique przesunęła palcem po blacie stołu, na którym leżały szczotki i grzebień do czesania koni. - Jestem kolorowa i żaden szanujący się biały mnie nie zechce, choćby Armand kupował mi najpiękniejsze suknie w Paryżu, choćbym znała łacinę jak mnich i całą francuską literaturę na wyrywki.

- To nieprawda - powiedziała Sapphire.

- Owszem, to prawda, i doskonale o tym wiesz. To dlatego mama, umierając, zapisała pieniądze mnie, nie tobie. Wiedziała, że nie wyjdę za mąż, i chciała, żebym była niezależna. Ty odziedziczysz cały majątek po ojcu, plantację, pieniądze, a ja dostanę to, co miała matka. - Angelique podeszła do siostry. - Chcesz usłyszeć, jaki plan ułożył Maurice?

- Jaki? - Sapphire miała łzy w oczach.

- Wiedział, że ojciec nigdy nie zgodzi się na wasz ślub, więc postanowił cię uwieść. Gdybyś zaszła w ciążę, Armand musiałby ustąpić, ratując twój honor.

Sapphire nie chciała wierzyć w to, co mówi siostra, ale Angelique nigdy nie kłamała. Nawet kiedy były dziećmi i czekała je kara za to, że zrobiły głupi kawał komuś ze służby albo wymknęły się bez pozwolenia na plażę, żeby popływać w oceanie z dziećmi z wioski.

- Wszystko jedno - powiedziała Sapphire. - Nie powinnaś była tego robić.

- Taka jestem i się nie zmienię. Nie żądaj ode mnie rzeczy niemożliwych, bo będziesz przeżywała ciągle rozczarowania. - Teraz w oczach Angelique pojawiły się łzy. - Wybaczysz mi, siostrzyczko?

Sapphire odwróciła wzrok.

Były najlepszymi, najserdeczniejszymi przyjaciółkami. Pokochały się od pierwszej chwili, od pierwszego dnia, który Angelique spędziła w swoim nowym domu. Pewnego razu Sapphire zamiast siedzieć na lekcji muzyki, uciekła do dżungli. Włoczyła się bez celu. W końcu natknęła się, tuż przy plaży, na dwa bezpańskie psy, które atakowały dziewczynkę, próbującą schronić się przed napastnikami na drzewie. Odgoniła psy ogromną gałęzią i zaprowadziła małą do domu. Sophie opatrzyła dziewczynce rozcięte kolano. Okazało się, że mała mieszka w pobliskiej wiosce i że jest sierotą. Matka odumarła ją niedawno, a ojciec...

Mała nie wiedziała, kto jest jej ojcem, ale wystarczyło spojrzeć na jasną buzię ośmiolatki, by odgadnąć, że musiał być to Francuz. Być może Sophie Fabergine podejrzewała, że chodzi o jej męża, w każdym razie jeszcze tego dnia przyjęła sierotę pod swój dach i od tej chwili wychowywała jako własną córkę.

- Jestem zła na ciebie - szepnęła Sapphire. Angelique na te słowa objęła siostrę i uścisnęła serdecznie.

- Wiem - przytaknęła. - Nie oczekiwałam nic innego. Zasłużyłam na twój gniew. - Podeszła do ściany, wspięła się na palce i zgasiła lampę. - Wracajmy do domu.

Sapphire nie zdziwiła się specjalnie, zastając w swojej sypialni ojca i ciotkę. Angelique na ich widok cofnęła się pospiesznie.

- Pójdę do siebie - rzuciła i chciała wyjść, ale Armand ją zatrzymał.

- Zostań - nakazał, obracając się w fotelu. Nie skomentował ani słowem swobodnego stroju Angelique, udał też, że nie zauważa potarganych włosów Sapphire ani tego, że jej suknia znajduje się w oplakany stanie. - To, co mam do powiedzenia, dotyczy tak samo ciebie, jak i Sapphire. Wejdźcie i zamknijcie drzwi. Nasi goście zdążyli dzisiaj dowiedzieć się o was aż nazbyt dużo, nie sądzicie?

- Nie możemy odłożyć tej rozmowy? - zapytała Sapphire. Ciotka Lucia musiała powtórzyć ojcu, co lady Carlisle powiedziała na temat jej matki. Sapphire chciała dowiedzieć się wielu rzeczy od ojca, ale nie była jeszcze gotowa stawić czoła prawdzie. - Jestem zmęczona, papo. - Podeszła do szafy, udając, że chce się rozebrać. - Porozmawiamy jutro. Tak będzie lepiej.

- Nie - rzekł Armand tak stanowczym tonem, że wszystkie trzy panie na moment zamarły. - Dzisiaj to ja będę decydował, nie ty, młoda damo. Chcę ci coś powiedzieć, a ty, przez szacunek należny ojcu, wysłuchasz mnie uważnie. Ta rozmowa powinna być odbyć się wiele lat temu. Twoja matka winna była ją przeprowadzić, ale co się stało, to się nie odstanie. Nasi goście naprawili za nas to niedopatrzenie. - Zamilkł na moment. - Pozostaje nam zacząć od punktu, w którym lady Carlisle przerwała. Siadaj. - Wskazał dłonią na łóżko i spojrzał na Angelique. - Ty też, Angel. I ostrzegam, nie próbujcie we trzy występować przeciwko mnie. Nie dzisiejszego wieczoru.

Zaskoczona zdecydowaną postawą ojca, Sapphire posłusznie podeszła do łóżka i usiadła w milczeniu obok ciotki. Angelique usadowiła się po jej drugiej stronie.

- Zacznę od tego, że jest mi bardzo przykro, Sapphire. Muszę powiedzieć, że nie zawsze zgadzałem się z decyzjami twojej matki, ale to były jej decyzje, miała do nich prawo. Jak wiesz, lord Carlisle przyjechał sfinalizować pewne transakcje, które przeprowadzamy wspólnie, ale chciał też poznać ciebie. Zamierzam wysłać cię do Londynu...

- Co takiego?! - Sapphire zerwała się z łóżka. - Nie pojedę do żadnego Londynu! Armand wstał w fotela.

- Powiedziałem ci, żebyś usiadła, córko, i masz to robić.

Nic sobie nie robiąc z groźnej miny ojca, Sapphire oparła się o łóżko, ale nie usiadła. Założyła ręce na piersi i czekała.

- Po śmierci twojej matki wpadłem w takie przygnębienie, że przestałem zwracać uwagę na twoje zachowanie. Stanowczo zbyt wiele sobie pozwalasz, moja panno.

- Papo, ja nie...

- Nie przerywaj mi znowu!

Sapphire zacisnęła wargi, ale wszystko się w niej gotowało. Ojciec całkiem postradał zmysły! Chce ją wysłać do Londynu! Po co, na litość boską?

- Dałem ci zbyt wiele swobody - ciągnął Armand, chodząc w tę i z powrotem po sypialni. - Po śmierci matki opuściłaś się w nauce, przestałaś brać lekcje, ciągle nie ma cię w domu, robisz wyprawy w głąb wyspy samopas, bez żadnego nadzoru, bez kontroli. Spotykasz się z kawalerami, których nie powinnaś w ogóle...

- Papo, Maurice i ja... - Ojciec spojrział na nią takim wzrokiem, że natychmiast zamilkła.

- Udasz się do Londynu. Lucia pojedzie z tobą jako przyzwoitka oraz opiekunka. Wszystko już ustaliłem z lordem i lady Carlisle.

- A co będzie ze mną? - odezwała się Angelique. - Nie mogłabym też pojechać do Londynu?

- Myślę, że mogłabyś - odparł Armand, najwyraźniej zaskoczony. - Nie byłem pewien, czy zechcesz opuścić rodzinną wyspę, moja droga, po to, żeby...

- Oczywiście, że chcę jechać! - Angelique klasnęła w dłonie, podniecona perspektywą wyjazdu. - Och, papo, nawet nie wiesz, jak bardzo chciałabym zobaczyć Londyn. Marzyłam o tym.

- Wydawało mi się, że marzyłaś o Nowym Jorku, nie o Londynie. A nie, przepraszam, to było w zaprzyszłym tygodniu. A w minionym. Czeka... Co to było? Ateny? Paryż. Chyba Bruksela... - zastanawiała się głośno Sapphire.

- Wszędzie tam chciałabym jechać! - zwołała Angelique, ani trochę niezbita z tropu. - Ale najbardziej do Londynu. Och, dziękuję ci, papo.

Sapphire spojrzała na ojca. Matka często powtarzała, że Angelique łatwo zadowolić, potrafi cieszyć się ze wszystkiego. Sapphire zawsze kręciła nosem, nic nie było dla niej dość dobre, nic się jej nie podobało, chyba że chodziło o jej własne pomysły.

- Nie chcę jechać do Londynu, papo. - Wbiła wzrok w podłogę. Nie umiała ustępować i nie chciała tego zrobić. Zerknęła spod oka na ojca, ręce ciągle trzymając założone na piersi. - Jeśli to tylko z powodu Maurice'a...

- Nie chodzi o tego franta - prychnął Armand zniecierpliwiony i odwrócił się w pół kroku. - Nic nie rozumiesz, Sapphire. Nie wiesz, kim jesteś.

- Znowu do tego wracamy? - Sapphire oderwała się od łóżka. - Traktujesz mnie jak małe dziecko, które nie jest w stanie samo zdecydować o sobie, nie wie, co jest dla niego dobre, co złe. - Podeszła do ojca. - Mylisz się. Doskonale wiem, kim jestem i czego chcę od życia. Jestem Sapphire Lucia Fabergine, córka Sophie i Armanda Fabergine'ow i nie pragnę niczego bardziej niż...

- Nie jesteś moją córką - przerwał jej Armand. Pod Sapphire ugięły się kolana.

- Co takiego? - wykrztusiła.

- Chodź tutaj, usiądź koło mnie - poprosiła Lucia, wyciągając dłoń do chrześnicy.

- Nie. - Sapphire szarpnęła się do tyłu. Najpierw koszmarna wiadomość o matce, teraz to? Ile w ciągu jednego dnia może się człowiekowi przydarzyć? Ilu odmieniającym życie wydarzeniom potrafi stawić czoło? Spojrzała na ojca. - Całe moje życie jest kłamstwem? Czy ktoś w tym domu powiedział kiedyś jedno słowo prawdy? O czym ty mówisz, papo, na litość boską?

Armandowi drżała niebezpiecznie broda. Widać było, że jest bardzo zdenerwowany.

- Proszę. - Sapphire ujęła go pod ramię. - Siadaj i powiedz.

Ku jej zaskoczeniu, Armand bez protestów dał się posadzić w fotelu.

- To prawda - rzekł, gdy usadowiła się na podnóżku u jego stóp. - Nie jestem twoim ojcem, ale wierz mi, kocham cię jak własną córkę. Pamiętaj o tym, zanim zacznę opowiadać.

- Słucham - powiedziała Sapphire.

- Poznałem twoją matkę i Lucię w Nowym Orleanie.

- Był pięknym mężczyzną, najprzystojniejszym, jakiego kiedykolwiek zdarzyło się nam poznać. - Lucia uśmiechnęła się do Armanda. - A on tylko spojrział na twoją matkę i całkiem stracił dla niej głowę.

- Ale ona była prostytutką - wtrąciła Sapphire, bardzo się starając, by w jej głosie nie było słycać goryczy. - Tak ją poznałeś. O tym mówiła lady Carlisle. To była tajemnica mamy, którą do końca przede mną ukrywała.

Armand milczał przez chwilę.

- Tak - powiedział w końcu. - Poznałem twoją matkę w nowoorleańskim domu publicznym. Zakochaliśmy się w sobie i poprosiłem, żeby za mnie wyszła, chociaż miała dziecko z innym. Sophie zgodziła się mnie poślubić i zamieszkać w Orchid Manor. Zabrała z sobą Lucię.

- I to wszystko? Chcesz mi powiedzieć, że jestem; efektem nocy, którą moja matka spędziła z jakimś nieznajomym?

Armand patrzył na twarz przybranej córki i myślał, że jest bardzo silna. Znacznie silniejsza niż on sam czy Sophie. Miała zaczerwienione oczy, ale nie płakała. Pamiętał doskonale, jak mając siedem lat, spadła z konia i złamała rękę. Musiała cierpieć, była przerażona, ale nie uroniła ani jednej łzy. Ileż razy wracała do domu z poobijanymi do krwi kolanami, poobcieranymi łokciami: nigdy się nie skarżyła. Tak, jego Sapphire naprawdę jest silna. Usiadł wygodniej, założył nogę na nogę.

- Najpierw mnie wysłuchaj, potem wydawaj sądy. Nie chcesz wiedzieć, dlaczego twoja matka trafiła do domu publicznego?

- Czy powiedziałam, że nie chcę? - Sapphire wysunęła hardo brodę.

- A jakie to ma znaczenie - prychnęła Angelique, zsuwając się z łóżka, po czym podeszła i stanęła obok Luci. - Sapphire nie będzie przez to ani trochę gorsza, ani lepsza. Kobiety muszą robić różne rzeczy, żeby przetrwać. Czyż nie jest tak, jak mówię, ciociu?

Lucia spojrzała w ciemne oczy Angelique.

- Tak właśnie trafiłam do madame Dulane w Nowym Orleanie. Wcześniej byłam zwykłą dziwką uliczną w Londynie. Nadarzyła się szansa wyjazdu do Ameryki z pewnym... dobroczyńcą. Kiedy znudził się mną, musiałam wrócić do jedyne go zajęcia, jakie znałam, ale tym razem, zamiast pracować na ulicy, znalazłam dach nad głową, wikt i opierunek.

Sapphire czuła się tak, jakby ktoś wsadził ją na karuzelę. Tyle na nią spadło w ciągu zaledwie kilku godzin. Ciotka Lucia i jej matka sprzedawały się w domu publicznym? Jej kochana mama była dziwką?

- Poznałaś mamę w Nowym Orleanie czy przyjechałyście razem z Londynu?

- Poznałam ją w Nowym Orleanie, ale ona też przyplęnęła z Londynu, chociaż nie z własnej woli.

- Nie z własnej woli?

- Sapphire, nie będziesz chyba teraz potępiała swojej matki, że milczała. Uważała, że tak będzie lepiej dla ciebie - odezwał się Armand. - To była jej decyzja. Chciała powiedzieć ci prawdę, kiedy będziesz starsza. A potem nagle zachorowała i nie było już czasu na rozmowy...

W pokoju zaległa cisza. Angelique usiadła z powrotem na łóżku. Sapphire wpatrywała się przez chwilę w niebo za oknem, po czym zwróciła do ojca:

- Czyją córką jestem, jeśli nie twoją?

Lucia położyła dłoń na ramieniu Armanda i szepnęła coś do niego, a on skinął głową i ciotka rozłożyła ręce w teatralnym geście, jakby przygotowywała się do ważnego występu.

- Twoja matka, Sapphire, niewiele mówiła o sobie, ale postaram się wiernie oddać to, czego zdołałam się dowiedzieć. Otóż żyła sobie w Devonshire pewna młoda dziewczyna - zaczęła Lucia, niczym najprawdziwsza bajarka. - Miała na imię Sophie i była bardzo piękna. Miała kasztanowe włosy i uśmiech, któremu nie mógł się oprzeć żaden mężczyzna.

Sapphire słuchała ciotki z najwyższą uwagą, chłonąc każde słowo.

- Była córką farmera, umiała czytać i pisać i tęskniła za wielkim światem, który rozpościerał się gdzieś hen, za wzgórzami, okalającymi małą wioskę, w której mieszkała. Któregoś dnia, a miała wtedy siedemnaście wiosen, na popas w miejscowej gospodzie zatrzymał się pewien młodzieniec.

- To brzmi zupełnie jak początek romansu, których tyle czytasz, albo jak bajka - odezwała się Angelique.

- Był synem hrabiego - ciągnęła Lucia - i miał prawo tytułować się wicehrabią, a na imię było mu Edward. Spotkali się przypadkiem, ale ktoś mógłby rzec, że to zrządzenie losu zetknęło z sobą tych dwoje. - Podeszła do okna, szeleszcząc fałdami jedwabnej, sukni. - Gdyby Sophie nie wychodziła akurat z ojcowskiej gospody i nie natknęła się w przejściu na jego lordowską mość, nigdy by się nie poznali.

Lucia zamilkła na moment, po czym podjęła opowieść.

- Młodzieniec zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia, a ona w nim. I chociaż wiedzieli, że ich miłość nie ma przed sobą przyszłości, bo pochodzą z zupełnie różnych światów, on przyjeżdżał do wsi regularnie, by widywać się z ukochaną, a Sophie wymykała się z domu na schadzki. - Co było potem? - zapytała Sapphire, choć dobrze знаła odpowiedź.

- Pobrali się następnego lata, nie pytając nikogo o zgodę, w zupełnej tajemnicy - oznajmiła Lucia z namaszczeniem. I przypieczętowali swoją miłość...

- Gorącą nocą poślubną - wtrąciła obeznana z tematem Angelique.

- Edward podarował swojej Sophie w dowód wielkiej miłości jeden z najpiękniejszych szafirów, jakie widziała Anglia, który kiedyś należał do wielkiej monarchini, królowej Elżbiety.

Armand poruszył się w fotelu i wyjął z kieszeni maleńkie drewniane puzderko.

- A to prezent od niej dla ciebie. - Wydobył klejnot niezwyklej urody. Szafir wielkości włoskiego orzecha zajarzył się w blasku lampy.

- Dla mnie? - szepnęła z niedowierzaniem Sapphire. Wzięła kamień ostrożnie do ręki. Był zimny, a jednak promieniowało z niego ciepło.

- Tutaj są również listy pisane przez twojego ojca do twojej matki. Listy miłosne, jak się domyślam.

- Posmutniał i pokręcił głową. - Nie czytałem ich nawet po jej śmierci. Nigdy nie zaproponowała, żebym je przeczytał, uszanowałem jej wolę.

- Też mi je dajesz? - zapytała Sapphire. Armand skinął głową.

- Co było potem? - Sapphire spojrzała na Lucię.

- Opowiadaj, ciociu.

- Cóż, młodzi spędzili razem cudowną noc, po czym się rozstali. On wrócił do Londynu, by powiedzieć rodzicom o ślubie, a ona poszła do rodzinnego domu, żeby podzielić się swoim szczęściem z ojcem.

- Lucia odsunęła się od okna i zaplotła dłonie. - Ojcu Edwarda, hrabiemu Wesseksowi, bardzo nie w smak było, że syn poślubił prostą wiejską dziewczynę, bez majątku i tytułu. Sapphire zwiesiła głowę.

- Nie zaakceptował tego małżeństwa.

- W rzeczy samej, nie zaakceptował. Jak mówiła, twoja matka, uniósł się straszliwym gniewem, bo miał już upatrzoną żonę dla syna, pannę z dobrej rodziny; bogatą i herbową - powiedziała Lucia. - Wysłał do Sophie swojego człowieka, który oznajmił jej, że Edward popełnił wielki błąd i że chce unieważnić małżeństwo.

- Ale Sophie musiała przecież wiedzieć, że to kłamstwo - wtrąciła Sapphire, wyobrażając sobie, jak ten cios musiał zabość matkę.

Angelique miała taką smutną minę, jakby to jej samej przytrafiła się ta smutna historia.

- Sophie wiedziała - przytaknęła Lucia. - Niej podpisała zgody na unieważnienie małżeństwa, choć hrabia proponował jej duże pieniądze. Zagroziła, że pojedzie do Londynu, odnajdzie Edwarda i wtedy lord Wessex przestraszył się prostej wiejskiej dziewczyny i ją porwał.

- Biedna mama. - Sapphire nie mogła sobie wyobrazić, że podobna katastrofa przydarzyła się spokojnej, pełnej łagodności Sophie. - Opowiadaj dalej, proszę.

- A więc - Lucia wzięła głęboki oddech - Sophie' została wysłana za ocean i wysadzona na brzeg w nowoorleańskim porcie. Lord Wessex tak się wystraszył, że prosta wieśniaczka skradła serce jego dziedzicowi, że z tego strachu wyekspediował ją aż do Ameryki.

- Wierzyć się nie chce - szepnęła Angelique z przejęciem.

- I tak Sophie znalazła się w obcym kraju, bez pieniędzy, bez dachu nad głową, w dodatku w ciąży, bo wtedy już wiedziała, że będzie miała dziecko.

- Dziecko Edwarda - dodała Sapphire, ciągle nie mogąc uwierzyć w to, co przytrafiło się mamie. - Mnie.

- Tak, była w ciąży z tobą - przytaknęła Lucia. - Jedyne jej majątek stanowił szafir, który dostała od Edwarda, bezpiecznie zaszyty w kraju sukni, jedynej, jaką miała, ale Sophie nie pozbyła się klejnotu, wiedząc, że to wszystko, co może ofiarować swojemu dziecku. Zaczęła szukać pracy i w końcu najęła się za kucharkę w gospodzie w Dzielnicy Francuskiej. Dostała pokój na poddaszu gospody. Miała zajęcie, dach nad głową, ale po pewnym czasie, kiedy ciąża zaczęła być widoczna...

- Niewiele myśląc, wyrzucili ją na ulicę - dopowiedziała Angelique z gniewem. - Zawsze tak się dzieje.

- Tak, wyrzucili ją, ale Sophie się nie poddała. Była silna, bo wiedziała w głębi serca, że Edward ją kocha i będzie kochał, choćby nigdy już nie mieli się zobaczyć, a ona musi opiekować się ich dzieckiem, zadbać o nie, kiedy się urodzi. I tak znalazła pracę w jedynym miejscu, gdzie chcieli przyjąć pannę w ciąży, dziewczynę bez obrączki na palcu czy wpływowego opiekuna. Trafiła do dobrej madame, znalazła tu prawdziwe przyjaciółki.

- Ciebie, ciociu?

- Tak. Poznałyśmy się u madame i od pierwszej chwili stałyśmy się sobie bliskie niczym siostry. Wiejska dziewczyna, którą los uczynił kobietą upadłą, i dziwka z londyńskich doków - oznajmiła Lucia z dumą. - W kilka miesięcy później Sophie urodziła córeczkę.

- Nie mogę uwierzyć, że tak długo ukrywaliście przede mną prawdę. - Sapphire spojrzała na ojca, zaciskając mocno klejnot w dłoni.

- Twoja matka pragnęła, byś rosła w poczuciu, że masz miłość obojga rodziców. To było dla niej bardzo ważne. - Armand ciągle trzymał szkatułkę na kolanach. - Czas płynął i w końcu kłamstwo zamieniło się w prawdę, bo pokochałem cię jak własne dziecko i zapomniałem, że ktoś inny jest twoim ojcem.

- Wzięłaś kasztanowe włosy po matce, a oczy po ojcu, bo Edward też miał jedno oko zielone, jedno niebieskie.

Sapphire zasłoniła usta dłonią na tę rewelację i wciągnęła głęboko powietrze. Tyle razy pytała matkę, skąd u niej te niezwykle oczy, skoro Sophie i Armand mieli brązowe, i matka odpowiadała niezmiennie, że dzieci dziedziczą różne cechy nie tylko i niekoniecznie po rodzicach.

- Sophie dała ci na imię Sapphire. - W oczach Luci zalśniły łzy. - Sapphire, Szafir, jak klejnot, który dostała od twojego ojca. Chciała dla ciebie lepszego życia niż to, które było jej udziałem. Marzyła, że pewnego dnia wrócicie obie do Anglii, odnajdziecie Edwarda i się połączycie. I że będziesz nosiła nazwisko swojego ojca.

Sapphire przysiadła znowu na podnóżku, oszołomiona historią, którą usłyszała.

- Dlatego chcesz wysłać mnie do Londynu, papo? Żebym odnalazła swojego ojca?

- Nie, moja ukochana córko, nie chcę tego. Nie chodzi nawet o to, czego ty chcesz. - Armand spojrział w okno. - Musimy zrobić to, czego pragnęła twoja matka. Tak brzmiało jej ostatnie życzenie przed śmiercią: żebyś odnalazła swojego ojca i nosiła jego nazwisko, bo masz do tego pełne prawo.

- I mówisz mi to prawie rok po jej śmierci? Dlaczego tak długo czekałeś? - zapytała Sapphire, ocierając łzy gromadzące się w kącikach oczu. - Dlaczego akurat teraz chcesz mnie wysłać do Anglii? Dlaczego pod opieką tych okropnych ludzi?

- Jestem słabym człowiekiem i wiele miesięcy zbierałem się na odwagę, by powiedzieć ci prawdę. Niełatwo mi myśleć o rozłące z tobą. A wysyłam cię z lady i lordem Carlisle, bo wiem, że u nich będziesz bezpieczna. Oboje mają odpowiednie koneksje, wprowadzą cię do londyńskiego towarzystwa. Będziesz mieszkała u nich tylko do chwili, gdy twój ojciec zaprosi cię pod swój dach.

- Ciągle nie rozumiem, dlaczego właśnie teraz chcesz wysłać mnie do Londynu?

- Dlatego, że nadszedł właściwy czas. Sapphire milczała przez moment, w końcu podniosła wzrok na Armanda.

- A jeśli wcale nie chcę szukać swojego ojca? - zapytała hardo. - Jeśli nie zgodzę się wyjechać, co wtedy?

ROZDZIAŁ TRZECI

Trzy tygodnie później

- Tu jesteś, moja droga. Myślałem, że poszłaś już spać. - Armand pojawił się w drzwiach prowadzących na patio, boso, w jedwabnym szlafroku, z cygarem w dłoni.

- Wiesz, że nie wolno ci palić ani pić - skarciła go Lucia, podeszła, wyjęła mu cygaro z ręki i sama się zaciągnęła.

Armand parsknął śmiechem i upił łyk z kieliszka, który trzymał w drugiej dłoni.

- Będzie mi ciebie brakowało, Luciu - powiedział, smakując spływający do przełyku rum.

- Jak nie będzie komu cię pilnować, w pół roku zapijesz się na śmierć.

Armand uśmiechnął się i obrócił kilka razy kieliszek w palcach.

- Czasami tak sobie myślę, że powinienem był ożenić się z tobą, zamiast z Sophie.

Tworzylibyśmy całkiem udaną parę, moja droga.

- Wypiłeś sobie i głupstwa gadasz. - Lucia zaciągnęła się cygarem. - Poza tym jestem za stara, żeby być czyjąś „drogą”, a już na pewno nie twoją. Miałaś szansę przed laty, w Nowym Orleanie, skoro już o tym mowa, ale wolałaś Sophie. - Podeszła bliżej, stanęła obok Armanda i podjęła łagodniejszym tonem - Sophie była z tobą szczęśliwa. Może nie tak, jak to sobie wyobrażałaś, ale była naprawdę szczęśliwa, że wybrała takie życie.

- Nie wiem, czy Sophie miała jakiś wybór.

- Mylisz się, Armandzie, jeśli myślisz, że wyszła za ciebie z musu. Za bardzo szanowała ciebie, siebie i Sapphire, by zrobić coś takiego.

- Bardzo ją kochałem. Prawie rok minął od jej śmierci, a ja ciągle za nią tęsknię. Nie kochała mnie tak bardzo, jak Edwarda, ale dała mi wiele szczęścia. Teraz, kiedy jej zabrakło, każdy dzień wydaje się pusty, pozbawiony treści. Nawet te młódki, które biorę do łóżka... - Westchnął smętnie. - Samotność pozostaje, nic jej nie rozproszy.

- Ona cię kochała, Armandzie. Musiałeś to czuć. I Sapphire cię kocha.

- Dlatego musi wyjechać - powiedział, otrząsając się z zamyślenia. - Niech sobie mówi, co chce, jutro wsiądzie na statek i popłynie do Anglii.

- Wiesz, że od początku byłam przeciwna temu pomysłowi. Powinieneś jeszcze raz przemyśleć rzecz całą. Daj jej jeszcze rok. Pozwól, żeby dorosła, zmądrzała...

- Nie. - Armand mocno zacisnął kieliszek w palcach.

- Nie będę patrzył, jak Sapphire marnuje życie, zadając się z frantami pokroju Maurice'a Dupree. Nie chcę też, żeby tkwiła w domu, widząc, jak powoli się kończy.

- Spojrzał na Lucię z chytrym uśmieszkiem. - Obiecuj mi, że nie powiesz jej o mojej chorobie. Ani słowa, rozumiesz? Gdyby dowiedziała się, co mi dolega, musiałbym chyba ją związać, zapakować do skrzyni i dopiero tak wysłać za ocean. - Przesunął dłonią po brzuchu. - Dzień i noc palą mnie wewnątrz, pluję krwią. Nie chcę, żeby patrzyła, jak umieram! - Jakby na potwierdzenie swoich słów zaniósł się gwałtownymi kaszlem.

- Och, drogi Armandzie. - Lucia pogładziła go po plecach - czekając, aż atak minie - Postaraj się trochę dbać o siebie.

- Staram się trochę dbać o siebie - powtórzyli z kpina w głosie, wciągając głęboko powietrze w płuca. - Żałuję, że nie mogę sam zabrać mojej córki do Londynu.

- Będę się nią opiekowała jak własnym dzieckiem, wiesz o tym przecież - zapewniła go Lucia. - Obiecuję ci, że dopilnuję, by ojciec ją uznał, a jakby nie, to będzie miał do czynienia z dziwką z londyńskich doków.

Armand uśmiechnął się i otoczył Lucię ramieniem.

- Chodźmy do łóżka. Dlaczego dwoje starych przyjaciół nie miałyby się ogrzać nawzajem?

Lucia uderzyła go żartobliwie po dłoni.

- Mów za siebie, ladaco. Ja nie jestem jeszcze aż tak stara.

- Nie jesteś stara! - Zaśmiał się i znowu zaniósł kaszlem. - A ile masz lat?

Lucia rzuciła niedopałek cygara na kamienną posadzkę patia i zgasiła go końcem pantofelka.

- Nie twoja sprawa. Nikomu nic do tego. - Odwróciła się, szeleszcząc fałdami sukni, i dumnie uniosła głowę. - Kiedy Sapphire znajdzie odpowiednią partię i wydam ją szczęśliwie za mąż, poszukam jakiegoś bogatego pana dla siebie: niech zadba o moje potrzeby u schyłku życia, zapewni złotą jesień.

Armand zaniósł się śmiechem.

- Nie wątpię, że dopniesz swego, moja droga Luciu. Mogę spokojnie umrzeć, bo wiem, że życzenie Sophie się spełni. Ty już zadbasz, by nasza Sapphire stała się hrabiną Sapphire Wessex.

- Nie śpisz jeszcze? - szepnęła Angelique. Sapphire leżała w swoim łóżu pod jedwabnym

baldachimem. Przez wielkie okna sączyła się księżycowa poświata, zasłony przy łóżku wydymały się w powiewach nocnej bryzy.

- Jak mogłabym usnąć? - odszepnęła Sapphire, zerkając na zegar: było po północy.

Angelique przeciągnęła się i założyła dłonie pod głowę. Jej własna sypialnia, równie przestronna i urządzona z nie mniejszym przepychem niż sypialnia Sapphire, znajdowała się w tym samym korytarzu, ale panny lubiły sypiać razem, nie potrafiąc się rozstać nawet w nocy.

- To takie podniecające. Pomyśleć, że jutro wypływamy na spotkanie wielkiej przygody, może największej w całym naszym życiu.

- Nie wiem czy „podniecające” to najwłaściwsze słowo - odezwała się Sapphire. - Trzy tygodnie na tym samym statku z lady Carlisle i lady Morrow. Będziemy musiały słuchać, jak obgadują ludzi i natrzęsają się z ich różnych ułomności. - Oparła nadgarstek o czoło i wbiła wzrok w sufit. - Ciągle nie mogę uwierzyć, że papa wysyła mnie do Anglii. - Jeśli sprzeciwiała się z początku decyzji ojca, to z wrodzonego uporu, bo w gruncie rzeczy chciała uciec jak najdalej od Maurice'a. Nie była natomiast pewna, czy chce odnaleźć ojca, ale skoro matka sobie tego życzyła, to sprawa nie podlegała kwestii i jej własne odczucia schodziły na dalszy plan.

- Wysyła cię w świat, bo wie, że gdzieś tam, daleko, czeka cię wspaniała przyszłość. Jesteś córką angielskiego hrabiego. Już cię widzę, jak robisz konkietę w londyńskim towarzystwie. Ty, wielka dama, wchodzisz do sali balowej we wspaniałej sukni, a wokół ciebie cisną się utytułowani panowie, zabiegający o jeden taniec z lady Sapphire.

- A po cóż miałabym z nimi tańczyć?

- Po to, żeby w tańcu poznać tego jedyne, który zostanie twoim mężem, ma się rozumieć. Przecież zawsze o tym marzyłaś. Dlatego przecież zaczytujesz się w powieściach i w poezji. Marzy ci się wielka romantyczna miłość.

Sapphire się zachmurzyła.

- Nie rozumiem, dlaczego tak cię cieszy ten wyjazd, Angel. Tu jest nasz dom. Będę tęskniła. Nie tylko za papą i Orchid Manor. Będzie mi brakowało moich koni...
- Nie bądź niemądra. W Londynie też mają konie.
- Dla ciebie to takie proste, wyjechać i już. Nie pojmuję tego. Przecież urodziłaś się tutaj. W tej ziemi leżą nasze matki.
- Chcę wyjechać, bo nic mnie tutaj nie trzyma. Nasze matki są gdzie indziej niż ich groby - oznajmiła Angelique trzeźwo i usiadła w pościeli. - Armand nie jest moim ojcem.
- Skąd możesz wiedzieć? - Sapphire bawiła się wstążką od koszuli nocnej. - Może jest, może nie.
- Tak samo jak każdy biały na tej wyspie. - Spojrzała na twarz siostry, oświetloną blaskiem księżyca.
- To nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Ważne, że jutro wypływamy w daleką podróż i za kilka tygodni będziemy w Londynie.
- Obyś się nie rozczarowała swoim wymarzonym Londynem. Tam jest inaczej. Tutaj wszyscy cię kochają, ale...
- Jedni bardziej, drudzy mniej.
- Ty jesteś taka swobodna wobec mężczyzn. - Sapphire starała się przekazać swoją przestrożę w miarę oględnie, co chyba niezbyt się jej udało. - To może być... źle rozumiane. - Angelique od samego początku, kiedy były jeszcze dziećmi, wydawała się jej istotą pełną seksu. Kiedy skończyła czternaście lat, wyprawiła się przez okno sypialni w ciemną noc, by pozbyć się dziewictwa z szesnastoletnim synem właściciela sąsiedniej plantacji.
- Za bardzo się przejmujesz - zbyła teraz obawy siostry. - Jestem, jaka jestem, tak jak moja matka, ona też była taka, jaka była, i nie zamierzam nikogo za to przepraszać ani przed nikim się tłumaczyć.
- Ty też mogłabyś znaleźć sobie w Londynie męża- podsunęła ostrożnie Sapphire. - Wyglądasz bardziej na Francuzkę niż na dziewczynę z wyspy, a Armand wyraźnie cię prosił, żebyś używała jego nazwiska, kiedy już zajedziemy na miejsce. Jako zamożna panna Fabergine, z pieniędzmi, które zapisała ci mama, na pewno...
- To ty marzysz o małżeństwie, rybko. - Angelique dała siostrze sółkę w bok. - Ja nie zamierzam wychodzić za męża. - Przeciągnęła się niczym kotka. - Ja chcę poznać setki mężczyzn. I jak mówię „poznać”, to nie mam na myśli uprzejmych pogawędek przy herbacie i biskwitach.
- Angel, siostrzyczki w klasztorze miały absolutną rację, jesteś nierreformowalna. Lady Carlisle mówi zresztą to samo.
- Jasne. - Na twarzy Angelique pojawił się łobuzerski uśmiešek. - Nie mogę się nadziwić twojej naiwności. Pomyśl tylko - kpiła sobie - matka z przeszłością, ciotka z przeszłością, ojciec kobieciarz, siostra latawica. Jak ty się uchowalas?

Sapphire milczała. Była inna niż Angel. Nie akceptowała zmian tak łatwo. Wszystko, w co wierzyła przez całe życie, raptem okazało się nieprawdą. Od rozmowy z Armandem minęły trzy tygodnie, a ona ciągle nie mogła zaakceptować tego, co wówczas usłyszała. Im więcej o tym myślała, tym większy w niej rósł gniew wobec prawdziwego ojca, jakiegoś Edwarda. Dlaczego nie próbował odszukać jej matki? Przyjął unieważnienie małżeństwa i ożenił się z panną, którą wybrali dla niego rodzice? Nie, nie szukała kochającego tatusia. Ten człowiek musi ją uznać przez wzgląd na Sophie. Dlatego

zdecydowała się jechać do Londynu. Nie robiła tego dla Armanda ani dla siebie, tylko dla matki.

- Ruszamy w podróż - rozmarzyła się Angelique. - Ty odnajdziesz ojca i wyjdiesz za mąż za angielskiego arystokratę, a ja będę zmieniać adoratorów jak rękawiczki. Pomyśl, staje przede mną otworem cały Albion!

- Proszę cię tylko, żebyś przy lady Carlisle ujmowała swoje plany w bardziej powściągliwych słowach. Podśluchałam wczoraj jej rozmowę z ciotką Lucią i babsko nie było zachwycone tym, że jedziesz z nami, chociaż nie odważyła się powiedzieć tego wprost papie. Jej mąż czerpie chyba tak ogromne zyski z interesów z papą, że nie odmówiłaby żadnej jego prośbie, ale wobec ciotki pozwoliła sobie na złośliwości. Że mogłabyś, na przykład, szukać posady pokojówki w Londynie.

Angelique wybuchnęła śmiechem.

- Przez wzgląd na ciebie postaram się trzymać język za zębami - obiecała. - Tyle mogę zrobić, zważywszy, że biedna dama ledwie doszła do siebie po epizodzie przy wodospadzie, który zna tylko ze słyszenia, chociaż lord Carlisle opisał jej, zdaje się, dość szczegółowo nasze zalety.

Sapphire uśmiechnęła się i ułożyła wygodnie.

- Pośpijmy trochę. Niedługo zacznie świtać, a papa mówił, że wypłyniemy z samego rana.

Angelique wyciągnęła się obok siostry i okryła lekkim prześcieradłem.

- Nie mogę uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę i za kilka godzin opuścimy wyspę.

Sapphire nie podzielała entuzjazmu Angelique, niemniej zadawała sobie pytanie, co też czeka ją w dalekim świecie, tak różnym od dobrze znanej Martyniki.

Sapphire stała na pokładzie szkunera „Elizabeth Mae”. Słońce zaczynało właśnie wschodzić nad widnokretem, wiał pomyślny wiatr, który powinien wyprowadzić ich bezpiecznie na pełne morze. Zaciśnęła mocno dłonie na relingu i patrzyła na ojca, który stał na kei w towarzystwie Tarasai.

Dziewczyna uwielbiała Armanda i w ostatnich tygodniach udało się jej zmusić go prośbą i groźbą, by zaczął dbać o siebie. Sapphire ciężko było rozstawać się z ojcem, ale wiedziała przynajmniej, że jest ktoś, kto będzie się nim opiekował, kto dopilnuje, żeby nie wypalał tyłu cygar i miarkował się w picciu. Kiedy podniósł wzrok, uśmiechnęła się i pomachała mu. Ubrał się tego ranka bardzo starannie: doskonale skrojony surdut, nowe spodnie, fular na szyi, wszystko podług ostatniej francuskiej mody. Na głowie miał słomkowy kapelusz, zawadiacko przekrzywiony, w dłoni laseczkę. Taki wizerunek papy Sapphire miała zachować w pamięci, wizerunek Armanda Fabergine'a, człowieka, który przez lata grał rolę jej ojca i który jak ojciec ją kochał. Z ust wyrwał się jej cichy szloch.

- Spokojnie - szepnęła Lucia, która stała tuż za nią. - Pamiętaj, że dla ciebie to trudne, ale dla niego jeszcze trudniejsze.

Sapphire zaciśnęła usta i kiwnęła głową.

Kapitan wydał komendę, by podniesiono trap, chłopak na nabrzeżu zluźował cumy i Armand uniósł dłoń do kapelusza.

- Nie, zaczekajcie! - Sapphire rzuciła się pędem przez pokład.
Słyszała, jak Lucia i Angeliqne ją wołają, słyszała komentarz lady Carlisle: „No proszę, mówiłam, że z tą dziewczyną będą same kłopoty”.
Na nic nie zważając, chwyciła fałdy sukni podróżnej i zbiegła po trapie.
- Papo!
- Sapphire, nie. Musisz popłynąć, córeczko - tłumaczył surowym głosem, ale szeroko otworzył ramiona, by ją przytulić.
Zarzuciła mu ręce na szyję i ukryła twarz w klapie surduta. Od kiedy pamiętała, zapach Armanda i jego objęcia oznaczały bezpieczeństwo. Wiedziała, że cokolwiek zbroi, w jakie wpadnie tarapaty, zawsze może liczyć na swojego papę, kochanego, drogiego Armanda Fabergine'a.
- *Mon dieu* - szepnął Armand, opierając brodę na czubku jej głowy. - Nie rób sceny, bardzo cię proszę. Lady i lord Carlisle wyświadczają nam wielką uprzejmość, godząc się, byś odbyła podróż do Londynu pod ich opieką. Nie przynieś mi wstydu.
Sapphire spojrzała w wilgotne od łez oczy ojca.
- Nigdy nie przyniosę ci wstydu, papo. - Uśmiechnęła się nieznacznie. - W każdym razie nie rozmyślnie.
Armand odpowiedział uśmiechem i przytulił ją do piersi.
- Wiem, moje dziecko. A teraz wracaj na pokład. Wszyscy czekają tylko na ciebie.
Sapphire uściskała go z całych sił.
- Tak się boję, że nigdy więcej cię nie zobaczę.
- Nie bądź niemądra, kochanie. Nie wyjeżdżasz przecież na zawsze. Za kilka miesięcy, najdalej za rok, wrócisz do Orchid Manor i opowiesz mi o wszystkim, co przez ten czas widziałas.
Sapphire kiwnęła głową, bo tego Armand oczekiwał, ale wiedziała równie dobrze jak on, że kiedy wróci z Anglii, on nie będzie już na nią czekał w domu.
- Kocham cię, papo - szepnęła.
- I ja zawsze cię kochałem. Pamiętaj o tym. Pochyliła głowę, wdychając po raz ostatni jego zapach, a kiedy pocałował ją w czoło, odwróciła się i weszła na pokład z dumnie uniesioną głową, jak przystało na córkę angielskiego lorda.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Miesiąc później

- Hrabia Wessex, witam, witam. Jestem zaszczycony, że pojawia się pan w mojej kancelarii. Bardzo się cieszę, że wreszcie pana poznałem.
Blake odwrócił się od okna i zmierzył reagenta złym spojrzeniem.
- Witam, panie Stowe - powiedział, udając, że nie widzi wyciągniętej na powitanie dłoni. - Nie zwykłem czekać.

- Proszę wybaczyć, milordzie. - Stowe pochylił głowę w unizonym ukłonie. - Pewna zrozpaczona wdowa mnie zatrzymała, kiedy wychodziłem z domu. Musiałem zamienić z nią kilka zdań, nie mogłem odprawić biednej kobiety z niczym.

- Byliśmy umówieni punkt dziewiąta. - Blake przeszedł koło pana Stowe'a i minął wystraszonego kancelistę skulonego przy pulpicie do pisania. - Tędy proszę, milordzie. - Stowe rzucił się do drzwi i po chwili obydwaj panowie, rejent i jego klient znaleźli się w gabinecie wyłożonym boazerią: dwie ściany zajmowały sięgające sufitu regały wypełnione oprawnymi w skórę książkami prawniczymi. - Proszę spocząć.

Blake spojrział na skórzany fotel klubowy, na ogromne biurko z orzecha. Rejent, acz niepunktualny, odznaczał się przynajmniej dobrym gustem. Blake miał podobne biurko w swoim gabinecie w Bostonie; mosiężne okucia, ręcznie profilowane.

- Bardzo piękna robota - powiedział z uznaniem.

- Dziękuję, milordzie - bąknął Stowe, wyraźnie zaskoczony przychylnym słowem. Odczekał, aż gość usiądzie, po czym odwinął poły surduta i zajął miejsce za biurkiem. - Należało jeszcze do mojego ojca, świeć Panie nad jego duszą.

Blake rozsiadł się w fotelu i poczuł idący ze skórzanego obicia zapach francuskiej tabaki, tak miły i nęcący jak zapach kobiety. Chętnie włączyłby fotel do wyposażenia swojego domu. Od przeszło dwóch lat mieszkał na Beacon Hill w Bostonie, w rezydencji, którą wznosił własnym sumptem, ale której nie skończył jeszcze urządzać, bo sprzęty dobierał niezwykle starannie, zastanawiając się nad każdym krzesłem, stolikiem, komódką.

- Pański ojciec był z pewnością zamożnym człowiekiem, a i pan nieźle prosperuje, jak widzę. - Blake założył nogę na nogę. - A jednak nikt z moich znajomych nie polecił mi pańskiej firmy, kiedy pytałem, do kogo mam się zwrócić tutaj, w Londynie. Nikt o panu nie słyszał. Wie pan, co to oznacza? Otóż przychodzę do pana w ciemno, a uprzedzam, że nie mogę tracić czasu na niekompetentnych prawników.

Rejent uśmiechnął się niepewnie, nie bardzo wiedząc, jak potraktować uwagę Blake'a Thixtona, nowego hrabiego Wesseksa.

- Zapewniam pana, milordzie, że jestem kompetentny. - Stowe oparł łokcie na biurku i złączył palce obu dłoni. - Możemy przejść do kwestii spuścizny. - Założył na nos binokle w złotych oprawkach i sięgnął po leżące przed nim dokumenty. - Jak już pisałem do pana zaraz po śmierci hrabiego Wesseksa, który zmarł, nie zrobiwszy zapisu, wszystkie jego aktywa przechodzą na pana, jako że pan, będąc wnukiem jego stryja, jest też jego najbliższym żyjącym krewnym.

Blake utkwiał wzrok w półkach z książkami za plecami pana Stowe'a.

- Nie znałem hrabiego Wesseksa. Urodziłem się w Londynie, ale moi rodzice wyemigrowali do Ameryki, zanim nauczyłem się chodzić.

- Tak się czasem dziwnie w życiu układa, co nie wpływa w żaden sposób na orzeczenia prawne i zgodnie z angielskim prawem jest pan jedynym spadkobiercą hrabiego Wesseksa. - Pan Stowe przeglądał dokumenty z takim namaszczeniem, jakby miał je po raz pierwszy przed oczami. - Dziedziczy pan też tytuł, ma się rozumieć.

Blake machnął ręką.

- Nic mi po tytule w Ameryce. Moich kontrahentów bardziej interesują liczby i towary, które mogę wysłać za ocean niż angielskie tytuły.

- Tytuł jest ważny na całym świecie, milordzie. Wielu Anglików mieszka za granicą i...

- Co mi się należy poza tytułem? Czy są jakieś grunta? Nieruchomości? Kopalnie? Konkrety, panie Stowe. Interesują mnie konkrety.

- Grunta? Tak, jest ziemia. Urocza nieruchomość, rezydencja miejska w zachodniej części Londynu. Bardzo ładny dom. Miałem przyjemność być tam kilka razy na balu i na kartach... To częściej...

- Nie gram w karty - oznajmił Blake surowo.

- Jest też posiadłość wiejska. Niech spojrzę. - Stowe odszukał w pliku papierów stosowny dokument. - Tak, Cedar Mount, w... Surrey. - Wpatrywał się w kartkę, którą miał przed nosem, ale nic już nie dodał.

Blake czekał cierpliwie jedną minutę, dwie, myśląc, ile ważnych spraw zostawił w Bostonie, by przyjechać do Londynu i przejąć spuściznę. Stracił całe sześć tygodni, i oto teraz, kiedy rzecz miała się sfinalizować, Stowe mówi mu, że scheda jest znacznie skromniejsza, niż zapewniał Blake'a w listach. Spojrzał surowo na rejenta. Jediną dobrą stroną tej podróży było to, że uwolnił się na jakiś czas od Clarice.

- Pieniądze? - zapytał cicho, starając się zachować spokój.

- Dwieście pięćdziesiąt funtów.

- To wszystko? Tylko tyle miał Wessex, umierając?

- Dwieście pięćdziesiąt funtów długu. Hrabia Wessex zostawił dług do spłacenia.

- Zechce pan powtórzyć ostatnie zdanie?

- Dług - bąknął pan Stowe.

- Dług? - Blake zerwał się z fotela, nachylił nad biurkiem, opierając płasko dłonie na blacie.

Stowe zamrugał gwałtownie oczami, ale nie drgnął nawet, czym zaskarbił sobie podziw Blake'a. Niewielu było takich, którzy potrafili stawić mu czoło, kiedy wpadał w złość.

- Nieruchomości są naprawdę wiele warte - powiedział rejent.

Blake usiadł na powrót, ale tym razem już na brzegu fotela.

- Nie mam czasu zajmować się sprzedażą nieruchomości. Mówiłem panu, że przyjechałem na krótko. W Bostonie czekają na mnie interesy.

- To da się załatwić... Mogę sprzedać dom i posiadłość w pańskim imieniu, jeśli otrzymam pełnomocnictwo. Albo najmie pan pośrednika... Pozostaje jednak pewna kwestia rodzinna.

- Kwestia rodzinna? Jaka znów kwestia rodzinna, do diaska?

Blake nie miał rodziny i uważał tę „kwestię” za co najmniej nużącą. Wiedział, że prędzej czy później będzie musiał się ożenić, i żywił nadzieję dochować się syna, któremu pewnego dnia przekaze firmę, ale do tej pory udawało mu się unikać poważniejszych związków. Znajomości z Clarice, najstarszą córką swojego wspólnika i zarazem przyjaciela, nie traktował jako zobowiązującej.

Nie mógł powiedzieć, że nie lubi kobiet, przeciwnie, uwielbiał kobiety. Damy pięknie ubrane przy kolacji, pięknie rozebrane w łóżku, najlepiej milczące. Lubił też pokojówki, kucharki, szwaczki - te nawet bardziej niż damy, bo nie oczekiwały od niego niczego poza doraźną przyjemnością.

- Nie mam rodziny! - wypalił.

- Ma pan rodzinę. Jest wdowa po nieboszczyku, hrabina Wessex, i jej trzy córki z pierwszego małżeństwa, lady Camille Stillmore, lady Portia Stillmore i lady Alma Stillmore.

- Może to ta nieszczęśliwa wdowa, która zatrzymała pana dzisiaj rano na progu domu? Hrabia nie uczynił żadnego zapisu, nie zabezpieczył żony i pasierbic? - zapytał Blake, z trudem panując nad sobą.

- Ludzie nie myślą, co stanie się po ich śmierci, milordzie - powiedział Stowe ostrożnie.

Blake odwrócił wzrok. Jego ojciec, sprytny biznesmen, zmarł, nie pozostawiając swojej żonie, która była macochą Blake'a, żadnych środków do życia. Wzorem swojego ojca, Josiah Thixton przekazał wszystko najstarszemu synowi. Blake zadbał oczywiście, by do końca swoich dni macocha żyła na tej samej stopie, co przedtem, ale nie rozumiał, dlaczego ojciec o to się nie zatroszczył.

- A więc jest dług do spłacenia, dwie nieruchomości i kilka pozostawionych bez grosza, rozhisteryzowanych kobiet? To chce mi pan powiedzieć?

Stowe zdjął okulary.

- Mogłem ująć rzecz delikatniej, ale tak właśnie przedstawia się sytuacja.

- Dlaczego pan tutaj stoi, monsieur?

Armand odwrócił się od okna, po którym spływały krople deszczu, i spojrzał na Tarasai.

- Jeśli podróż przebiegła bez żadnych przeszkód, powinny być już w Londynie.

- Żaglowiec, którym płynęły, to mocny, solidny statek. Wiem, że przepłynęły przez Atlantyk bezpiecznie. Czuję to.

Armand uśmiechnął się i zaniósł suchym, ostrym kaszlem. Tarasai znalazła się przy nim w jednej chwili, jedną dłoń położyła mu na piersi, drugą poklepywała po plecach.

Kiedy atak minął, Armand wyprostował się, wyjął chustkę z kieszeni, wytarł usta.

- Och, Tarasai, jestem taki zmęczony.

- Nie powinien pan się tak zamartwiać, to szkodzi panu na zdrowie.

- Chyba źle zrobiłem, wysyłając je do Londynu. Postąpiłem samolubnie. Były tutaj szczęśliwe. Czego chcieć więcej?

- Przyszedł czas, żeby piękny motyl wyfrunął na wolność. Dla niej ta wyspa była za mała, za ciasna. Za oceanem czeka ją wspaniała przyszłość, wielka przygoda i szczęście.

- Obyś miała rację, Tarasai. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby miała cierpieć.

- Mam rację, wiem to. Los Sapphire jest zapisany w gwiazdach.

- Pański płaszcz i cylinder, sir? - Lokaj jednego z klubów dla dżentelmenów uklonił się na powitanie Jessupa Stowe'a.

- Dziękuję, Calvin. - Jessup otrząsnął się, po czym podał lokajowi parasol, cylinder i przemoknięty płaszcz.

- Pański stolik gotowy, panie Stowe. Pan Barker już czeka na pana.

- Dziękuję, Calvin.

Lokaj cofnął się i skłonił głowę.

- Zaprowadzę pana do stolika, jeśli...

- Jadam przy tym stoliku sześć razy w tygodniu od siedmiu lat, to jest od śmierci pani Stowe, Calvin. - Już miał odejść, ale coś sobie przypomniał i odwrócił się, strzelając palcami. - Jeszcze jedno, Calvin.

- Tak, sir?

- Możliwe, choć mało prawdopodobne, że będę miał gościa. Lord Wessex może mnie szukać.

Lokaj spojrział na niego dziwnie.

- Nowy lord Wessex, dziedzic hrabiego - wyjaśnił Jessup z cierpkim uśmiechem.

- Rozumiem, proszę pana.

- To Amerykanin, nie zna Londynu, może zachowywać się trochę... niezwykle.

- Jeśli lord Wessex tylko się pokaże, natychmiast przyprowadzę go do pańskiego stolika, sir.

Jessup rozejrzał się na wszystkie strony, a kiedy już się upewnił, że nikt nie widzi, sięgnął do kieszonki kamizelki, wyciągnął monetę i wcisnął ją do ręki lokajowi.

- Pan Porter nie lubi, kiedy dajemy służbie napiwki, niech więc to zostanie między nami, Calvin - powiedział konfidencko. - Zawsze jesteś dla mnie bardzo uprzejmy. Masz lepsze maniery niż moi synowie.

- Tak jest, sir. Dziękuję bardzo, sir. - Lokaj wycofał się w ukłonach i, bardzo zadowolony, zniknął w głębi holu.

Jessup wkroczył do salonu szacownego, acz trochę podupadającego klubu, w którym spotykali się prawnicy. Skinął głową panom przy barze i skierował się do sali jadalnej. Jego stary przyjaciel, Clyde Barker, starszy pan o rumianej czerstwej twarzy, również wdowiec, czekał już przy stoliku, sącząc pierwszą whisky.

Na widok Stowe'a podniósł się trochę niepewnie.

- Witaj, Jessup.

- Dobrze cię widzieć, Clyde. - Jessup uściśnął dłoń przyjacielowi i objął go ramieniem. - Zawsze z utęsknieniem wyglądam piątku, żeby wreszcie ujrzeć twoją wstrętną facjatę.

- Wzajemnie. - Clyde zasiadł na powrót przy stoliku zasłanym białym obrusem, zastawionym porcelaną i kryształami.

Kelner pochwycił spojrzenie Jessupa i bez pytania ruszył w stronę baru.

- Jak minął dzień, mój stary? Mam nadzieję, że znośnie? - zagadnął Barker.

- Całkiem znośnie. - Jessup usadowił się wygodnie na krześle obitym brokatem. - Miałem przyjemność poznać nowego hrabiego Wesseksa.

- Doprawdy? - Clyde, zawsze ciekaw świeżych plotek, odstawił szklaneczkę i nachylił się do przyjacielowi. - Mówią, że to Amerykanin, kuzyn nieboszczyka hrabiego. Brat mojej nieboszczki, Barton, zna kogoś, kto robi interesy z Thixtonem. Handel morski, statki frachtowe, coś takiego. Ponoć kuty na cztery nogi, pierwszej wody łajdak. Do tego pies na kobiety.

Jessup skinął głową, kiedy kelner postawił przed nim szklaneczkę whisky.

- Wygląda na całkiem miłego jegomościa - powiedział.

- Naprawdę? - Clyde przewiercał przyjacielowi wzrokiem. - Twój głos mówi mi coś zupełnie innego.

Jessup uniósł szklaneczkę. - Cóż, muszę przyznać, że to interesujący typ. Bardzo pewny siebie, wręcz przebojowy.

- Jak wszyscy Thixtonowie - orzekł Clyde i pociągnął łyk whisky. - Za wyjątkiem ojca Edwarda, Charlesa. Znałeś go? To był dopiero kawał drania. - Zamilkł na moment, po czym dodał: - Mówią, że złe cechy przechodzą w rodzinie co drugie pokolenie.

- Amerykanin to daleki kuzyn nieboszczyka, żadna bliska rodzina.

- Nie szkodzi. - Clyde uśmiechnął się i ponownie uniósł szklaneczkę. - Za przyjaźń.

- Za przyjaźń - zawtórował mu Jessup.

- Zamówiłem już pstrąga z pasternakiem. Lada chwila powinien być gotowy.

- Wybornie.

- I cóż Amerykanin na to, że dziedziczy głównie długi?

Jessup się zachmurzył. Chyba cały Londyn wiedział, w jakim stanie stary Wessex zostawił majątek.

- Nie mogę powtarzać przebiegu rozmowy z klientem.

- Czy to znaczy, że nie miał jeszcze przyjemności spotkać się z wdową i jej stadkiem? Słyszałem, że zjechała do miasta.

- Dobry Boże! A ja mu powiedziałem, żeby zatrzymał się w domu Wesseksa, będąc pewnym, że hrabina jest ciągle na wsi.

Clyde zaśmiał się i sięgnął po swoją, prawie już opróżnioną szklaneczkę.

- To ci dopiero ambaras. Myślisz, że już mu nastroczyła swoją najstarszą? A może sama zagnie parol na Amerykanina? - Mrugnął porozumiewawczo. - Babsztyl jest do wszystkiego zdolny. Mówią, że Edward się z nią ożenił dla zażegnania skandalu. Groziła, że rozpuści paskudne plotki, jeśli nie poprowadzi jej do ołtarza.

- A niech mnie kule biją, tom dopiero namotał - denerwował się Jessup.

- Charles. - Clyde skinął na kelnera. -Jeszcze jedna kolejka. Pan Stowe musi wypić na wzmocnienie - wyjaśnił mocno rozbawiony.

Jessup zasłonił dłonią swoją szklaneczkę.

- A niech mnie, a niech mnie...

- Stowe.

Jessup zdjął z kolan serwetkę i poderwał się na powitanie przybyłego.

- Milordzie.

Hrabia Wessex był ubrany wytwornie: czarna peleryna, czarny surdut, biały fular, biała kamizelka w prążki, cylinder w dłoni.

- Jak... jak to miło, że pan tutaj. Proszę pozwolić, że przedstawię... - jąkał się Stowe.

- One są tutaj. Wiedział pan o tym?! - Napadł na niego Blake. - Hrabina i córki w liczbie trzech, ale równie dobrze mogłoby być trzysta, kiedy mnie wszystkie obiegiły, trajkocząc jedna przez drugą i trzepocąc rzęsami. Myślałem, że się uduszę od zapachu wody różanej, którą wioną.

- Zechce... zechce jego lordowska mość zjeść kolację ze mną i moim przyjacielem, panem Barkerem? Jeszcze nie zaczęliśmy.

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego posłał mnie pan do domu Wesseksa, skoro wiedział pan, że one tam będą? - srożył się Blake.

- Nie wiedziałem, milordzie. Proszę o wybaczenie.

Kiedy w zeszłym tygodniu przyszła wiadomość, że jego lordowska mość przyjeżdża do Londynu, kazałem przygotować dom na Mayfair. Hrabina musiała przyjechać później.

Blake rozejrzał się po sali. Znalazł się w typowym londyńskim klubie: przyzwoitym, choć skromniejszym niż kluby, które znał w Bostonie albo które odwiedzał w czasie

podróży zagranicznych. Wnętrza wyłożone ciemną boazerią pachniały tytoniem i drewnem hikorowym.

- Przepraszam za tę niefortunność - powtórzył pan Stowe, prostując się na całą swą wysokość, a sięgał hrabiemu ledwie do ramienia.

Blake skrzywił się, ale pierwsza złość już mu minęła.

- Mówi się trudno.

- Tak jest, milordzie. Fatalny zbieg okoliczności. Jeśli pan sobie życzy, jutro z samego rana podejmę stosowne kroki, by usunąć hrabinę z pańskiego domu.

Blake przywołał lokaja, czekającego w gotowości przy drzwiach do jadalni.

- Podaj mi szkocką - polecił.

- Tak jest, milordzie. Mogę wziąć pana okrycie, cylinder? Przysłać kelnera?

Blake podał mu pelerynę, cylinder i szal.

- Nie. Nie będę nic jadł. Przynieś tylko szkocką. Jestem umówiony, ale szklaneczka czegoś mocniejszego przed wyjściem dobrze mi zrobi.

- Tak jest, milordzie. - Calvin skłonił głowę. - Zaraz przystawię dodatkowe krzesło.

- Sam mogę sobie przystawić - burknął Blake i przysunął sobie krzesło od najbliższego stolika.

- Miło mi pana poznać, Barker. - Ucisnął dłoń prawnika. - Domyślam się, że pan też jest rejentem. Ma pan brzusek jak Stowe i dziesiątki wam podobnych. To od siedzenia za biurkiem całymi dniami.

- Tak jest, milordzie. - Pan Barker potrząsnął z zapalem kilka razy dłonią Blake'a i wszyscy trzej panowie wreszcie usadowili się przy stoliku.

- Niech to wszyscy diabli. Stowe, tylko niech mi pan nie tłumaczy, że mam wszelkie prawo wyrzucić te kobiety na ulicę. - Blake pokręcił głową. - Od początku wiedziałem, że ta podróż to poroniony pomysł i będą z tego tylko kłopoty. - Wziął szklaneczkę, którą przyniósł mu lokaj i, nie czekając na swoich towarzyszy, podniósł ją do ust, co nie było grzeczne.

- Radź pan, Stowe, co mam zrobić z hrabiną i jej przychówkiem, albo odeślę je wszystkie pod twoją opiekę.

Blake wypił w klubie dwie szkockie i wsiadł do fiakra, którego zawołał dlań lokaj. W domu jednego ze swoich kontrahentów pojawił się dwie godziny po czasie wymienionym w zaproszeniu, ale przyjęcie trwało w najlepsze. Wydawano je z okazji osiemnastych urodzin córki pana domu, Todda Warringtona. Blake raz zaprosił ją do walca, by zadość uczynić wymogom grzeczności. Wołał kobiety trochę starsze i znacznie bardziej doświadczone czy też obyte w świecie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Ach, tu jesteś, moja droga. - Lucia weszła do pokoju Sapphire i Angelique. Rzec działa się w miejskiej rezydencji lorda Carlisle przy Charing Cross, gdzie wszystkie trzy mieszkały od dnia przyjazdu do Londynu. - Na pewno nie chcesz jechać z nami na herbatkę do lady Morrow?

- Nie, ciociu. - Sapphire podniosła wzrok znad tomiku wierszy Byrona. - Jestem zmęczona po porannej przejażdżce z lordem Carlisle. Zostanę w domu i poczytam, ciociu.

- Jak chcesz, kotku. - Lucia z westchnieniem poprawiła nowy kapelusz, którego modny fason sprawiał, że wyglądała kilkanaście lat młodziej. - Mogę zostać, jeśli chcesz. Nie mam zbyt wielkiej ochoty jechać do lady Morrow, ale w drodze powrotnej chciałabym zajrzeć do Royal Exchange, tam się umówiłam z lady Carlisle.

- Nie bądź niemądra, ciociu. Nie musisz zostawać w domu z mojego powodu, tym bardziej że zaplanowałam zakupy.

- A gdzie Angelique?

- Chyba w ogrodzie. - Sapphire odwróciła kartkę, nie odrywając oczu od książki. - A może poszła do stajni obejrzeć kociaki, które właśnie się urodziły.

- Nieważne. - Lucia położyła dłoń na klawecie. - Jesteś pewna, że mogę cię zostawić?

- Oczywiście. Poczytam trochę, może się zdrzemnę. Zobaczymy się przy kolacji. - Sapphire uśmiechnęła się słodko.

- Dobrze. Jak uważasz, moja droga. - Lucia otworzyła drzwi i obejrzała się jeszcze w progu. - Mam nadzieję, że to nie ma nic wspólnego z tym, że nie pozwoliłam ci jechać do rezydencji hrabiego Wesseksa. Rozumiem, że pilno ci poznać własnego ojca, ale wszystko w swoim czasie. To zbyt ważna sprawa, żebyś miała pozwolić sobie na choćby jeden nierozważny krok.

- Masz absolutną rację, ciociu. - Sapphire przewróciła kolejną kartkę i upiła łyk herbaty z filiżanki, stojącej na podręcznym stolczku. - Baw się dobrze i kup sobie jeszcze jeden kapelusz. Ten, który masz dzisiaj na głowie, jest śliczny.

Drzwi się zamknęły i Sapphire opuściła książkę na kolana, czujnie nasłuchując oddalających się kroków. Kiedy ucichły, zamknęła tomik z wierszami lorda Byrona i wstała z fotela.

Przykłęka przy łóżku, wysunęła spod niego drewnianą szkatułkę, podniosła wieko i przesunęła lekko palcami po listach miłosnych, które jej ojciec pisał do matki, kiedy się o nią starał. Znała te listy na pamięć; setki razy czytała je na statku, w drodze do Londynu. W szkatułce był też medalion, który matka nosiła w czasach nowoorleańskich, lok włosów Sapphire, zasuszone kwiaty, chustka należąca do Armanda i wreszcie aksamitny woreczek z szafirem.

Wyjęła klejnot ostrożnie i z zapartym tchem uniosła tak, by przyjrzeć mu się pod światło. Kamień zajarzył się w promieniach słońca zimnym błękitnym blaskiem. Pomyśleć, że po tylu latach miała wreszcie poznać swojego ojca...

Włożyła kamień na powrót do woreczka, zaciągnęła sznurek i ukryła woreczek pod czerwonym aksamitem, którym wyłożona była szkatulka. Nawet jeśli wścibska służąca dobierze się do szkatułki, nie odgadnie, jaki skarb się w niej kryje. Dla niewtajemniczonego oka stare, mocno zniszczone drewniane pudełko niczym się nie wyróżniało.

Wsunęła je z powrotem pod łóżko, wstała i zaczęła rozwiązywać troczki domowej sukni, pod którą miała strój kupiony zaraz po przyjeździe do Londynu, specjalnie z myślą o spotkaniu z ojcem.

Ciotka Lucia siedziała już zapewne w powozie lady Carlisle. Sapphire podeszła do wielkiego owalnego lustra. Strój składał się z błękitnej spódnicy i takiego samego żakietu

z krótką baskinką. Żakiecik miał wąskie rękawy, zgodnie z ostatnią modą, a spod spódnicy wystawały nowiutkie czarne trzewiki o kwadratowych noskach.

Uśmiechnęła się ufnie do swojego odbicia. Kiedy ojciec ją ujrzy i zobaczy jej niezwykle oczy, jedno zielone, drugie niebieskie, od razu będzie wiedział, kogo ma przed sobą.

Jeśli chciała wymknąć się z domu niepostrzeżenie, pojechać do hrabiego Wesseksa i wrócić przed powrotem ciotki i lady Carlisle, nie miała wiele czasu. Zaczęła się rozglądać za kapelusikiem, który pasowałby do nowej sukni. Lucia, zgodnie z powziętym przez Sapphire planem, miała nic nie wiedzieć o spotkaniu z ojcem. Wygarnie mu w cztery oczy, a zrobi to przez szacunek dla matki.

Kiedy wiązała pod brodą wstążki kapelusika budki, drzwi się otworzyły i weszła Angelique, z potarganymi włosami, w mocno pogniezionej sukni.

- A ty dokąd? - zagadnęła siostrę od progu. Sapphire odwróciła się od lustra.

- To raczej ja powinnam zapytać, skąd wracasz, chociaż właściwie po co pytać, skoro widać na pierwszy rzut oka.

Angelique z westchnieniem usiadła na łóżku.

- Ma na imię Robert i jest najstarszym synem stajennego. Uważa, że jestem najpiękniejszą dziewczyną na świecie.

- Rozmawialiśmy o tym przed wyjazdem z Martyniki, Angel - powiedziała z przyganą w głosie. - Naprawdę nie możesz całować się z każdym chłopakiem, którego napotkasz.

- Niby dlaczego nie? Z dwojga złego lepiej całować się z Robertem, niż wymykać się chyłkiem do hrabiego Wesseksa. Jak mnie kto przyłapie, mniejszy będzie krzyk z tego powodu.

- Ja się nie wymykam - obruszyła się Sapphire. - Przejdę sobie spokojnie przez główny hol, wyjdę z domu frontowymi drzwiami i wezmę fiakra, który zawiezie mnie do Mayfair.

- Ciotka Lucia wie, że się tam wybierasz? Sapphire zachmurzyła się i wyjęła z szuflady komody rękawiczki.

- Powiesz jej po powrocie, gdzie byłeś? Sapphire nie odpowiedziała i na to pytanie.

- W takim razie się wymykasz.

- To mój ojciec, Angel. Nie chcę, żeby nasze pierwsze spotkanie odbyło się na oczach setki ludzi na jakimś balu czy raucie.

- Pozwól mi w takim razie pojechać z sobą. Sapphire podeszła do drzwi, poprawiając lok, wysuwający się spod budki.

- Zostaniesz tutaj i będziesz mnie kryła na wypadek, gdyby moja pierwsza rozmowa z ojcem miała się przedłużyć. Aczkolwiek to mało prawdopodobne ze względu na to, co mam mu do powiedzenia.

- Tylko potem nie płacz, że cię nie ostrzegałam. Ciotka Lucia będzie wściekła. - Angelique wyszła za siostrą na korytarz.

- Kryj mnie, jeśli będzie trzeba, ale nie kręć za bardzo. Nie chcę, żebyś miała kłopoty z mojego powodu. - Sapphire cmoknęła Angel w policzek i szybko ruszyła ku schodom, machając na pożegnanie dłonią w rękawicze - Wrócę, zanim się obejrzysz.

Na ulicach panował niezwykle ruch i hałas, cuchnęło z rynsztoków, ale Londyn fascynował, tyle tu było do oglądania: kościoły, eleganckie rezydencje, sklepy, gmachy publiczne. Sapphire nie wiedziała, gdzie zwrócić wzrok, co podziwiać. I ten barwny

wielkowiejski tłum: chłopcy dźwigający na plecach nosidła pełne towaru, gospoście z koszykami na zakupy, żebracy, zażywni przekupki, urzędnicy, wieśniacy w drewnianych sabotach i słomkowych kapeluszach, sędziowie w perukach, żołnierze w mundurach, jeźdźcy, fiakry, powozy, nie wspominając o stadach bezpańskich psów i kotów, małych ulicznikach, świniach i kurach.

Jazda z Charing Cross zabrała znacznie mniej czasu, niż Sapphire by sobie życzyła. Jeszcze nie zdążyła nacieszyć się miastem, a dorożkarz już zatrzymał się przed wejściem do wytwornej rezydencji.

- Mam na panienkę zaczekać, panienko? - zawołał fiakier z kozła.

Sapphire uniosła głowę. Jak też powinna zachować się córka hrabiego wobec prostego dorożkarza?

- Nie, dziękuję - powiedziała z powagą. - Do widzenia panu. - Tu wręczyła mu monetę, licząc, że suma jest stosowna i nie ukrzywdzi poczciwca.

- Dziękuję, panienko. - Dorożkarz śmignął batem, cmoknął i odjechał, a Sapphire podeszła do imponujących, dwuskrzydłowych drzwi i zastukała ozdobną mosiężną kołatką.

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast.

- Czym mogę służyć? - Szczupły lokaj w nienagannej czarnej liberii i okularach na nosie zmierzył nowo przybyłą uważnym spojrzeniem.

Sapphire, nie czekając na zaproszenie, weszła do holu.

- Chciałam się widzieć z hrabią Wesseksem - oznajmiła pewnym głosem, którego czyste brzmienie wprowadziło ją samą w zdumienie.

- Wolno zapytać, kto chce się widzieć z panem? Lokaj był wyraźnie zde gustowany niezapowiedzianą wizytą nieznaną młodej damy. Sapphire nie miała jeszcze bilecików wizytowych, dopiero je obstałowała i brak bileciku musiał wzbudzić pewną nieufność lokaja.

- Jego córka - odparła z uprzejmym uśmiechem. Lokaj nawet nie próbował ukryć zaskoczenia.

- Panna... ?

- Pytał pan, kto chce się widzieć z hrabią Wesseksem. Jestem jego córka. - Zdjęła rękawiczkę pełną podziwu dla samej siebie, że tak łatwo weszła w rolę lady Sapphire Thixton. - Proszę mu powiedzieć, że przyszedłam.

Lokaj skłonił się, ale po jego minie można było wnosić, że nie dowierza młodej damie.

- Zechce panienka usiąść, a ja sprawdzę, czy jego lordowska mość przyjmie panienkę. - Wskazał rząd krzesel.

- Dziękuję. - Odmowa miała oznaczać, że lokaj winien się pośpieszyć.

- Jedną chwileczkę, panienko.

Skłonił ponownie głowę i zniknął w korytarzu. Z zewnątrz rezydencja nie robiła wrażenia zbyt dużej, ale teraz Sapphire mogła stwierdzić, że jest ogromna. Zaczęła oglądać portrety wiszące na ścianach, a przedstawiające głównie łysiejących antenatów.

Za chwilę go zobaczę, już za chwilę, myślała zarazem zdenerwowana i podekscytowana.

* * *

Blake siedział w gabinecie. Zignorował pierwsze pukanie, ale kiedy rozległo się ponownie, poirytowany podniósł głowę znad biurka.

- Co tam znowu?! - zawołał. - Powiedziałem przecież wyraźnie nie dalej jak pół godziny temu, że nie życzę sobie, by mi przeszkadzano! Nie obchodzi mnie, jakiego koloru liberię mają dzisiaj nosić lokaje i czy na kolację ma być węgorz, czy flaki, bo nie będę jadł w domu, nawet gdybym miał zdechnąć z głodu - zakończył długą przemowę.

Drzwi otworzyły się powoli i do gabinetu wszedł kamerdyner Preston. Stał w progu, pochylił głowę i czekał, aż Blake ochłonie.

- Milordzie...

- Tak?

- Ktoś chce się widzieć z panem.

- Kto taki? - Blake zerwał się zza biurka i oparł dłonie na blacie.

- Młoda dama, milordzie. Powiada, że...

- Co powiada, Preston? Mów, zanim zdążę się zestarzeć.

- Powiada, że jest córką jego lordowskiej mości.

- Moją córką?! - wybuchnął Blake. - Nie mam żadnej córki, do jasnej cholery. Co to za... - Urwał, rozumiejąc w jednej chwili, co się dzieje.

Wiść o przyjeździe spadkobiercy nieboszczyka Wesseksa rozeszła się po Londynie lotem błyskawicy i teraz dzień w dzień pojawiali się ludzie, którzy utrzymywali, że hrabia Edward był im winien pieniądze. Część z nich zapewne miała podstawy do roszczeń finansowych z uwagi na to, w jakiej kondycji znajdował się majątek Edwarda Thixtona IV w chwili jego śmierci, ale pozostali byli zwykłymi naciągaczami.

- Mam ją odprawić, milordzie?

Blake się zawałał. Córka hrabiego? Interesujący pomysł. Znacznie bardziej interesujący niż niezapłacony rachunek za cylinder czy frak.

- Nie, Preston. - Nie był stosownie ubrany, by przyjmować wizyty, ale tym akurat najmniej się przejmował.

- Tędy, proszę panienki. - Lokaj poprowadził Sapphire do saloniku i po chwili znalazła się we wnętrzu o jasnozielonych ścianach. Sprzęty musiały pamiętać przodków obecnego właściciela, ale były dobrze utrzymane i w znacznie lepszym guście niż to, co Sapphire widziała w domu Carlisle'ow.

- Jego lordowska mość zaraz przyjmie panienkę - oznajmił lokaj i wycofał się z ukłonem, zamykając za sobą drzwi.

Sapphire zapatrzyła się na duży pejzaż morski w złoconej ramie, zdobiący jedną ze ścian. W prawym dolnym rogu płótna widniała ledwie czytelna sygnatura, którą w końcu udało się jej rozszyfrować: „E. Thixton”. A więc jej ojciec malował... Podeszła bliżej, pełna podziwu dla talentu malarza.

Drzwi się otworzyły, Sapphire odwróciła się i Blake oniemiał. Kiedy Preston powiedział mu, że przysłała jakaś panienka, która twierdzi, że jest córką Wesseksa, wyobraził sobie niedożywną sierotę o zepsutych zębach, w nędznej sukni i w paskudnym kapelusiku za kilka pensów.

A tu stała przed nim piękna kobieta o gęstych kasztanowych włosach, w kosztownej, modnej kreacji, o oczach, które miały mu się śnić po nocach. Miała piękną jasną karnację, nieskazitelną cerę, prosty nosek pokryty piegami i mały dołek w podbródku, ale najbardziej zahipnotyzowały Blake'a nie jej niezwykle oczy, nie lśniące włosy, tylko usta - pełne, zmysłowe, stworzone do całowania.

Dopiero kiedy się poruszyła, Blake wrócił na ziemię.

- O co chodzi? Co to za historia? - zapytał bez zbędnych wstępów.

Gospodarz był zbyt młody, by mógł być jej ojcem, który powinien liczyć sobie teraz około pięćdziesiątki. Kim jest ten niegrzeczny człowiek i co robi w domu jej ojca? Jest niezwykle przystojny, starszy od niej o jakieś dziesięć, góra dwanaście lat, o kruczoczarnych włosach i bardzo ciemnych, brązowych oczach.

- Powinam zadać to samo pytanie. - Zrobiła krok w jego kierunku, unosząc hardo głowę i zakładając ręce na piersi.

- Nie wiem, kim pani jest i czego chce, ale nie będę wysłuchiwał fałszywych roszczeń. Nie mam cierpliwości do oszustów i łowców majątków. Jeśli są jakieś wierzytelności, z pewnością zostaną uregulowane - oznajmił wyniośle. - Dam pani nazwisko i adres mojego reagenta. Wszystkie kwity i weksle jemu proszę przedstawić i tylko jemu.

Ten człowiek mówił od rzeczy. Kogo nazywał łowcami majątków, jakie kwity, jakie weksle miał na myśli?

- Co ma mi pani do powiedzenia?

Podszedł tak blisko, że czuła zapach jego wody kolońskiej i ciała.

- Kim pan jest? Chciałam się zobaczyć z hrabią Wesseksem, właścicielem tego domu.

- Ja jestem hrabią Wesseksem i właścicielem tej rezydencji, młoda damo. A teraz radzę po dobroci opuścić rzeczoną rezydencję, w przeciwnym razie będę musiał zawołać konstabla.

Sapphire podniosła dłoń w geście oburzenia.

- Nie, pan nie może być hrabią Wesseksem. Mój ojciec nim jest. Mój ojciec, Edward Thixton.

Blake się skrzywił.

- Nieboszczyk Edward Thixton, hrabia Wessex, nie miał potomstwa.

Sapphire wlepiła w niego nieruchome spojrzenie.

- Co z nim? - szepnęła ledwie słyszalnie.

- Na cmentarzu, jak mniemam. Jeśli zaraz pani stąd wyjdzie, obejdzie się bez konstabla, ale jeśli będzie pani żądać pieniędzy, trafi do więzienia Newgate.

Sapphire spojrzała raz jeszcze na Blake'a, oczy zaszyły jej łzami i rzuciła się ku drzwiom. Przebiegła przez hol i wypadła na ulicę, nie zważając na lokaja, który chciał przywołać fiakra.

Zatrzymała się dopiero za rogiem ulicy i oparła o słup latarni.

- On nie żyje - wyszeptła, zaciskając powieki. -Mamo, on nie żyje.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Cicho, już cicho. - Lucia przysiadła na brzegu łóżka i głaskała Sapphire po głowie. - Przynieść ci filiżankę herbaty? A może masz ochotę na kieliszek sherry?

- Nie, nic mi nie trzeba. - Sapphire otarła zapuchnięte oczy. - Przepraszam, ciociu. Okropnie się zachowałam. - Pociągnęła nosem. - Zamiast tu ze mną siedzieć, powinnaś jechać z lady Carlisle do teatru, tak jak zamierzałaś.

- Właśnie się dowiedziałas, że twój ojciec nie żyje. Gdybyś nie lała łez z tego powodu, pomyślałabym, że coś z tobą nie tak. Szkoda tylko, że lord Carlisle dowiedział się o jego śmierci dopiero dzisiaj po południu, zachodząc do swojego klubu, już po moim wyjeździe do lady Morrow.

- Pamiętasz, jak to było po śmierci twojej mamy?- zapytała Angelique, siadając po drugiej stronie łóżka.

- Ile dni przeplakałyśmy?

- Nie wiem, czemu mi tak smutno teraz, przecież nawet go nie znałam. Nigdy go nie widziałam i wcale nie chciałam zobaczyć. Byłam na niego taka zła za to, że zapomniał całkiem o mamie. Myślałam cały czas tylko o tym, jak mu wszystko wypomnę, powiem, że go nienawidzę.

- Tyle razy ci powtarzałam, że twoja mama była pewna, że Edward nie wiedział, co się z nią stało.

- To mnie nie obchodzi. Powinien był wiedzieć. Gdyby tylko ten... ten człowiek, który mieszka teraz w domu ojca, nie był taki okropny. Obszedł się ze mną wprost skandalicznie.

- Skandalicznie czy nie, to on dziedziczy po twoim ojcu. Nazywa się Blake Thixton, jest Amerykaninem i dalekim kuzynem twojego ojca. Tyle zdołał się dowiedzieć lord Carlisle. - Lucia, ubrana w elegancką wieczorową suknię, podniosła się z łóżka, i podeszła do stolika, na którym stała butelka sherry.

- Amerykanin? - prychnęła Sapphire. - Dlaczego lord Carlisle mówi nam to wszystko dopiero teraz?

- Daj spokój, kocie. - Lucia naląła sobie szczodłą miarkę sherry. - Nie możesz winić posłańca. Jesteśmy w Londynie dopiero od wczoraj. Jakim sposobem lord Carlisle miał się dowiedzieć wcześniej? Edward zmarł pół roku temu śmiercią jak najbardziej naturalną. Lady i lord Carlisle siedem miesięcy bawili za granicą, towarzysząc baronowej i baronowi w ich podróży poślubnej po Europie, po czym udali się na Martynikę. I prawdę mówiąc, dowiedziałabyś się o śmierci ojca w bardziej sprzyjających okolicznościach, gdybyś mnie posłuchała i nie wyprawiała się samopas do jego domu. Ale ty jesteś uparta i oczywiście musiałaś postawić na swoim.

Sapphire usiadła na łóżku i odgarnęła włosy z mokrej twarzy.

- Dlaczego zawsze takim tonem musisz powtarzać, że jestem uparta? Gdyby mama nie była uparta, nie przetrwałaby pierwszych dni w Nowym Orleanie, sama jedna, w ciąży, bez grosza przy duszy i dachu nad głową.

- Nie powiesz chyba, że chcesz wracać na Martynikę? - zaniepokoiła się Angelique.

Sapphire zerknęła na nią pytająco.

- Nie chcę, żeby to miało zabrzmieć samolubnie - dodała pośpiesznie Angelique. - Bardzo mi się podoba w Londynie, tak tu gwarno, tyle się dzieje. Tak naprawdę nic się właściwie nie zmieniło, Sapphire. Hrabia Wessex nie żyje, ale ty nadal jesteś jego córką.

- Rzeczywiście. Fakty pozostają faktami i ten wstrętny typ nie może ich zmienić.

- Nie może. - Lucia uniosła kieliszek w toaście i upiła łyk sherry.

- Nie mam żadnego tytułu do majątku ojca. Według angielskiego prawa, jako kobieta nie dziedziczę nic po nim, chyba że testament stanowi inaczej. Ponieważ ojciec nie wiedział o moim istnieniu, nie mógł zrobić żadnego zapisu.

- Czy po to przyjechałaś do Anglii, moja droga? Po majątek?

- Przyjechałam, bo mama...

- Nie o to pytałam - przerwała jej Lucia, podchodząc do łóżka, ciągle z kieliszkiem w dłoni.

- Kochałam twoją matkę całym sercem, a ty jesteś jej nieodrodną córką i dobrze wiem, że nie przyjechałaś tutaj po to, by spełnić jej marzenie. Sapphire wsparła czoło na dłoni i chwilę myślała, zanim odpowiedziała. Jeszcze wczoraj czuła się młodą dziewczyną, a dzisiaj... cóż, dzisiaj miała wrażenie, że przybyło jej kilka lat.

Spojrzała w oczy ciotce.

- Chciałam, by stwierdził, że matka była jego prawnie poślubioną żoną i że ja jestem jego córką.

- Zawahała się. - W pewnym sensie przyjechałam tu dla niej, ale kierowały mną chyba inne powody, niż sobie wyobrażała.

Lucia przechyliła kieliszek i uśmiechnęła się pod nosem.

- Oto Sapphire, jaką znam.

- Jestem nadal córką Edwarda Wesseksa, a Sophie Barkley była jego żoną - oznajmiła Sapphire i spuściła nogi na podłogę. - Dziedzic czy nie, ten typ musi potwierdzić publicznie, przed londyńską socjetą, że uznaje we mnie córkę Edwarda. Ojciec umarł, tytuł przeszedł na kogoś innego, ale ja zachowuję prawo do jego nazwiska. - Sapphire hardo wysunęła brodę.

- Ciociu Luciu, lord Carlisle mówił, zdaje się, że wdowa po moim ojcu wydaje w sobotę przyjęcie na cześć Amerykanina, prawda?

- Owszem, w rzeczy samej.

- Czy dopuścimy się wielkiego nietaktu, jeśli pójdziemy na to przyjęcie?

- Lady Carlisle z pewnością wystara się o zaproszenie. Wdowa zaprasza cały Londyn, chce, żeby wszyscy poznali dziedzica Edwarda, chociaż trudno powiedzieć, jaki może mieć w tym interes. Ponoć jest nie tylko przystojny, ale i bardzo zamożny.

- Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? - upewniła się Lucia raz jeszcze, kładąc upięsienioną dłoń na ramieniu swojej chrześnicy, kiedy wysiadły z powozu Carlisleów.

Sapphire spojrzała na drzwi, przez które wybiegła z płaczem niecały tydzień wcześniej. W ostatnich dniach układała sobie w głowie, co powie panu Blake'owi Thixtonowi, ale teraz nie pamiętała ani jednego zdania; pozostała jej tylko determinacja.

Drzwi się otworzyły i w progu stanął ten sam lokaj, który wpuszczał Sapphire poprzednio.

- Powiedz słowo i się wycofamy - szepnęła Lucia. - Jedno słowo i wsiadamy na pierwszy statek płynący na Martynikę, do Hongkongu albo do Kalifornii. Powiedz tylko, gołąbeczko, dokąd, a zostawimy wszystko i ruszymy na spotkanie wielkiej przygody.

Sapphire spojrzała na Lucię, serce zaczęło bić jej szybciej. Czuła, że coś się wydarzy, coś, co na zawsze odmieni jej życie.

- Nigdy dość ci się nie odwdzięczę za wszystko, co dla mnie zrobiłaś, ale się nie wycofam. Muszę to zrobić dla mamy. I dla siebie.

Lucia poklepała ją po ramieniu na znak, że rozumie, i obie ruszyły ku drzwiom. Lord i lady Carlisle weszli już do środka i teraz lokaj przyglądał się z wielkim zainteresowaniem Sapphire i towarzyszącym jej damom.

- Wchodzimy? - mruknęła Angelique, podniecona jak małe dziecko.

Sapphire uniosła lekko kraj jasnozielonej sukni i ruszyła po stopniach ku drzwiom.

- Oczywiście, że wchodzimy - powiedziała pewnym głosem. - Wicehrabia Carlisle i lady Carlisle - oznajmił lokaj głośno.

Sapphire podała mu bilecik wizytowy, których cały pakiet odebrała dzień wcześniej od drukarza.

- Miss Fabergine - odczytał lokaj.

Przeszła przez hol i stanęła w kolejce do powitań za lady i lordem Carlisle, którzy rozmawiali właśnie z lady Wessex, wdową po jej ojcu, jak się domyśliła. Sapphire się uśmiechnęła. Lady Wessex nigdy naprawdę nie była żoną Edwarda, bo on aż do śmierci związany był w obliczu prawa z jej matką, Sophie Barkley.

- Miss Fabergine. - Lokaj zaanonsował Angelique, po czym podniósł do oczu bilecik Lucii. - Mademoiselle Toulouse.

Sapphire zerknęła jeszcze przez ramię na ciotkę, uśmiechnęła się i zbliżyła do wdowy, by zostać jej oficjalnie przedstawioną.

- To jest panna Fabergine - dokonała prezentacji lady Carlisle. - Młoda dama, o której pani wspominałam, lady Wessex. Jej ojczym to uroczy człowiek. Nie mogłam odmówić prośbie i zgodziłam się zabrać jego pasierbicę do Londynu.

Sapphire dygnęła.

- Dziękuję za zaproszenie, lady Wessex. Wdowa ledwie ją zauważyła.

- A oto i córki lady Wessex - kontynuowała prezentację lady Carlisle, przesuając się wzdłuż rzędu witających. - Panna Camille Stillmore.

Sapphire dygnęła i uśmiechnęła się do córki, panny o rok, dwa od niej starszej, ale już ładną podobną do matki. Nie można było nazwać jej atrakcyjną, a kremowa suknia, cała w falbankach, z pewnością nie dodawała jej urody.

- Miło mi poznać.

- Panna Portia i panna Alma - kończyła prezentację lady Carlisle.

Dwie młodsze, ładniejsze trochę od najstarszej, dygnęły grzecznie, okazując nieco większe zainteresowanie zamorskiej pannie niż matka i Camille. Portia mogła być w tym samym wieku, co Sapphire, a Alma rok, dwa młodsza od niej.

- Miło mi poznać - powiedziała Sapphire, odwzajemniając uśmiechy sióstr.

Zaczekała na Angelique przy wejściu do wielkiego salonu, z którego dochodziły odgłosy ożywionych rozmów, przytłumione śmiechy i delikatny brzęk kieliszków.

- Będziemy trzymać się razem? - zagadnęła Lucia, obejmując jednym ramieniem Sapphire, drugim Angelique. - Czy rozpraszamy szyki?

- Wybaczcie. - Angelique zmrużyła oczy i wyduła usta. - Chyba znam tego dżentelmena pod oknem.

Sapphire zerknęła na obiekt zainteresowania siostry i zapytała, zniżając głos.

- Skąd możesz go znać? Przecież ledwie co przyszyliśmy...

- Znajdziecie mnie w razie czego - rzuciła Angelique i ruszyła w stronę stojącego pod oknem pana, poprawiając lekkim ruchem falbanę przy swojej nowej biało-lawendowej sukni z połyskliwego cieniutkiego jedwabiu.

Sapphire i Lucia odprowadziły ją wzrokiem, po czym Lucia zwróciła się do chrześnicy:

- Jaki plan przyjmujemy? Razem przypuścimy atak na drania?

- Dziękuję, ale wolę zrobić to sama.

- Jak chcesz, kocie. - Lucia cmoknęła powietrze w okolicach policzka Sapphire i odpłynęła ku lady Morrow, witając ją z daleka: - Jak miło panią znowu widzieć.

Sapphire stała przy drzwiach i obserwowała, jak przyjęcie nabiera życia, zafascynowana przepychem wewnątrz, bogactwem strojów, przytłoczona intensywnością wrażeń. Zabrzmiały pierwsze takty muzyki i w jednym z trzech salonów zaczęły się tańce.

Patrzyła, jak pary ustawiają się na parkiecie, jak w kolejnych figurach zbliżają się do siebie, oddalają, wymieniają partnerami i przytupywała do taktu. Wybijając rytm pantofelkiem, wspominała przyjęcia, które matka i Armand urządzali w Orchid Manor. Tańczyło się do późna w noc na specjalnie wznoszonej estradzie w ogrodzie. Matka kochała tańczyć. Sapphire przymknęła oczy. Widziała niemal Sophie, słyszała jej śmiech. Widziała też Armanda, jak obejmując żonę ramieniem, szepcze jej coś do ucha. Pamiętała też, jak sama tańczyła z Maurice'em...

- Zatańczy pani? Wybornie.

Otworzyła oczy i zanim zdążyła zareagować, nim mogła cokolwiek powiedzieć, Blake Thixton pociągnął ją na parkiet.

Sapphire niemal odruchowo odnalazła właściwy krok i wykonała pierwszą figurę. Kiedy znowu stanęła naprzeciwko Thixtona, uśmiechnęła się do niego: dwa kroki w przód, krok w tył, skłon, obrót i Blake podał jej dłoń.

- Powiedziałem ci chyba wyraźnie, pani, żebyś więcej się tu nie pokazywała - szepnął.

Na tych, którzy obserwowali tańczących, scena między Sapphire a Blakiem musiała sprawiać wrażenie błażej wymiany grzeczności.

- Muszę się z panem rozmówić - odparła z uśmiechem, wściekła przy tym jak diabli, bo Thixton zbyt mocno obejmował ją w tali i nazbyt uporczywie wpatrywał się w jej oczy.

- Rozumiem. Chce pani rozmówić się ze mną, by mnie przekonać, że jest córką Wesseksa i w związku z tym coś się pani należy.

- Tak. - Tancerze mieli oddalić się od siebie i Thixton uwolnił Sapphire z uścisku. - To znaczy nie - poprawiła się szybko.

Znowu taniec zbliżył ich do siebie.

- Nie chcę pieniędzy - powiedziała cicho Sapphire. - Chcę tylko zostać oficjalnie uznana za córkę Edwarda i życzę sobie, by wszyscy się dowiedzieli, że moja matka była jego legalnie poślubioną żoną.

Obrócił ją w kolejnej figurze, pokazując, że jest doskonałym tancerzem.

- Żartuje pani.

Musiała ponownie oddalić się od niego na chwilę, a kiedy ich dłonie znowu się spotkały, oznajmiła z determinacją:

- Zapewniam cię, mój panie, że mówię najpoważniej w świecie.

Muzyka umilkła i pary dziękowały sobie teraz za wspólny taniec.

- Wyjdiesz stąd teraz, pani - powiedział Thixton, ujmując ją pod ramię i sprowadzając z parkietu.

- Opuścisz ten dom, pani, albo przekonasz się, że to ja mówię najpoważniej w świecie.

- Puścił ją dopiero w holu. - Już powiedziałem, że prawo ma sposoby na takie jak ty naciągaczki. Będzie się pani upierała, to trafisz do więzienia, tam twoje miejsce.

- Jak pan śmie nazywać mnie naciągaczką! Za kogo ty się masz, ja...

Thixton odwrócił się i zniknął w jakimś pokoju, zamykając za sobą pieczołowicie drzwi.

Sapphire stała przez moment bez ruchu, wzburzona do ostatnich granic. Z sali doszły pierwsze takty muzyki, zaczynał się następny taniec, a jej ciągle rozbrzmiewało w uszach echo ostatnich słów Thixtona.

Spojrzała na drzwi, za którymi zniknął. W holu nie było nikogo. Młoda panna nie powinna pozwalać sobie na rozmowy z mężczyzną w cztery oczy, ale Sapphire nie zastanawiała się nad dobrym wychowaniem. Podeszła do drzwi i zapukała energicznie.

Nie doczekała się odpowiedzi i zapukała jeszcze energiczniej.

- Nie skończyłam jeszcze rozmowy z panem, panie Thixton!

Drzwi się otworzyły.

- Nie słyszała pani, co powiedziałem? Wiedział, że z tą dziewczyną będą kłopoty. Już przy pierwszym spotkaniu to pojął, kiedy pojawiła się w jego domu, by wybadać, co mogłaby wyciągnąć ze spuścizny po Edwardzie. Dzisiaj wyglądała jeszcze bardziej zachwycająco niż wtedy: kasztanowe włosy lśniły intensywniej, oczy jeszcze bardziej mamiły, a usta zapierały dech w piersiach.

- To raczej pan ma problemy ze słuchem. Wciągnął ją do środka i zatrzasnął drzwi. Sapphire znalazła się w dużym, wyłożonym ciemną boazerią pokoju, którego środek zajmował stół do bilardu.

- Musi mnie pan wysłuchać - oznajmiła, opierając dłonie o brzeg stołu.

- Nic nie muszę.

Podszedł do niej i dopiero teraz zauważyła, że zdjął surdut. Biała koszula pod czarną kamizelką nie miała jednego zagniecenia, jednej niepotrzebnej fałdki, podobnie jak doskonale zawiązany fular. Hrabia Wessex wiedział, jak się nosić.

Co za idiotyczne myśli przychodzą mi do głowy, skarciła się duchu Sapphire.

- Owszem, musi mnie pan wysłuchać. Byłam... jestem córką hrabiego Edwarda, jego dzieckiem z prawego łóża, z małżeństwa z...

- Chwileczkę. - Wymierzył w nią palec wskazujący. - Przysłał cię tutaj kuzyn... Jakże mu? - Tu pstryknął palcami. - Charles Jakiśtam. Mówił, że zna najlepsze w mieście damy do towarzystwa.

Zanim zdążyła się cofnąć, chwycił ją za nadgarstek.

- Czemu nie powiedziałaś od razu? Po co te podchody? - Przyciągnął ją do siebie i się uśmiechnął. - Miał rację Charles, muszę mu to przyznać. Piękniejszej ladaczniczki jeszcze nie widziałem.

- Proszę mnie puścić. - Sapphire na darmo usiłowała wyrwać dłoń z uścisku Blake'a Thixtona. Był znacznie silniejszy od niej, nadto jego bliskość, zapach, ciepło jego ciała, wszystko to działało na Sapphire obezwładniająco. Zamiast się uwolnić, znalazła się w jego ramionach.

- Proszę mnie puścić - powtórzyła, kładąc mu ręce na piersi i odpychając od siebie.

- Jeden pocałunek. - Ta dziewczyna budziła w nim niepokój, wprawiała w stan nerwowego rozedrgania. - Mała próbka towaru, zanim wyłożę ciężko zarobione pieniądze.

- Mylisz się, mój panie! - Sapphire była tak oburzona, że ledwie mogła mówić. - Nie jestem...

Zamknął jej usta pocałunkiem, nie pozwalając dokończyć zdania.

Całowała się już wcześniej: z Maurice'em, z innymi młodymi ludźmi na Martynice, ale nigdy nie zaznała pocałunku równie gorącego, palącego wargi niczym żywy ogień. Chciała odwrócić głowę, ale Thixton chwycił ją dłonią za kark i tak trzymał, niczym w potrzasku.

Pod Sapphire ugięły się kolana. Ku swojemu przerażeniu, oddała pocałunek. Miała wrażenie, że jeszcze chwila, a serce wyskoczy jej z piersi.

Dał się słyszeć jakiś odgłos od drzwi.

Thixton odwrócił głowę, ale nie wypuścił Sapphire z objęć.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Proszę o wybaczenie, milordzie. - Intruz odchrząknął i spojrzał na Sapphire, która próbowała uwolnić się z objęć Thixtona. - Nie wiedziałem, że pan... - Tu odchrząknął ponownie, wyraźnie rozbawiony. - Jest pan zajęty. - Wycofując się z pokoju, posłał Sapphire sprośny uśmiech.

- Proszę zaczekać! - zawołała za nim, poprawiając stanik sukni. - To nie tak, jak mogłoby się wydawać. Ja tylko...

Intruz zignorował kompletnie Sapphire i jej żalosne wyjaśnienia.

- Hrabio Wessex. - Skłonił głowę, nie przestając się uśmiechać i wyszedł.

- Jak śmiał pan tak się zachować? - Sapphire odsunęła się od Thixtona.

- Nie jest pani kokotą, prawda? - stwierdził w końcu odkrywco.

- Nie jestem! - Wskazała gniewnym gestem na drzwi. - Dużo mi teraz pomoże prawda. Ten człowiek rozpowie wszystkim, że zastał mnie sam na sam z panem.

Thixton się uśmiechnął.

- I doda, że mnie pani całowała.

- Wcale nie - zachnęła się Sapphire i przezornie wycofała się za stół bilardowy, kiedy Thixton zrobił krok w jej kierunku.

- Muszę porozmawiać o moim ojcu, Edwardzie Thixtonie - powiedziała, usiłując zebrać myśli. - Chciałabym jednak odbyć rozmowę w bardziej publicznym miejscu, bo widzę, że nie jest pan dżentelmenem i nie można panu ufać, hrabio Wesseksie.

Zamiast zapewnić, że honor damy drogi jest mu nade wszystko, jak uczyniłby każdy inny na jego miejscu, Thixton odchylił głowę i wybuchnął śmiechem.

- Jak pan śmie tak się zachowywać! Jeszcze z panem nie skończyłam. - Ruszyła ku drzwiom.

- Mam nadzieję! - zawołał za nią, nie przestając się śmieć.

Sapphire wypadła z pokoju bilardowego, z impetem zatrzaskała drzwi i, nie próbując odszukać ciotki i Angelique, skierowała się przez ogromny hol prosto ku wyjściu, odprowadzana pełnymi zainteresowania spojrzzeniami gości.

- Kogóż to znowu widzę.

Lucia uśmiechnęła się ciepło, kiedy Jessup Stowe odnalazł ją w tłumie. Zdażyła przetańczyć z nim kilka tańców, a także przeprowadzić sympatyczną i zajmującą rozmowę.

- Tylko proszę mi nie mówić, że chciała pani zniknąć niczym Kopciuszek z balu u księcia. Nie usnąłbym dzisiejszej nocy, nie pożegnawszy pani jak należy. - Tu pan Stowe nachylił się i ucałował dłoń Luci.

- Bardzo pan szarmancki wobec dam, widzę.

- Tylko wobec pięknej pani - zapewnił pan Stowe z uczuciem.

Lucia rozpromieniła się na ten komplement.

- Jest tu dzisiaj dużo dam miłszych dla oka ode mnie, a już z całą pewnością młodszych.

- Ale ja widzę tylko panią, mademoiselle Toulouse, żadnej innej. Nieczęsto spotyka się kobiety tak interesujące jak pani.

- Muszę już iść. - Wszyscy na balu rozmawiali wyłącznie o Sapphire i Wesseksie i Lucia niepokoiła się coraz bardziej, w jakim stanie ducha zostanie chrześnicę po powrocie do domu.

- Wielka szkoda. Może jeszcze jeden taniec? A może przejdziemy się po ogrodzie? Chyba że pani zmęczona, w takim razie...

- Zmęczona? - obruszyła się Lucia. - Mogłabym przetańczyć całą noc i dałabym radę tym wszystkim dzierlatkom w nowomodnych pantofelkach.

- Z pewnością, mademoiselle. - Stowe uśmiechnął się szeroko.

- Na pewno nie jest pan żonaty?

- Wszystko wskazuje na to, że nie. Wdowiec. Trzy lata już będzie.

- Kochał pan żonę?

- Bardzo kochałem i tęsknię za nią.

- Dobra odpowiedź. Naprawdę muszę już iść, ale zdał pan egzamin i może pan w niedzielę po południu zabrać mnie na przejażdżkę po Hyde Parku. - Lucia ruszyła do wyjścia.

- Nie wiedziałem, że staję do egzaminu, a tu nie tylko go zdałem, ale jeszcze wzięłem nagrodę! - zawołał rejent, któremu twarz aż pokraśniała z radości.

- Dobrej nocy, panie Stowe. - Lucia niemal wyfrunęła na ulicę: od lat nie było jej tak lekko na duszy, jak tego wieczoru.

- Sapphire, kocie, to ja.

Drzwi się otworzyły i do pokoju weszła Lucia. Sapphire nie zareagowała, nie podniosła się: leżała na łóżku ze wzrokiem utkwionym w sufit. Zdjęła pantofelki, suknię i halki bez niczyjej pomocy, ale nie dokończyła przebierania się do snu.

- Nie wybierasz się spać?

- Spać? Nie usnęłabym po tym skandalu. Na pewno już wiesz. Cały Londyn musi wiedzieć. - Westchnęła żałośnie.

- Nie mają nic lepszego do roboty, tylko zajmować się plotkami.

- Teraz wszyscy będą mnie obgadywać, suchej nitki na mnie nie zostawią. Moja reputacja legła w gruzach. Przyjechałam do Londynu, żeby zrehabilitować matkę, a tylko wstyd jej przyniosłam. Tak samo jak ojcu - desperowała Sapphire.

Lucia przysiadła na skraju łóżka.

- Baniałuki pleciesz, kocie - powiedziała uspokajająco. - Muszę zadać ci jedno pytanie. Czy... hm, czy lord Wessex cię... wykorzystał?

Sapphire stanęła w pąsach.

- To był tylko pocałunek. On nie... nie...

- Wiem, że to delikatna materia. Jestem ostatnią, która miałaby cię osądzać, ale muszę wiedzieć.

- On nie zrobił mi krzywdy, ciociu.

Lucia milczała przez moment, głaskała tylko Sapphire po dłoni.

- Rozmawiałaś z nim o ojcu?

- Próbowałam, ale nie chciał mnie słuchać. Lucia poklepała Sapphire po dłoni.

- Nowy lord Wessex jest całkiem przystojny. Nie ma żony. Krążą plotki, że być może zainteresuje się najstarszą córką wdowy. Gdyby się z nią ożenił, pieniądze zostałyby w rodzinie.

- Prędzej ona się nim interesuje. To jędrza!

- Tak mówisz? - Lucia się podniosła. - Późno już, kochanie. Zajrzałam, żeby zobaczyć, jak się czujesz i powiedzieć dobranoc. - Spojrzała na pustą połowę wielkiego łóża. - Rozumiem, że nie wiesz, gdzie podziewa się Angel?

- Nie.

Lucia westchnęła.

- Nie powinnam się dziwić. Otaczał ją dzisiaj na przyjęciu wianuszek adoratorów. - Zatrzymała się jeszcze na moment przy drzwiach. - Jeśli niczego ci nie trzeba, pójdę spać.

- Kładź się, ciociu.

- Ty też się prześpij, kocie, porozmawiamy jutro. Dobranoc.

- Dobranoc! - zawołała za ciotką Sapphire, choć wiedziała, że noc nie będzie dobra, bo wspomnienie gorącego pocałunku Blake'a Thixtona nie pozwoli jej zasnąć.

- Dzień dobry, Luciu. - Lady Carlisle zasiadła do śniadania w porannej sukni wyjściowej z tafty w biało-szare prążki, włosy miała upięte w skromny kok.

- Dzień dobry, Edith - odparła pogodnie Lucia, podchodząc do pomocnika kredensowego zastawionego daniami śniadaniowymi. - Dobrze spałaś? - Wzięła talerz podsunęty przez służącą.

- Nie.

Lucia niespiesznie nakładała sobie wędliny z półmisków, wiedząc doskonale, w jakim kierunku potoczy się rozmowa.

- Przykro mi słyszeć, że źle spałaś, Edith. Źle się czujesz? - Nałożyła sobie kilka grzanek i łyżkę dżemu z jagód.

- Można tak powiedzieć. - Lady Carlisle odłożyła widelec zdecydowanym ruchem. - Luciu... mademoiselle Toulouse - poprawiła się, przybierając oficjalny ton. - Muszę z panią porozmawiać szczerze, moja droga.

Lucia usiadła przy stole.

- Kawa dla madame? - zapytała służąca, nie podnosząc oczu.

- Dziękuję. - Lucia ze słodkim uśmiechem zatknęła serwetkę pod szyję.

- Słyszałaś, co ludzie mówili wczoraj wieczorem? Te plotki, pogłoski?

- Co masz na myśli? Słyszałam, że lady Thorngrove przegrała trzy tysiące funtów szterlingów w wista i że żona barona Birdsleya uciekła z włoskim malarzem, u którego baron obstał jej portret, oraz że syn oraz dziedzic tytułu, który wreszcie urodził się osiemdziesięcioletniemu lordowi Einestowerowi, ma włosy rude całkiem jak szkocki ogrodnik Einestowerów.

- Doskonale wiesz, co mam na myśli - powiedziała wyniośle lady Carlisle. - Twoja chrześciana, panna Fabergine, była widziana w kompromitującej sytuacji z hrabią Wesseksem.

- Pocałowała hrabiego. To znaczy on ją pocałował. Tobie też z pewnością coś takiego nieraz się przydarzyło, kiedy miałaś dziewiętnaście lat, Edith. A zapewne i potem.

- Jak śmiesz!

Lucia ugryzła grzanekę.

- To był tylko pocałunek, nic więcej.

- Widziano ją sam na sam z mężczyzną.

- Na litość boską, Edith, jeśli chcesz trzymać się tych absurdalnych zasad, obowiązujących w londyńskim towarzystwie, to zawsze można powiedzieć, że hrabia Wessex jest dalekim kuzynem Sapphire.

Lady Carlisle otarła kąciki ust serwetką.

- Nie mamy na to żadnych dowodów. Wczoraj po raz pierwszy usłyszałam, że twoja chrześciana miałaby być jakoby skoligaconą z Wesseksami.

Lucia rzuciła grzanekę na talerzyk.

- Edith, chcesz powiedzieć, że ja kłamię?

- Dla ciebie jestem lady Carlisle i nie mnie osądzać, kto kłamię, a kto mówi prawdę. Stwierdzam tylko, że nie ma żadnych dowodów, które świadczyłyby o pokrewieństwie panny Sapphire Fabergine z rodziną Thixtonów, oraz że zastano ją w niezręcznej sytuacji, która może odbić się fatalnie na mojej i lorda Carlisle opinii.

Tego Luci było już nadto.

- Ponieważ mieszkamy pod waszym dachem?

- Nie mam żadnych zastrzeżeń do ciebie czy do panny Angelique, to urocza dziewczyna, ale...

- Ale co, Edith? Co ty właściwie chcesz mi powiedzieć? Że Sapphire jest niemiłe widziana w twoim domu?

- Prosiłam lorda Carlisle, żeby zajął stanowisko w tej... niemiłej kwestii, ale, niestety - tu lady Carlisle upiła łyk wody z kryształowego kieliszka - musiał wyjść z domu z samego rana i nie mógł rozmówić się z tobą osobiście.

- Po prostu wymawiasz nam gościnę. Dalej, wykrztuś to wreszcie z siebie.

- Powiedziałam, nie mam żadnych zastrzeżeń wobec ciebie czy...

- Zatem wymawiasz gościnę dziewczynie, która nie skończyła jeszcze dwudziestu lat i nie zna żywej duszy w Londynie, w każdym razie nikogo, u kogo mogłaby zamieszkać. - Lucia nachyliła się do gospodyni. - Gdzie ona ma się teraz, według ciebie, podziąć? Co ma począć? Pójść na ulicę?

Lady Carlisle odsunęła się na bezpieczną odległość, jakby nie była pewna reakcji Luci.

- To już nie moja sprawa. Jeśli potrzebuje pieniędzy, może znaleźć sobie bogatego opiekuna, bo musi być tego pokroju kobietą. Podejrzywałam to od początku, już na Martynice.

Lucia poderwała się zza stołu. Armand nie dał im dość środków, by mogły zamieszkać same, nikt nie przewidywał takiej konieczności, ale nie zważała teraz na pieniądze. Prostytuowała się kiedyś, może sprostytuować się i teraz, jeśli będzie trzeba. Uczyni wszystko, ale nie pozwoli, by ktoś w ten sposób traktował jej ukochaną Sapphire.

- Jak śmiesz! Do południa opuścimy twój dom.

- Chyba rozumiesz, że w tej sytuacji nie mam innego wyjścia.
- Rozumiem tylko, Edith, że nie jesteś godna prac majtek Sapphire Thixton - oznajmiła Lucia i odwróciła się, by wyjść, po czym się cofnęła, zabrała grzanekę z talerza, by nie zaczynać dnia o pustym żołądku, i dopiero wtedy wymaszerowała z jadalni.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Coś jeszcze, ciociu? - Sapphire postawiła na podłodze skórzaną walizę. - To już chyba wszystkie nasze rzeczy. - Po dwóch nocach spędzonych w pensjonacie i cztery dni po przeprowadzce do nowego mieszkania lady Carlisle przysłała ostatnie bagaże wypraszonych gości.

- Nic, skarbie. Siadaj, napij się ze mną kawy i spróbuj tych boskich ciasteczek z cukierni pani Partridge na rogu. - Lucia wskazała miejsce obok siebie na obitej materjałem w kwiaty kanapce.

Mieszkanie, które Lucia wynajęła, znajdowało się przy Charing Cross, zaledwie kilka przecznic od miejskiej rezydencji Carlisle'ow. Co prawda, trzeba było wspinać się na piętro po wąskich, stromych schodach, ale samo lokum, całkiem przestronne, składało się z dwóch sypialni, saloniku prywatnego i saloniku recepcyjnego, kuchni oraz jadalni. Lucia zgodziła też od razu kucharkę, kiedy właściciel mieszkania zaproponował jej taką możliwość.

- Zaniosem tylko tę walizkę do sypialni i już siadam z tobą.

- Zostaw to. - Lucia niecierpliwie machnęła ręką. - Dość się nadźwigałaś. - Trzeba koniecznie zgodzić pokojówkę, nie będziesz mi biegała w tę i z powrotem po schodach jak jaka posługaczka.

Sapphire westchnęła ciężko.

- To wszystko moja wina.

- Miałam po dziurki w nosie lady Edith Carlisle, a ty dostarczyłaś nam doskonałego pretekstu, żeby się stamtąd wynieść.

Sapphire usiadła obok ciotki.

- Nie mam ochoty na kawę, ale dotrzymam ci towarzystwa. Wysłałaś list do papy z wiadomością, że się przeprowadziłyśmy?

- Wysłałam.

- Myślisz, że będzie się gniewał? Chciał, żebyśmy mieszkały u lady i lorda Carlisle, bo uważał, że tak będzie dla nas najlepiej. Sprawiałam mu zawód.

- Armand ma dobre serce, ale to nie zmienia faktu, że jest mężczyzną i nawet do głowy mu nie przyszło, że lady Carlisle to wredne babsko i na dodatek straszna plotkara. - Lucia upiła łyk kawy z delikatnej porcelanowej filiżanki. - Nie, skarbie. Gdyby wiedział, jak się rzeczy mają, z pewnością urządziłby wszystko inaczej. Zobaczysz, że zaakceptuje naszą decyzję.

Oczy Sapphire rozbłysły gniewem.

- Ten okropny człowiek...

- Nie chcę o tym słuchać. - Lucia podniosła dłoń. - Co się stało, to się nie odstanie. Nie ma do czego wracać. Trzeba raczej pomyśleć, co dalej. - Spojrzała na chrześcicę. - Musisz zdecydować, skarbie, czy nadal chcesz dochodzić swoich praw.

- Ma się rozumieć, że tak. To, że ten człowiek okazał się pospolitym ordynusem, nie oznacza...

- Sapphire wstała i zaczęła chodzić po pokoju - ... nie oznacza, że zrezygnuję. Nie zniechęci mnie jakiś... jakiś amerykański parweniusz! Pan Blake Thixton może mieć prawo do tytułu i majątku po moim ojcu, ale nie będzie mi dyktował, jak mam postępować. Jeśli nie zechce mnie wysłuchać, to znajdę inny sposób. Ktoś mnie w końcu wysłucha i uzna moje prawa.

Lucia uśmiechnęła się pod nosem.

- Tak też myślałam. Chciałam tylko usłyszeć to z twoich ust.

W tej samej chwili drzwi się otworzyły i do pokoju wbiegła Angelique.

- A wy co tak tu siedzicie jak dwie stare kumy? - zagadnęła zdyszana i poprawiła rozwiane wiatrem włosy. - Właśnie wracam z bardzo miłej przejażdżki po parku.

- Z kim, jeśli wolno wiedzieć? - Sapphire wsparła się pod boki.

- Z pewnym dżentelmenem. - Angelique podeszła do stolika i poczęstowała się ciastkiem z wisienką.

- A wy co porabiacie? - Rozejrzała się po pokoju.

- Zadomowiacie się, jak rozumiem.

- Mogłaś zostać i pomóc nam się zadomowić - wytknęła jej siostra.

- A ty mogłaś pojechać ze mną do parku. Niejaki pan Krum wszystkich wypytuje o ciebie.

- O mnie? - Sapphire wygładziła fałdy jasnobłękitnej sukni. - A czegoś miałbyś chcieć ode mnie?

- Widział cię chyba w Royal Exchange, a może w parku, nie wiem, dość, że wypytuje. Najwidoczniej szuka żony.

- Rozmawialiśmy o tym, co mam dalej robić, skoro pan Thixton nie raczył mnie wysłuchać. Odesłał też, nie czytając, list, który wczoraj posłałam do niego umyślnym. - Sapphire zmieniła temat.

- Nie rozumiem, czym ty się przejmujesz. To miasto pełne jest kawalerów do wzięcia, takich jak chociażby pan Krum, Na pewno znajdziesz wśród nich takiego, który będzie ci odpowiadał.

- Angel, nie chodzi o polowanie na męża - zezłościła się Sapphire. - Czy ty w ogóle słuchasz, co ja mówię? Od ilu dni próbuję ci wytłumaczyć, że chodzi o mnie i o to, kim jestem.

- Nie o Blake'a Thixtona?

- Z całą pewnością nie. - Sapphire odwróciła głowę, czując, że policzki jej płoną. - Byłabym bardzo wdzięczna, gdybyś nie wymieniała tego nazwiska w mojej obecności.

- Rozmawialiśmy właśnie o tym, do kogo się zwrócić w sprawie Sapphire. Jaką drogę obrać? - wyjaśniła Lucia, nakładając sobie na talerzyk dwa ciastka.

- Jaką drogę obrać? - powtórzyła Angelique. - To twój pomysł, Sapphire?

- Prawdę powiedziawszy, sugestia wyszła od lady Carlisle - wyjaśniła Lucia.

- Nie chcę słuchać, co ta kobieta ma do powiedzenia - oznajmiła Sapphire z zaciętą miną. - Obraziła nas obie. Mnie, bo zarzuciła mi, że źle się prowadzę, a ciebie, ciociu, twierdząc, że ponosisz odpowiedzialność za moje „występki”. - Nie strosz się tak, moja droga, bo pomysł jest dość niekonwencjonalny.

- Uwielbiamy wszystko, co niekonwencjonalne - ucieszyła się Angelique.

Sapphire usiadła w fotelu.

- Słucham.

- Otóż musisz sobie jasno powiedzieć, czego właściwie oczekujesz od hrabiego Wesseksa?

- Od pana Thixtona chcę tylko jednego: by uznał w matce prawowitą żonę Edwarda, a we mnie jego córkę.

- A wdowa po Wesseksie kim niby ma być?

- Angelique zachichotała. - Utrzymanką?

- Nie obchodzi mnie to. - Sapphire rozparła się w fotelu. - Chcę, by Londyn się dowiedział, że jestem córką nieboszczyka Edwarda Thixtona, hrabiego Wesseksa.

- Nawet jeśli Amerykanin uczyni zadość twoim żądaniom, wdowa będzie się domagała dowodów.

- Angelique sięgnęła po następne ciastko.

- I tu zaczyna się kłopot. Nie wiemy, jak i gdzie szukać dowodów. Ciocia Lucia sprawdzała i nie natrafiła na żaden dokument, zaświadczający, że w okresie ostatnich stu lat jakiś Wessex zawierał ślub w Devonshire. Powiedziano jej, że świadectwo mogło ulec zniszczeniu - wyjaśniła Sapphire.

- Może obejdzie się bez świadectw - wtrąciła Lucia, sącząc spokojnie kawę. - Jeśli tylko narobimy porządnego zamieszania.

- Zamieszania? - powtórzyła Sapphire.

- Cóż... Kiedy zapytałam lady Carlisle gdzie, jej zdaniem, masz się podziąć, skoro wymawia ci dom, odpowiedziała, że może powinnaś poszukać sobie bogatego opiekuna.

- Wredne babsko!

- Posłuchaj. - Lucia uniosła palec. - Najstarsza córka wdowy rozgląda się pilnie za mężem. Mogłybyśmy wywołać skandal, który wdowa będzie chciała zatuszować.

- Że niby córka hrabiego Wesseksa została wyrzucona na bruk i zmuszona szukać opiekuna, żeby przeżyć - domyśliła się Angelique.

- No, nie wiem - zawahała się Sapphire.

- Zgódź się. - Angelique była w swoim żywiole.

- Wyobrażasz sobie, jaka będzie pyszna zabawa? Te kolejki adoratorów pod naszym domem. Każdy chce zostawić bilecik wizytowy, każdy jest chętny wyciągnąć pomocną dłoń do nieszczęsnej hrabianki. Co wieczór bal albo teatr, w dzień wyścigi konne, pikniki...

- To co najmniej niesmaczne.

- Ale może się udać. - Lucia mrugnęła wesoło.

- Słyszałam w naszym sklepiu kolonialnym, że średnia córka wdowy, jakże jej na imię, Polewka, Petunia, Pacia-Macia?

Sapphire parsknęła śmiechem.

- Portia.

- Właśnie, Portia. - Lucia sięgnęła po następne ciastko. - Otóż wdowa spodziewa się, że lada dzień pewien kawaler poprosi o jej rękę.

- Lord Carter!?! - zawołała Angelique. - Chyba żartujesz.

- Znasz go? - zainteresowała się Sapphire.

- Ma się rozumieć. To z nim byłam dzisiaj na przejażdżce. W towarzystwie jego brata i kuzyna - dodała na wszelki wypadek, ale nic to nie pomogło.

- Wybrałaś się na przejażdżkę w towarzystwie trzech panów, bez damy towarzyszącej?

- Była dama. Kuzyn zabrał ze sobą siostrzyczkę. Co nie powinno mieć dla nas większego znaczenia, jeśli chcemy zostać kokotami.
- Kobietami szukającymi opieki i ochrony - poprawiła ją Lucia.
Sapphire spojrzała niepewnie na matkę chrzestną.
- Wiesz, ja nie potrafię...
- Ja potrafię - zadeklarowała Angelique ochoczo. Lucia spojrzała na Sapphire.
- Nie żądam, żebyś traciła cześć, skarbie. Za kogo ty mnie masz? Po prostu zachowuj się tak, by inni myśleli, że owszem, rozważasz taką ewentualność. Musimy rozgłosić, że obydwie szukacie możliwych protektorów, bo niegodziwa lady Carlisle wyrzuciła was na bruk, a ja jestem zbyt stara, by się wami odpowiednio opiekować. - Tu Lucia, pochyliwszy głowę, dotknęła czoła gestem pełnym dramatyzmu.
- A kiedy już będziecie na ustach całego Londynu, ludzie usłyszą tragiczną prawdę, żeś jest Thixtonówną, ale musisz być utrzymanką, bo twoja rodzina nie chce cię uznać...
- Lady Wessex nie dopuści do takiego blamażu, jeśli chce wydać córkę za męż. - Angelique uśmiechnęła się chytrze. - Wyborny plan.
- Wyborny i śmiały - przytaknęła Sapphire. - Tak śmiały, że może się powieść.

- Fiakier - Lucia stuknęła w kozioł nową laseczką mosiężnym okuciem - skręćcie w tę uliczkę, co idzie do doków.

- Aby na pewno, proszę szanownej paniusi? - Chudy dorożkarz spojrzał na nią ze zdziwioną miną. - Na Water Street taka jaśnie pani, jak paniusia, bynajmniej nie ma czego szukać.

- Wiem - odpowiedziała Lucia pogodnie. Zastukała ponownie. - Dalejże, jedź. Popatrz na te zmarszczki, człowieku. Z każdą chwilą staję się starsza.

- Juści, proszę paniusi. - Fiakier cmoknął i popędził konia.

Lucia ani przez chwilę nie tęskniła za tym miejscem, ale uznała, że dla zdrowia duszy dobrze będzie spojrzeć na mury przeszłości i raz jeszcze uzmysłowić sobie, skąd wyszła i ile miała szczęścia w życiu.

Uliczka zabudowana domami z pruskiego muru zwężała się coraz bardziej, tak że nie dochodziło tu słońce. Fetor z otwartych ścieków mieszał się ze smrodem Tamizy. Ta część Londynu, w pobliżu doków, stanowiła odrębne miasto zamieszkałe przez specyficzny ludek.

- Śmietana, świeża śmietana! - nawoływał jakiś głos. Dwaj marynarze przeciskali się między straganami z rybami, ktoś poganiał stado kóz środkiem ulicy, turkotał na kocich łbach wózek załadowany drewnem. Luci nie było tu dwadzieścia pięć lat, ale Water Street nie zmieniła się ani trochę.

- Dobrze będzie, proszę szanownej paniusi?! - zawołał dorożkarz.

- Jedź jeszcze kawałek - poprosiła Lucia, machając laseczką.

Dalej były szynki i piwiarnie pełne klienteli nawet o tak wczesnej porze. Lucia zobaczyła ledwie czytelny szyld, przedstawiający zajęcia w cylindrze, i stuknęła laseczką w podłogę dorożki. - Tutaj się zatrzymaj - zakomenderowała.

- Proszę paniusi?

- Wysiadam.

Dorożkarz ściągnął cugle i zszedł z kozła, by pomóc Luci wysiąść. Wcisnęła mu w dłoń monetę.

- To potrwa minutkę. Zaczekaj na mnie, a zarobisz dwa razy tyle.

- Jak wielmożna paniusia każe. - Dotknął palcami czapki. - Zaczekam.

Lucia uśmiechnęła się i podeszła do rogu Water Front Street. Jakby się cofała w czasie. Oto i szynk...

Omiotła spojrzeniem kobiety przy wejściu do piwiarni i zbliżyła się do stojącej najbliżej, ubranej w jakieś różowe giezło, które raczej mogłoby być halką niż suknią. Twarz zasłaniały splątane ogniście rude włosy, które dawno nie widziały grzebienia.

Spojrzała na Lucię i strzyknęła przez zęby brązową od prymki śliną.

- Czym mogę służyć szanownej dziedziczce? Dwie jej sąsiadki zaniósły się śmiechem na ten przedni dowcip, trzecia stała bez ruchu, jakby nie słyszała koleżanek i nie widziała elegancko ubranej pani.

- Zaraz się okaże - odparła Lucia spokojnie i zmierzyła kobiety uważnym spojrzeniem. Tę, która nie reagowała, można było spisać na straty. Lucia dobrze знаła to szklane spojrzenie żywego trupa. Dwie pozostałe nadałaby się, owszem, ale jej spodobała się od pierwszego wejrzenia ruda w różowej halce.

- Dla siebie szukasz czy dla swojego starego? - zagadnęła ruda, podchodząc bliżej.

- Dla siebie.

Dwie śmieszki skwitowały odpowiedź wzgardliwym chichotem.

- Ja w tym nie robię - powiedziała różowa. - Chyba że za ekstra opłatą

- Jak ci na imię? - Lucia spojrzała w brązowe oczy dziewczyny.

- A po uważaniu szanownej dziedziczki.

- Nie mam czasu. Mów mi, jak cię wołają.

- Różni różniście, a każdego inaczej.

Lucia zignorowała kolejny wybuch śmiechu.

- Jak ci na chrzcie dali, gołąbeczko. - Ujęła dłoń rudej i spojrzała jej w oczy.

Dziewczynę w jednej chwili odeszła cała swada.

- Avena - bąknęła cichym głosem. - Avena Croft.

- Avena. Piękne imię.

- Dawno już nikt tak do mnie nie mówił. Lucia się uśmiechnęła.

- Mam dla ciebie zajęcie. - Nie czekając na odpowiedź, wyjaśniła: - Prawdziwe, uczciwe zajęcie. Służącej przy mnie i dwóch panienkach.

Avena wybałuszyła oczy.

- Ja... ja nie do takiej roboty.

- Przyuczysz się. To chyba potrafisz, prawda, Aveno? - Odgarnęła włosy z twarzy dziewczyny i dopiero teraz mogła określić jej wiek: dwadzieścia, najwyżej dwadzieścia pięć lat. - Na pewno umiesz sprzątać. Gorąca kąpiel, porządna suknia, trochę jedzenia dla nabrania ciała i będzie z ciebie pokojówka, jak się patrzy.

- Pani sobie żartuje, nie?

- Mówię najpoważniej w świecie. - Lucia rozejrzała się po ulicy. Towarzyszki Aveny odeszły o kilka kroków i dobijały targu z jakimiś marynarzami. - Potrzebuję służącej, a nasze gospodarstwo jest trochę nietypowe.

- Ja... mogę się przyuczyć, proszę pani.

- Możesz. Jestem tego pewna. - Odwróciła się i wskazała czekającego fiakra. -
Jedziemy?

- Tak, proszę pani. - Avena ruszyła pospiesznie za Lucią.

- Ciocia powinna lada chwila wrócić, panie Stowe - zapewniła Sapphire z ciepłym uśmiechem, siadając naprzeciwko rejeta. - Nie potrafię powiedzieć, dlaczego jeszcze jej nie ma.

- Nic nie szkodzi. Mam czas, nigdzie się nie spieszę, mogę poczekać. Dokładnie biorąc, umówiła się ze mną w niedzielę po południu w domu lorda i lady Carlisle. Pojechałem tam...

- I już nas pan nie zastał.

- Lady Carlisle powiedziała, że nie zna aktualnego adresu madame Toulouse.

- Co za jędrza z tej lady Carlisle! - zawołała Sapphire z oburzeniem, zrywając się z kanapki.

- Przepraszam - bąknął pan Stowe jeszcze bardziej zakłopotany, jakby to on rzucił inwektywę pod adresem strasznej damy.

- Nie, nie, to ja przepraszam - zmitygowała się Sapphire i usiadła na powrót. - Ciocia Lucia nic mi nie powiedziała, że była z panem umówiona. Wypadki potoczyły się tak nagle, tak nieprzewidzianie. To ja jestem wszystkiemu winna...

- Ani słowa więcej na ten temat - przerwał jej pan Stowe niespodziewanie stanowczym tonem. - Nie chcę źle mówić o lady Carlisle, powiem tylko tyle, że ludzie bardzo ostrożnie przyjmują rewelacje, które słyszą z jej ust.

- Dziękuję, panie Stowe. - Sapphire z wdzięcznością spojrzała na pocziwą twarz rejeta.

- Różne rzeczy gadają, moja droga, i nie należy wierzyć plotkom. Za tydzień ktoś inny znajdzie się w centrum uwagi i wszyscy zapomną o przyjęciu u lady Wessex.

Sapphire poderwała się znowu z kanapki.

- Był pan tam?

- Tak. Tam właśnie poznałem mademoiselle Toulouse, pani matkę chrzestną. Uroczą kobietą. - Pan Stowe zaczerwienił się lekko i kontynuował: - Wie pani, nie mam zwyczaju zapraszać pań na przejażdżki po parku. Jestem wdowcem.

Sapphire skinęła głową.

- Prawdę mówiąc, pierwszy raz zdecydowałem się zaprosić damę na spacer i przyznam, że jestem bardzo zdenerwowany. - Pan Stowe zaczął bawić się cylindrem. - Ja... uwielbiam pani matkę chrzestną i mam nadzieję, że... Wielkie nieba, co ja wygaduję. Nie wiem, na co mam nadzieję.

Do Sapphire dotarło wreszcie, że pan Stowe zainteresowany jest tylko i wyłącznie spotkaniem z Lucią i plotki z przyjęcia u wdowy Wessex zupełnie go nie obchodzą. Uspokoila się nieco i usiadła z powrotem.

- Może jednak napije się pan herbaty albo kawy. Matka chrzestna ma doskonałą. Bardzo lubi kawę.

- Doprawdy? Ja też jestem smakoszem kawy, choć u Anglika to rzecz dość niezwykajna, prawda, moja droga?

Sapphire się uśmiechnęła. Pan Stowe był naprawdę miłym człowiekiem i nic dziwnego, że zdobył sobie sympatię Luci.

- Uprawiamy kawę na Martynice i przywiozłyśmy trochę z sobą.
- Martynika! Wiedziałem od razu, że mademoiselle Toulouse to kobieta światowa! - zawołał pan Stowe, nadając mimowolnie słowu „światowa” zupełnie nowe znaczenie.
- Kim jest mademoiselle Toulouse? - zainteresowała się Lucia, wkraczając energicznym krokiem do pokoju.
Rejent poderwał się z fotela, wstała i Sapphire, szczęśliwa, że jest ktoś, kogo ciotka oczarowała bez reszty.
- Ciociu, pan Stowe przyszedł z wizytą, czekał tu na ciebie cierpliwie.
- Witam, witam panie Stowe. Już się zastanawiałam, co się z panem dzieje. - Lucia zdjęła kapelusze i popchnęła lekko chudą dziewczynę w halce, zachęcając ją, by weszła do pokoju.
Pan Stowe chyba nawet jej nie zauważył, tak był wpatrzony w Lucię, ale Sapphire szeroko otworzyła oczy, widząc zgoła nietuzinkową postać. Natychmiast zrobiło się jej żal dziewczyny, bo sprawiała wrażenie mocno wystraszonej.
- To jest Avena, Sapphiro, nasza nowa służąca - wyjaśniła Lucia. - Zaprowadź ją do służbówki, daj mydło, ręcznik, pokaż, gdzie łazienka. - Lucia zaczęła zdejmować rękawiczki. - A potem zbiegnij, proszę, do krawcowej na dół i zapytaj, czy nie ma gotowej sukni, która pasowałaby na Avenę.
- Dziękuję pani - wymamrotała Avena bliska łez.
- A my tymczasem wypijemy sobie po filiżance kawy. - Lucia wyciągnęła dłoń, którą pan Stowe ucałował z najwyższą rewerencją, jakby całował dłoń królowej.
- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. - Rejent pokraśniał z zakłopotania.
- Ani trochę. - Lucia usiadła i zaprosiła rejenta, by uczynił to samo. - Powiedziałam sobie, że jeśli nas pan odnajdzie po tej nagłej a niespodziewanej przeprowadzce, będziesz wart mej uwagi. Bardzo się cieszę, że pana widzę.
Sapphire podeszła do wystraszonej, onieśmiałonej dziewczyny, która cofnęła się do drzwi. Wolą nie pytać ciotki, gdzie znalazła „pokojówkę”.
- Chodź ze mną, Aveno - powiedziała łagodnie.
- Pokażę ci, gdzie będziesz mieszkać. Napijesz się herbaty? Zjesz coś może, chleba z serem, na przykład? Jedzenia jest w domu pod dostatkiem.
- Dziękuję, panienko. - Avena skinęła głową. -To... to jakby jaki sen. Uszczypnąć się chyba muszę, inaczej nie dam wiary, że to wszystko dzieje się naprawdę.
- Przepraszam - rzuciła Sapphire w stronę Luci i pana Stowe'a, ale ci jej nie słyszeli, tak byli pochłonięci sobą.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Możesz trochę ciasniej zasnurować mi gorset? - poprosiła Sapphire, odwracając się plecami do Angelique.
Za niecałą godzinę mieli zjawić się panowie, którzy zaprosili panny do teatru, i Sapphire była bardziej zdenerwowana niż pierwszego dnia w szkole klasztornej na Martynice. Ciągle pamiętała zapach włosów matki, kiedy ta pochylała się, żeby ją pocałować na pożegnanie. Pamiętała, jak była podniecona i jak się bała, że nie da sobie rady.

Teraz też była przerażona, że nie podoła, że plan ciotki ją przerasta i intryga się nie uda.

- Ciasniej już się nie da. - Angeliqne klepnęła siostrę i odwróciła twarzą do siebie. - Masz już talię jak osa. I uspokój się, proszę. Zobaczysz, jaka będzie pyszna zabawa.

- Boję się, że nie dam rady, nie potrafię. - Sapphire pokręciła głową, usiadła na taborecie przy toalecie i spojrzała na swoje odbicie: z lustra spoglądała na nią poważna dziewczyna o kasztanowych włosach, z jednym niebieskim, drugim zielonym okiem.

- A jeśli ci mężczyźni nie uwierzą, że potrzebuję opiekuna? Że naprawdę szukam kogoś takiego?

- Będą chcieli uwierzyć. Zarzucić haczyk wcale nie jest trudno. - Angeliqne przysiadła na łóżku i zaczęła naciągać jedwabną pończochę. - Oni tylko czekają na znak. Wystarczy, że spojrzą na ciebie, zobaczą te włosy, te oczy, usta i będą się ustawiać w kolejce, żeby zdobyć twoje łaski.

Sapphire spochmurniała i dotknęła warg koniuszkami palców.

- Coś nie tak z moimi ustami?

- Z twoimi ustami wszystko jest jak należy poza tym, że były za rzadko całowane.

Sapphire ujrzała natychmiast przed oczami twarz Blake'a Thixtona i przypomniała sobie namiętny pocałunek.

- Nie potrafię! - zawołała dramatycznym tonem.

- Nie dam rady.

- Nie bądź gęsią. - Angeliqne przesunęła dłonią po pończosze i sięgnęła po podwiązkę.

- To proste. Śmieję się gardłowo. - Zademontrowała, jak się to robi.

- Mężczyźni uwielbiają niski, lekko ochryply śmiech.

- Machnęła dłonią. - Praw im pochlebstwa.

Sapphire przypudrowała nos, ciągle zastanawiając się, co jest nie tak z jej ustami. Może zbyt wydatna dolna warga? Zaczęła szczotkować świeżo umyte włosy.

- Nie wiem, co schlebia mężczyznom. Na Martynice nie znalazłam żadnych mężczyzn poza Maurice'em i kilkoma synami sąsiadów.

- Po prostu mów im miłe rzeczy, wszystko jedno prawdziwe czy nie. - Angeliqne zaczęła wciągać drugą pończochę. - Zbyt serio podchodzisz do wszystkiego, a to ma być zabawa. Nawet ciotka Lucia traktuje całą rzecz jak dobry żart.

- Liczymy na siłę plotki, która ma dotrzeć do wdowy i pana Thixtona, tymczasem wyrzucamy lekką ręką pieniądze. - Sapphire wskazała kosmetyki, jedwabne pończochy. - Jeśli się nam nie uda i pan Thixton nie zechce...

- No proszę, wracamy znowu do pana Thixtona?

- Co chcesz powiedzieć? - Sapphire podeszła do drzwi i wyjrzała na korytarz. - Gdzie ta Avena się podziewa? Powiedziała, że odbierze tylko nasze suknie od krawcowej i wraca natychmiast na górę. Chyba są gotowe. Bardzo mi się podoba ta niebieska. -

Cofnęła się do pokoju i zerknęła na porcelanowy niemiecki zegar, stojący na kominku. - Panowie niedługo się pojawią, a my jeszcze nie jesteśmy gotowe.

- Prawie gotowe, a panowie pojawią się dopiero za pół godziny. - Angeliqne założyła drugą podwiązkę i wstała. - Coś mi się wydaje, że suknie gotowe, tylko Avena zagadała się z synem naszej krawcowej, młodym krojczym.

Nakarmiona, wykąpana, ubrana, Avena całym sercem weszła w nową rolę pokojówki, zaskarbiając sobie respekt wszystkich trzech pań. I chociaż w niczym nie przypominała

dziewcząt zatrudnionych w domu lady Carlisle, zdaniem Sapphire, była chętna do pracy, zmyślna.

-Nie zauważyłaś, jak często w ostatnich dniach zbiegała na dół, żeby sprawdzić, jak się posuwa szycie naszych kreacji? - Angelique wzięła złote pantofelki.

- Zdarzało się, że i dwa razy dziennie była w zakładzie.

- Chyba nie zauważyłam. Widać za bardzo byłam zajęta własnymi myślami - przyznała Sapphire ze skruchą. -Tak mnie złości, że mam grać, udawać, żeby wymóc na prostaku Amerykaninie zgodę na noszenie nazwiska po własnym ojcu. - Sapphire podeszła na powrót do toaletki.

- Ilekroć pomyślę o tym Thixtonie, to... to...

- Często myślisz o panu Thixtonie? - Angelique podniosła brwi znacząco.

- Nie w tym sensie! - obruszyła się i przecesała ciągle lekko jeszcze wilgotne włosy. - Jak mam je upiąć? - zapytała. - Zrobić węzeł na karku czy raczej na czubku głowy?

- Na czubku, zdecydowanie. - Angelique podeszła do siostry i zaczęła zręcznie zwijać jej długie loki. - Daj spinki.

Sapphire wzięła całą garść spinek z puzderka i zaczęła je podawać Angel, obserwując, jak na jej głowie powstaje, jak wyczarowana, misterna koafiura.

- Podoba ci się? - Angelique cofnęła się o krok, podziwiając własne dzieło.

- Piękna. Dziękuję.

- Ty jesteś piękna i mam nadzieję, że pan Thixton zdaje sobie z tego sprawę.

Sapphire się zachmurzyła.

- Zdążyłam już trochę się uspokoić, a ty znowu o nim? Zdaje sobie sprawę...

Pocałował mnie tylko po to, żeby upokorzyć.

- Może, ale według mnie to tylko taka gra miłosna - powiedziała Angelique. - Skomplikowany typ z tego twojego pana Thixtona.

- On nie jest żadnym „moim panem Thixtonem”.

- Sapphire znowu podeszła do drzwi. - Jeśli Avena zaraz nie wróci, zejść w halce do krawcowej i sama przyniosę te suknie.

- W halkach to już prędzej takie jak ja się ludziom pokazują - oznajmiła Avena, ukazując się w końcu korytarza z sukniami na rękach.

- Mistrz Dawson był w zakładzie? - zapytała Angelique, biorąc śliczną złotą suknię, która leżała na wierzchu.

- A był. - Avena spłonila się jak pensjonarka.

- Przystojny młodzieniec - powiedziała Sapphire z uśmiechem.

- Panienska go widziała? - Avena położyła ostrożnie suknię Sapphire na łóżku, tymczasem Angelique chwyciła swoją i uniosła, by lepiej się przyjrzeć skończonej kreacji. - Ja zaraz pomogę! - zawołała do niej Avena.

- Dam sobie radę. Ty pomóż Sapphire. Cały czas jęczy, że nie potrafi udawać przed tymi galantami.

- Panienska stoi spokojnie, bo nijak sukni nie wdzieje. - Głowa Sapphire zniknęła pod jardami delikatnej błękitnej materii.

- Nie jestem w tym taka dobra, jak ty, Angelique - rozległ się stłumiony głos z głębi sukni - ale masz rację. Dam sobie radę. Sprawię, że ci mężczyźni będą mnie adorować.

- Się rozumie, że panienska da rady. - Avena pociągnęła jeszcze raz suknię i głowa Sapphire ukazała się nad dekoltem.

Angelique parsknęła śmiechem.

- Aveno, powinnaś szybko skorzystać z propozycji Sapphire i uczyć się mówić poprawnie. Ja nie mam cierpliwości, ale ona „da rady”. Zawsze była prymuską.
- Ty za to nie miałaś nigdy czasu na naukę. Wolałaś uganiać się po lesie z wiejskimi chłopakami.

Angelique uśmiechnęła się i poprawiła suknię, która wreszcie ułożyła się jak powinna.

- Jutro zaczynamy lekcje, Aveno - obiecała Sapphire.

- Naprawdę? To się, kruca, zweźmie w sobie i co powiem do niego...

- Toś ty z nim nigdy jeszcze nie rozmawiała?

- Przenigdy. Bojałam się.

- Bałam się - poprawiła ją Sapphire, wchodząc w rolę nauczycielki.

- Tak, bałam się - powtórzyła Avena posłusznie. - On nie byle kto. Jeszcze trochę, a swój sklep mieć będzie.

- To by dopiero było coś. Avena Croft, żona mistrza krawieckiego. - Sapphire się uśmiechnęła.

Avena zrobiła się czerwona jak piwonia.

- Gdzie by Dawson chciał taką jak ja.

- A ja słyszałam od córki piekarza, tej małej, z rudymi warkoczami, że pytał o ciebie. - Sapphire podeszła do dużego lustra, by przejrzeć się w całej okazałości.

- Nie! - Avena pokraśniała jeszcze bardziej. Ruszyła do drzwi, dygnęła i znikła.

Po wielu dniach podpytywania Avena przyznała się wreszcie, że ma dopiero osiemnaście lat. Tragiczne, co ulica w tak krótkim czasie może zrobić z dziewczyną. Sapphire zdążyła się już przekonać, że Londyn, stolica najpotężniejszego imperium na świecie, piękny i ekscytujący dla uprzywilejowanych, był też miastem całych połaci nędzy, chorób i śmierci. Przerażała ją świadomość, że może być tyle nieszczęścia i cierpienia w tak wspaniałym mieście.

- Dziewczynki! - rozległ się głos Luci, dochodzący z holu. - Gotowe? Panowie za chwilę się pojawią, a pan Stowe już przyjechał.

- Złe wiadomości, monsieur?

Armand podniósł głowę, kiedy na tarasie pojawiła się Tarasai. Spojrzał na list, który trzymał w dłoni.

- Nie, chyba nie, moja droga. Mam przynajmniej taką nadzieję.

- Przyniosłam pęd.

- Nie jest mi zimno.

- Pomimo to proszę się okryć. Wieje chłodny wiatr od morza. - Wzięła list z kolan Armanda, okryła go kocem i oddała list.

- To od córki? - zapytała i pochyliła się, żeby zapalić lampę olejową, stojącą na niewielkim stoliku obok fotela.

Armand spędzał teraz mnóstwo czasu na tarasie. Po wyjeździe Luci i dziewcząt początkowo próbował trzymać się starych zwyczajów, zachować zwykły rozkład dnia. Odwiedzał wioski, objeżdżał pola, zaglądał do suszarni, ale coraz bardziej opadał z sił. Choroba się pogłębiała i Tarasai pilnowała, by więcej czasu spędzał w domu. Czytał, uzupełniał i porządkował swoją kolekcję motyli albo po prostu siedział na tarasie i słuchał odgłosów dżungli, podziwiał jej zmienne piękno. Po śmierci Sophie dzielił łóżko z

wieloma kobietami, głównie wyspiarkami, ale teraz miał tylko Tarasai, nie chciał zadawać się z innymi, jej tylko pragnął i tylko ona jedna nie patrzyła na niego smutnym wzrokiem, jakby już jutro miał umrzeć.

Światło lampy olejowej padło na list leżący na jego kolanach.

- Wszystko u nich dobrze, monsieur?

- Tak. - Ponownie spojrzął na list, potem na Tarasai, na jej słodką twarz z wielkimi, ciemnymi oczami, na gładką skórę, ciemną jak kawa z odrobiną mleka. - Tak sędzę.

Tarasai czekała.

Poprawił okulary i raz jeszcze przebiegł wzrokiem słowa pisane przez Lucię.

- Nie mieszkają już u lady i lorda Carlisle, wynajęły własny ką. Muszę koniecznie posłać im trochę grosza.

- To się rozumie, monsieur.

- Lucia pisze, że ojciec Sapphire nie żyje i że jest już nowy hrabia Wessex, ale mają nadzieję uzyskać dla Sapphire prawo do noszenia nazwiska po ojcu - zakończył z optymizmem, choć nie wierzył w powodzenie sprawy. Setki razy zadawał sobie pytanie, czy dobrze zrobił, wysyłając córkę do Londynu. Za rok byłaby dojrzała, mniej naiwna i łatwowierna. Spełnił jednak życzenie Sophie... Obiecał jej to na łożu śmierci i sam nie mógłby odejść spokojnie, gdyby nie dotrzymał danej obietnicy.

- Niech się pan nie martwi, monsieur. Sapphire to mądra dziewczyna. Dostanie to, co się jej należy, i więcej. Szczęście będzie jej sprzyjać, urodziła się pod dobrą gwiazdą.

Armand uśmiechnął się i uściśnął dłoń Tarasai.

- Muszę napisać list i polecenie wypłaty z jednego z moich kont w Londynie.

- Proszę sobie posiedzieć spokojnie, monsieur, i cieszyć się ogrodem. Przyniosę papier, atrament, napisze pan list, a potem zje trochę zupy.

Armand nie był głodny. Ostatnimi czasy w ogóle nie miał apetytu, ale wiedział, że nie ma sensu sprzeczać się z Tarasai. Łatwiej było przełknąć kilka łyżek, a resztę przy sposobności wylać pod krzaki.

- Dobrze - zgodził się z uśmiechem. - Dziękuję. Odwróciła się jeszcze w prog.

- Nie musi mi pan dziękować, monsieur. To ja dziękuję, że mam dom i to życie, co je noszę pod sercem. - Dotknęła lekko już zaokrąglonego brzucha i Armand znowu się uśmiechnął. Nie do wiary, że w tym wieku, przy gwałtownie pogarszającym się zdrowiu, miał raz jeszcze zostać ojcem.

Sapphire wysiadła z czterokonnego powozu przed teatrem Drury Lane, eskortowana przez młodego baroneta. Lord Thomas był jednym z pierwszych, który zareagował na krążącą po salonach plotkę, jakoby piękne siostry Fabergine poszukiwały możliwych protektorów. Lord jeszcze był studentem, jak to wyjaśnił Sapphire, bo lada dzień mógł zostać wydalony z uniwersytetu za swoje ostatnie swawole. Ojciec Thomasa, hrabia Crumpton, zasiadał w Izbie Lordów, zapewne na tej samej ławie, na której od dwustu lat zasiadali jego przodkowie, ustanawiając tradycję służby dla kraju.

- Panno Fabergine, mówiłem już, że wygląda pani dzisiaj olśniewająco? - zapytał lord Thomas z emfazą i ucałował urękawiczoną dłoń swojej towarzyszki, posyłając jej czarujący, szelmowski uśmiech.

Sapphire szeroko rozłożyła fałdy błękitnej sukni i odpowiedziała uśmiechem. Czuli się dzisiejszego wieczoru jak prawdziwa księżniczka. Towarzyszący jej panowie

zachowywali się nienagannie, a suknia okazała się zachwycająca, najładniejsza, jaką kiedykolwiek nosiła.

Lucia napisała do Armanda, że wyniosły się od lady Carlisle, i była pewna, że ten wyasygnuje środki potrzebne do życia na odpowiedniej stopie, tymczasem jednak plik rachunków do zapłacenia, składanych w szufladzie sekretery, rósł z dnia na dzień. Przyjechały do Londynu z zasobami, które powinny całkowicie im wystarczyć, gdyby mieszkały u Carlisle'ow, ale stało się inaczej. Czysze w stolicy wielkiego imperium były astronomiczne, a funt herbaty kosztował tyle, ile wóz owoców czy warzyw na Martynice.

- Lordzie Thomasie! - zawołała Angelique, stając w drzwiach powozu z wachlarzem malowanym w nagię, wesoło płaszące cherubinki w dłoni.

Nachyliła się, wyrzuciła obie ręce przed siebie i wsparła dłonie na szerokich barkach jego lordowskiej mości, gdy ten chwycił ją zręcznie w tali, by po sekundzie postawić bezpiecznie na trotuarze.

Za Angel wysypało się z powozu czterech kolejnych panów, wszyscy w czarnych surdutach i srebrnych cylindrach. Z tyłu, tuż za czterokonnym powozem, zatrzymał się znacznie mniejszy i skromniejszy, w którym jechali Lucia i pan Stowe.

- Pozwoli pani, że będę jej służył ramieniem - zaoferował się pan Carl Salmons, młody wdowiec bez tytułu, za to uchodzący za najbogatszą partię do wzięcia poniżej trzydziestki w całym Londynie. Zbił majątek na handlu, a tego wieczoru pojawił się z prezentem dla Sapphire - chińskim, ręcznie malowanym wachlarzem, który idealnie pasował do jej nowej sukni.

Pan Salmons był zabawny i gładki w mowie. Szukał utrzymanki, to oczywiste, ale gdyby kandydatka spełniała warunki, pewnie nie byłby od tego, żeby się powtórnie ożenić, kalkulowała Sapphire. Kiedy już zostanie uznana za prawowitą córkę nieboszczyka hrabiego Wesseksa, gdy ucichnie skandal wokół „poszukiwaczek możnych protektorów”, pan Salmons mógłby uderzyć do niej w konkury i poprosić o rękę.

- Ja byłem pierwszy, Salmons! - zawołał lord Thomas, przekazując Angelique w ręce lorda Cartera, jednego z najbardziej pożądanych kawalerów w Londynie, i ujął zaborczym gestem dłoń Sapphire.

- Obydwaj możecie służyć mi ramieniem, panowie - powiedziała Sapphire z uśmiechem.

Angelique mrugnęła do niej i przyjęła ramię lorda Cartera, którego poznała na przyjęciu u hrabiny Wessex. Rodzina chciała ożenić młodzieńca w najbliższym czasie, ale on najwyraźniej nie miał ochoty osiąść z żoną i dziećmi w wiejskiej posiadłości. Wolał pić, hazardować się, uganiać za spódniczkami, czym do końca zjednał sobie Angelique.

- Co obejrzymy dzisiaj wieczoru? - zagadnęła Sapphire. - Jestem pewna, że dokonali panowie doskonałego wyboru - dodała z przypochebnym uśmiechem, przypominając sobie rady Angel.

- Melodramat Pixerecourta - odparł lord Thomas. - Widziałem rzecz dwa razy, całkiem ujmująca. Mamy lożę, naturalnie. A po teatrze, jeśli panie zechcą, kolacja. Carter zarezerwował gabinet w naszej ulubionej gospodzie „Pod Tęgim Kogutem”.

Sapphire musiała postępować roztropnie: żadnemu z panów nie powiedziała wprost, że szuka opiekuna. Cała intryga opierała się wyłącznie na plotkach i spekulacjach, droga odwrotu pozostawała otwarta, w razie gdyby sytuacja stała się niezręczna.

- Możemy zjeść też gdzie indziej - dodał lord Thomas szybko, dotykając jej dłoni. - Mademoiselle Toulouse i pan Stowe też są oczywiście zaproszeni.

Sapphire bawiła niezmiernie ta gra pozorów. Lucia wyłożyła jej, jak działa taki układ: kobieta znajduje opiekuna, żonatego lub nie, wszystko jedno, ten opłaca jej mieszkanie i wszystkie rachunki, w zamian nabywając prawo do wyłącznego korzystania z jej świadczeń w dzień i w nocy, kiedy przyjdzie mu ochota. Kobieta „traciła reputację”, ale zyskiwała zabezpieczenie finansowe, przynajmniej dopóki była ładna, młoda i mogła utrzymać się na rynku usług seksualnych.

- Kolacja po teatrze? Boski pomysł, nie sądzisz, panno Fabergine? - zaświergotała Angelique, kiedy całe towarzystwo wkraczało do foyer teatru.

- Zgadzam się z tobą całkowicie, panno Fabergine - odpowiedziała Sapphire.

- A panie, za przeproszeniem, siostry? - zagadnął pan William Hollington, dołączając do grupy.

Sapphire uśmiechnęła się kokieteryjnie.

- A jak pan myśli, panie Hollington?

Hrabia Wessex rozsiadł się wygodnie w obitym aksamitem fotelu, stopę oparł na kolanie i powiódł spojrzeniem po widowni. Przedstawienie właśnie się rozpoczęło, ale to, co dzieje się na scenie, nie interesowało go ani trochę bardziej niż pozostałych widzów. Londyński teatr, tak samo jak teatry Bostonu czy Nowego Jorku, był przede wszystkim miejscem, gdzie oglądało się innych, samemu będąc oglądanym.

Hrabina Wessex zmusiła Blake'a, by wybrał się z nią do Drury Lane, i teraz lała krokodylę łzy nad losem bohaterów sztuki.

Blake przeniósł spojrzenie na scenę, najpierw obejrzał sobie dekoracje, po czym zainteresował się dziewczyną obsadzoną w roli pierwszej naiwnej: śliczną, drobną, może dwudziestoletnią blondynką o niezwykle, zielonych oczach.

Przypomniawszy sobie natychmiast inną pannę o zielonych oczach, właściwie o jednym zielonym oku i poczuł dobrze już znane podniecenie. Skupił uwagę na młodej aktorce. Kiedy skończyła kwestię, uniosła głowę, napotkała jego spojrzenie i uśmiechnęła się.

Odpowiedział uśmiechem.

Jeszcze dwa razy pochwycił jej spojrzenie, a kiedy zaczęła się przerwa, zanim zdążył wstać z fotela, żeby wyjść do foyer i napić się whisky, w loży pojawił się chłopak z obsługi z liścikiem. „W mojej garderobie po przedstawieniu” - to wszystko, co napisała młodziutka amantka.

Blake się uśmiechnął, zmiął kartkę i wyszedł z loży.

Odchodził właśnie od baru ze szklaneczką z podwójną whisky w dłoni, gdy jego uwagę zwróciło rozbawione towarzystwo: kilku panów nadskakujących dwóm roześmianym pięknościom.

Niech to diabli! To ta naciągaczka o kasztanowych włosach, Sapphire Fabergine. Wiedział już, jak się nazywa, bo następnego dnia po przyjęciu wydanym przez hrabinę Wessex przysłała mu list, który odesłał, nie czytając.

Sapphire, cóż za niezwykle imię dla młodej Angielki... Ciągle jeszcze czuł smak jej ust, a teraz słyszał jeszcze jej głos: niski, uwodzicielski. Otoczona wianuszkami adoratorów, najwyraźniej bez przyzwyczajenia, musiała być tym, za kogo ją wziął od

pierwszej chwili. Rzeczywiście jest piękna i może zdobyć prestiż oraz majątek, zarzucając sidła na naiwnego mężczyznę, uznał Blake.

Dopił powoli whisky i chciał wrócić do łoża, kiedy dziewczyna się odwróciła.

Była jeszcze piękniejsza, niż ją zapamiętał, w błękitnej eleganckiej sukni, znakomicie podkreślającej bardzo kształtną sylwetkę. Miała dobry gust, to musiał jej oddać. I była stworzona do miłości.

Spojrzała mu prosto w twarz.

Blake uśmiechnął się leniwie i uniósł pustą szklaneczkę w ironicznym toaście, jakby chciał jej pogratulować wątpliwego sukcesu towarzyskiego. Patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, po czym odwróciła się plecami.

To go ubodło. Kobiety nie okazywały mu lekceważenia, nie przywykł do takiego traktowania. Właściwie nie potrafił powiedzieć, dlaczego tak go to zirytowało. Cóż go mogło obchodzić jej zachowanie? Widać było przecież na pierwszy rzut oka, że to, zapewne początkująca w fachu, niemniej kokota. Wyszedł na zewnątrz, by zapalić cygaro.

Godzinę później widzowie opuszczali gmach teatru. Blake skręcił w zaułek i wrócił do budynku wejściem dla personelu. Ktoś z aktorów wskazał mu garderobę amantki.

- Długo kazał pan na siebie czekać - powiedziała, gdy stanął w progu. - Już myślałam, że pan nie przyjdzie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Lucia sączyła wino w półmroku niewielkiej sali jadalnej. Od bardzo dawna nie czuła się tak młodo, jak tego wieczoru.

- Podobało się pani przedstawienie, mademoiselle Toulouse? - zagadnął pan Stowe.

Zamówili na kolację zupę zółwiową, prawdziwy delikates w Londynie, potem kuropatwę z ostrygami w żelowanym sosie winnym, wreszcie pudding ze schabu z grochem. Usługująca im dziewczyna sprzątnęła już zastawę i pan Stowe zamówił drugą butelkę wina oraz paterę owoców.

Siedzieli na pięterku gospody „Pod Tęgim Kogutem”, w niewielkiej salce przejściowej, za którą znajdowała się główna sala jadalna, gdzie biesiadowały Sapphire i Angelique w towarzystwie swoich adoratorów. Z czwórki dżentelmenów, którzy zabrali panny z domu, pod teatrem zrobiła się piątka, która w gospodzie rozrosła się do tuzina. Pomimo to Lucia nie obawiała się o bezpieczeństwo dziewcząt; o Angelique nie lękała się chyba nigdy, bo ta urodziła się dojrzała, a Sapphire najwyraźniej bawiła się doskonale, udając z powodzeniem zalotną i naiwną gąskę z dalekich kolonii.

Spojrzała na jowialną twarz Jessupa Stowe'a. W niczym nie przypominał panów, którzy słono płacili za jej względy w Nowym Orleanie czy jej późniejszych kochanków z Martyniki. W niczym też nie przypominał Armanda, którego Lucia zawsze darzyła ciepłym uczuciem. Być może dlatego pan Jessup Stowe tak ją fascynował.

- Czy nie pora dać pokój towarzyskim ceregielom, panie Stowe? Mówmy sobie po imieniu. - Lucia odstawiła kieliszek.

Pan Stowe zaczął wygładzać serwetę, zmiatając dłonią niewidoczne okruszki. Propozycja Luci sprawiła mu przyjemność, ale nie bardzo wiedział, jak powinien zareagować.

- Bardzo cię lubię, Jessup. - Lucia położyła dłoń na jego dłoni i poczekała, aż rejent podniesie wreszcie wzrok. - Myślę, że ty też mnie lubisz. Spójrzmy prawdzie w oczy, starzejemy się. Czy warto marnować czas na śmieszne konwenanse, kiedy możemy... pomyśleć o czymś, co obojgu sprawi satysfakcję?

Oczy Jessupa rozszerzyły się lekko ze zdziwienia, gdy Lucia musnęła wargami jego usta.

- To było bardzo miłe - powiedział cicho, ujmując jej dłoń. Oczy mu zwilgotniały. - Bardzo... bardzo dawno nikogo nie całowałem, Luciu.

- Całkiem nieźle jak na kogoś, kto wyszedł z wprawy - zażartowała i tym razem pozwoliła, by to on ją pocałował, a po chwili dodała: - Chyba powinnam pojechać do ciebie - powiedziała, spojrzała mu uważnie w oczy, a potem ujęła go pod brodę. - Nie wydajesz się zaszokowany moją propozycją. Jessup mocniej uściśnął jej dłoń.

- Mnie nic już nie jest w stanie zaszokować, droga Luciu. - Zaśmiał się i spojrzał w stronę dużej sali, gdzie Angelique tańczyła z lordem Carterem do dźwięków lutni wynajętego na ten wieczór grajka, a kilku panów usiadło do partyjki kart. - Tyle że...

- Żadnych wykrętów. Musimy być wobec siebie całkowicie szczerzy, Jessupie. Nie mam czasu na banialuki.

Uśmiechnął się wesoło i Lucia miała wrażenie, że przez moment ma przed sobą młodego Jessupa, przystojnego, ciemnowłosego, trochę lekkoducha.

- Chodzi o twoje dziewczęta. Nie jestem pewien, czy... - Urwał, wyraźnie zakłopotany.

Lucia czekała, choć wiedziała, co Jessup chciał powiedzieć. Otóż próbował delikatnie dać jej do zrozumienia, że wolałby nie być w żaden sposób kojarzony z młodymi damami, które otacza atmosfera skandalu, bo mogłoby się to fatalnie odbić na jego pozycji zawodowej.

- Jeśli potrzebujesz pieniędzy, żeby zabezpieczyć dziewczęta, mam ich aż nadto. Moi synowie to przebrzydli niewdzięcznicy i nie dostaną ode mnie ani pensa, bo sobie na to nie zasłużyli, a nie zabiorę przecież swojego majątku do grobu. Chętnie bym go spożytkował, gdybym tylko wiedział jak. - Spojrzał Luci w oczy. - Naprawdę nie ma żadnej konieczności, żeby panienki... Przecież mogłyby wyjść za męża. Mógłbym zaopatrzyć je w niewielkie posagi...

Lucia wybuchnęła śmiechem. Tego się nie spodziewała. Myślała, że Jessup będzie ją prosił o dyskrecję, będzie się bał, że wieść o ich związku mogłaby źle wpłynąć na jego reputację zawodową, tymczasem on chciał nie tylko czuć się odpowiedzialny za Lucię, ale zatroszczyć się też o dziewczęta. Miła niespodzianka.

Zwilgotniały jej oczy, a Lucia nie była osobą, która roni łzy na zamówienie.

- Jessupie...

- Mówię całkiem serio, droga Luciu. Po co człowiekowi pieniądze, jeśli nie po to, by się nimi dzielić?

- To nie jest tak, jak może się wydawać. Słyszysz pogłoski, widzisz to, co widzisz, i choć wszystko wskazuje na to, że moje dziewczęta szukają opiekunów, w rzeczywistości rzecz ma się zupełnie inaczej.

Pan Stowe zerknął ponownie ku dużej sali. Angeliqe siedziała właśnie na stole i wymachiwała beztrzesko nogami, pokazując łydki, a Sapphire wachlowała się zawzięcie.

Jessup spojrział ponownie na Lucię.

- Opowiem ci historię, która, uprzedzam, wyda ci się nieprawdopodobna. Uprzedzam cię też, że jeśli mi nie uwierzysz, to pobaraszkuje dzisiaj w nocy, pewnie jeszcze kilka razy powtórzmy to miłe doświadczenie, ale na tym koniec.

Jessup potulnie pokiwał głową.

- To tylko gra. - Lucia wskazała dłonią w kierunku dużej sali. - Podstęp, który ma zmusić niejakiego Blake'a Thixtona do wysłuchania mojej Sapphire.

Widzisz, ona jest Thixtonowna i przyjechała do Londynu po to, by ubiegać się o prawo do noszenia rodzowego nazwiska.

- Nie rozumiem. Jego lordowska mość jest najwyżej dziesięć lat starszy od panny Fabergine. Nie może przecież...

- Wysłuchaj mnie wreszcie, Jessupie. - Lucia nalała mu wina i opowiedziała pokrótce całą historię.

- Po śmierci ojca będzie jej bardzo trudno dowieść zasadności swoich roszczeń, Luciu - powiedział, kiedy skończyła.

- Sapphire ma listy, które jej ojciec pisał do jej matki. Listy miłosne. I klejnot. Wspaniały szafir, który należał do rodziny Thixtonow. Muszą istnieć dokumenty, mówiące o zniknięciu kamienia.

Jessup pokręcił głową.

- Mało prawdopodobne z uwagi na to, że Thixtonowie musieli się domyślić, co się stało z klejnotem. Wiedzieli przecież o miłości Edwarda. Nikomu nie zależało na rozgłaszaniu informacji, że najstarszy syn i dziedzic nazwiska podarował go wiejskiej dziewczynie.

- Była jego żoną - przypomniała Lucia z naciskiem.

- Dobrze, dobrze. - Jessup poklepał ją po dłoni. - Mówię tylko, co powiedzą sędziowie. Nadal jednak nie rozumiem, jaki związek ma to tutaj - wskazał na rozbawione towarzystwo w sąsiedniej sali - z roszczeniami panny Fabergine.

- Chcemy narobić zamieszania i zmusić Thixtonow, żeby uznali Sapphire. Czy to nie wyborny koncept? - Lucia klasnęła w dłonie. - Już rozeszła się pogłoska, że Sapphire szuka możnego protektora, kiedy rozejdzie się kolejna, że jest wzgardzoną przez rodzinę Thixtonówną, na pewno będą chcieli położyć kres skandalowi, który mógłby zbrukać nazwisko.

- Uznając w pannie Fabergine prawą córkę Edwarda, hrabina musiałaby jednocześnie przyjąć, że sama nigdy nie była, z legalnego punktu widzenia, żoną Wesseksa.

- To już Sapphire nie obchodzi, natomiast hrabinie będzie przede wszystkim zależało na tym, by dobrze wydać córki za mąż. - Lucia uniosła palec. - To, że Edward był mężem Sophie, i w związku z tym nie mógł poślubić hrabiny, nie będzie też obchodziło Amerykanina. Tak czy inaczej, obydwójce będą chcieli uniknąć za wszelką cenę skandalu, choć każde dla trochę innych powodów.

Jessup uniosł krzaczaste brwi i wskazał kciukiem sąsiednią salę.

- A to nie jest już skandal?

- Och, oczywiście, że jest, ale inny. Każda Angielka i każdy Anglik kochają romantyczne historie. Co to za problem dla Amerykanina zgodzić się, by Sapphire nosiła nazwisko Thixton? Żaden! Ona nie chce przecież jego pieniędzy!

Jessup skrzywił się na te słowa i Lucia spojrzała na niego pytająco.

- Co się stało? Co ja takiego powiedziałam, na litość boską?

Jessup pokręcił głową.

- Nic takiego, droga Luciu. Nie jestem tylko pewien, czy wasz plan się powiedzie. Byłoby lepiej odnaleźć akt ślubu i dowieść na drodze sądowej, że Edward poślubił Sophie.

- A gdzie mam go szukać? Jessupie, oni wzięli ślub dwadzieścia lat temu. Nie wiem nawet gdzie. Z pewnością nie w Londynie. W jakimś wiejskim kościółku na dalekiej prowincji.

Jessup zaczął bębnić palcami w blat stołu, po czym powiedział:

- Rozejrzę się, jeśli pozwolisz. Zobaczę, co da się zrobić.

- Byłoby wspaniale, tymczasem jednak pozostaniemy przy naszym planie.

- Jeszcze jedno pytanie.

- Bardzo proszę.

- Panna Fabergine... druga panna Fabergine...

- Angeliqne.

- Mówisz, że nie jest spokrewniona z twoją chrześnicą.

- Nie. Są bardzo zaprzyjaźnione, bardzo zżyte, bardziej niż niekiedy siostry.

- Dlaczego w takim razie ona też udaje, że szuka protektora?

- Och, dla zabawy! - Lucia sięgnęła po butelkę, spojrzała na Jessupa i zatrzepotała rękami. - Co dla pana, łaskawco? Życzy pan sobie kropelkę wina czy może całusa?

Rosalind usiadła Blake'owi na kolanach, objęła go za szyję i pocałowała w usta. Goście bawiący się w prywatnej sali na pięterku gospody „Pod Tęgim Kogutem” zareagowali na te czułości śmiechami, klaskaniem i gwizdami, a zebrali się tu dzisiaj przyjaciele Rosalind: aktorki i aktorzy, kilku panów z towarzystwa, jakiś zwiedzający Londyn Francuz, kilka pracujących na ulicy dziewczyn i jakaś brunetka, zapewne kokota. Blake jako jedyny Amerykanin w tym gronie był niewątpliwą atrakcją wieczoru.

Po tym jak zawarł bliższą znajomość z Rosalind na podłodze jej garderoby, rozmawiali chwilę, kiedy zmywała makijaż i przebierała się do kolacji. Dowiedział się od niej, że stał się bardzo głośną postacią wśród londyńskich panien i ich matek - najlepszą partią w mieście.

Rosalind wstała z kolan Blake'a, poklepała się po pupie i pociągnęła do tańca jednego ze swoich kolegów aktorów. Blake odchylił się z krzesłem, aż dotknął ściany, i podniósł do ust szklaneczkę z angielską whisky. Trochę zbyt dużo wypił tego wieczoru. Miał dość. Alkoholu, biesiady w gospodzie, Rosalind, jej prostackich przyjaciół. Najchętniej położyłby się do łóżka, ale wzdragał się na myśl o powrocie do Mayfair.

Zza cienkiego przepierzenia, o które się oparł, dochodziły odgłosy innego przyjęcia; charakterystyczny stuk kości do gry, brzęk szkła, głośne śmiechy mężczyzn. I głosy kobiet.

Cały czas miał wrażenie, że słyszy głos Sapphire Fabergine, jej zmysłowy śmiech... Kiedy zamykał oczy, czuł jeszcze jej wargi na swoich ustach. Do diabła, rzeczywiście za dużo wypił.

Uniósł powieki, odstawił szklaneczkę na stół i podniósł się z krzesła. Zbyt wiele myślał o tej małej awanturnicy. Dotąd udawało mu się traktować kobiety obojętnie, dlaczego akurat ta zaszła mu za skórę?

- A ty dokąd? - zawołała Rosalind, widząc, że Blake kieruje się ku drzwiom. Próbowwała uwolnić się z objęć swojego partnera, ale ten nie chciał jej puścić, pochłonięty pieszczotami.

- Do domu.

- Nie chcesz jechać do mnie? - Rosalind wydeła karminowe usteczka. - Tak cię wykończyłam? - Towarzystwo zareagowało na to pytanie gromkim śmiechem.

Blake uśmiechnął się krzywo.

- W rzeczy samej. Dziękuję i dobrej nocy. - Wziął płaszcz i cylinder z wieszaka i wyszedł na korytarz. Zerknął w stronę sali, skąd dochodziły dźwięki lutni. Nie słyszał teraz głosu Sapphire, być może coś sobie wyimaginował.

Na końcu korytarza, w małej salce, siedzieli przy stoliku jacyś państwo w średnim wieku. Odwróćni plecami, nie widzieli Blake'a. Założył cylinder i zaczął schodzić na dół. Słyszając, że ktoś wchodzi na górę, chciał się odsunąć na bok, ale schody były bardzo wąskie. Musiała to być kobieta, sądząc po lekkich krokach. Zapewne jakaś aktorka albo jeszcze jedna dziewczyna pracująca, bo co miałyby robić w gospodzie dama?

Omiał na nią nie wpadł na półpiętrze, gdzie schody zakręcały o sto osiemdziesiąt stopni.

- Ja..-

Jedno oko zielone. Drugie niebieskie. Wpatrywała się w niego równie zaszokowana jak on. Policzki miała zaróżowione, włosy w lekkim nieładzie, jakby przed chwilą tańczyła... albo się całowała.

A więc jednak to jej głos słyszał.

Sapphire wstrzymała oddech na widok Blake'a. Próbowwała się cofnąć, ale ciasny podest schodów nie pozwalał na wykonanie żadnego manewru, a Blake położył jej dłonie na ramionach, ostatecznie uniemożliwiając ucieczkę.

- Dlaczego nie przeczytał pan listu, który panu wysłałam? - natarła na niego. - Pozbawił mnie pan możliwości wyjaśnienia mu mojego położenia. Tak się nie godzi.

- Godzi się.

- Nie! Jestem Sapphire Thixton, córka... Zasłonił jej usta dłonią, przerywając w pół słowa, przyparł do ściany i pocałował.

Próbowwała go odepchnąć, ale nie była w stanie ruszyć ręką, nie mogła też wydobyć głosu, bo Blake zamknął jej usta pocałunkiem. Miała wrażenie, że zaraz zemdleje, gdy wreszcie Blake oderwał wargi od jej ust, by zacząć pieścić ucho.

- Jak to jest? - szepnęła. - Zadaje się pani z fircykami, a ja nie jestem dla pani dość dobry? Mam wystarczająco pieniędzy, żeby wszystkich ich kupić i sprzedać.

- Nie wiem, o czym pan mówi. - Sapphire odwróciła głowę.

- Myślę, że pani wie. Widziałem, jak się do nich mizdrzyłaś dzisiaj w teatrze, słyszałem pani perlisty śmiech. Co pani robi? Po co otaczasz się tymi pajacami?

- A panu co do tego? Proszę mnie puścić. Proszę mnie natychmiast puścić albo...

- Albo co? - zapytał z wyraźną kpiną w głosie. - Co mi zrobisz, panno Fabergine? Zmusisz mnie, żebym pocałował panią jeszcze raz?

- Niech pan nie będzie śmieszny. Ktoś zaraz zacznie mnie szukać, a wtedy...

- Nie zobaczy nic niezwykłego. Spędziła pani cały wieczór w towarzystwie mężczyzn, którzy się do pani umizgiwali, bo nie przerabialiście chyba deklinacji łacińskich?

Sapphire, bliska wybuchu, wzięła głęboki oddech.

- Zapewniam, że ci panowie są zbyt dobrze wychowani, by któryś z nich miał w jakikolwiek sposób uchybić kobiecie. To prawdziwi dżentelmeni.

- A to ciekawe. Słyszałem coś zupełnie innego. Otóż mówi się, że panny Fabergine szukają możliwych protektorów. Ci panowie na górze tylko czekają, któremu z nich przypadnie w udziale ta przyjemność. Jaką stawia pani cenę? Dobrze mieszkanie, otwarty rachunek u krawcowej, modystki, powóz, to oczywiście, ale chciałbym wiedzieć, ile mają wynosić miesięczne apanaże. - Blake ciągle blokował przejście, tak że Sapphire stała przy ścianie, nie mogąc wykonać najmniejszego ruchu.

- Dla pana nie ma to najmniejszego znaczenia, panie Thixton, ponieważ pańskiej kandydatury nie biorę pod uwagę.

Blake zaniósł się głośnym śmiechem, czym najpierw wystraszył Sapphire, a potem przyprowadził o wściekłość.

- Nie pochlebiaj sobie, panno Fabergine. Nie jestem zainteresowany ofertą. - Podniósł cylinder z podłogi i ruszył w dół. - Pytałem z czystej ciekawości - rzucił jeszcze przez ramię, nasadził cylinder na głowę i zniknął za zakrętem schodów.

- Sapphire, skarbie? - rozległ się głos Luci.

Sapphire wzięła głęboki oddech, przywołała uśmiech na twarz, zebrała sute spódnice i zawołała:

- Idę już.

Ciotka czekała na nią u szczytu schodów w towarzystwie pana Stowe'a.

- Gdzie byłaś? - zapytała wyraźnie zaniepokojona. - Masz wypieki. Dobrze się czujesz? - Położyła jej dłoń na czole.

Sapphire się cofnęła.

- Zeszłam tylko na dół do wygodki. - Zerknęła na pana Stowe'a i uśmiechnęła się do Luci. - Mam chyba migrenę. Nie powinniśmy już wracać do domu?

- Mówię Angelique od pół godziny, że wracamy, ale ona uparła się tu jeszcze zostać. Sama z panami. Nie zgodziłam się. Wykluczone. Jakies pozory musimy jednak zachować.

- Zawołam powóz, jeśli panie pozwolą - powiedział pan Stowe i zniknął.

- Na pewno dobrze się czujesz? - zapytała Lucia ponownie. - Panowie, którzy wam dzisiaj towarzyszyli, wydawali się całkiem mili, ale z mężczyznami nigdy nic nie wiadomo.

- Dobrze się czuję, ciociu. Boli mnie tylko trochę głowa i... - Sapphire się zawahała. - Spotkałam na schodach pana Thixtona.

- Dobry Boże. Musiało się tak zdarzyć. Był w sąsiedniej sali, z aktorkami i aktorami z dzisiejszego przedstawienia.

Sapphire uniosła brwi. Aktorki, aktorzy? Ludzie pośledniej konduity, niemający wstępu na salony? Właściwie nie powinno jej dziwić, że Blake Thixton może czuć się

dobrze w takim towarzystwie. Po tym człowieku można było spodziewać się wszystkiego, co najgorsze.

- Rozumiem, że nie była to najlepsza okazja, by pytać, czy zechce zastanowić się nad twoimi roszczeniami? - Lucia przyglądała się bacznie chrześnicy.

Sapphire odwróciła wzrok.

- Nie pytałam. Raz próbowałam i więcej nie będę go prosić. Teraz on będzie musiał prosić mnie o wysłuchanie. - Sapphire położyła dłoń na ramieniu ciotki. - Pójdę po Angelique. Nie chcę, żeby pan Stowe czekał na nas za długo. Wyciągnę ją choćby za włosy, jeśli będzie trzeba.

Lucia się zaśmiała.

- Kto wie, czy nie będziesz musiała.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Hrabina Wessex opuściła woalkę przy nowym paryskim kapeluszu i weszła do przedsionka kościoła.

- Pospieszcie się - przynagliła idące za nią posłusznie córki - bo znowu się spóźnimy, a mężczyźni bardzo tego nie lubią.

- Jak niby mam się pospieszyć? - Camille drobiła małymi kroczkami za matką. - Ta nowa suknia tak mnie pije, że oddechu wziąć nie mogę. Jeszcze przy ostatniej przymiarce mówiłam, że jest za ciasna.

- To mnie ją daj, jak za ciasna - szepnęła Portia, zrównując się z Camille, a najmłodszą z sióstr zostawiając w tyle. — Od tylu tygodni nie mogę się doprosić nowej sukni. Lord Carter na pewno...

- A kogo obchodzi lord Carter? Najpierw ja muszę wyjść za mąż. Mama obiecała, że mnie wyda pierwszą.

- Tak? A za kogo, jeśli wolno wiedzieć? - zainteresowała się Portia. - Wszystkich odstraszasz ciągłymi fochami. Cała czwórka szła właśnie tonącą w półmroku nawą główną.

- To nieprawda, powiedz, mam? - rozległ się piskliwy głos Camille. - Wcale nie odstraszasz kawalerów. Ja tylko mam swoje wymagania, czy nie tak?

- Dość tego, moje panny. - Wdowa Wessex uniosła wysoko głowę. - Jesteśmy w bożym domu. Powinniście wejrzeć teraz w swoje serca i ukorzyć się przed Panem, jak przystało na dzień święty. - Weszła do trzeciej ławki od frontu, po lewej.

Ledwie hrabina Wessex zajęła miejsce, a za nią panienki, pojawił się kapłan i wierni podnieśli się, by odśpiewać pierwszy psalm. Hrabina Wessex odnalazła właściwą stronę w śpiewniku, po czym zwróciła głowę ku swojej drogiej przyjaciółce, lady Wellington.

- Bałam się już, żeś może chora - szepnęła ta ostatnia, nie podnosząc wzroku.

- Spóźniłam się, wiem. Tyle teraz obowiązków w domu, kiedy znowu trzeba zająć się mężczyzną.

- Tak. Nowy hrabia Wessex, ten Amerykanin. Bardzo jest wymagający?

- Jak każdy mężczyzna.

Hrabina Wessex zerknęła dyskretnie na Camille.

- Spodobała mu się Camille?

- Całkiem, całkiem, można powiedzieć - przytaknęła hrabina i odśpiewała kilka słów psalmu.

- Dzień dobry - odezwała się lady Marlboro z ławki za plecami hrabiny.

Kilkoro wiernych spojrzęło na rozgadane damy z wyraźną naganą. Lady Marlboro trochę nie dosłyszała i stąd mówiła głośniejszym głosem niż trzeba.

- Dzień dobry, lady Marlboro – odpowiedziała hrabina Wessex przez ramię, po czym, słysząc, że Camille ciągle konferuje z Portią na temat sukni, pociągnęła najstarszą córkę za ucho.

- Auu!

- Ciii! - skarciła je jakaś dama z drugiej ławki.

- Widziałas ich! - zapytała lady Marlboro całkiem głośno, pewna, że szepcze.

Wierni, którzy zaczęli śpiewać jeden z hymnów Johna Masona Neale'a, spoglądali na hrabinę Wessex i jej przyjaciółki z coraz większą dezaprobatą, ale nie śmieli im powiedzieć, żeby się uciszyły. Były zbyt znaczącymi postaciami w towarzystwie, każda z innych powodów, i nikt nie mógł sobie pozwolić na jawne obrażanie jednej czy drugiej. Mąż lady Wellington cieszył się wielkim zaufaniem króla Wilhelma i miał wpływ na rozdział mandatów w parlamencie. Z kolei mąż lady Marlboro piastował ważny urząd w Sądzie Dyspensowym, który decydował o nadawaniu rozmaitych przywilejów osobom niemającym do nich wcześniej tytułu. Hrabina Wessex znalazła się w centrum zainteresowania socjety z chwilą pojawienia się w Londynie dziedzica jej męża. Zaproszenie na jeden z jej balów, nawet na skromną herbatkę, było traktowane jak wyróżnienie i atrakcja towarzyska, a ludzie nie lubią pozbawiać się dobrowolnie wyróżnień, nie uczestniczyć w atrakcjach sezonu, tym bardziej że wszyscy oczekiwali z dnia dzień wieści o zaręczynach najstarszej panny Stillmore, Camille, z amerykańskim Wesseksem i cały Londyn plotkował tylko o tym.

Wdowa Wessex odchyliła się do tyłu. - Kogo miałam widzieć, moja droga?

- Te panny, które były na twoim przyjęciu. - Lady Marlboro przybrała oskarżycielski ton. - Ta ładna ruda, co ją widziano z Wesseksem. I jej niby siostra, choć to pewnie żadna siostra, dość popatrzeć na kolor jej skóry. - Wskazała ławkę po drugiej stronie nawy.

- Nie słyszałaś? - zapytała na cały głos.

- Że lady Carlisle prosiła, by opuściły jej dom? Słyszałam oczywiście.

- Nie! - zawołała lady Marlboro. - Nie do wiary, że nic nie słyszałaś. Nie widziałas ich w teatrze wczoraj wieczorem?

- Mówże, co to za historia?

- Ponieważ lady Carlisle wymówiła im gościnę, to panna Fabergine i ta ciemnoskóra poszły na utrzymanki.

- Nie!

- Nie! - zawtórowała przyjaciółce lady Wellington.

- Najszczęsza prawda - zapewniła lady Marlboro.

- Szukają opiekunów. Przyjmują oferty.

- To szokujące. - Lady Wellington położyła dłoń na ramieniu hrabiny Wessex i spojrzęła jej w twarz. - Jak to dobrze, że Carlisle'owie wyrzucili je z domu. Cóż za nieobyczajność.

- Dobrze, że ta ruda nie ma krewnych w Anglii, tyle tylko powiem - stwierdziła lady Marlboro autorytatywnie. - Taki skandal okryłby hańbą całą rodzinę.

- I pomyśleć, żeś zaprosiła pannę Fabergine do swojego domu. - Lady Wellington uściskała dłoń przyjaciółki. - Wtedy nie mogłaś wiedzieć, jak się sprawy potoczą i jakiego to pokroju dziewczyna.

- Nie miałam pojęcia. Były gośćmi Carlisle'ow, dopiero co przyjechały z Martyniki. Po prostu wysłałam zaproszenia i dla nich, bo tak wypadło.

- Nikt nie mógł wiedzieć - zgodziła się lady Marlboro. - Skandaliczna sytuacja.

Hymn dobiegł końca, kapłan dał znać i wierni usiedli. Hrabina Wessex umościła się na poduszce i spojrzała na córki. Co też musi przeżywać teraz biedna lady Carlisle, pomyślała ze współczuciem. Wpuścić kogoś tak nieodpowiedniego do własnego domu. Dobrze chociaż, że wszystkie jej dzieci zdążyły już wejść w związki małżeńskie.

Hrabina Wessex zamknęła śpiewnik, złożyła dłonie w małą rzynek i przygotowała się wewnętrznie na rozpoczęcie kazania. Pastor specjalizował się w długich i potwornie nudnych kazaniach, ale hrabinie nie przeszkadzało to ani trochę, przeciwnie, każdej niezdzieli wyczekiwała kazania, bo wtedy mogła układać w głowie menu na cały tydzień.

- Dziękuję, że się pan do mnie pofatygował, panie hrabio - powiedział Jessup i odchrząknął. - Mam nadzieję, że miło spędza pan czas w Londynie.

- Niemiło. - Blake zajął ten sam fotel, w którym siedział podczas pierwszej wizyty w kancelarii rejenta. - Hrabina Wessex jest najbardziej irytującą osobą, jaką zdarzyło mi się spotkać. Mówi tyle, że człowiek nie słyszy własnych myśli, nie mówiąc już o tym, żeby miał szansę wtrącić słowo.

- A jej córka Camille? - Rejent, zerkając zza okularów w złotych oprawkach, pozwolił sobie na domyślny uśmiešek. - Rozumiem, że raczej ku niej kieruje pan uwagę. Bardzo rozsądnie, chociaż w rodzinie nie ma żadnych pieniędzy. Jej ojciec, lord Danby, pierwszy mąż hrabiny Wessex, był człowiekiem o bardzo znacznej pozycji, powszechnie przy tym szanowanym. Jego majątek też przeszedł na jakiegoś dalekiego krewnego, jak się domyślam.

- O czym pan mówi? - Blake źle spał ostatniej nocy, w ogóle ostatnio marnie sypiał, chciał jak najszybciej wrócić do Bostonu. - Obawiam się, że nie potrafiłbym nawet powiedzieć, która to Camille. - Blake zrobił kwaśną minę na myśl o kościstych jedna w drugą pannach z paskudną cerą. - Zamieniłem wszystkiego kilka słów z córkami hrabiny Wessex, nie mogę powiedzieć, by należały do rozmownych.

Stowe utkwiał spojrzenie w dokumentach leżących na biurku.

- Cóż... Zatem...

- Cóż zatem? - zniecierpliwiał się Blake. - Wezwał mnie pan dla określonej przyczyny. Mam podpisać jakieś dokumenty, może spłacać kolejne długi?

- Owszem, jest kilka dokumentów, wymagających pańskiego podpisu, ale też...

Pojawiła się pewna delikatna kwestia.

Blake czekał.

- Pewna młoda dama... - Stowe z największym wysiłkiem szukał właściwych słów. - Pewna młoda dama utrzymuje, że jest prawowitą córką nieboszczyka Edwarda Wesseksa.

Blake poderwał się z fotela.

- Do pana też już dotarła? Ta mała, podstępna... - Przesunął dłonią po czole i zaczął chodzić nerwowo po gabinecie. - Natrętna, bezczelna intrygantka. Oszustka - pomstował bardziej do siebie niż do rejenta.

- Rozmawiał pan już z nią, milordzie?

- To naciągaczka. Od dnia przyjazdu do Londynu opędzić się nie mogę od jej podobnych. Nachodzą mnie tabunami, próbując wyłudzić pieniądze, domagając się świadczenia przysług.

- Ta... - pan Stowe nabrał powietrza w płuca -... młoda dama nie chce ani pieniędzy, ani nawet przysług. Pragnie tylko być uznaną za prawowitą córkę hrabiego Wesseksa.

- Jakim cudem miałyby być córką Wesseksa? Jego pierwsza żona, pierwsza, o której ja wiem, zmarła przy porodzie, osiemnaście lat temu, dziecko też. Z obecną hrabiną ożenił się dwanaście lat temu i była jego drugą żoną...

- Młoda dama, o której mówimy, nazywa się Sapphire Fabergine...

- Wiem, jak się nazywa. Prześladowuje mnie od kilku tygodni.

Pan Stowe milczał przez chwilę, po czym podjął:

- Twierdzi, że jej matka była legalnie poślubioną żoną hrabiego Edwarda Wesseksa. Mieli wziąć ślub mniej więcej dwadzieścia lat temu. To była prosta, wiejska dziewczyna i rodzina lorda Edwarda nie zaakceptowała tego związku. Młoda żona została ponoć porwana i wysłana przemocą do Ameryki, gdzie urodziła córeczkę, pannę Sapphire, z czego należałoby wnosić, że obecna hrabina jest trzecią żoną... w pewnym sensie.

- Niebywała historia! Kłamstwo na kłamstwie, a wszystko po to, by zdobyć pozycję w londyńskim towarzystwie.

- Owszem, taka historia wydaje się niemożliwa, milordzie, ale czasami najbardziej fantastyczne opowieści okazują się prawdziwe. Nie byłby to pierwszy przypadek, kiedy szanowana, utytułowana rodzina usiłuje wymazać ze swoich annałów uwłaczający jej statusowi związek. Mając to na uwadze, chciałem zapytać, czy jego lordowska mość miałby coś przeciwko temu, bym podjął się sprawdzić zasadność roszczeń panny Fabergine. Bez żadnych kosztów, ma się rozumieć - dodał Jessup pospiesznie.

Blake się zatrzymał, położył dłoń na oparciu fotela. Rejent znowu go zaskoczył, a Blake lubił być zaskakiwany, bo rzadko mu się to zdarzało. Jessup Stowe okazał się człowiekiem o silniejszym charakterze, niż można było wnosić z pozorów.

- Nie wierzę, że ta panna niczego nie chce i że zależy jej tylko na nazwisku. Jest po prostu bardziej przebiegła od innych. Ona liczy na pieniądze, których, jak obaj dobrze wiemy, nie ma.

- Proszę podpisać te dokumenty, milordzie. - Pan Stowe podsunął Blake'owi papiery i pióro umaczone w inkauscie.

Blake nachylił się nad biurkiem, by złożyć swój podpis.

Pan Stowe odczekał chwilę i zapytał:

- Zatem nie ma pan nic przeciwko temu, bym sprawdził zasadność roszczeń panny Fabergine, milordzie?

Blake podniósł dłoń i odwrócił się ku drzwiom.

- Rób pan, co chcesz, Stowe, byleś załatwił wszystkie konieczne formalności. Chciałbym jak najszybciej móc wyjechać z Anglii.

- Dokąd idziesz, kochanie? - zapytał Jessup, patrząc, jak Lucia podnosi się z pościeli i przechodzi przez sypialnię, niczym się nie okrywając. Miał wrażenie, że serce wyskoczy mu z piersi; nigdy, przez wszystkie lata małżeństwa jego droga Emma nie pokazała mu się nago. - Wracaj - poprosił.

- Mówiłam ci, Jessupie. Dziewczęta. Muszę jechać do domu. - Podeszła do stojącego w kącie fotela i włożyła szlafrok.

- A ja? Nie wiem, co począć z sobą, kiedy zostawiasz mnie samego i zaraz zaczynam tęsknić za tobą.

Lucia zaśmiała się, podeszła do łóżka i przysiadła na jego skraju.

- Co masz robić? To samo co każdy mężczyzna, który kochał się z kobietą. Przewrócisz się na bok i zaśniesz, zanim moja dorożka ruszy.

Jessup ujął jej dłoń i przycisnął do policzka. Lucia pachniała tak pięknie, tak wspaniale było czuć ją blisko siebie, tuż obok, że za nic nie chciał się z nią rozstawać.

- Jeszcze kilka minut, Luciu, potem sam odwiozę cię do domu.

- Nie będziesz mnie odwoził po nocy, nie zgadzam się. Jestem dość niezależna, żeby wrócić samej do domu. - Pochyliła się i pocałowała go lekko w usta. - Ale to miłe, że aż tak mnie pragniesz.

- Ja cię nie pragnę, Luciu. Ja cię kocham. Uśmiechnęła się. Chciała wierzyć Jessupowi, ale zbyt dobrze знаła mężczyzn, by dawać wiarę ich słowom.

- Być może uda mi się przyjść jutro wieczorem. Sapphire i Angelique mają zaproszenie na jakieś przyjęcie. Chcą, żebym im towarzyszyła, ale pomyślałam, że spędzę tę noc z tobą. Jestem już za stara na przyjęcia; w moim wieku takie przyjemności zaczynają być męczące.

- W twoim wieku? - Jessup ucałował jej dłoń. - Jesteś dwakroć piękniejsza niż kobiety o połowę od ciebie młodsze.

- A ty skąd możesz wiedzieć, ile mam lat? Jessup się uśmiechnął.

- Zgaduję.

- Zgaduj, bo ode mnie się nie dowiesz. Naprawdę muszę się zbierać, ale jeszcze wrócę, przyrzekam. - Chciała się podnieść, ale Jessup przyciągnął ją do siebie.

- Mam do powiedzenia coś, co może sprawić ci przyjemność. Zostaniesz jeszcze chwilę, by mnie wysłuchać?

- Cóż takiego chcesz mi powiedzieć? Że hrabia Wessex zmienił zdanie i gotów jest udzielić audiencji mojej Sapphire? - Dotknęła palcem czubka nosa Jessupa. - Albo, jeszcze lepiej, pozbawił hrabinę Wessex wszelkich praw do nazwiska i oświadczył formalnie, że matka Sapphire była jedyną prawną żoną lorda Edwarda i że przy najbliższej sprzyjającej okazji ogłosi rzecz publicznie.

- Nie mam aż tak dobrych wiadomości, moja droga Luciu, ale za to brzmią realistycznie.

Lucia pogładziła go po policzku.

- Słucham.

- Hrabia Wessex nie wierzy, że Sapphire mówi prawdę...

- Skąd on może wiedzieć? Dopiero przyjechał z Ameryki...

- Dasz mi dokończyć, moja droga? Lucia zacisnęła usta i pokiwała głową. Jessup odchrząknął i zaczął raz jeszcze:

- Hrabia Wessex nie wierzy, że Sapphire mówi prawdę, ale zgodził się, bym zbadał tę sprawę.

- Jessupie, to wspaniale! - Lucia zarzuciła mu rękę na szyję. - Dlaczego od razu mi tego nie powiedziałeś?

Jessup pogłaskał ją po głowie i pocałował w usta.

- Nie dałaś mi szansy, najmilsza.

- Głuptas - mruknęła Lucia, okrywając jego twarz pocałunkami. - Nie powinienes zwracać na mnie uwagi, tylko mówić. - Uniosła lekko głowę i spojrzała na Jessupa przeciągle. - Chcesz, żebym jeszcze trochę została? - zapytała, wsuwając dłoń pod kołdrę.

- Odrobinę dłużej - odparł i w oczach zabłyśły mu wesołe iskierki. - Może będę miał jeszcze coś dla ciebie...

- Nie odchodź. - Clarabelle zrobiła błagalną minę i przysiadła na piętach w pościeli, okrywając się kołdrą.

- Jeszcze nie teraz - zawtórowała jej siostra bliźniaczka, Clarissa, przysiadając obok Clarabelle. Obie miały długie rude włosy, spływające w gęstych splotach na plecy i były identyczne: odróżniał je tylko po tym, że Clarissa miała zmysłowy pieprzyk nad wargą.

Blake rozważał w milczeniu prośbę bliźniaczek. Od wielu godzin trawił czas w ich mieszkaniu i choć chwalił sobie miłe towarzystwo, czegoś tu nie dostawało. Dziewczęta starały się sprawić mu rozkosz na wszelkie sposoby i nie brakowało im inwencji w tej materii, ale Blake ciągle był niespokojny: kochając się z bliźniaczkami, ani na chwilę nie mógł zapomnieć innej rudowłosej damy.

- Nie chcemy, żebyś wychodził. - Clarabelle wydeła usta i odrzuciła kołdrę, wabiąc Blake'a nagością.

Podniecające, owszem, ale nie dość podniecające, pomyślał Blake i zaczął wciągać spodnie, które wcześniej złożył starannie na fotelu obok łóżka. Dom urządzony był luksusowo, ze smakiem. Bliźniacze kokoty nie narzekały na braki finansowe, a to dzięki dużemu wzięciu, przede wszystkim jednak dzięki usługom świadczonym na królewskim dworze.

Blake włożył koszulę. Dawno minęła północ i był już mocno zmęczony. Za dużo wypił tego wieczoru, zjadł zbyt obfity kolację. Rano miał być w biurze armatora i musiał wypocząć. Postanowił wracać do Ameryki, niezależnie od tego jak dalej potoczą się sprawy w Londynie. Zostawi pełnomocnictwa rejentowi i niech ten finalizuje sprawę przejęcia spadku, niech podpisuje za niego wszelkie dokumenty. On wraca do Bostonu, tam jest jego życie.

- Jak możesz zostawiać nas same w tym ogromnym łożu? - nadąsała się Clarissa i szeroko otworzyła wielkie błękitne oczy.

Blake wzuł buty, włożył surdut i ruszył ku drzwiom eleganckiego buduaru.

- Pieniądze zostawiam na komódce. Clarabelle natychmiast zainteresowała się banknotami.

- Przyjdiesz jutro wieczorem? - zapytała, widząc, jak hojnie Blake wynagrodził ich starania. A on nie zważał na pieniądze, miał ich tyle, że obecnego majątku wystarczyłoby mu do końca życia, bez pomnażania.

- Dobranoc. - Uniósł dłoń w geście pożegnania i wyszedł.

Kilkanaście minut później wchodził do rezydencji Wesseksów w Mayfair. Kamerdyner, drzemiący na krześle w holu, zerwał się na widok Blake'a.

- Milordzie - skłonił głowę z taką miną, jakby w ogóle nie przysnął.

- Kładź się, Preston. Nie będziesz mi już potrzebny. Mówiłem ci tyle razy, że jak mnie do jedenastej nie ma w domu, nie czekaj dłużej. - Podał mu płaszcz i cylinder.

- Milordzie?

Blake już miał odejść; zatrzymał się w pół kroku, potarł skronie, czując, że zaczyna się migrena, która tak szybko nie ustąpi.

- Tak? - zapytał, nie odwracając się.

- Hrabina Wessex - zaczął Preston z wahaniem - czeka na pana w salonie.

Blake dopiero teraz spojrzał na Prestona, jakby nie bardzo rozumiał, o czym kamerdyner mówi.

- O tej porze? - zapytał z niedowierzaniem. - Dochodzi druga.

- Tak, milordzie. - Preston znowu skłonił głowę, wbijając wzrok w lśniącą posadzkę.

W pierwszej chwili Blake miał szczerą ochotę iść prosto do swojej sypialni i niechby stara wrona czekała sobie na niego choćby do rana, ale ruszył w stronę salonu.

- Chciała pani ze mną mówić? - zapytał, nie siląc się na zainteresowanie, bo też, prawdę mówiąc, zupełnie go nie obchodziło, o co może chodzić wdowie.

Na widok Blake'a hrabina Wessex przyłożyła chusteczkę do oczu teatralnym gestem.

- Dzięki Bogu, że pan wrócił. Doszły mnie bardzo niepokojące wieści, którymi chciałam się jak najszybciej podzielić.

Blake patrzył na wdowę w milczeniu, usiłując zmusić do pracy przymglony spożytą szkocką umysł. Co też ta stara wrona mogła mieć mu do przekazania, że musi wyczekać na niego po nocy? Nie wierzył, by było to coś ważnego.

- Tak, słucham?

Hrabina Wessex podeszła bliżej, spuszczać skromnie wzrok.

- Otóż - zaczęła - zna pan młodą damę, która gościła u lady i lorda Carlisle, ale musiała opuścić ich dom z powodu niestosownego zachowania.

Blake zmarszczył czoło.

- Nie mam pojęcia, o kim pani mówi.

- Chodzi o młodą damę, którą widziano z panem sam na sam, milordzie.

- Kiedy? - W głosie Blake'a zabrzmiała nuta zniecierpliwienia.

- Mówię o Sapphire Fabergine.

Teraz wreszcie Blake okazał zainteresowanie i wytrzeźwiał momentalnie.

- Proszę wybaczyć, że poruszam tak delikatną kwestię - ciągnęła wdowa.

- Proszę mówić dalej.

- Dwa, trzy tygodnie temu rozpuściła wieść, że szuka opiekuna, który dałby jej utrzymanie.

- A tak, słyszałem, słyszałem. Ale co to ma wspólnego ze mną, na litość boską? - zapytał Blake, nie kryjąc irytacji.

- Milordzie... - w oczach wdowy zalśniły łzy - ta dziewczyna rozpuszcza obrzydliwe plotki, jakoby była prawowitą córką mojego nieboszczyka męża - oznajmiła takim głosem, jakby za chwilę miała zemleć.

Blake jęknął cicho, widząc, że hrabina gotowa osunąć się na podłogę.

- Może powinna pani usiąść - powiedział. Wdowa wyciągnęła ku niemu dłoń, którą nie było wyjścia, musiał ująć.

- Trochę kręci mi się w głowie - przyznała słabo. Blake podprowadził ją do kanapki.

- Nie wiem, co robić. To oczywiście nieprawda.

- Otarła usta chusteczką. - Nie chcę tylko, by pan pomyślał, że nasza rodzina... że moja córka, Camille, miałyby...

- Cóż, na Boga, ma z tym wspólnego pani córka; Camille?! - wykrzyknął Blake.

- Milordzie, jeśli ma pan poważne zamiary wobec mojej najstarszej...
 - Zamiary wobec pani najstarszej? - Blake do reszty zbaraniał. - Szanowna pani, nie chciałbym okazać się niegrzeczny, ale nie wiem, czy zamieniłem słowo z pani najstarszą córką. Nie jestem nawet pewien, czy wiem która to. - Przypomniał sobie, że pan Stowe też wspominał coś o Camille. Czyżby po londyńskich salonach krążyły już plotki, że stara się o córkę hrabiny Wessex? Co ta kobieta właściwie sugeruje?
 - Milordzie, wiem, że to bardzo delikatna kwestia - ciągnęła wdowa, jakby nie słyszała słów Blake'a - ale zapewniam pana, że w opowieściach tej młodej damy nie ma ani słowa prawdy. Po prostu próbuje coś wyciągnąć ze spuścizny po moim nieboszczyku mężu.
 - Której nie zostawił - zauważył Blake z przekąsem.
 - Tak czy inaczej, nie powinno to w żaden sposób wpłynąć na pana uczucia dla mojej córki, a pańskie zamiary wobec niej...
 - Nie mam żadnych zamiarów wobec niej! Czy pani nie słyszy, co mówię?
 - Taki skandal, mimo że to wszystko kłamstwo. Wiedziała, że to będzie nieszczęście, wiedziała...
- Blake okręcił się na pięcie i ruszył do drzwi.
- A pan dokąd, milordzie? - zawołała wdowa, podnosząc się z kanapki.
 - Nie wiem - rzucił Blake przez ramię - jak najdalej od tego domu.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- A niech to - mruknęła Angelique, spoglądając na zegar. - Powinnam już iść.
 - Nie idź. - Henry przerzucił rękę przez jej brzuch i pocałował ją w ramię.
 - Muszę. Jeśli nie wrócę, Sapphire nie zmruży oka przez całą noc. - Potarosiła mu czuprynę i usiadła na krawędzi łóżka.
 - Zostawiasz nas? - Charles podniósł głowę z poduszki. Głos miał zachrypnięty od nadmiaru alkoholu, a oczy przekrwione od niewyspania.
 - Charles, mówiłam ci, że nie mogę zostać na noc - powiedziała zniecierpliwiona. Nie przepadała za Charlesem; miał nieporównanie więcej pieniędzy niż Henry, za to w łóżku był zupełnie do niczego.
 - Spojrzała na niego spod oka. - Naprawdę mógłbyś się wykapać.
 - Ale ja chciałbym się z tobą jeszcze kochać.
 - Jesteś nienasycony.
 - Ja też jestem nienasycony - przyłączył się Henry. Próbował chwycić Angelique w pól, gdy podniosła się z łóżka, ale dostał po łapach.
 - Obaj jesteście jak małe, zachłanne dzieci. Dwa prosiaki, które nigdy nie mają dość. Wiecie, co robimy z takimi prosiakami na Martynice? - Stała obok łóżka, zachwycająca w swojej nagości i nalała sobie sherry z opróżnionej niemal do dna karafki.
 - Zarzynamy, wrzucamy do garnka i mamy gulasz na niedzielę. - Wypiła łyk, podała kieliszek Henry'emu, ten też upił odrobinę i przekazał z kolei kieliszek Charlesowi.
- Charles i Henry wspólnie wynajmowali mieszkanie w Temple Gardens, u niejakiej pani Talbot, która, co Angelique wiedziała z całą pewnością, bardzo chętnie przyjmowała czynsz od swoich lokatorów w naturze. Mieszkający u niej studenci uważali, że to głupie, ale niejeden korzystał z takiej możliwości, kiedy po hulankach robiło się pusto w

kieszeni. Wszyscy lekceważyli panią Talbot, Angelique natomiast bardzo ją lubiła i podziwiała za to, że jest niezależna finansowo, a przy okazji potrafi też uszczknąć trochę przyjemności dla siebie.

- Rozmawialiście z Sapphire o balu? - zapytała Angelique, przysiadając na krawędzi fotela i przykręcając lampę olejową. Zaczęła naciągać pończoszkę. - Charles, rozmawiałeś z Sapphire? - powtórzyła z naciskiem.

- Sto razy. - Charles dopił sherry, upuścił kieliszek na dywan koło łóżka, położył się na plecach i zamknął oczy. - Muszę ci wyznać, że cierpliwość nie jest moją mocną stroną. Wydałem fortunę na zaloty, a za to ledwie mogłem posmakować jej warg w przelotnym pocałunku.

- Tłumaczyłam ci od samego początku, że ona nie jest taka jak ja - zirytowała się Angelique. - Chcesz ją czy nie? - zapytała, naciągając ze złością drugą pończoszkę.

- Chcę. Wiesz, że chcę. Niech ją diabli. Kilka dni temu omal się jej nie oświadczyłem.

- Naprawdę? - Angelique podniosła się, wzięła buty i sięgnęła po zmiętą koszulę. - Nic mi nie mówiła, ale na pewno przyjmie twoje zaproszenie na bal.

- Nie wiem. - Charles spochmurniał. - Ona chyba woli Salmons.

- Salmons przy tobie to zero, mój drogi. - Henry klepnął przyjaciela w goły brzuch i Charles dał mu po łapach, oganiając się od niego jak od muchy.

- Nie jestem przyzwyczajony nie dostawać tego, na co mam ochotę.

- Mówiłeś serio? - zapytała Angelique, ubierając się. - Mam na myśli te oświadczyzny. Chciałbyś się ożenić z Sapphire?

Charles wzruszył ramionami.

- Podejrzewam, że z kimś będę musiał w końcu się ożenić, a małżeństwo z Sapphire doprowadziłoby rodziców do szewskiej pasji, biorąc pod uwagę, jaką cieszy się reputacją. Już tylko dla tego jednego warto byłoby skusić się na ślub.

- Sapphire chce wyjść za mąż za porządnego człowieka.

- Ja mogę zaręczyć za Charliego. Nigdy nie spotkałem porządniejszego człowieka niż on. - Henry znowu chciał go klepnąć, ale Charles w porę chwycił jego dłoń.

- Nie wiem, czy byłbyś dla niej odpowiednim kandydatem - stwierdziła Angelique, wkładając różową suknię.

- A to co niby ma znaczyć? Moja rodzina...

- Twoja rodzina - przerwała mu Angelique - zbiła majątek w ostatnich trzech pokoleniach, wyzyskując innych. Jej rodzina, zamożna czy nie, wywodzi się od królów.

- Musiałbym zobaczyć jeszcze dowód, że tak jest w istocie - powiedział Charlie z wyższością.

- Nie będziesz mówił o mojej Sapphire takim tonem, lordzie Thomasie. - Angelique podeszła do łóżka. - Cofnij to natychmiast albo Sapphire dowie się, jakie nieprzystojne brewerie dzisiaj wyczyniałeś.

Charles nadąsał się jak małe dziecko.

- A ona będzie się gniewać na mnie, nie na ciebie?

- Sapphire mnie kocha.

- Ja cię kocham - powiedział Henry i ucałował dłoń Angelique.

- Wiem, kotku. Teraz tak ci się wydaje. - Musiał urządzić mieszkanie własnymi sprzętami, pomyślała. Zegar stojący był roboty Aleksa Kelta, a dywany szlachetnej urody. Henry może nie ołsniewał od pierwszego wejrzenia, ale było w nim coś solidnego.

- Naprawdę. - Usiadł w łóżku przejęty własną deklaracją. - Ożenię się z tobą. Pal diabli Portię. Pal diabli, co powiedzą rodzice. Niech mnie wydziedziczą, a ja i tak się z tobą ożenię.

- I sądzisz, że wyszłabym za ciebie, gdybyś został bez grosza przy duszy? - Angeliqne odwróciła się z uśmiechem i przysiadła na łóżku. - Zapnij mi suknię, naprawdę muszę już iść. Kiedy uporał się z suknią, nachyliła się i pocałowała go mocno w usta.

- Zobaczą cię jutro?

- Już jest przecież jutro - powiedziała i pomyślała sobie po cichu, że lubi Henry'ego znacznie bardziej niż powinna.

- W takim razie zapytam inaczej: zobaczą cię dzisiaj wieczorem?

Angeliqne wzruszyła ramionami.

- Istnieje taka możliwość. - Przechyliła się nad Henrym i pocałowała Charlesa w usta. - Pa, mój słodki.

- Powtórz Sapphire, że pytałem o nią, i powiedz za mną dobre słowo - poprosił Charles przymilnie.

Angeliqne wzięła jedwabną pelerynę, torebkę z paciorków i ruszyła ku drzwiom.

- Powtórzę i powiem dobre słowo - obiecała.

- Śpijcie smacznie, panowie. - Pomachała im jeszcze ręką na dobranoc i już jej nie było.

- Panienska chciałaby jeszcze zielonej wstążki, panno Sapphire? - Avena starała się wymawiać każde słowo poprawnie i wyraźnie. - Polecę raz-dwa na dół i dokupię u naszej krawcowej.

- I przy okazji zobaczysz Bixby'ego Dawsona?

- Angeliqne siedziała na taborecie przed lustrem i skręcała włosy w loki żelazkiem, które Avena dla niej przed chwilą rozgrzała.

Lord Carter miał o dwunastej po nią przyjechać; wybierali się oglądać wyścigi łodzi na Tamizie. Sapphire otrzymała zaproszenia od różnych panów, którzy ubiegali się o jej względy, ale wszystkie odrzuciła, tłumacząc, że jest zmęczona i musi jeden dzień odpocząć. Zaledwie od kilku tygodni prowadziła szaleńcze życie towarzyskie, a odniosła wrażenie, że od wieków nie miała chwili dla siebie, by usiąść spokojnie z książką w dłoni albo pojechać na spacer bez męskiej asysty.

Avena uśmiechnęła się psotnie.

- Nie panienska interes, czy będę widzieć pana Dawsona, czy nie, panno Angel.

- Nie mój interes - zgodziła się Angeliqne. - Tak jak nie mój interes, że się do niego wymknęłaś wczoraj wieczorem.

Uśmiezek Aveny zamienił się w szeroki, dumny uśmiech.

- Niceśmy nie robili. Bynajmniej. Tylko pospacerowali przy księżycu. Ja jestem porządna dziewczyna.

- Zachichotała i zasłoniła usta dłonią. - Taka porządna, że Bixby aż się zapytał, czy myślę, żeby taki mężczyzna jak on się dla mnie nadał na męża.

- To bardzo romantyczne - powiedziała Sapphire, bo też naprawdę cieszyła się szczęściem dziewczyny.

- Powiesz „tak”, kiedy ci się oświadczy?

- Aż strach pomyśleć. Takiego mieć męża - rozmarzyła się Avena. - Pani Bixby'owa Dawsonowa, to ci dopiero...

- To on powinien się cieszyć, że będzie miał taką żonę, Aveno. - Sapphire poczuła ukłucie zazdrości. Raptem zatęskniła za kimś, dla kogo byłaby równie ważną osobą jak Avena dla krawca. - Pójdź do tego sklepu na końcu ulicy i kup mi wstążki na sobotni bal maskaradowy, jeszcze ze trzy, cztery jardy. - Sapphire siedziała na łóżku, ze szkatułką matki na kolanach. Poczekała, aż służąca wyjdzie, i podniosła wieczko. - Smutna jesteś dzisiaj - zauważyła Angelique, przyglądając się siostrze w lustrze. - Co się z tobą dzieje? Powinnaś się cieszyć. Będziesz najpiękniejszą panną na sobotnim balu.

- Ty będziesz najpiękniejszą panną, nie ja - sprostowała Sapphire i wyjęła ze szkatułki aksamitny woreczek z szafirem.

Angelique odłożyła żelazko do włosów, usiadła obok siostry i objęła ją ramieniem.

- Powiedz mi, co cię trapi. Przecież świetnie się bawimy, poznałyśmy w ostatnich tygodniach tylu fantastycznych mężczyzn, jakich nigdy nie spotkałybyś na Martynice. Połowa Londynu kocha się w tobie. - Zaśmiała się i cmoknęła siostrę w policzek. - A druga połowa nie śmie nawet wzdychać do pięknej Sapphire.

Sapphire wyjęła kamień z woreczka i zamknęła go w dłoni.

- Nie mogę dłużej wodzić ich za nos. Zaczynają domagać się odpowiedzi. Od początku mówiłam, że to niedobry pomysł. Oni myślą, że jestem gotowa przyjmować od nich pieniądze w zamian za... - Nie była w stanie dokończyć zdania. Od dłuższego czasu męczyły ją wyrzuty sumienia i poczucie winy.

Cały Londyn huczał od plotek, że panna Sapphire Fabergine chce dochodzić swoich praw, tymczasem Blake Thixton milczał jak zakłęty. Ponoć wyniósł się z rezydencji Wesseksów i zamieszkał w hotelu. A zaledwie wczoraj doszła ją wiadomość, że oświadczył się najstarszej córce hrabiny Wessex i planowany jest szybki ślub, bo przyszłemu panu młodemu spieszno wracać do Ameryki.

Sapphire nie mogła wyobrazić sobie Blake'a Thixtona u boku kogoś takiego jak Camille, ale kimże była, żeby oceniać? Szczerze nienawidziła tego amerykańskiego szubrawca. Niech go sobie bierze Camille Stillmore, skoro taką ma ochotę.

Sapphire nurtowało coś innego: jeśli Blake Thixton wyjedzie z Londynu, nie rozmówiwszy się z nią w kwestii praw do nazwiska, nie będzie wiedziała, co dalej robić. Ciotka Lucia zapewniała wprawdzie, że pan Stowe znajdzie dowody na to, że Edward zawarł ślub z Sophie, ale Sapphire nie bardzo uśmiechało się czekać bezczynnie na wyniki dochodzeń rejenta. Aż do tej pory ani przez chwilę nie brała pod uwagę możliwości, że jej zamierzenie miałyby zakończyć się fiaskiem, a teraz czuła się jak rozbitek dryfujący w małej szalupie bez wiosł po niezmiernym oceanie.

- Zatem nie możesz dłużej wodzić ich za nos? Bardzo dobrze. - Angelique zaplotła dłonie. - W takim razie wybierz wreszcie któregoś z nich, przyjmij jego propozycję.

Sapphire otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- To nie byłoby wcale takie złe życie - dodała Angelique pół żartem, pół serio.

Kilka dni wcześniej zdecydowała, że obdarzy względami Henry'ego, i tylko jego. Nie wyprowadziła się z mieszkania, które wynajmowały wspólnie z Sapphire i ciotką Lucią, ale codziennie odbywała z Henrym długie rekonesanse po mieście w poszukiwaniu idealnego gniazda dla dwojga.

Tymczasem rodzice zagrozili Henry'emu, że go wydziedziczą, jeśli nie zerwie z „tą kokotą Fabergine” i nie wróci do panny Portii Stillmore, ale Henry nie chciał słuchać

rodziców, nawet jeśli synowskie nieposłuszeństwo miało oznaczać utratę apanaży w wysokości trzystu funtów rocznie oraz perspektywę, że ojciec nie będzie już więcej spłacał jego długów.

- Nie wezmę sobie kochanka, Angel, dobrze o tym wiesz. Nie jestem taka. Ja tak nie potrafię. Pragnę dla siebie czegoś innego.

Angelique wzruszyła ramionami na tę deklarację.

- W takim razie powiedz wszystkim, którzy ubiegają się o ciebie, że zmieniłaś cenę. Nie zdziwią się. Kobiety tak właśnie postępują. Oświadczyć im, że chcesz wyjść za mąż za jednego z nich.

- Co takiego?!

Angelique podniosła się i zaczęła szybko chodzić po pokoju.

- Jeśli ceną za twoje dziewictwo jest małżeństwo, powiedz im to. Czyż lord Thomas nie oświadczył ci się wczoraj na wyścigach konnych?

Sapphire przełożyła aksamitny woreczek z jednej dłoni do drugiej.

- On nie mówił poważnie. Sama widziałas, że był pod dobrą datą.

- Jak wszyscy - sarknęła Angelique.

Sapphire się uśmiechnęła. Dobrze się bawiła poprzedniego dnia, najpierw podczas garden party, potem na wyścigach konnych i w trakcie popołudniowej herbatki: cały czas adorowana, otoczona zabiegającymi o jej względy panami.

- Nie zakochałam się w Charlesie i nie myślę wychodzić za niego za mąż.

- A co byś powiedziała na pana Salmons albo pana Corteza? - chciała wiedzieć Angelique. - A może lord Raleigh?

Sapphire pokręciła głową, na co Angelique podniosła ręce w bezradnym geście i usiadła na powrót przed lustrem.

- Ty i te twoje sentymentalne wyobrażenia! Myślałam, że trochę wydorosłaś i zaczęłaś trzeźwiej patrzeć na świat. Powinnaś zrozumieć, że liczy się przede wszystkim przyjaźń, serdeczność, zgodność charakterów. - W jej oczach pojawiły się wesołe isierki. - Pożądanie.

- Teraz to już kpisz sobie ze mnie. - Sapphire podeszła do okna i wyjrzała na ulicę pełną przechodniów i pojazdów wszelkiej maści. - To źle pragnąć czegoś więcej? - zapytała, myśląc o Avenie i jej marzeniach.

- Oczywiście, że nie. - Angelique odłożyła żelazko do loków na toaletkę. - Wystygło już. Trzeba znowu je rozgrzać. - Odwróciła się do Sapphire. - Nie ma nic złego w tym, że człowiek o czymś marzy, czegoś pragnie, źle jest natomiast, kiedy nie potrafisz cieszyć się życiem, dniem dzisiejszym, i liczyć ciągle na lepsze, wspanialsze jutro.

- To nieprawda, że nie potrafisz cieszyć się życiem. - Sapphire zaczęła podrzucać woreczek na dłoni. Myślała cały czas o Blake'u Thixtonie i swoim sekrecie, którym nie podzieliła się z nikim, nawet z Angelique.

Musiała przyznać, że ukradkowy pocałunek na schodach gospody sprawił jej przyjemność. Podobnie jak tamtego wieczoru w pokoju bilardowym rezydencji Thixtonów. Bezczelny Amerykanin wystraszył ją, zirytował, ale też... Nie potrafiła znaleźć właściwego słowa na określenie uczuć, jakie w niej budził.

Odwróciła się plecami do Angelique i, chcąc pokryć zakłopotanie, szybko podeszła do łóżka, by schować woreczek z szafirem w matczynej szkatułce. Nie chciała rozmawiać o swoich sprawach z nikim, nawet z Angelique. Blake Thixton jest jedyną osobą, która mogła ofiarować jej to, czego pragnęła, a nie chciał jej nawet wysłuchać.

Może Angelique miała rację; może powinna zastanowić się nad swoimi planami. Nawet jeśli panu Stowe'owi udałoby się znaleźć dowód, że Edward poślubił Sophie, poszukiwania mogą trwać miesiącami, może latami. Blake Thixton wróci tymczasem z żoną do Ameryki, a co ona ma robić?

Nie zdecydowała jeszcze, z kim wybierze się na sobotni bal. Może powinna przyjąć zaproszenie lorda Thomasa. Jest bogaty, pochodzi z zacnej, powszechnie szanowanej rodziny, odznacza się dobrym charakterem, pod każdym względem stanowi odpowiedni materiał na męża. Blake Thixton natomiast widzi w niej naciągaczkę bez grosza przy duszy, oszustkę, kobietę mocno podejrzaną konduity i niskiego stanu. Gdyby wyszła za lorda Thomasa, musiałby się z nią liczyć, czyż nie?

- Harbio Wessex, pańska prośba jest niewykonalna. Statek nie wypłynie wcześniej niż za tydzień. Załadunek trwa nadal, a czekamy jeszcze na towar z Chin, który dotąd nie dotarł do Londynu.

Blake chodził niespokojnie po ciasnym kantorze, słuchając jednym uchem, co mówi agent armatora, pan Klaus, z którym prowadził rozmaite interesy od czasu przyjazdu do Anglii. Spojrzał na keję, na statek. Załadunek szedł pełną parą: skrzynie pełne luksusowych towarów czekały w kolejce, aż robotnicy portowi umieszczą je w ładowniach.

Blake nie handlował wyłącznie towarami luksusowymi, znajdującymi popyt wśród bogatych bostończyków, był zbyt wytrawnym biznesmenem, by ograniczać się do jednego sektora rynku. Importował także cukier, melasę, banany, herbatę, siarkę, żelazo, wełnę, alkohole, futra i mnóstwo innych towarów, eksportował zaś doskonałą tarcicę, tkaniny i olej wielorybi, o ile udało mu się go zdobyć.

- O wiele wygodniej byłoby panu popłynąć jednym z tych nowych parowców pasażerskich, w komfortowych warunkach - przekonywał chudy jegomość z siwymi bokobrodami.

- Ludzie.

- Za pozwoleniem, milordzie?

Blake wyjął cygaro z ust i znów podjął wędrówkę w tę i z powrotem, z trudem panując nad zniecierpliwieniem.

- Na pokładzie będą ludzie, Klaus.

- Oczywiście rzecz, że będą, milordzie. Jak to na pasażerskim transatlantyku. Dzięki maszynom parowym jesteśmy w stanie...

- Rozumiem, jakiego dokonujemy postępu dzięki maszynom parowym, panie Klaus - przerwał mu Blake poirytowanym tonem. - Żyję z postępu, mój panie. Próbuję panu tylko powiedzieć, że nie mam ochoty podróżować z tabunem innych pasażerów.

Kabina na frachtowcu w zupełności mi wystarczy. Chcę mieć trochę spokoju.

- Oczywiście, milordzie. Jak pan sobie życzy, milordzie.

- Przeglądałem tabelę pływów i chcę, żeby statek wyszedł z portu w niedzielę rano.

- Mówiłem już... - Panu Klausowi zaczęły drgać wąsy. - Żadną miarą nie jesteśmy w stanie zakończyć załadunku do...

- Niedziela, szósta rano. Statek ma być gotowy do wyjścia w morze. - Blake podszedł do drzwi. - Żegnam pana.

Pan Klaus miał na tyle roztropności, by nie odprowadzać Blake'a do powozu. Raptem Blake poczuł przypływ nostalgii. Nie potrafił porozumieć się ze swoim ojcem, Josiahem,

ani gdy był chłopcem, ani tym bardziej później, ale jedno wspomnienie było szczególnie drogie: popołudniowe wyprawy z ojcem do portu w Bostonie. Przyglądał się statkom załadowanym najszlachetniejszą amerykańską tarcicą i innym dobrem, gotowym do wyjścia w morze przy najbliższym odpływie. Dreptał obok ojca, gdy ten krążył po nabrzeżach, ustalając detale. Ojciec rozmawiał ze wszystkimi, nie tylko z agentami armatorów i kapitanami statków, ale także ze zwykłymi marynarzami i dokerami. Był nie do zniesienia w domu, ale tym, którzy dla niego pracowali, pokazywał się zupełnie innym człowiekiem, uśmiechał się, pamiętał, komu urodziło się właśnie dziecko i czyja żona ostatnio niedomagała. Udawane, a może rzeczywiste zainteresowanie ojca życiem tych ludzi sprawiało, że potrafili dać z siebie w pracy wszystko i interes kwitł. Potem Josiah Thixton wracał do domu i okładał własnego syna pięściami.

Doskonałe francuskie cygaro straciło nagle cały aromat i Blake wypluł je na ziemię, przydeptał obcasem, po czym wsiadł do powozu, rzucając stangretowi adres i zatrzasnął drzwiczki.

Dwadzieścia minut później był już w kancelarii reagenta.

- Nie obchodzi mnie, że jest zajęty - rzekł ostro do zastraszonego kancelisty. - To, co mam mu do powiedzenia, zabierze minutę.

- Trze... trzeb... ba się zap., zap... powiedzieć - wyjąkał kancelista.

- Płacę panu Stowe'owi tyle, a w zamian dostaję tak mało, że minutę może mi poświęcić. - Blake minął wysoki pulpit, za którym siedział kancelista, i ruszył w stronę gabinetu reagenta.

Kancelista zeskoczył ze stolka, jakimś sposobem wyprzedził Blake'a i zastawił wejście do biura swego pryncypała własnym ciałem.

- Ppp... proszę ppp... przynajmniej pozwolić mi za... zapowiedzieć jego lordowską mość...

Blake się skrzywił.

- Stowe ma klienta?

- Ttt... tak i nnn... nie.

- To znaczy? Ma czy nie ma?

Drzwi otworzyły się gwałtownie i w progu stanął sam pan Stowe.

- Hrabio Wessex - przywitał niezapowiedzianego gościa surowo.

- Jjj... ja-próbował się tłumaczyć biedny kancelista.

- W porządku, Turnburry. Wracaj już do pracy, kochasiu, a ja zajmę się panem hrabią - uspokoił go pan Stowe.

- Tłumaczyłem mu, że mnie pan przyjmie - powiedział Blake. - Nawet jeśli ma pan kogoś u siebie, klient może poczekać, ja tylko na chwilę.

- Prawdę mówiąc... - Stowe stał nieporuszony w progu gabinetu. - Mam prywatnego gościa.

Blake uniósł brwi, bardziej rozbawiony niż zły.

- Przyjaciółka? - zagadnął, próbując zapaść żurawia do wnętrza gabinetu. - Nie podejrzewałem, że ma pan przyjaciółkę. Wy, Anglicy, zdajecie się zupełnie pozbawieni ikry...

- Jessupie, *mon cheri*, to klient? - Kobieta miała interesujący akcent: z pozoru francuski, chociaż naprawdę był to akcent francuskich kahunów z Nowego Orleanu, co Blake od razu wyłowił czułym uchem.

Amerykanka? Stowe miał amerykańską przyjaciółkę? To zaintrygowało Blake'a. Od tygodni z dala od ojczyzny, tęsknił za wszystkim, co amerykańskie.

- Tak, moja droga! - zawołał pan Stowe przez ramię, cały czas tarasując wejście do gabinetu. - Przyszedł hrabia Wessex, ale oczywiście zaczeka chwilę.

- Hrabia Wessex! - wykrzyknęła kobieta. - *Mon dieu!*

Jej głos zabrzmiał teraz zupełnie inaczej, co jeszcze bardziej zaintrygowało Blake'a, chociaż nie miał pojęcia, kim jest dama znajdująca się w gabinecie.

- Poproś go, niech wejdzie.

- Ależ, najdroższa - zaoponował Stowe - naprawdę nie sądzę...

- Pani chce mnie poznać - odezwał się Blake. - Nie odmawia się damom. Odsunął bezceremonialnie reagenta, wszedł do gabinetu, spojrzał na nieznaną i wiedział już, kogo ma przed sobą. Nie byli sobie dotąd przedstawieni, ale widział ją już wcześniej przy różnych okazjach: w teatrze, na balach, na wyścigach. Dama była ciotką Sapphire Fabergine, jej matką chrzestną, przyzwoitką czy kimś w tym rodzaju.

- Mademoiselle Lucia Toulouse - powiedział Stowe z ociąganiem, wchodząc za Blakiem do gabinetu. - Moja przyszła żona, o ile zgodzi się nią zostać. Luciu, hrabia Wessex.

Nie uszło uwagi Blake'a, że pan Stowe, wbrew wszelkim zasadom grzeczności i dobrego wychowania przedstawił najpierw damę jemu, zamiast postąpić odwrotnie. Musiał być mocno zakłopotany, jeśli popełnił taką gafę.

Blake skłonił głowę przed Lucią i ucałował podaną na powitanie dłoń w rękawiczce.

- Mademoiselle Toulouse, jestem zaszczycony - powiedział po francusku z nienagannie wyuczonym akcentem.

- Miło mi pana poznać, hrabio Wessex.

Blake puścił jej dłoń. Była piękną kobietą, chociaż już niemłodą, o gładkiej twarzy i zgrabnej sylwetce. Nie potrafił powiedzieć, ile mogła mieć lat. Czterdzieści pięć? Pięćdziesiąt? Pięćdziesiąt pięć?

- Cała przyjemność po mojej stronie, madame. Pani akcent... Nie pochodzi pani z Francji, prawda? Nowy Orlean?

Zaśmiała się, najwyraźniej ubawiona tym, że tak łatwo została rozszyfrowana.

- Urodziłam się w Londynie, ale owszem, przez pewien czas mieszkałam w Nowym Orleanie - odparła z miłym uśmiechem.

Blake'a korciło, by zapytać wprost, dlaczego panna Fabergine rości sobie prawa do nazwiska Wesseksów, twierdząc, że jest córką nieboszczyka, ale dał spokój. Za trzy dni opuści Londyn, zostawi za sobą wszystkie te nonsensy i nic go nie będą obchodziły mademoiselle Toulouse czy Sapphire Fabergine.

- Pan wybaczy niespodziane najście - zwrócił się do reagenta, który tymczasem zajął swoje miejsce za biurkiem. - Chciałem tylko poinformować pana, że w niedzielę rano wracam do Bostonu. Wszelkie pełnomocnictwa, jakich będzie pan potrzebował, by dalej prowadzić moje sprawy, występować w moim imieniu przy sprzedaży nieruchomości, powinny być gotowe najdalej jutro, jeśli mam zdążyć je podpisać.

- Pan opuszcza Londyn? - Lucię zaalarmowała ta wiadomość, sądząc po tonie głosu.

- Spędziłem tu dwa miesiące, załatwiając interesy i pewną sprawę prywatną, której przedmiot jest pani znany, ale nie mogę dłużej zostać. Pora wracać do Bostonu, madame.

Lucia odwróciła wzrok, dając ostentacyjnie do zrozumienia, że osoba hrabiego Wesseksa przestała ją zajmować i rozmowę uważa za skończoną.

Pan Stowe spojrział na panią swego serca, na Blake'a, jeszcze raz na najdroższą, po czym odezwał się:

- Milordzie...

- Stowe, rzecz już postanowiona. Nie mogę zostać w Anglii ani dnia dłużej. Muszę jeszcze być na jakimś balu maskaradowym, bo obiecałem, i zaraz potem wypływam. Żadnych dyskusji. - Ruszył ku drzwiom.

- W Bostonie czeka na mnie praca. - Zmilczał, ma się rozumieć, że ucieka przed rudowłosą panną z jednym okiem niebieskim, a drugim zielonym. Nie zdawał sobie z tego sprawy, dopóki nie ujrzał jej ciotki i na głos nie wypowiedział oczywistego kłamstwa.

Pan Stowe podniósł się zza biurka.

- Musimy jeszcze ustalić pewne detale, zastanowić się nad decyzjami, które trzeba będzie podjąć.

- Ufam panu, Stowe, całkowicie.

- Ależ, milordzie... - Rejent zniżył głos tak, by Lucia nie mogła go słyszeć. - Nie moja to sprawa martwić się o hrabinę Wessex, ale co się z nią stanie? Jeśli sprzedam dom i majątek na wsi, nie będzie miała gdzie się podziać.

Blake skrzywił się; nie mógł przecież wyrzucić wdowy na bruk.

- Ma pan rację, nie pański kłopot. Odziedziczyłem ten cholerny dom i włości, ale... - Zawahał się. Miał ochotę po prostu wyjść i o wszystkim zapomnieć.

- Niech bierze wobec tego włości - rzucił popędliwie.

- Milordzie?

- Słyszał pan, co powiedziałem. Niepotrzebny im dom w mieście. Przynajmniej tyle mogę uczynić, oszczędzić londyńczykom towarzystwa, na które sam byłem skazany w ostatnich tygodniach. Niech wyjadą na wieś i dręczą krowy swoją obecnością.

- A dom w mieście, milordzie? - upewniał się jeszcze rejent. - Chce go pan sprzedać? A może zatrzyma pan go jako swoją londyńską rezydencję?

- Nie wiem jeszcze. Zastanowię się. - Blake wcisnął cylinder na głowę. - Do widzenia, Stowe.

- Do widzenia, milordzie - powtórzył rejent i chwilę stał w progu, patrząc za wychodzącym Blakiem.

- Jeszcze jedno, Stowe - rzucił Blake przez ramię.

- Niczego sobie ta twoja dama. - Mrugnął porozumiewawczo. - Ja też lubię rude.

Kiedy Stowe zamknął drzwi, Lucia zerwała się z fotela.

- Wybacz, moja droga. Nikt nie ma prawa wpadać tak bez uprzedzenia do mojego gabinetu.

- Już dobrze. Nie przepraszaj, Jessupie. Młody jest, chwacki, to myśli, że mu wszystko wolno i wszyscy powinni go słuchać. Ty pewnie byłeś taki sam za młodych lat, nim zmądrzałeś.

- Wszystko jedno. To niewybaczalne - powtórzył rejent, obciągając kamizelkę.

- Sądzisz, że wyjedzie do Ameryki, nie wysłuchawszy mojej Sapphire? Nie czekając na rezultaty twoich poszukiwań?

Jessup położył dłoń na ramieniu Luci.

- Mówiłem ci już, moja droga, że poszukiwania mogą trwać miesiącami, a i to nie wiadomo, czy znajdę dowód, że nieboszczyk hrabia Wessex był ojcem Sapphire.

- Wiem. - Spojrzała mu prosto w oczy. I to też podobało się jej w Jessupie, że był jej równy wzrostem; nie znosiła, gdy mężczyzna patrzył na nią z góry.

- Chodzi tylko o to, że...

- Że Blake Thixton nie chciał jej wysłuchać. Jest mi niezmiernie przykro, ale ludzie jego pokroju potrafią być bardzo uparci i nieprzystępni. - Jessup zamilkł na moment. - Co nie znaczy, że muszą być źli.

Lucia nie bardzo wiedziała, co Jessup chciał przez to powiedzieć.

- Nie w tym rzecz.

- W czym zatem?

- Martwię się, że Sapphire mogła zakochać się w panu Thixtonie.

- Rozumiem. To może skomplikować i tak nieprostą już sprawę, nieprawdaż?

- Owszem. - Lucia pogłaskała Jessupa po policzku. - Wiesz, mój drogi, do twarzy ci z tą zatroskaną miną.

- Nie chciałbym, by cierpiała, kiedy się przekonasz, że on nie odwzajemnia jej uczuć, a że nie odwzajemnia to raczej pewne, skoro szykuje się do wyjazdu - powiedział Jessup cicho.

- Nigdy nic nie wiadomo. Nie widziałeś, jak Thixton patrzy na moją Sapphire - ciągnęła Lucia. - Jak się w nią wpatruje, kiedy widzi ją na balu, w teatrze. Nieważne, co mówi. Może sobie gadać, co chce. Znam mężczyzn i wiem, że jest nią zainteresowany. Mocno zainteresowany, podejrzewam.

- Nie przypominam sobie, by Sapphire deklarowała sympatię dla hrabiego Wesseksa. Jak to go nazwała onegdaj, gdy ktoś wspomniał o nim w rozmowie? Impertynenckim, aroganckim...

- Durniem - dokończyła Lucia, nachylając się, by pocałować Jessupa. - Idę teraz na zakupy. Zobaczymy się w sobotę wieczorem, jeśli nie masz nic lepszego do roboty. U ciebie. - Ujęła reagenta pod brodę i się uśmiechnęła. - W twojej sypialni...

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Przebóg i wszyscy święci pańscy, widziałeś go, Hanie? - zagadnęła Odelia, idąc wąskim, ciemnym korytarzem dla służby z tacą zastawioną brudnymi kieliszkami. Nawet tutaj dochodziły dźwięki walca z sali balowej.

- Nic dziwnego, że wszystkie damy z lewa i z prawa omdlewają na jego widok - przytaknęła rozemocjonowana Hattie. - Chyba nigdy jeszcze nie widziałam takiego przystojnego mężczyzny, jak on. - Taca, którą niosła, przechyliła się niebezpiecznie. - Oops! - zawołała, ratując szkło przed rozbiciem. - Nasz pan sknerzy, że strach. Ciemno tu, na świecach będzie oszczędzał, dusigrosz jeden.

- A za co niby kupi, kiedy dla pani nowych sukni nastarczyć nie można. Nic tylko by się stroiła a stroiła - dodała Odelia, którą nos swędziało niemożebnie, ale że niosła tacę ze szkłem, jak Hattie, nie mogła się podrapać. - Widziałeś jak się dzisiaj pokazała?

- Widziałam, a jakże. Cała w piórach. Jak stanęła u szczytu schodów w tej nowej toalecie, to pomyślałam, że pofrunie albo co. - Hattie zatrzymała się w końcu mrocznego,

cuchnącego wilgocią i szczerzymi odchodami korytarza i kopnęła dwa razy w drzwi, potem raz jeszcze, porządnie, dla pewnego skutku.

Od samego rana biegała z ciężkimi tacami między kredensem a salami recepcyjnymi rezydencji: najpierw trzeba było nakrywać stoły, nosić zastawę, przygotować wszystko do balu, a lady Harris lubiła mieć bufety we wszystkich salach, w których bawili się goście. Teraz dziewczęta musiały uprzątać brudne szkło i porcelanę, donosząc w ich miejsce nowe, i tak do końca przyjęcia, póki ostatni goście nie wyjdą, czyli do świtu. Hattie nie rozumiała, dlaczego całe to jaśnie państwo za każdym wypitym drinkiem musi zmieniać szklaneczkę, a za każdą zjedzoną tartinką talerzyk, ale jej zdanie akurat nie miało znaczenia.

- Widziałam też tę pannę Fabergine, co to za nią wszyscy panowie w Londynie się uganiają - ciągnęła Hattie. - W białej, jedwabnej sukni, z maseczką z piór, na patyku. No ta to przynajmniej jakoś wygląda, a nie jak nasza pani, choć wystroiła się prawie tak samo. A te pióra, to jak myślisz jakie? - zapytała i popadła w zamyślenie.

- A ja wiem... Z kaczkki może. - Odelia poprawiła tacę, czekając, aż ktoś otworzy im drzwi. - A suknię to myślisz, że od naszej pani skopiowała? - Spojrzała na Hattie i zawyrokowała przenikliwie: - Wiesz, te jaśnie panie, to jedna chce być lepsza od drugiej. A już najlepiej, jak taka pokaże się w teatrze albo na balu w wypisz, wymaluj takiej sukni jak druga, na złość.

Potrąfią przekupić cudzą krawcową, żeby im zdradziła, co akurat szyje i na jaką okazję.

- Eee, panna Fabergine to pewnie żadne jaśnie państwo - wyraziła swoją wątpliwość Hattie. - Słyszałaś już, nie?

- Że niby stary hrabia Wessex miałby być jej ojcem? - szepnęła Odelia.

Hattie potaknęła energicznie.

- To dopiero historia.

- Bujda. Wszystko kłamstwo. Ale z tą suknią... Słyszałaś, co mówiła Tuła.

- Tuła? - Hattie zrobiła wielkie oczy. - Jaka znowu Tuła?

- A jedna z pokojówek przy naszej pani. Ta z zajęczą wargą.

- Prawda. Wiem już która - Hattie pokiwała głową tak energicznie, że czepek zsunął się jej na czoło.

- Mówiła, że pani posłała jednego z lokajczyków w miasto z sakiewką pełną pieniędzy, żeby tylko się wywiedziały, w czym panna Fabergine wystąpi na balu.

Odelia prychnęła na te słowa z pogardą.

- A to ci się zadęła. Prawdziwie paradne. Jak się ma taki tłusty zadek, jak nasza jaśnie pani, żadna suknia nie pomoże. Chyba w życiu nie widziałam takiej urodziwej panny, jak panna Fabergine. Niech sobie mówią o niej, że źle się prowadzi, ale śliczna jest jak malowanie.

- Moja mama zawsze powtarzała, że wszystkie rude są puszczałskie - oznajmiła Hattie z powagą, po czym odwróciła się do drzwi i zawołała ile sił w płucach: - Otworzy tam kto wreszcie czy mamy tu zemrzeć?

- Spokojnie - doszedł stłumiony głos z kuchni.

- Myślisz, że któryś z tych kieliszków to jego?

- zagadnęła Odelia i potoczyła maślanym spojrzeniem po stojących na tacy statkach.

- Czyj niby?

- Hrabiego Wesseksa, znaczy. Bóg mi świadkiem i wszyscy święci w niebie, że m piękniejszego mężczyzny na oczy nie widziała. Amerykanin, mówią.

- Amerykanin czy nie, nigdy go nie poznasz.

- Wiem przecież, ale pomarzyć można, nie? Drzwi się w końcu otworzyły i dziewczęta weszły do gwarnej kuchni.

- Ty, Odelia, marz lepiej o kimś, kto ci zapewni dach nad głową i pieniądze co tydzień do domu przyniesie, jak, na ten przykład, mój Denley. - Hattie spojrzała na kuchcika, który stał najbliżej. - Masz brata, Elwood, prawda?

Chłopiec, dzieciak dziesięcioletni, zaczerwienił się i pokiwał głową.

- W stajni robi.

- Oto jest mężczyzna dla ciebie - pouczyła Odelię Hattie. - Taki co potrafi zadbać o żonę, rodzinę. O takim powinnaś myśleć.

- O Elwoodzie ze stajni? - Odelia zmarszczyła nos na tę radę Hattie, osoby uchodzącej za doświadczoną w sprawach damsko-męskich, a to z tej racji, że siedemnastoletnia Hattie miała wkrótce wyjść za mąż, jak tylko jej ukochany marynarz wróci z rejsu. - To ten ślepy na jedno oko?

- Ech, co tam oko! - zawołała Hattie przez ramię.

- Nie musisz przecież patrzeć mu w oczy, nie?

- Napijesz się czegoś, moja droga? - Lord Thomas nachylił się poufale do Sapphire.

Stali w niewielkim pomieszczeniu, przylegającym do sali balowej. Sapphire czuła lekki zawrót głowy: zbyt gwarно było na balu u lady i lorda Harris, za tłoczno i duszno, a ona od kilku godzin musiała rozdawać uśmiechy albo zanosić się perlistym śmiechem, słowem odgrywać rolę, co do której miała poważne wątpliwości.

Na dorocznym balu Harrisów pojawił się, jak zwykle, „cały” Londyn: członkowie parlamentu, ludzie związani z dworem królewskim, księżne i księżęta krwi, baronowie i baronesy. Szeptano, że nad ranem, w drodze powrotnej z jednej ze swoich niesławnych nocnych eskapad w miasto, pojawi się może nawet sam król Wilhelm.

Wilhelm objął tron po śmierci brata, zaledwie przed rokiem, i cieszył się powszechną sympatią. Sapphire nie bardzo pojmowała, na czym polega Akt Reformy, dający parlamentowi większą władzę niż panującemu monarsze. W gazetach pisano, że nowy król „zręcznie rozgrywa trudne sytuacje”.

Od Charlesa wionęło whisky albo innym mocnym trunkiem i Sapphire odsunęła się o krok. Panowie co jakiś czas niemal otwarcie raczyli się ze srebrnych piersiówek, bo lady Harris serwowała gościom wyłącznie wina, co było sporym mankamentem jej balów.

- Owszem, napiłabym się czegoś - odparła i uniosła maseczkę, zasłaniając twarz.

Charles cały wieczór nalegał, by zgodziła się zostać jego utrzymanką. Było w jego zachowaniu coś, co ją niepokoiło, a czego wcześniej nie dostrzegła. - Zaraz wracam, mój piękny łabędziu. - Charles ucałował jej dłoń.

Sapphire się uśmiechnęła. Charles adorował ją przez cały wieczór, rad niezmiernie, że to jego zaproszenie przyjęła, pozwalając towarzyszyć sobie na balu. Najwyraźniej uznał to za znak, że zostanie jego utrzymanką.

- Poczekam tu na ciebie, a potem może przejdziemy się po ogrodach. Muszą być pięknie oświetlone.

- Wyborny pomysł. Zaraz wracam. Naprawdę mogę cię zostawić na chwilę samą?

Sapphire skinęła głową i ledwie Charles zdążył zniknąć w maskaradowym tłumie, rozległ się głos Angelique:

- Sapphire! Jest, Henry, widzisz? - zwróciła się do swojego towarzysza. - Mówiłam ci, że nie wyjdzie stąd bez pożegnania.

Sapphire opuściła maseczkę, cmoknęła siostrę w policzek i poczuła od niej zapach whisky. Od Henry'ego też wionęło mocnym alkoholem, zresztą maślany wzrok i czerwona twarz wskazywały, że nie żałował sobie tego wieczoru trunków.

- Tak się cieszę, że jeszcze stąd nie uciekłaś - ciągnęła Angelique zdecydowanie zbyt głośno.

- Wspaniały bal. Powiedz, czyż nie wspaniały?

- Owszem - mruknęła Sapphire.

- Gdzie Charles? - Angelique rozejrzała się po sali.

- Nie zostawił cię chyba?

- Muszę porozmawiać z nim poważnie na temat dobrych manier - oznajmił Henry surowym tonem, choć język mu się plątał, po czym wybuchnął śmiechem. W trakcie zabawy zamienił swoją maskę lwa na maseczkę należącą zapewne do jakiejś damy, ozdobioną prawdziwymi perłami. Zasłonił nią teraz twarz i nachylił się do Sapphire.

- Czyż nie boska maseczka? - zapytał. Sapphire położyła mu dłoń na piersi i odsunęła wesołka delikatnie.

- Boska - zgodziła się i zwróciła do Angelique:

- Chyba powinniście już iść. Rodzice Henry'ego tu są. Poznałam ich właśnie. Nie ucieszają się specjalnie, jak zobaczą go w takim stanie.

- W takim stanie? - powtórzył rozbawionym głosem. - Szczęśliwego? Zakochanego? Chyba że sto razy już pytałem moją Angel, czy wyjdzie za mnie za męża.

Zdumiona Sapphire spojrzała na siostrę; zdrajczynie nie pisnęła słówka!

- A ja sto razy mu odmówiłam - uzupełniła Angelique. - Z jakiej racji miałabym wychodzić za niego za męża? Za bardzo go lubię, żeby wyrzucić mu taką krzywdę.

- W końcu się zgodzisz. - Henry objął ją wpół i oboje znowu wybuchnęli śmiechem.

- Co mam powiedzieć? - Angelique uniosła ręce.

- On nikogo nie słucha. Tymczasem, kochanie.

Angelique i Henry odeszli. Sapphire oblewały fale gorąca, nie mogła oddychać. W niewielkiej sali mrowili się goście, panowała wrzawa, ścisk. Pragnęła tylko jednego, żeby Charles już wrócił i odwiózł ją do domu. Zaczęła się za nim rozglądać, gdy poczuła, że ktoś staje za jej plecami.

- Charles?

Mężczyzna miał na twarzy prostą maskę z czarnego jedwabiu, był wysoki i barczysty.

- Nie Charles - powiedział, nachylając się ku niej. Rozpoznała natychmiast ten głos.

- Cóż to za kostium, panie Thixton? - zapytała z niechęcią w głosie.

- Kostium kogoś, kto nie lubi balów maskaradowych.

- Za kogo się pan przebrał?

- Za nikogo. Jestem sobą. - Thixton zdjął maskę i schował do kieszeni. - A pani chyba nigdy nie była brzydkim kaczątkiem, panno Fabergine.

- Słucham?

Objął ją w talii i wyjaśnił z kpiącym uśmiechem:

- Hans Christian Andersen. Bajka o brzydkim kaczątku, które zamienia się w łabędzia.

Chciała się cofnąć, ale uniemożliwili jej to jacyś dżentelmeni, którzy wszczęli głośną sprzeczkę.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Nie zna pani Andersena?

- Oczywiście, że znam - zirytowała się. - Chciałam tylko powiedzieć, że...

- Źle się pani czuje? - zatroskał się Thixton. - Jest pani taka błada.

- Milordzie... - Sapphire przytknęła powieki i zaraz znowu je uniosła. Sala wirowała, płomienie świec migotały, rozmywały się przed oczami.

- Wyjdźmy na zewnątrz. - Thixton już prowadził już ku drzwiom.

Wszyscy przyglądali się im ciekawie. Wpatrywali się w Sapphire. Szeptali o niej. Z pewnością powtarzali sobie skandaliczne plotki na jej temat. Nic jej to nie obchodziło. Musiała zaczerpnąć powietrza i uwolnić się z uścisku Amerykanina. Zbyt słaba, by odrzucić jego pomocne ramię, pozwoliła wyprowadzić się na taras.

- Tu... tu będzie dobrze - powiedziała, przykładając dłoń do czoła.

- Zbyt wielu ludzi - mruknął Thixton, sprowadzając ją po stopniach do ogrodu.

Tutaj też było sporo gości, ale Sapphire mogła spokojnie odetchnąć bez obawy, że ktoś ją zaraz popchnie, potrąci i wionie w nos duszącym zapachem francuskich perfum albo, co gorsza, whisky. Blake Thixton podprowadził ją do kamiennej ławki.

Sapphire usiadła, odłożyła maseczkę i podniosła wzrok na rozświetlone okna rezydencji, gdzie w najlepsze trwał bal.

- Lepiej? - zapytał Thixton.

Skinęła głową i spojrzała na niewielką kamienną rzeźbę, wyobrażającą dziewczynę.

- Nie wiem, co mi się stało - powiedziała, bawiąc się maseczką. - Czuję się zupełnie dobrze i nagle...

- To przez ścisk. Mnie też męczy taka ciżba ludzka. Rzecz niezwykajna w Bostonie, a pewnie tym bardziej dla kogoś, kto mieszka na Martynice.

Zaskoczyło ją, że Thixton zna takie szczegóły.

- Tak, to może być męczące - przytknęła machinalnie i przypomniała sobie o istnieniu Charlesa, który zapewne szukał jej teraz i denerwował się, gdzie zniknęła. - Powinam już wracać do środka. Lord Thomas będzie się niepokoił. Towarzyszy mi dzisiaj.

Thixton informację o Thomasie przyjął z lekceważącą miną.

- To bystry chłopiec - powiedział z przekąsem. - Na pewno sobie poradzi.

Nie podobał się jej ten ton głosu.

- Lord Thomas pobierał nauki w Oksfordzie, a jego rodzina jest bardzo zamożna.

Thixton się skrzywił.

- Właśnie, rodzina... Ten młokos jednego dnia w życiu nie przepracował. Rozumiem, że kogoś takiego właśnie pani szuka. Chce pani przecież poprawić swoją sytuację materialną.

Sapphire, a czuła się już lepiej, postanowiła puścić mimo uszu zjadliwą uwagę.

- Wolno zapytać, co jest złego w tym, że ktoś urodził się w bogatej rodzinie? Pan też, milordzie, odziedziczył majątek po ojcu.

- I w sześć lat podwoilem to, na co on pracował przez lat pięćdziesiąt - stwierdził Thixton oschle. - Wiem też, że koniunktura w handlu morskim kiedyś musi się skończyć, zatem prowadzę też inne interesy.

- Inne interesy? Jakże mianowicie?

- Naprawdę chce pani wiedzieć?

- W innym razie nie pytałabym - odparła Sapphire z przekąsem.

Przez twarz Thixtona przemknął ledwie zauważalny uśmiech.

- Ropa naftowa.

- Ropa naftowa? - Sapphire zanosła się śmiechem.

- Tak, ropa naftowa. Czerpie się ją z ziemi. To będzie nowe paliwo. Nie tylko da nam lepsze oświetlenie, ale będzie też napędzać maszyny. Dzięki ropie szybciej będziemy pokonywać dalekie trasy morskie, lądowe, kto wie, może nawet napowietrzne.

Sapphire znowu się zaśmiała i przysłoniła usta dłonią. - Ropa, którą czerpie się z ziemi? Maszyny unoszące się w przestworzach? Jestem gąską z zapomnianej przez boga wyspy, ale nie myśli pan chyba, panie Thixton, że brak mi rozumu.

Blake odwrócił wzrok i przesunął dłonią po ustach. Sapphire spodobał się ten gest. Przypomniała sobie ich pocałunki i to, co wówczas czuła.

- Chcę pani coś zaproponować - powiedział, patrząc w głąb ogrodu.

- Tak?

Wargi mu drgnęły, jakby krótkie pytanie Sapphire wprowadziło go w irytację.

- Dwa razy tyle, ile proponuje ten młokos. Dwa razy tyle, ile wynosiła najhojniejsza oferta.

- Nie przyjmuję.

- A to niby dlaczego? To bardzo rozsądna propozycja. Pani potrzebuje protektora, a ja...

- A pan co, milordzie? - Sapphire ledwie panowała nad gniewem.

- To proste. - Głos Blake'a wyprany był z wszelkich emocji, jakby rozmowa dotyczyła interesów. - Pragnę pani. Poza tym ktoś powinien dać pani nauczkę. Przyjechała pani do Londynu rozgłaszać kłamstwa...

- Nie rozgłaszam kłamstw!

- Obnosi się pani ze swoimi wdziękami po całym Londynie i kpi w żywe oczy ze wszystkich wokół. Pora, by się pani przekonała, dokąd prowadzą takie zabawy, droga panno Fabergine.

Sapphire poderwała się z ławki.

- Czuję się już znacznie lepiej - oznajmiła, sięgając po maseczkę. - Naszą rozmowę uważam za skończoną. Dziękuję za towarzystwo.

Odwróciła się i zobaczyła na ścieżce towarzystwo złożone z pań i panów; cała grupka wpatrywała się w okna pierwszego czy drugiego piętra rezydencji, coś żywo komentując.

Sapphire nie zdążyła pójść za ich wzrokiem, bo Blake, wcześniej dojrzawszy, o co idzie, zasłonił jej widok. Odepchnęła go, zebrała fałdy sukni i podniosła głowę. Przesuwała wzrokiem od okna do okna, ale nie dostrzegła nic nadzwyczajnego, ot zwykłe sceny z balu. Już miała zapytać Blake'a, gdy jakiś ruch na drugim piętrze zwrócił jej uwagę.

W pierwszej chwili nie była pewna, co właściwie ogląda. Widziała jakąś parę, to pewne. Kobieta, obnażona do pasa, z opuszczonym stanikiem sukni, stała w oknie, przyparta do szyby nagimi plecami, mężczyzna, zwrócony twarzą do widowni w ogrodzie wykonywał jednoznaczne ruchy, wciskając niemal swoją partnerkę w szybę.

Sapphire poczuła, że cała krew odpływa jej z twarzy. Natychmiast rozpoznała zajętą sobą parę. Na oczach ciekawych gapiów baraszkowali w jakimś buduarze drugiego piętra Angelique i lord Henry.

- Muszę iść - szepnęła.

- Nie teraz. - Blake chwycił ją za rękę.

- Proszę wybaczyć, sir. - Jakby spod ziemi wyrósł, koło Sapphire pojawił się Charles ze szklaneczką ponczu w dłoni, najwyraźniej nieświadom widowiska, które rozgrywało się w oknie. - Coś się stało, panno Fabergine?

- Nie, nie - usłyszała własny zmieniony głos i cofnęła się o krok. Najchętniej zniknęłaby teraz w mroku ogrodu albo zamieniła się w kamienną statuetkę jak ta, która stała obok ławki. Jak Angel mogła sobie pozwolić na coś podobnego? Stać się przyczyną takiego zgorzenia?

- Powinien pan zabrać ją do domu, mój panie - zwrócił się Blake do lorda Thomasa.

- Sir, sam wiem, co powinienem względem panny Fabergine.

- Charles, proszę. - Sapphire oparła się na ramieniu swojego towarzysza. - Chodźmy do frontowego wyjścia. Każesz zawołać swój powóz.

Charles odstawił szklaneczkę z ponczem na ławkę, podał Sapphire ramię i poprowadził ją ku frontowi domu. Odeszła, nie patrząc na Blake'a Thixtona. Rano odpływał do Bostonu. Nigdy już nie zobaczy tego człowieka. Oby. Niczego bardziej sobie nie życzyła.

Kiedy groom zatrzasnął drzwiczki powozu, spojrzała na Charlesa, jakby chciała zapytać, dlaczego usiadł obok niej zamiast na ławeczce naprzeciwko, ale incydent z Angelique wytrącił ją z równowagi.

- Przepraszam, że tak długo kazałem na siebie czekać - zaczął się usprawiedliwiać. - Mam nadzieję, że Amerykanin w niczym pani nie uchybił. Ja...

- Nie tłumacz się, lordzie Thomasie - mruknęła zła, że w ogóle się odezwał. - Umiem dać respons takim jak on.

- Prosiłem, by pani zwracała się do mnie po imieniu. - Charles przysunął się jeszcze bliżej, położył rękę na oparciu siedzenia, a potem na ramieniu Sapphire.

Dopiero teraz zorientowała się, że w pośpiechu zapomniała o pelerynce, w której przyjechała na bal. Zostawiła ją w rezydencji Harrisów. - I ja chciałbym zwracać się do ciebie po imieniu, jeśli pozwolisz - ciągnął Charles. - Kiedy jesteśmy sami, ma się rozumieć.

Zła, że adorator jest całkiem ślepy i głuchy na jej fatalny nastrój, położyła dłoń na jego piersi, chcąc powstrzymać karesy. Charlie najwyraźniej opacznie odczytał jej gest, bo zanim zdążyła zrozumieć, co się dzieje, przewrócił ją na ławkę i przywarł do niej całym ciałem.

- Milordzie!

Charles całował dekolt Sapphire, przesuwając językiem po gorącej skórze.

- To boli! - zawołała. - Charles, proszę... Nie!

- Dość tych gier, niewdzięcznico. Zbyt długo mnie zwodzisz. - Charles zaczął ściągać z Sapphire stanik sukni. - Oboje wiemy, czego pragnę. Dam ci w zamian wszystko, pieniądze, nawet swoje nazwisko, jeśli będzie trzeba, ale nie pozwolę zbyć się, odprawić z kwitkiem. Już nie. Na pewno nie dzisiaj.

Powóz przechylił się na zakręcie, zakołysał i Sapphire, wykorzystując ten moment, zepchnęła Charlesa z siebie.

- Proszę cię, nie - powtórzyła, ledwie widząc jego twarz w mroku.

Charles wylądował na podłodze. Podniósł się i ponowił atak z jeszcze większym zapamiętaniem.

- Nie... - próbowała protestować, ale zamknął jej usta pocałunkiem. Cuchnął whisky i wędzoną rybą, wcisnął kolano między jej uda, dłonie skrępował mocnym chwytem, by nie mogła ponownie go odepchnąć. Był wprost obrzydliwy i Sapphire ogarnęły nudności.

Charles krępował jej nadgarstki jedną ręką, drugą ponownie pociągnął za stanik sukni przy dekolcie i Sapphire usłyszała suchy trzask rozrywanego materiału.

- Nie rób tego... Proszę.

- Przecież tego chciałaś od samego początku, czy nie tak? - sapnął Charles. - Tęgiego koguta dla twojej kureczki, prawda?

Sapphire, rozwścieczona, wyrwała dłoń z uścisku i zdzieliła go na odlew w twarz, a potem chwyciła za włosy i szarpnęła z całej siły.

- Auuu! - zawył. - Ty mała wiedźmo! - Teraz on wymierzył jej policzek.

Powóz skręcił znowu. Sapphire straciła równowagę i całym ciałem uderzyła w Charlesa, przewracając go na podłogę. Sama też sturlała się z ławki. Próbując się podnieść, krzyknęła ile sił w płucach.

- Stać! Zatrzymaj konie! Wysiadam!

Powóz zwolnił, a ona miała wrażenie, że słyszy głos stangreta.

Chwyciła za klamkę.

- O nie, nie uciekniesz mi! - wrzasnął Charles. - Muszę dostać to, co mi się należy. - Podniósł się na kolana i złapał Sapphire za kostkę.

Drzwi się otworzyły.

Sapphire kopnęła z całych sił, trafiając Charlesa obcasem w ramię, i wyskoczyła z powozu.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Lądując na bruku, Sapphire skręciła nogę w kostce. Straciła równowagę, wyciągnęła ręce przed siebie i upadła na kolana. Poczowała potworny ból. Stangret coś krzyknął, zaskrzypiały koła i powóz zatrzymał się w pobliżu.

- Nic się pani nie stało, madame? - usłyszała czyjś głos.

- Wracaj natychmiast do środka! - zawołał Charles. - Nie rób z siebie widowiska. Wstyd mi przynosisz.

Roztrzęsiona, z bijącym sercem, próbowała podnieść się z jezdni.

- Co się tu, u diaska, dzieje?

Sapphire usiadła na bruku. W głowie się jej kręciło, czuła ból w całym ciele; nie była pewna, czy byłaby w stanie podnieść się i ustać o własnych siłach.

W świetle lamp powozu zobaczyła zbliżającego się Blake'a Thixtona.

- Nie twoja sprawa, Wessex! - krzyknął Charles i ten jego krzyk przeszedł w pisk. Podszedł do Sapphire, wyciągając dłoń. - Podnieś się, panno Fabergine. Jedziemy.

- Prędzej umrę tutaj, na ulicy, niż miałabym jechać z tobą. - Sapphire odtrąciła wyciągniętą dłoń. Dopiero teraz zobaczyła, że spod rozerwanego stanika sukni

nieprzystojnie pokazują się piersi, i próbowała osłonić się nieco, zbierając końce rozerwanego jedwabiu ręką.

Blake zerknął na nią i to mu wystarczyło. Podeszedł do Charlesa i wymierzył mu potężny cios w szczękę.

Sapphire krzyknęła mimo woli, widząc, jak Charles pada jak długi na bruk. Thixton nachylił się nad amatorem haniebnych zalotów, chwycił go za kłapy surduta i postawił na nogi.

- Jeśli jeszcze raz obrazisz tę kobietę, choćby odezwiesz się do niej słowem, klnę się na Boga mojej matki, że zabiję cię własnymi rękami. Zrozumiałeś?!

- Tak, milordzie - jęknął przerażony Charles.

- Jasno się wyraziłem? - wycedził Blake, raz jeszcze się upewniając.

Charles pokiwał głową.

Blake puścił go i Charles osunął się na ziemię, bardziej chyba z osłupienia niż od ciosu, jaki zadał mu Blake. Reakcja Sapphire była podobna; wstrząśnięta, zastygła w bezruchu i tak siedziała, nie próbując się podnieść. Nigdy jeszcze nie widziała takiego wybuchu agresji, nigdy nie była świadkiem walki, choć w tym przypadku była to raczej egzekucja niż walka...

Blake nachylił się nad nią.

- Nic pani nie jest?

Łzy nabiegły jej do oczu, ucisk w gardle nie pozwolił wykrztusić najprostszej odpowiedzi. Skinęła tylko głową.

Blake pomógł jej wstać. Chciała zaprotestować, powiedzieć, że nie potrzebuje pomocy, że może iść sama, ale wcale nie była tego pewna. Ból w kostce nasilił się jeszcze. Wtuliła twarz w klapę jego surduta i się rozplakała.

- Wieź nas natychmiast do „The Arms” - rzucił stangretowi.

Sapphire zamknęła oczy, kiedy Blake wnosił ją do powozu. Wsiadł, ale nie wypuścił jej z ramion. Znowu chciała zaprotestować, lecz świadomość, że mogła dopuścić do tak haniebnego zajścia, przerażenie na myśl o tym, co mogłoby się stać, sprawiło, że ukryła twarz na ramieniu Blake'a i na powrót się rozplakała.

- Już dobrze - odezwał się Blake niespodziewanie łagodnym tonem i pogładził ją po włosach. - Już jest pani bezpieczna. Nie pozwolę nikomu pani skrzywdzić, przysięgam.

Powóz zatrzymał się po kilku minutach.

- Nie, nie stawaj tutaj. Podjedź od tyłu - polecił stangretowi Blake. - Nikt nie powinien pani widzieć w takim stanie - zwrócił się do Sapphire.

Kiedy zatrzymali się ponownie, Blake wyniósł Sapphire z powozu. Ukryła twarz na jego ramieniu, upokorzona do ostatnich granic, że ktoś, choćby służba, zobaczy ją w oplakany stan.

Nie otworzyła oczu nawet wtedy, gdy położył ją na łóżku.

- Słyszysz mnie pani, Sapphire? - zapytał, podkładając jej poduszkę pod głowę.

Kiwnęła głową, ciągle zaciskając powieki.

- Muszę zadać pani pytanie.

Blake usiadł na łóżku, bo poczuła, jak materac ugina się pod jego ciężarem.

- Czy on...

Nie czekała, aż Blake skończy zdanie, pytanie było aż nadto oczywiste.

- Nie. Próbował. Dlatego... wyskoczyłam. - Z gardła Sapphire wyrwał się zduszony szloch.

- Ciii. Już wszystko dobrze - szepnął i pogłaskał ją po policzku. - Zachowała się pani bardzo dzielnie.

Gest Blake'a podziałał kojąco. Potrzebowała teraz czyjegoś wsparcia, bliskości innej osoby.

- Gdzie się pani zraniła?

- Słucham? - Otworzyła oczy. Znajdowali się w sympatycznym pokoju oświetlonym dwiema lampami olejowymi: jedna stała na szafce nocnej, druga na gzymsie kominka. Ściany wyłożone były ciemną boazerią, przy łóżku i w oknach wisiały ciemnozielone kotary.

- Krew - wyjaśnił.

Spojrzała po sobie. Rzeczywiście, na pięknej, białej sukni widać było ciemnoczerwone plamy. W pierwszej chwili przeraziła się, że poniosła gorszy uszczerbek na ciele, niż myślała, ale przypomniała sobie, że upadając, zdarła przecież naskórek z dłoni. Odwróciła dłonie wnętrzem, by pokazać Blake'owi otarcia.

- Jak upadłam - szepnęła niezbyt przytomnie.

- Nie jest tak źle - odezwał się, biorąc jej dłonie w swoje i oglądając dokładnie obrażenia. - Coś jeszcze? - zapytał.

- Prawa kostka - szepnęła - i kolano.

Blake przesunął się trochę, zszuł jej pantofelki, a potem ostrożnie dotknął zwichniętego stawu.

- Trochę spuchnięta, ale chyba nic poważnego - ocenił, podnosząc głowę. - W każdym razie na pewno nie złamała pani nogi.

Uniósł suknię i Sapphire natychmiast zeszywniała; wykonała ruch, chcąc go powstrzymać.

- Chcę obejrzeć kolano - powiedział takim tonem, jakby napominał niezdolne dziecko.

- Niech pani da spokój, Sapphire. Omal nie została pani zgwałcona. Na ulicach jest brud, nieczystości, nie muszę przecież tłumaczyć. Może wdać się zakażenie. Nie pora teraz na wstyd i fałszywą skromność.

Położyła na powrót głowę na poduszce. Czuła, jak Blake podsuwa wyżej suknię, dotyka kolana, zwija pończochę.

- Podrapane - usłyszała. - Nie wygląda zbyt groźnie. - Podniósł wzrok. - Coś jeszcze panią boli? Ramiona? Kark?

Sapphire pokręciła głową.

- To dobrze. - Blake podniósł się i podszedł do umywalki w kącie pokoju. Zdjął surdut, halsztuk, podwinął rękawy koszuli i nalał wody z fajansowego dzbana do miski. Umył dokładnie ręce, wylał wodę, ponownie napełnił miskę, wziął czysty ręcznik z wieszaka i z miską oraz ręcznikiem wrócił do Sapphire.

Dopiero kiedy umoczył ręcznik w wodzie i wyżał go, dotarło do niej, że chce przemyć jej zadrapania.

- Nie - szepnęła, unosząc dłoń. - Sama mogę to zrobić... naprawdę nie musi pan...

- Niech pani nie będzie śmieszna. - Dotknął mokrym ręcznikiem jej policzka. - Ma pani brudną twarz. Zamknęła oczy i poddała się delikatnym zabiegom Blake'a.

- Lepiej teraz? - zapytał po chwili, zanurzając ponownie ręcznik w wodzie.

Pokiwała głową.

- To dobrze.

Ujął jej dłoń i zaczął przemywać. W pierwszej chwili poczuła silny, piekący ból i łzy napłynęły jej do oczu, ale ból szybko minął i poczuła ulgę oraz niezwykle ciepło, które zdawało się płynąć z dłoni Blake'a i przenikać całe jej ciało.

- Nie trzeba chyba bandażować, ale o tym zadecydujemy rano - orzekł, kończąc i wrzucił ręcznik do miski.

Sapphire otworzyła oczy i patrzyła, jak Blake przechodzi przez pokój. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że są w jakimś zajeździe, pensjonacie czy hotelu. Blake wziął karafkę, stojącą na niewielkim stoliku koło kominka, napełnił złotym płynem kryształową szklaneczkę i podał ją Sapphire, przysiadając na powrót na łóżku.

- Proszę to wypić - polecił. - Brandy. Niestety, nie mam nic innego.

Spojrzała na niego spod rzęs i oznajmiła tonem krnąbrnego dziecka-

- Nie chcę.

Wcisnął jej szklaneczkę w dłoń.

- Pomimo to proszę wypić. Przeżyła pani wstrząs, to czasami gorsze niż obrażenia fizyczne.

Przechyliła szklaneczkę i upiła jeden łyk, drugi. Alkohol palił i miał ostry, ale, o dziwo, całkiem przyjemny smak. Poczuła, jak miłe ciepło powoli rozchodzi się po całym ciele.

- Ostrożnie, moja droga - ostrzegł ją, kładąc dłoń na jej dłoni.

Sapphire zanosła się kaszlem.

- Proszę pić małutkimi łykami. - Wyjął jej szklaneczkę z ręki i odstawił na szafkę nocną. - Chciałbym jeszcze raz obejrzeć tę kostkę, ale muszę zdjąć pończochę. - Patrzył na nią niemal obojętnie, z niewyrażającą niczego miną. - Pozwoli pani?

Nic z tego nie rozumiała. Charles twierdził, że ją kocha, a obszedł się z nią gorzej niż haniebnie. Tymczasem Blake Thixton, który nie raczył zareagować ani słowem, gdy prosiła, by jej wysłuchał, zaopiekował się nią najlepiej, jak potrafił, niczym niańka zajmująca się dzieckiem, cierpiącym z powodu swoich psot.

- Niech pan robi, co trzeba - usłyszała swój głos.

Blake zaczął związać jej poszarpaną jedwabną pończochę. Robił to już wcześniej, przemknęło jej przez myśl. Zdejmował damom pończochy. Brandy zaczęło działać i Sapphire miała wrażenie, że płynie, unosi się na łagodnej fali. Było jej ciepło, czuła się bezpieczna...

Kiedy doszedł do kostki, Sapphire drgnęła mimo woli i syknęła.

- Wiem, boli. Przepraszam - powiedział i zsunął brudną, podartą pończochę do końca, po czym rzucił ją na podłogę.

- Nie jest złamana?

Blake wykręcił jej stopę w jedną stronę, potem w drugą i Sapphire musiała zacisnąć zęby, żeby nie krzyknąć z bólu.

- Proszę spróbować poruszać palcami. Poruszyła.

- A teraz napiąć stopę.

Skrzywiła się, ale była w stanie wykonać polecenie.

- Dobrze. Kości chyba całe. - Wyjął ręcznik z miski, wyjął go i zrobił z niego okład na opuchniętą kostkę.

Sapphire zamknęła oczy, walcząc z bólem.

- Zimny okład pomoże - pocieszał ją. - Opuchlizna prędzej zejdzie.

Skinęła głową w milczeniu.

- Niech pani napije się jeszcze brandy. Podobnie jak za pierwszym razem, nie była to propozycja, tylko polecenie i Sapphire wypełniła je posłusznie, a Blake w tym czasie zmienił okład.

Skończyła brandy i opadła na poduszki z cichym westchnieniem. Zimny okład przynosił ulgę, a dotyk dłoni Blake'a dawał ukojenie.

Kiedy zaczął obmywać kolano, napięła mięśnie; ból powrócił.

- Dobrze, że miała pani na sobie te wszystkie fatalaszki - powiedział Blake żartem, odgarniając sute fałdy sukni i halki. - Amortyzowały przy upadku. W przeciwnym razie potłukłaby się pani znacznie dotkliwiej.

Sapphire uśmiechnęła się nieznacznie.

- Chciałam podziękować za...

- Nie będę tego słuchał. Swoją drogą, nie mogę uwierzyć, że była pani na tyle nierozważna, by zgodzić się zostać sam na sam z kimś takim jak Thomas. W towarzystwie może być miłym człowiekiem, ale to, co z niego wyszło... - Nie kończąc zdania, Blake zanurzył zakrwawiony ręcznik w misce. - Kilka otarć jest dość głębokich - powiedział zafrasowanym tonem. - Należałoby wezwać lekarza, żeby to obejrzał, tak byłoby najrozsądniej, ale tak czyniąc, wywołałibyśmy sensację, a na to nie możemy sobie pozwolić, prawda? - Wyjął ręcznik, wyżał i wrócił do obmywania kolana.

Zafascynowana Sapphire obserwowała jego ręce, ramiona...

Armand, choć majętny właściciel plantacji, za punkt honoru miał, by wychodzić ze swoimi ludźmi w pole czy trudzić się w suszarni. Powiadał, że w ten sposób czuje się związany z ziemią, która pozwalała mu żyć w dostatku.

Blake miał ramiona kogoś, kto przywykł do dźwigania ciężarów. Ciekawe, myślała, czy pracuje przy załadunku swoich statków razem z dokerami? Czy potrafi stawiać żagle? Siada do wiosł w szalupie?

Tyle pytań cisnęło się na usta, ale żadnego nie potrafiła wypowiedzieć na głos. Jakby ktoś rzucił na nią zaklęcie. To Blake ją zaczarował.

Kiedy nachylił się nad nią, serce zabiło jej mocniej.

- Zaintrygowała mnie pani - powiedział ledwie słyszalnym szeptem. - Od pierwszej chwili, kiedy pojawiła się pani niespodziewanie w rezydencji Wesseksów w Mayfair, twierdząc, że jest córką Edwarda.

- Ależ ja jestem córką hrabiego Edwarda Wesseksa...

- Ciii, Sapphire. Teraz ja mówię. Niegrzecznie jest przerywać, kiedy ktoś zaczyna mówić. Siostrzyczki w szkole na tej twojej tropikalnej wyspie nieraz pewnie musiały cię besztać za złe zachowanie.

Sapphire uniosła się na łokciach.

- Skąd pan wie, że...

- Widzisz? Znowu mi przerywasz. Jeszcze nie skończyłem.

Zacisnęła wargi i opadła z powrotem na poduszki, a Blake nachylił się jeszcze bardziej, tak że czuła teraz jego gorący oddech na policzku.

- Czy jesteś łowczynią majątków, czy nie...

- Nie jestem...

Tym razem zasłonił jej usta dłonią, zmuszając do milczenia.

- Czy mam cię zakneblować, żebyś nie dokończyła zdania?

Przestraszyła się trochę. Tej nocy, na ulicy, mogła przekonać się na własne oczy, że kiedy Blake wpadnie w gniew, nie ma z nim żartów.

Pokręciła głową na znak, że będzie już cicho.

- Bardzo dobrze. - Odjął dłoń od jej ust i położył na poduszce.

- Chciałem powiedzieć, że mnie zaintrygowałaś i że... pragnę cię. Wbrew swojej woli. Próbowałem ci to wyjaśnić dzisiaj w ogrodzie. - Uśmiechnął się.

- Panie Thixton...

Tym razem zamknął jej usta pocałunkiem.

- Szafirze mój. Mój klejnocie - szepnął jej do ucha, kiedy oderwał wargi od jej ust i zaczął pieścić piersi, rozsuwając rozerwany materiał stanika.

Nie mogę pozwolić, myślała, jednocześnie czując, że pragnie go tak bardzo, jak on jej.

Blake całował jej piersi, przesuwając dłonią w górę po jej udzie, a Sapphire nie potrafiła i nie chciała go powstrzymać.

Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Nienawidziła przecież tego człowieka, a jednocześnie go pragnęła.

Po raz pierwszy zrozumiała, czym jest pożądanie, to, które widziała u Angelique, kiedy na widnokręgu pojawiał się godny zainteresowania mężczyzna.

A Blake obsypywał ją pocałunkami: całował piersi, szyję, usta. Pozbawił ją podartej sukni jednym, zdawałoby się, ruchem i zajął się bielizną. Kiedy rozebrał ją do końca, wyciągnął się obok niej na łóżku.

- Jesteś taka piękna, Sapphire - szeptał, rozsuwając jej uda. - Stworzona do miłości. Pozwól mi kochać się z tobą.

Głos Blake'a był jak fala, która zagarnęła ją i niosła hen, na głębokie, nieznane wody. Zapomniała, kim jest i z kim jest...

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Obudził ją jakiś odgłos. Jeszcze na wpół zanurzona we śnie, otworzyła oczy. Przypomniała sobie gdzie, jest, ale Blake'a nie było obok niej w łóżku.

Siedział w fotelu przy kominku i wciągał wysokie buty. Miał na sobie kraciasty kubrak, strój bardziej odpowiedni dla człowieka niskiego stanu niż dla hrabiego. Na głowę wcisnął wełnianą czapkę, a na podłodze obok fotela stało kilka sakwojaży. Najwyraźniej zbierał się do podróży...

Sapphire uśmiechnęła się pod nosem. Ma się rozumieć, że wyjeżdża. Wbrew jej nie najlepszemu mniemaniu, Blake Thixton okazał się dżentelmenem. Nie powie nikomu słowa o tym, co zaszło między nimi tu, w tym pokoju.

Blake Thixton opuści zajazd tylnym wejściem, zostawiając sowity napiwek służbie, a ona wróci do domu i opowie zmyśloną historyjkę, ratując w ten sposób reputację.

- Ach, obudziłaś się. Przepraszam, starałem się zachowywać jak najciszej. - Blake wstał z fotela, zsunął czapkę na tył głowy i podszedł do łóżka.

Sapphire podciągnęła kołdrę pod brodę w odruchu spóźnionego wstydu. Rozejrzała się w popłochu za swoim ubraniem, ale zniknęło bez śladu: suknia, halka, gorset, nawet reformy, wszystko.

- Gdzie moje rzeczy? - zapytała oskarżycielskim tonem. Nie, Blake Thixton nie był jednak dżentelmenem. Kolejna pomyłka.

Uśmiechnął się tym swoim uśmiechem, który jeszcze wczoraj bardzo się jej podobał, a dzisiaj wprawiał we wściekłość.

- Były tak zniszczone, że nadawały się tylko do wyrzucenia.

Sapphire zacisnęła palce na kołdrze. Wyrzucił jej rzeczy? Ot tak, po prostu. Ciekawe.

- Muszę przecież coś na siebie włożyć, jeśli mam wrócić do domu - wyjaśniła.

- Nie wracasz do domu.

- Słucham?

- Przyjęłaś właśnie moją ofertę.

- Jaką ofertę?

- Zostałaś moją kochanką.

- Nie przyjąłem żadnej oferty! Ja nigdy... za nic... Nawet gdyby miał być pan ostatnim mężczyzną na tej ziemi, to...

- Wiedziałem - stwierdził Blake z rezygnacją. - Przeczuwałem, że zaczniesz robić trudności.

Sapphire z wrażenia usiadła na łóżku.

- O czym pan mówi? Chyba nie uratował mnie pan przed Charlesem tylko po to, żeby...

- Nie, nie zamierzam cię gwałcić, Sapphire – oznajmił uroczystym tonem i znowu się uśmiechnął. - Wolę, kiedy dama kocha się ze mną dobrowolnie. Sapphire odebrało mowę z wściekłości.

- Jest... jest pan najbardziej podstępny, najbardziej samolubny mężczyzną, jakiego kiedykolwiek miałam nieszczęście spotkać. O czym pan, na litość Boga, mówi? O jakich trudnościach?

Blake przełożył przez ramię pasek niewielkiej torby podróżnej.

- Postanowiłem zabrać cię ze sobą.

Sapphire próbowała się odsunąć, byle dalej od tego szaleńca, ale gwałtowny ruch sprawił, że znowu odezwał się ból w kostce.

- Leż spokojnie, bo zrobisz sobie krzywdę.

- Może raczy mi pan powiedzieć, dokąd to chce mnie zabrać, panie Thixton?

Blake nachylił się i zaczął spokojnie owijać ją w wełniany pled.

- Znowu jestem panem Thixtonem, tak? - Uniósł jedną brew. - Jeszcze niedawno byłem Blakiem, ale też chwila była szczególna.

Miała ochotę wymierzyć policzek w tę uśmiechniętą twarz.

- Nie robi pan tego - wycedziła. - To byłoby... porwanie.

- Ścisłe mówiąc, nie będzie to porwanie. Przez ostatnie tygodnie robiłaś wszystko, co w twojej mocy, żeby znaleźć odpowiedniego opiekuna, czekając na najwyższą ofertę. Tak się składa, że moja oferta jest najwyższa, i ty ją przyjmiesz.

- Ani myślę - syknęła.

Blake kończył ją owijać. Próbowwała mu przeszkodzić, odpychała go, ale wszystko na nic; po chwili tkwiła w pledzie jak niemowlę w beciku, nie mogąc wykonać najmniejszego ruchu.

- Uspokój się, najdroższa Sapphire. Nie szarp się, to nic nie da. Dokąd pójdziesz golusienka, jak cię pan Bóg stworzył? Ze zwichniętą kostką? Po nocy spędzonej ze mną? Przecież nie do lorda Thomasa. Nie jesteś już dziewczicą i twoja oferta automatycznie przestała być ważna.

- Jestem dziewczicą!

- Owszem, ściśle medycznie rzecz ujmując, jesteś, tylko kto ci uwierzy?

Sapphire łyzy bezsilnej złości napłynęły do oczu. Miała ochotę rzucić się na niego z pięściami. Tymczasem tak pieczołowicie ją owinał, że nie mogła ruszyć nawet palcem.

- Spokojnie, najmilsza - powiedział, podnosząc ją z łóżka. - Niebawem pogodzisz się z myślą, że jesteś moją kochanką. I nawet to polubisz.

- Niech pan mnie puści! - zawołała. - Niech pan mnie puści, bo będę...

- Będiesz krzyczeć? A kto przyjdzie ci z pomocą? Co noc prawie sprowadzałem tutaj kobiety. Dziwki, ale przeważnie damy, którym zależy na dyskrecji. Nikt się nie pojawi, jeśli zaczniesz krzyczeć, moja droga. Nawet jeśli ktoś cię usłyszy, pomyśli, że to odgłosy porannych igraszek w łóżku. A może chcesz się uwolnić i uciec? Czyż nie byłby to rozkoszny widok? Ty biegnąca nagusienko środkiem ulicy w niedzielny poranek.

Oczywiście musiałabyś podskakiwać, zważywszy, że masz skrzyconą nogę w kostce. Młoda dama podskakująca na jednej nodze w samym środku Londynu. Obawiam się, że skompromitowałabyś się do cna, moja droga, i żaden amator pięknych kobiet nie spojrzalby już więcej na ciebie. Kiedy, oczywiście, przestałby pokładać się ze śmiechu.

- Nigdzie nie pojedę - oświadczyła kategorycznie, ale już rodził się w niej lęk na myśl o tym, co będzie dalej. - Ostatniej nocy... to była pomyłka. Wypiłam za dużo i...

- Chcesz wierzyć, że tak właśnie było. A teraz nic już nie mów, bardzo cię proszę, w przeciwnym razie, przysięgam na wszystkie świętości, zostawię cię gołą na środku ulicy, pled zabiorę ze sobą.

- Och! - To wszystko, co udało się jej powiedzieć, po czym Blake zakrył jej głowę pledem i wyniósł swoją brankę z pokoju.

Kiedy Angelique wróciła do domu o świcie, zastała ciotkę, siedzącą na kanapie w salonie.

- Sapphire? - zawołała Lucia, budząc się z drzemki.

- Co robisz o tej porze, ciociu? Dlaczego nie śpisz? - Angelique zamknęła drzwi za sobą. - Źle się czujesz? - zmartwiła się.

Lucia podbiegła do niej i ujęła jej dłonie.

- Sapphire nie wróciła na noc do domu. Miałam nadzieję, że jest z tobą.

- Ze mną? - Angelique cofnęła się, zaskoczona.

- Skądże. Ja byłam z Henrym. Po balu pojechaliśmy do domu jego rodziców. On całkiem sfiksował. Koniecznie chciał im powiedzieć, nie zważając na porę, że się ze mną żeni, nawet bez ich zgody. Mnie też zresztą nie pytał, czy mam ochotę zostać jego żoną - dodała, kierując się w stronę kuchni.

Lucia ruszyła za nią. Kuchnia była maleńka, ale większość posiłków panie zamawiały w pobliskiej jadłodajni. Avena doskonale wywiązywała się z obowiązków pokojówki, za to talentów kulinarnych, jak Lucia szybko się przekonała, nie miała za grosz.

Angelique otworzyła spiżarkę i zajrzała ciekawie do środka.

- Umieram z głodu - powiedziała, wyjmując talerz przykryty serwetką.

- Domyślasz się, gdzie może być Sapphire? Ogromnie się o nią niepokoję. Czyżby pojechała do Charlesa?

Angelique zdjęła serwetkę, pod którą krył się kawałek żółtego sera. Wyjęła z szuflady nóż i odkroiła sobie plasterek.

- Z Charlesem? Nie sądzę. Około trzeciej widzieliśmy go w pubie na Westminster. Muszę powiedzieć, że był w paskudnym nastroju. - Zaczęła zajadać ser. - Musieli się pokłócić. Nic nie chciał powiedzieć, ale widziałam, że jest wściekły. Cały czas dopytywał się, czy Sapphire nie skarżyła mi się przypadkiem na niego. Powiedziałam mu, że nie miałyśmy okazji rozmawiać po balu, na co on zaczął mnie przekonywać, żebym nie wierzyła ani jednemu jej słowu, gdyby zaczęła coś opowiadać. Coś bełkotał, że za dużo wypila, że źle rozumiała jego zamiary. - Angelique machnęła lekceważąco dłonią. - Czyste banialuki. Pojęcia nie mam, o co mogło mu chodzić.

- Co mogło się stać? To do niej niepodobne, nie wrócić do domu na noc. Nigdy jeszcze nic takiego się jej nie przydarzyło.

- To może być moja wina. - Angelique ukroiła sobie jeszcze jeden kawałek sera. - Wyszła z balu z Charlesem, to wiem. Opuszczali rezydencję Harrisów w niejakim pośpiechu, po moim występie. Niechcący wywołałam zamieszanie... Lucia uniosła pytająco brwi.

- Nie słuchaj plotek - przestrzegła ją Angelique.

- Nie ma w nich krzty prawdy. A jeśli nawet jest, to bardzo mało.

- Myślisz, że Sapphire mogłaby uciec?

- Uciec? Na pewno nie. Dokąd? Za mało w nią wierzysz, ciociu. Nasza mała Sapphire ma swój rozum. Poradzi sobie w każdej sytuacji. Jakbyście wszyscy zapomnieli, że to ona mnie uratowała wtedy na plaży przed sforą bezpańskich psów. - Angelique przełknęła ostatni kęs sera i szybko wyszła z kuchni.

- Dokąd idziesz? - zapytała Lucia, idąc w ślad za nią.

- Spać. - Angelique odwróciła się jeszcze do ciotki.

- Ty też powinnaś się położyć.

- Nie zmrużyłabym oka ze zmartwienia. - Lucia załamała rękę. - Armand powierzył ją mojej opiece i teraz...

- Uspokój się, ciociu. - Angelique chwyciła Lucię za ramiona. - Niepotrzebnie się zamartwiasz. Kto wie, może spotkała zachwycającego hrabiego Wesseksa? Podkochuje się w nim, a on w niej. Idę do łóżka. W południe ma przyjechać Henry. - Angelique uśmiechnęła się szeroko. - Co oznacza, że pojawi się bliżej trzeciej. Przykazałam mu, żeby przeprosił rodziców, jak wytrzeźwieje. Nie wyjdę za niego, jeśli go wydziedziczą.

- To chyba niesprawiedliwe postawienie sprawy. Przecież ty też nie będziesz miała grosza.

- Nieprawda. Będę miała to, co zapisała mi Sophie. Poza tym mam własne zasoby. - Zaśmiała się, pomachała ciotce dłonią i ruszyła w stronę swojej sypialni.

Oby Angelique potrafiła rozpoznać uczucie, gdy się pojawi. Lucia z całego serca życzyła jej tego. Henry, choć trzpiot i szalawila, szczerze ją kochał. Lucia bała się, że Angelique pozwoli przejść tej miłości mimo. Lucia weszła do swojej sypialni. Założyła kapelusz, chwyciła pelerynę, torebkę i wybiegła z domu. Miała nadzieję, że mimo wczesnej pory uda się jej w miarę szybko znaleźć fiakra.

- Luciu, kochanie, co się stało? - Jessup, wyrwany z łóżka, przywitał najdroższą w koszuli nocnej.

- Chodzi o Sapphire - odparła ze łzami w oczach i padła w objęcia reagenta. - Nie wróciła po balu do domu. - Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo jest zdenerwowana. - Przepraszam, mój drogi, że budzę cię o tej porze, ale nie wiedziałam już, co robić, do kogo się zwrócić.

- Dajże spokój. Nie bądź śmieszna. Bardzo dobrze zrobiłaś, że przyjechałaś - uspokajał ją Jessup, prowadząc przez hol do salonu. - Malcolm! - zawołał do kamerdynera, który wpuścił Lucię, a teraz pospiesznie zapalał lampy. - Powiedz Elli, niech przygotuje nam herbatę.

- Ella chyba jeszcze nie przyszła. Przecież dzisiaj niedziela, sir.

- No to sam zagrzej wodę! A ty, kochanie, siadaj sobie tutaj. - Jessup usadowił Lucię w ulubionym fotelu przy kominku. - Właściwie niedobrze zrobiłaś, że się tu fatygowałaś - powiedział po chwili zastanowienia. - Trzeba było przysłać Angelique albo Avene, to ja przyjechałbym do was.

Lucia zmarszczyła czoło.

- Angelique machnęła ręką. Uważa, że nie ma czym się martwić. A ja się niepokoję, bo to niepodobne do Sapphire.

- Oczywiście, oczywiście. Zimno tutaj, nie sądzisz?

- Jessup roztarł dłonie Luci i zawołał przez ramię: -Malcolm. Rozpal na kominku, ale migiem! - Zapytał:

- Powiadasz, moja droga, że Sapphire nie wróciła na noc? Angelique, jak rozumiem, nie wie, co się z nią stało.

- Sapphire była wczoraj na balu u lady i lorda Harris. Pojechała z lordem Thomasem, powinien odwiedzić ją potem do domu, a tego nie zrobił.

- Nie zrozum mnie źle, moja droga, ale może... po prostu została u lorda Thomasa?

- Z pewnością nie. Mówiłam ci, Jessupie, że to była tylko gra, pozór od początku do końca. - Lucia złożyła dłonie na kolanach. - I pomyśleć, że to był mój pomysł. A jeśli coś jej się stało? Nigdy bym sobie tego nie wybaczyła.

- Luciu, posłuchaj mnie. - Jessup znowu ujął jej dłonie. - Sapphire nic się nie stało. Wszystko się wyjaśni, zobaczysz. Zajmę się tym.

- Znajdziesz ją?

Jessup wstał i pocałował Lucię w czoło.

- Oczywiście, że znajdę. Posiedź tu, napij się herbaty, a ja się ubiorę.

- Pojadę z tobą.

- Nie, nie pojedziesz. Chyba że chcesz, żebym odwiózł cię do domu. Wyglądasz tak, jakbyś ostatniej nocy nie zmrużyła oka.

Lucia pokręciła głową.

- Nie spałam i teraz też bym nie zasnęła. Znajdź ją, Jessupie, proszę.

- Znajdę, najdroższa.

Po jeździe, która zdawała się trwać całe wieki, Blake wyniósł Sapphire z powozu, gdzieś przeniósł niczym tuszę mięsa, po czym rzucił bezceremonialnie na jakieś łóżko; wtedy wreszcie mogła uwolnić się z pledu.

- Nie robi pan tego! - krzyknęła, po czym rozejrzała się po nowym otoczeniu.

Znajdowali się w niewielkim wnętrzu o ścianach z sosnowych desek, a ona leżała na wąskim, jednoosobowym łóżku. Kajuta... koja... A więc to jednak prawda... Już kiedy powóz się zatrzymał, poczuła charakterystyczny zapach portu. Była na statku. Blake porwał ją i chce zabrać do Ameryki!

- Słyszysz pan?! - wrzasnęła na całe gardło, klękając na łóżku.

Blake stał przy drzwiach kabiny.

- Trudno cię słuchać, kiedy człowiek patrzy na ciebie, moja droga.

Sapphire spojrzała po sobie i zobaczyła, że pled zsunął się z ramienia i Blake mógł oglądać jedną pierś w całej krasie.

- Och! - krzyknęła i się okryła. Chciało się jej płakać z bezsilnej złości. - Nie może pan zabrać mnie ze sobą.

- Mogę i zabiorę. - Blake podszedł do biurka i postawił na nim skórzaną torbę, którą dotąd miał na ramieniu. - Chciałaś mieć opiekuna i oto go masz.

- Rozłożył ręce na znak, że uważa sprawę za ostatecznie załatwioną.

- Chciałam, żeby pan -uznał we mnie prawowitą córkę hrabiego Edwarda Wesseksa.

Otworzył torbę, wyjął z niej kilka książek i oprawny w skórę zeszyt.

- Dla dobra naszych wzajemnych stosunków powinnaś o tym zapomnieć. Nie przekonasz mnie. Jesteś, kim jesteś, Sapphire. Piękną, młodą kobietą, która chce znaleźć swoje miejsce w życiu. Nie widzę w tym nic złego, wręcz przeciwnie, doceniam twoją determinację. W moim przekonaniu być utrzymanką to nic nagannego. Mężczyźni o niebo lepiej traktują kochanki niż żony.

Sapphire oparła się o ścianę. Nie wierzyła, że znalazła się w tak absurdalnym położeniu.

- Ciągłe uważa mnie pan za oszustkę?

- Tak.

W tej samej chwili coś zaczęło się dziać. Dało się słyszeć nawoływania, szybkie kroki. Statek najwyraźniej rzucił cumy i odbijał od nabrzeża.

- Płyniemy? - zapytała Sapphire. - To niemożliwe. Ja nie mogę... Ciotka... Nikt nie wie, co się ze mną dzieje, gdzie jestem. Proszę... - błagała.

Blake nie reagował.

- Nie mogę uwierzyć, że pan mi to robi - powiedziała z wyrzutem, łykając łzy. - Pan mnie porywa - stwierdziła odkrywco.

- Niezupełnie. Drzwi nie są zamknięte na klucz. Odbiliśmy właśnie od kei, ale możesz jeszcze wyskoczyć za burtę i dopłynąć do brzegu. Ktoś cię na pewno wyłowi. Umiesz chyba pływać?

- Wychowałam się na Martynice. Oczywiście, że umiem pływać.

- W takim razie droga wolna. - Blake z ukłonem wskazał drzwi.

- Jestem naga - obruszyła się Sapphire.

- Owszem, jesteś.

Wpatrywała się jeszcze przez chwilę w drzwi, po czym z głośnym jękiem rozpaczły padła na koję i zakryła głowę pledem.

- Proszę bardzo, możesz się obrażać - powiedział Blake spokojnie, zabierając się za rozpakowanie bagaży. - To może być bardzo długi rejs, w zależności od wiatrów, ale jak sobie chcesz. Albo będziesz się gniewała i chowała pod kocem, albo spędzimy kilka

tygodni, ciesząc się dobrym jedzeniem, popijając wino, czytając... i oddając innym sympatycznym zajęciom.

Jasne. Oddając się innym sympatycznym zajęciom... Doskonale wiedziała, co ten łajdak ma na myśli, nie musiał precyzować.

Uniosła brzeg pledu i rzuciła przekleństwo, którego dotąd nie odważyła się wypowiedzieć.

Po wyjściu Jessupa Lucia wypila filiżankę herbaty, a później, idąc za jego radą, postanowiła się zdrzemnąć, ale zamiast jechać do domu, poszła po prostu do sypialni i ułożyła się w łóżku Jessupa. Malcolm, nawet jeśli takie zachowanie wydało mu się cokolwiek niezwykłe, przyjął je z kamienną twarzą.

O dziwo, usnęła niemal natychmiast. Obudziła się dopiero wtedy, gdy Jessup wszedł do pokoju.

- Wiesz coś? - zapytała. Pokręcił głową.

- Pojechałem do lorda Thomasa. - Dopiero teraz zdjął płaszcz i powiesił na drzwiach. - Nie powiem, żeby przyjęli mnie z otwartymi ramionami. Sapphire dobrze zrobiła, jeśli zerwała kontakty z tym młodzieńcem. - Podszedł do łóżka. - Nie byłem w stanie prawie nic zrozumieć z opowieści Charlesa. W każdym razie chciał odwiedzić Sapphire do domu, ale w drodze dostała jakoby napadu złego humoru, pokłóciła się z Charlesem i wysiadła z powozu na środku ulicy. To jego wersja wydarzeń.

- Sapphire miałyby dostać napadu złego humoru? - Lucia usiadła w pościeli i przetarła oczy. - Trudno mi w to uwierzyć.

Jessup przysiadł na brzegu łóżka.

- Mnie również. Lucia ujęła jego dłoń.

- Myślisz, że Charles kłamie?

- Myślę, że nie mówi całej prawdy. Zmieniając temat, twoja szalona Angelique i lord Carter dali ponoć wczoraj na balu interesujące przedstawienie.

Lucia machnęła ręką.

- Tak, mówiła mi o tym. Jessup uniósł brwi.

- Powiedziała ci, co zrobiła?

- Nie do końca, ale nie jestem ciekawa. Teraz obchodzi mnie tylko jedno: gdzie podziewa się Sapphire. Muszę natychmiast rozmówić się z tym młokosem. Jak mógł pozwolić jej wysiąść z powozu? W środku nocy samotna kobieta na ulicach Londynu? Nie pomyślał, jakie to niebezpieczne? Głupiec!

- Kochanie, coś przyszło mi do głowy.

- Mianowicie?

Jessup zastanawiał się chwilę.

- Mówże. - Lucia ścisnęła jego dłoń niecierpliwie. - Jeśli coś wiesz, domyślasz się, mów, nawet jeśli zabrzmie to strasznie...

Jessup się uśmiechnął.

- Zawsze tak dramatyzujesz?

- Zawsze, i dlatego mnie kochasz.

- Otóż hrabia Wessex wypłynął dzisiaj rano do Ameryki.

- Hrabia Wessex! - wykrzyknęła Lucia i spuściła głowę. - Angelique wspominała mi o nim. Myślisz, że może mieć coś wspólnego ze zniknięciem Sapphire?

Jessup wzruszył ramionami.

- Mówiłaś, że tych dwoje ma się ku sobie, ale nie byłaś pewna, czy zdają sobie z tego sprawę.

- Gdyby zamierzali popłynąć razem, moja Sapphire przysłaby do mnie i powiadomiła o swoich zamiarach. Nie uciekłyby ot tak, bez słowa. - Lucia wciągnęła gwałtownie powietrze w płuca. - Sądzisz, że mógł ją zabrać wbrew jej woli?

- Nie bardzo mogę uwierzyć, by ktoś zdołał uczynić cokolwiek wbrew woli Sapphire, ale... - Jessup zamilkł.

- Ale co? - Lucia zajrzała mu w oczy, szukając odpowiedzi.

- Blake Thixton to człowiek, który robi, co chce, nie pytając nikogo o zdanie.

Lucia złożyła dłonie.

- Modlę się, aby się okazało, że Sapphire jest z nim, cała i zdrowa. Myślisz, że Wessex potrafi godnie się zachować?

- Pytasz, czy się z nią ożeni? Lucia skinęła głową.

Jessup zastanawiał się przez długą chwilę, w końcu odparł:

- Muszę ci powiedzieć, najdroższa, że to jeden z najbardziej godnych szacunku ludzi, jakich miałem przywilej spotkać.

- Uważasz, że Sapphire będzie z nim bezpieczna? - zapytała Lucia cicho.

Jessup uśmiechnął się i ucałował jej dłoń.

- Sądzę, że tak.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Sapphire leżała na koi z głową ukrytą pod pledem, ale w końcu zaczęło być jej duszno, nad górną wargą zebrały się kropelki potu. Słyszała, jak Blake krząta się po kabinie, i rozmyślała o tym, w jakim beznadziejnym położeniu się znalazła. Stopniowo uzalenie się nad sobą zamieniło się w gniew.

Jak on śmiał?! Jak Blake Thixton śmiał zrobić coś takiego?!

Nie dbała, że studiował na Harvardzie, że prowadzi świetnie prosperującą firmę, że jest hrabią Wesseksem i dziedzicem jej ojca. Mógłby być nawet królem Anglii, niewiele ją to obchodziło. Nie miał prawa! Nie miał prawa porywać jej, narażać na rozłąkę z rodziną. Nie pozwoli tak się traktować. Kim on jest? Zwykłym handlarzem, nuworyszem, który zdobył tytuł. I taki człowiek śmie traktować córkę angielskiego arystokraty jak zwykłą ladacznice?

Sapphire odkryła głowę i zeszła z koi, owijając się pledem.

- Nie masz prawa! - zawołała.

Blake, który siedział przy biurku, podniósł się, wyraźnie zaskoczony, ale ciągle z tym swoim uśmiechem na twarzy.

- Nie chcę płynąć z tobą do Ameryki, rozumiesz?

- Chwyciła książkę leżącą na biurku i cisnęła w niego.

- Nie chcę!

Blake uchylił się i cofnął o krok.

- Pogodź się z tą myślą, przyzwyczaj się. Boston to wspaniałe miasto, zupełnie inne niż Londyn, ale na swój sposób ekscytujące. Jako moja kochanka, będziesz bywała ze mną w teatrze, na koncertach i przyjęciach u najbogatszych ludzi Ameryki.

- Nie chcę być twoją kochanką. Nie będę! - Chwyciła następną książkę i czy lepiej wycelowała, czy też Blake za późno zareagował, dość, że książka trafiła go w ramię.

- Ja naprawdę potrafię być czarujący. - W oczach zabłysły mu wesołe iskierki. - Niektórzy mówią nawet, że kobiety za mną szaleją.

- Nie przyzwyczaj się! - Sapphire chwyciła but Blake'a i cisnęła w niego.

- Auuu! - But trafił go w czoło. - Uspokój się, Sapphire, bo któreś z nas będzie żałować.

- Zgadza się, któreś z nas będzie żałować, ale zapewniam cię, że tym kimś nie będę ja. - Sapphire nachyliła się i przytrzymując jedną dłońią pled na piersi, chwyciła skórzaną torbę stojącą na podłodze.

- Dość tego! - krzyknął Blake, przyskoczył i chwycił Sapphire wpół. Straciła równowagę, wypuściła torbę z ręki i poczuła piekący ból w chorej nodze. Nie upadła tylko dlatego, że Blake trzymał ją mocno w objęciach.

- Puść mnie! - zawołała. - Natychmiast mnie puść. Blake przyciągnął ją bliżej do siebie, krępując dłonie. Chcąc się uwolnić, uderzyła w niego całym ciałem, teraz Blake z kolei stracił równowagę i obydwójce upadli na kolę.

- Nie musi tak być - wydyszał i zaczął ją całować. - Mamy być razem. Ty to wiesz i ja to wiem.

Jego usta, język... Blake wyczyniał z nią najdziwniejsze rzeczy: cudowne, niebywałe, przyprawiające o rozkosz.

- Nie - szepnęła, ale czuła, że każdy nerw reaguje na pieszczoty. Nie powinno tak być, a jednak było. W tej chwili nie liczyło się nic poza bliskością Blake'a.

Przesunęła palcami po jego miękkich, ciemnych włosach i nie próbowała się już bronić. Poddawała się pieszczotom, zapamiętując się w rozkoszy. Odpływała w nieznanym sobie dotąd świat.

Kiedy znacznie później leżała zupełnie wyczerpana w ramionach Blake'a, wreszcie zaczęła rozumieć Angelique. Teraz wiedziała już, co to znaczy być kobietą, kochać się z mężczyzną.

- Jesteś taka słodka. - Blake nie otwierając oczu, pocałował ją w ramię. - Widzisz, mówiłem ci, że potrafimy się porozumieć.

Sapphire odwróciła się na bok, okryła oboje pledem i zapadła w sen, szczęśliwa i syta rozkoszy.

Kiedy się obudziła, była sama w kabinie. Blake gdzieś wyszedł, ale na biurku stała niewielka taca, a na niej chleb, ser, jabłko i cynowy dzban.

Na widok jedzenia poczuła się głodna. Wstała z koi, owinęła się prześcieradłem i pokuśtykała do fotela przy biurku. Usiadła, oderwała kawałek chleba, włożyła do ust i zobaczyła karteczkę, na niej zaledwie dwa słowa skreślone przez Blake'a mocnym, wyrazistym charakterem pisma. „Pożyw się” - przeczytała i się uśmiechnęła. Pożyw się, czyli odzyskaj siły po miłosnych igraszkach, przygotuj się na więcej?

Była zdumiona, że podobne myśli przychodzą jej do głowy. Pierwszy raz była z mężczyzną i już myśli o następnym razie? Ukroiła kawałek sera, zastanawiając się, skąd

u niej to rozpasanie? Prędzej spodziewałaby się takiej postawy u Angelique, lecz nie u siebie. W każdym razie u siebie, jaką była jeszcze wczoraj.

Odkroiła kawałek jabłka, włożyła do ust i sięgnęła po dzban. Cydr był chłodny, orzeźwiający; piła tak łapczywie, że kilka kropelek pociekło jej po brodzie.

Drzwi się otworzyły i Sapphire szybko poprawiła prześcieradło, którym była owinięta.

- Nie śpisz już - przywitał ją Blake. Przełknęła ostatni łyk cydru, nie bardzo wiedząc, co

odpowiedzieć.

- Znalazłaś jedzenie. Pomyślałem, że możesz być głodna, kiedy się obudzisz. -

Podszedł do niej z uśmiechem na ustach, otarł jej z brody kropelkę cydru

I oblizwał palec.

Ten prosty gest sprawił, że poczuła się zakłopotana.

- Nie wierzę, panna Sapphire Fabergine milczy. Jeszcze cię takiej nie widziałem.

- Chcę swoje ubranie - powiedziała, biorąc jabłko z tacy, po czym przykuśtykała na koję, starając się oszczędzać skrzyconą kostkę.

- Właśnie przyniosłem. - Blake pokazał trzymane w ręce zawiniątko, które z pewnością nie było jej suknią.

- Chcę swoje ubranie - powtórzyła z naciskiem.

- Przykro mi. Mówiłem ci, że było zupełnie zniszczone. Poza tym suknia balowa i falbaniaste halki to nie jest odzienie zbyt praktyczne na statku.

Raz jeszcze spojrzała na zawiniątko; wszystko mogło być lepsze niż paradowanie w prześcieradle. Ubrana poczuje się znacznie pewniej. Z tą myślą wyciągnęła rękę i usiadła na koi.

Blake trzymał zawiniątko zawieszony na palcu i wpatrywał się w Sapphire pożądliwym wzrokiem, wcale tego nie kryjąc.

- Muszę powiedzieć, że wolę cię bez ubrania.

- Proszę.

Blake uśmiechnął się i rzucił zawiniątko na koję, po czym odwrócił się do biurka.

- Jak na tak delikatną dziewczynę, jesz całkiem sporo. - Przełamał resztkę chleba na pół i ukroił sobie kawałek sera. - To miało być także moje śniadanie.

Sapphire odłożyła jabłko i sięgnęła po zawiniątko, w którym znalazła spodnie z grubego płótna i prostą, białą koszulę.

- I to wszystko, co możesz mi zaproponować? - spytała z niedowierzaniem.

- Wybacz, ale jesteśmy już na pełnym morzu. Niewiele tu sklepów z sukniami.

- Przecież nie włożę czegoś takiego. To nieprzyzwoite!

- Nie bardziej nieprzyzwoite niż zajęcia, którym oddawaliśmy się całkiem niedawno.

- Wyjątkowy drań z ciebie.

- Gdybym był draniem, trzymałbym cię nadal zawiniętą w koc. Jeśli wolisz jednak chodzić nago, mogę zabrać te rzeczy...

- Nie. - Włożyła koszulę. - Wydaje ci się, że zjadłeś wszystkie rozumy - wytknęła mu, obciągając koszulę. - Powinieneś być pomyśleć wobec tego o odpowiednim stroju dla mnie, kiedy postanowiłeś mnie porwać.

Blake odkroił następny kawałek sera.

- A ty powinnaś była pomyśleć, zanim wyskoczyłaś z powozu i zniszczyłaś sobie suknię. Miałaś szczęście, że skrzyłaś tylko nogę w kostce. Cud, że nie połamałaś kości albo nie stratały cię moje konie.

Skrzywiła się na te słowa i wciągnęła spodnie- luźne, zawiązywane w pasie na tasiemkę, leżały na niej doskonale. Teraz wreszcie mogła pozbyć się prześcieradła.

Blake odsunął się o krok.

- Najpiękniejszy majtek, jakiego kiedykolwiek widziałem.

- Ukradłeś te rzeczy jakiemuś majtkowi? - Sapphire odgarnęła włosy do tyłu.

- Odkupiłem od niejakiego Ralphiego. Polubisz go, zobaczysz.

- Nie sędzę - odparła cierpko i ugryzła solidny kęs jabłka. Ani myślała dzielić się z Blakeiem, który przyglądał się jej bez słowa. - Co teraz? - zapytała.

Pytanie najwyraźniej go rozbawiło, co z kolei ją przyprawiło o irytację.

- Jak to: co teraz? Sapphire zawrzała ze złości.

- Co mam robić, zamknięta wbrew swojej woli na tym statku z tobą w jednej kabinie?

- Możemy się kochać - zaproponował Blake, wzruszając beztrudnie ramionami. - Nie słyszałem, byś się skarżyła, że to nudne zajęcie.

Miała ochotę cisnąć w niego jabłkiem, ale było zbyt smaczne, żeby tak je marnować.

Widocznie jej mina mówiła wszystko, bo Blake ciągnął ze swadą:

- Możemy też czytać. Grać w karty. Zabrałem szachy. Grasz w szachy?

Oparta plecami o ścianę, Sapphire kończyła powoli jeść jabłko.

- Gram w szachy, oczywiście. I to całkiem niezłe. Nauczył mnie mój ojczym Armand.

- Ja też uchodzę za dobrego szachistę. W wielu rzeczach jestem dobry, na przykład kochankiem jestem wprost świetnym.

Sapphire posłała mu lodowate spojrzenie.

- Wybieraj. Piękny dzień dzisiaj, możemy wyjść później na pokład, jeśli będziesz miała ochotę.

- Wyjdziemy na pokład, świetny pomysł - powiedziała szybko, ciągle jeszcze myśląc o ucieczce. Jeśli byli blisko brzegów, mogła liczyć, że wyłowi ją jakiś statek. Przy ujściu Tamizy żegluga musiała być ożywiona, ruch w tym akwenie duży...

- Nie łudź się nadziejami. Nikt na tym statku nie pomoże ci w ucieczce. Wynająłem go, płacę za rejs i mogę przewozić w swojej kabinie choćby słonia, nic nikomu do tego.

Sapphire skończyła jeść jabłko i otarła usta wierzchem dłoni.

- Coś jednak musiałeś powiedzieć kapitanowi, wytłumaczyć moją obecność. Zapewne zdziwił się, że zamiast jednego pasażera ma dwoje.

Blake dopił cydr.

- Powiedziałem mu prawdę.

- Że mnie porwałeś?

- Nie. Że jesteś moją kochanką.

Sapphire cisnęła w niego ogryzkiem jabłka i nie chybiła celu.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Monsieur.

Armand usłyszał głos Tarasai za plecami, ale się nie odwrócił. Stał na nabrzeżu i patrzył w morze.

- Poszłam tylko na chwilę do wsi, a ty uciekasz z domu. Jesteś jak dziecko. Nie można zostawić cię samego.

Podeszła do niego, zarzuciła mu kurtkę na ramiona, a potem poprawiła rozwiane wiatrem włosy.

- Armandzie, słyszysz, co do ciebie mówię? Powinieneś leżeć w łóżku - napomniała go łagodnie i pocałowała lekko w policzek.

Armand otulił się kurtką, zapatrzony w fale, łamiące się na falochronie w oddali. Stał tak od ponad godziny i choć dzień był ciepły, on miał lodowate stopy, w głowie mu się kręciło, ale nie mógł oderwać oczu od oceanu.

- Duża fala dzisiaj, niezwykła jak na tę porę roku, nie sądzisz, Tarasai?

- Nie wiem, czy taka niezwykła. Zapowiada się sztorm. - Wsunęła mu rękę pod ramię.

- Armandzie, mój drogi, musisz słuchać doktora, jeśli chcesz poczuć się lepiej.

Armand westchnął. Czuł się śmiertelnie zmęczony. Pokonany.

- Tarasai, oboje wiemy, że nie poczuję się lepiej - powiedział, patrząc w jej wielkie, ciemne oczy.

- Nieprawda. - Mocniej zacisnęła dłoń na jego ramieniu, a drugą dotknęła brzucha. - Lekarstwo, które doktor przepisał, wzmacnia cię. Musisz być silny. Dla dziecka.

- Lekarstwo niewiele pomaga - szepnęła Armand ze smutkiem. - Choroba mnie zżera.

- Ale...

Położył jej palec na ustach, nie pozwalając dokończyć zdania.

- Jestem coraz słabszy, Tarasai. Popatrz na mnie. Nie mogę już nawet pójść na spacer. Muszą mnie nieść.

- Wskazał dwóch chłopców z wioski, którzy czekali cierpliwie przy fotelu zamienionym w lektykę.

- Nie, nie. - Tarasai przytuliła policzek do ramienia Armanda.

- Ciii - uspokajał ją. - Nie jest tak źle. Jestem znacznie starszy od ciebie. Mam za sobą dobrze przeżyte życie. - Pocałował ją w czubek głowy, po czym znowu utkwił wzrok we wzburzonym morzu.

- Szkoda tylko, że na wiadomości z Anglii trzeba tak dugo czekać. Wysłałem pieniądze, jak tylko dostałem list od Luci, i od tego czasu nic, cisza.

- Na pewno wszystko u nich w porządku.

- Też tak sobie mówię. A jednak cały czas dręczy mnie niepokój, od którego nie mogę się uwolnić. - Spojrzał Tarasai w oczy. - Wiem, że to głupio brzmi, ale czuję, że Sapphire wpadła w kłopoty i mnie potrzebuje.

- Rzeczywiście, brzmi idiotycznie w ustach kogoś takiego jak ty. Wykształcony człowiek i takie rzeczy wygaduje. Koniec bajdurzenia. - Tarasai uśmiechnęła się łagodnie i pociągnęła Armanda za ramię. - Chodźmy już, pora wracać do domu, musisz się położyć.

- Masz rację, ale mógłbym umrzeć spokojnie, wiedząc, że nic jej nie grozi.

- Nie mów mi o umieraniu. - Tarasai objęła go i sprowadziła z nabrzeża. - Położysz się do łóżka, a ja z tobą.

- Nigdy nie kładziesz się w środku dnia.

- Dla ciebie się położę, *mon amour*. Poleżę z tobą, aż zaśniesz.

- To miłe - powiedział i ogarnęła go taka słabość, że z trudnością stawiał kroki.

Obejrzał się raz jeszcze na wzburzone morze, próbując odsunąć od siebie złe przeczucia związane z Sapphire i wrócić do codzienności, pod opiekę Tarasai.

Kiedy rozległo się pukanie, Lucia zerwała się na równe nogi i skinęła na Avenę. Dziewczyna pobięła do drzwi.

- Dzień dobry, panie Stowe - przywitała gościa, starannie wymawiając każdą zgłoskę. - Proszę wejść.

- Wiesz już coś? - W głosie Luci dała się słyszeć niecierpliwość.

Jessup uśmiechnął się szeroko i pocałował Lucię w czoło, biorąc ją w ramiona.

- Wiem. Kiedy dotarłem rano do biura, zastałem wiadomość. Odwołałem spotkanie z klientką i przyjechałem natychmiast tutaj.

- Gdzie ona? - Lucia zamknęła pulchne dłonie rejenta w swoich niczym skarb, bo też jej drogi Jessup był prawdziwym skarbem. - Jest bezpieczna? Kiedy ją zobaczę?

- Bezpieczna. - Jessup pokiwał z powagą głową i zwrócił się do Aveny: - Podaj mi, proszę, herbatę.

Dziewczyna dygnęła i zniknęła w kuchni.

- Jest cała i zdrowa - podjął Jessup - ale lord Thomas nie powiedział mi oczywiście wszystkiego, kiedy złożyłem mu nieoczekiwaną poranną wizytę. - Podprowadził Lucię do kanapki, posadził i sam przysiadł obok.

- Co to znaczy? - Lucia coraz bardziej się niecierpliwiła. - Jeśli ten młokos w jakikolwiek sposób skrzywdził moją Sapphire, to przysięgam, że...

- Nie, nie - uspokoił ją Jessup. - Nie zaperzaj się tak, proszę.

Lucia ujęła się pod boki.

- Wcale się nie zaperzam - fuknęła. - Mów, co z moją chrześnicą.

Jessup zawahał się, westchnął i ujął dłoń Luci.

- Stało się tak, jak myślałem. Płynie do Ameryki z hrabią Wesseksem.

Luci łzy napłynęły do oczu na tę wiadomość, odwróciła głowę. Jej sikoreczka pofrunęła w świat. Prędzej czy później musiało się tak stać, ale żeby już? Tak szybko, tak niespodzianie?

- Nie wierzę. Nie wyjechałaby bez jednego słowa, bez pożegnania.

- Zostawiła wiadomość. Dostałem liścik. Dopiero dzisiaj dostarczony. Posłaniec przez pomyłkę przy niósł go do kancelarii, zamiast do domu. Dlatego całą niedzielę nic nie wiedzieliśmy.

- Sapphire zostawiła wiadomość?

- Ściśle mówiąc, hrabia Wessex.

Luci ani trochę się to nie podobało. Wessex zawsze budził w niej nieufność.

- Co pisze? - zapytała ostrożnie.

- List jest bardzo lakoniczny. Głównie wskazówki dotyczące spuścizny po Edwardzie.

- A lord Thomas? - dociekała Lucia. - Co on ma z tym wspólnego?

- Cóż, nie jestem pewien, ale wydaje się, że hrabia Wessex wybawił twoją Sapphire z rąk Thomasa, a ona w miłosnym uniesieniu, wiesz, jacy młodzi ludzie potrafią być nieobliczalni, moja droga, zgodziła się płynąć z nim do Ameryki.

Przez twarz Luci przemknął uśmiech.

- Duch przygody - orzekła. - Zakochali się w sobie do szaleństwa. Sapphire pokłóciła się z Charlesem i w porywie uczucia wsiadła na statek z hrabią Wesseksem, bo nie wyobrażała sobie, że miałaby się rozstać.

- Tak mniej więcej musiało to chyba wyglądać - przytaknął Jessup z uśmiechem. - Bardzo romantyczna historia, prawda?

- Raczej świadcząca o braku rozumu. Ale taka właśnie jest Sapphire. Zawsze wiedziałam, że jak się zakocha, to ze wszystkim. Nie rozumiem tylko, dlaczego Wessex musiał ją ratować przed Charlesem?

- A to już wiem nie od Wesseksa, lecz z pewnego nader wiarygodnego źródła.

- Mianowicie?

- Brat męża córki mojej gospodyni jest stangretem u lorda Thomasa i widział na własne oczy, jak Sapphire uciekła.

- Chryste, Jessup, co ty wygadujesz? Nic z tego nie rozumiem. Jak to uciekła? Ile razy biedna Sapphire miała uciekać?

- Po prostu zostawiła lorda Thomasa na środku ulicy.

Lucia uniosła brew.

- W powozie doszło do... hm... przepychanki, w wyniku której Sapphire kazała zatrzymać konie i wysiadła.

Lucia parsknęła śmiechem.

- Przepychanka, powiadasz? Zatrzymanie koni? Cała Sapphire. Nieodrodna córka swojej matki. Zawsze niezależna i harda. Nic się jej nie stało? Powiedz, że jest cała i zdrowa.

- Jedyną osobą, która wyszła z tej awantury z niejakim uszczerbkiem, jest sam lord Thomas; spotkanie z Wesseksem okazało się dla niego tak niefortunne, że ma złamaną szczękę.

- Dobrze mu tak. Dzięki Bogu, jest cała i zdrowa. A hrabia Wessex, zaopiekuje się nią, prawda?

- Muszę powtórzyć, moja droga, że nie spotkałem nigdy bardziej godnego szacunku dżentelmena. Może trochę wyniosły, zbyt pewny swego, ale ma być z czego dumny, bo wiele osiągnął mimo młodego wieku.

Lucia się uśmiechnęła.

- Dziękuję ci - powiedziała, podając Jessupowi dłoń do ucałowania. - Bardzo ci dziękuję. Obiecałeś, że wszystkiego się dowiesz, i dotrzymałeś słowa.

- W zaistniałej sytuacji mogę chyba zaprzestać szukania dokumentów, dotyczących ojca Sapphire.

- Jak to? - zdziwiła się Lucia. Jessup zdziwił się jeszcze bardziej.

- Chciałem powiedzieć... że teraz... kiedy Sapphire jest z hrabią Wesseksem, jej pochodzenie nie ma chyba większego znaczenia, nie sądzisz?

Lucia wstała.

- Niczego takiego nie sędzę, panie Stowe.

- Ja nie... - bąknął rejent, podnosząc się również.

- Kim Sapphire jest, będzie tak samo istotne jutro, jak było tydzień temu. Może nawet jeszcze bardziej, skoro ma wyjść za tego Blake'a Thixtona. Przeżyje przygodę swojego życia, pozna Amerykę, a potem wróci do szarej rzeczywistości, zapewne jako żona hrabiego Wesseksa, ale niezależnie od wszystkiego pozostanie córką swojego ojca i będzie chciała mieć tego potwierdzenie. Choćby przez wzgląd na jej własne dzieci. - Lucia spojrzała na Jessupa. - O co chodzi? Myślisz, że nie wróci?

- Ja...

- Mylisz się - oznajmiła z przekonaniem. - Znam moją Sapphire. Wyjechała wiedzona gwałtownym impulsem, ale nie zapomni o nas ani o swoim pochodzeniu. Ona wróci, a jeśli w to wątpisz, panie Stowe, Avena odprowadzi cię do drzwi.

Biedny rejent zrobił taką minę, jakby miał się rozplakać.

- Nie, nie - zapewnił pospiesznie. - Powiedziałem tak, bo nie byłem pewien... - Wbił wzrok w podłogę, potem spojrzął na Lucię. - Jeśli chcesz, bym dalej szukał dokumentów, będę ich szukał. Zrobię to dla ciebie, choćby miało mi to zająć resztę życia, jeśli tego właśnie pragniesz. - Opuścił bezradnie ręce. - Tylko nie złość się na mnie, najdroższa, bo tego nie zniosę.

Lucia w milczeniu słuchała zakłęk Jessupa, wreszcie powiedziała:

- Tak, tego właśnie chcę.

- Zatem i ja tego chcę - zapewnił Jessup zdławionym głosem i wyciągnął dłoń do swojej najdroższej. - A teraz usiądźmy sobie i napijmy się herbaty, zanim wrócę do kancelarii.

- Wyjechała? Co to znaczy? - dopytywał się Henry, wiążąc fular przed lustrem.

Angelique leżała wyciągnięta na łóżku, w samej koszuli, i zajadała poziomki z bitą śmietaną.

- Wyjechała do Bostonu z Amerykaninem. - Umoczyła kolejną poziomkę w śmietanie i wrzuciła do ust.

Henry odwrócił się od lustra.

- Słodka, niewinna Sapphire uciekła z hrabią Wesseksem? - zapytał z niedowierzaniem.

Angelique sięgnęła po następną poziomkę, umoczyła ją, oblizwała i umoczyła raz jeszcze.

- Wessex, Thixton, jak tam go zwał, napisał liścik do rejenta, pana Stowe'a. Znaczą Jessupa cici Luci.

W liście zawiadomił, że Sapphire jest z nim i żeby się j o nią nie martwić, tylko tyle.

- Niech mnie kule biją. - Henry wrócił do wiązania fularu. - Myślisz, że ten typ jest, no wiesz... odpowiedni?

Angelique wzruszyła ramionami.

- Tak samo odpowiedni jak ty, lordzie Carter. Henry parsknął śmiechem.

- Tego się nie spodziewałem po naszej Sapphire. Charles skarżył się, że nawet nie dała mu się dotknąć. - Od samego początku kochała się w Wesseksie, choć twierdziła, że go nienawidzi. Ona i te jej romantyczne marzenia. To wszystko przez czytanie bzdurnych poezji. Byron, Keats, Shelley. Całkiem od tego zgłupiała.

- Nie sądzę, żeby miłość była czymś głupim. - Spojrzął na odbicie Angelique w lustrze. - Ja na przykład kocham ciebie.

Angelique oblizwała palce.

- Nie mów takich rzeczy. Kochasz moje ciało i to, co to ciało daje twojemu ciału.

- Kocham twoje ciało i twoje serce. Angelique wstała i podeszła do Henry'ego.

- Ty też naczytałeś się poezji? - Dała mu po łapach i dokończyła wiązać fular. - Jeśli zaraz nie wyjdiesz, spóźnisz się na kolację do rodziców.

- Powinnaś iść ze mną.

- Tak, pasowałabym do pieczonego bażanta, którego serwuje twoja matka. Mówiłeś, że dziadkowie też będą, tak? Lady i lord Carter, rodzice pani domu, lord i lady Bottlewait, panicz Carter... i do kompletu jego dziwka Angel.

- Nie jesteś dziwką. - Henry objął ją wpół. - Kocham cię, Angel, i chcę się z tobą ożenić.

- Przestanie ci się podobać ten pomysł, jak cię ojciec wydziedziczy. - Skończyła wiązać fular, uwolniła się z objęć Henry'ego i odsunęła o krok, by obejrzeć swoje dzieło. Zadowolona z efektu, kiwnęła głową. - Idź już, późno.

Henry westchnął i pocałował ją w usta.

- Zaczekasz na mnie?

Angelique wyciągnęła się na łóżku, przysuwając bliżej talerzyk z poziomkami.

- Oczywiście. - Zanurzyła palec w śmietanie i oblizała go zalotnie. - Nawet zostawię ci coś na deser.

Henry włożył surdut.

- Nie zapomnij.

Ciągle powtarzał, że ją kocha, ale to samo mówił każdy, z którym spała. Wszyscy deklarowali dozągonną miłość, chociaż naprawdę nic nie czuli. Nie miała o to do nich pretensji. Życie było zbyt krótkie, by cierpieć z powodu nieodwzajemnionej miłości.

Kobiety zawsze cierpią z tego powodu. Angelique napatrzyła się na ich nieszczęścia. Jej matka zakochała się w białym plantatorze; odwiedzał ją nocami, był ojcem Angelique, a potem zniknął bez śladu. Nie wiedziała nawet, jak się nazywał. Zostawił matkę dla innej. Pięć lat później zachorowała i umarła, ale kobiety z wioski mówiły, że to nie choroba ją zabiła, a tęsknota za kochankiem.

- Angel?

Angelique ocknęła się z zamyślenia i uśmiechnęła do Henry'ego.

Stał przy drzwiach, gotowy do wyjścia, z cylindrem w dłoni.

- Chciałbym, żebyśmy razem zamieszkali.

- A z czego zapłacimy za apartament, jeśli rodzice cię wydziedziczą?

- Nie wydziedziczą. Sprawdzają mnie. Chcą się przekonać, czy naprawdę cię kocham.

- Włożył cylinder. - Pozwól, że ja będę martwił się o pieniądze, że ja zajmę się wszystkim.

- Już się o wszystko martwisz - powiedziała pół-żartem.

Podszedł do łóżka i ucałował jej dłoń na pożegnanie. - *Adieu, mon amour.*

- Twój francuski jest koszmar - orzekła, żeby zmienić temat.

- Ale i tak mnie kochasz. - Ruszył do drzwi, w progu zatrzymał się jeszcze. - Powiedz to, Angel. Powiedz, że mnie kochasz.

- Idź już, bo się spóźnisz.

- Nie zbywaj mnie.

W głosie Henry'ego zabrzmiała bolesna nuta. Angelique spojrzała mu w oczy.

- Nic więcej nie usłyszysz. Przynajmniej na razie.

Sapphire siedziała po turecku na koi, tak daleko od Blake'a, jak to było możliwe. Obserwowała go uważnie, ale ilekroć podnosił głowę znad książki, szybko odwracała wzrok, udając, że przygląda się swoim paznokciom albo podziwia wzór na pledzie.

Godziny płynęły. Sapphire zjadła coś, zdrzemnęła się, znowu coś zjadła... Dzień minął, niebo za bulajem pociemniało i dopiero teraz zaczęło do niej docierać, że oto rzeczywiście płynie do Ameryki. Męczyła ją cisza, panująca w kabinie. Spokój. Nie mogła znaleźć sobie zajęcia. Przesłała koję... Dwa razy Blake podsuwał jej książkę i dwa razy odmówiła.

Kiedy zupełnie się ściemniło, Blake zapalił dwie lampy umieszczone na ścianach i trzecią, sprytnie przytwierdzoną do blatu biurka.

- Będziesz się tak dąsać przez całą drogę do wybrzeży Ameryki? - zapytał nieoczekiwanie, przerywając milczenie.

- Wcale się nie dąsam. Zamknął książkę.

- Owszem, dąsas się. Nie zgłaszam zastrzeżeń, jeśli ci z tym dobrze.

Sapphire założyła ręce na piersi.

- Wcale nie jest mi dobrze. Porwałes mnie od rodziny i wieszysz wbrew mojej woli do tej twojej dzikiej Ameryki.

Blake wstał z fotela.

- Dobrze, już dobrze. Wystarczy. - Wyciągnął dłoń przed siebie i odwrócił głowę, jakby chciał uchronić się przed kolejnym atakiem. - Już to przerabialiśmy. Jesteś ze mną wbrew własnej woli. Powstaje pytanie, jak zamierzasz odnieść się do tej sytuacji? - Nie czekając na odpowiedź, ciągnął: - Poznaję charakter człowieka po tym, jak ten ktoś zachowuje się w niesprzyjających dla siebie okolicznościach.

Sapphire długo milczała, w końcu oznajmiła nieoczekiwanie:

- Chciałabym wyjść na pokład, popatrzeć na ocean, na gwiazdy na niebie.

- Masz ochotę zjeść kolację na pokładzie? Ożywiła się wyraźnie na tę propozycję.

- To możliwe?

- Wszystko jest możliwe. Zapłaciłem za ten rejs tyle, że mogę robić, co mi się podoba.

- To twoje motto życiowe? - zapytała jadowicie. - Zawsze stawiasz na swoim?

Kupujesz prawo do swobody?

- Przeważnie.

- Co za zadufanie.

- Szczerść. Taki jestem. Sapphire wbiła wzrok w podłogę. Blake czekał. Powoli podniosła spojrzenie.

W migotliwym świetle trzech lamp, w zwykłych spodniach i koszuli, wyglądał chyba jeszcze lepiej niż w surducie i cylindrze.

- Z przyjemnością zjem kolację na pokładzie - powiedziała. - Najchętniej sama.

- Nie ma takiej możliwości. Możemy zjeść tutaj albo na pokładzie, ale razem.

Blake podszedł i wyciągnął rękę.

Sapphire zawahała się, w końcu podała mu dłoń i podniosła się, uważając na bolącą kostkę. Rozejm. Przynajmniej na ten wieczór.

Po kolacji złożonej z ryb, mocno przyprawionego ryżu i owoców Sapphire i Blake stali na pokładzie, oparci o reling, i wpatrywali się w ocean.

Rozmawiali o wszystkim i o niczym. Blake zapytał o Martynikę i Sapphire zaczęła opowiadać mu o wyspie, o Armandzie, o matce, chociaż dotąd nie rozmawiała o tym z nikim spoza rodziny. On z kolei opisał Boston, Amerykę, a z jego opowieści wyłaniał się fascynujący obraz tego wielkiego kraju. Blake okazał się nie tylko biznesmenem, ale też filantropem, choć starał się z tym ukrywać. Mówił z pasją o zmianach zachodzących w handlu i przemyśle, wróżył niezwykłą przyszłość maszynom parowym, zwracał uwagę na

warunki pracy robotników. Był doprawdy interesującym człowiekiem, trzeba było tylko poczekać, aż zacznie zrzucać kolejne maski.

Sapphire stała na zdrowej nodze, oparta o reling, a Blake obejmował ją w pól.

- Na Boga mojej matki... - szepnęła w pewnym momencie.

- Słucham?

- Tak powiedziałeś do Charlesa, jak przysięgałeś, że zabijesz go własnymi rękami: „na Boga mojej matki”. Skąd te słowa?

- Po prostu takie powiedzenie. - Blake wzruszył ramionami, jakby nie przywiązywał wagi do pytania Sapphire, ale w tonie jego głosu było coś, co ją zastanowiło.

- Twoja matka jest bardzo pobożna?

- Była. Nie pamiętam jej. Umarła, kiedy byłem dzieckiem, wychowywała mnie macocha. Ci, którzy ją znali, mówią, że była dobrym człowiekiem, głęboko wierzącym.

- A ty?

Blake wybuchnął śmiechem.

- Nie wierzysz w Boga?

Chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Wierzę w ciężką pracę. W to, że trzeba mieć przekonania. Być uczciwym.

- Ale w Boga nie wierzysz? - Sapphire zamilkła. - Jak możesz spoglądać na ten bezkresny ocean, niebo gwiazdziste nad tobą i nie wierzyć w stwórcę jedyne? Patrzeć na starzejących się razem dwoje ludzi, na nowo narodzone dziecko i nie wierzyć?

Blask lampy stojącej na stole za nimi wydobywał z mroku profil Blake'a. Długo nie odpowiadał.

- Sapphire - zaczął wreszcie - z tego, co mi opowiadałaś, wychowywałaś się w domu, gdzie dzieci były traktowane jak skarb, otaczane serdeczną troską. Twój ojczym kochał głęboko twoją matkę. Moje dzieciństwo nie było takie sielskie.

Nic nie wiedziała o jego dzieciństwie, o jego życiu. Zamiast powiedzieć pierwsze, co przyszło jej na myśl, jak zwykle to czyniła, uznała, że mądrzej będzie zamilczeć. W głosie Blake'a słyszała smutek, który jej się udzielił. Każde dziecko powinno wzrastać w pewności, że jest kochane. Blake urodził się w domu, w którym na niczym nie zbywało. Z wyjątkiem, może, miłości.

- Myślisz, że miłość może odmienić życie? - zapytała, przerywając milczenie.

Blake objął ją mocniej.

- Cieleśna z pewnością. - Ucałował jej dłoń, a potem przytulił do policzka.

Sapphire poczuła, że oblewa ją fala gorąca, a serce bije mocniej. Pragnęła Blake'a i tego pragnienia nie była w stanie się wyprzeć, choćby nie wiedzieć jak się zarzekała. Miała wrażenie, że balansuje nad przepaścią.

- Chcesz powiedzieć, że sypiałeś z wieloma kobietami?

- Mniej więcej to chcę powiedzieć.

- Czy to nie trudne? Kochać się z kimś i wiedzieć, że kobieta, z którą jesteś, za chwilę wróci do męża, odejdzie do innego mężczyzny? - dociekała. Naprawdę chciała zrozumieć, co ten człowiek czuje.

- Niekoniecznie. - Znowu ucałował dłoń Sapphire, a potem podwinął rękaw jej koszuli i zaczął obsypywać pocałunkami rękę aż po łokieć. - Jeśli nie oczekujesz niczego od tej osoby, rozstanie nie sprawia ci bólu. Nikt nie cierpi, nikomu nie dzieje się krzywda.

Co chciał przez to powiedzieć? Że tak długo, jak nie będzie miała wobec niego żadnych oczekiwań, Blake jej nie zrani? Że będzie potem mogła odejść, nie czując żalu?

Chciał powiedzieć, że nigdy jej nie pokocha? Smutne, ale powinna wziąć to pod uwagę.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Niemal od pierwszego dnia spędzonego na statku ustalił się pewien rytm, który w innych okolicznościach mógłby nawet uchodzić za przyjemny. Korzystając z doskonałej pogody, posiłki jadali na pokładzie, Sapphire dużo czytała, sięgając do całkiem pokaźnej biblioteczki Blake'a, a kiedy miała dość lektury, grali w karty albo w szachy lub Sapphire spędzała czas na pokładzie. Jej, zawsze aktywnej, trudno było z początku przestawić się na taki tryb życia, ale w końcu doceniła urok nicnierobienia. Odpoczywała i czekała, aż wydobrzeje noga.

Mniej więcej w połowie podróży, po dziesięciu dniach żeglugi, była już w stanie poruszać się prawie normalnie.

Poza Ralphiem, chłopcem do posług, który podawał posiłki i sprzątał kabinę, rzadko widywała marynarzy, a jeśli, to z daleka. Blake wydał ścisłe instrukcje, że nie chce, by im przeszkadzano, i załoga przestrzegała polecenia, najpewniej ze strachu przed panem Thixtonem, jak podejrzewała, bo Blake istotnie potrafił onieśmielać ludzi, zmuszając ich do zachowywania dystansu.

Kapitan, bostończyk Jeremy Pottle, codziennie zdawał Blake'owi krótki raport. Jakiej należy oczekiwać pogody, ile mil przebyli w ciągu minionej doby i ile mają szansę pokonać w ciągu następnej. Czasami obaj schodzili na temat maszyn parowych, ale kapitan nie wdawał się w długie rozmowy; precyzyjny, rzeczowy, nigdy nie zabawił minuty dłużej, niż było to absolutnie konieczne.

Tego ranka, widząc, jak Pottle odchodzi szybkim krokiem od ich stolika na pokładzie, Sapphire zapytała Blake'a:

- Co mu powiedziałaś?

- Słucham? - Blake oderwał wzrok od książki, którą właśnie czytał. Siedział w słońcu, z jedną stopą opartą na stole, w rozpiętej na piersi koszuli, i Sapphire musiała mocno się pilnować, żeby nie wpaść w, skądinąd całkiem miłe, rozkojarzenie.

Kochali się tego ranka przed śniadaniem, a ona znów go pragnęła. W końcu Blake uzna ją za rozpustnicę. Nie była ani trochę lepsza od Angel, za którą coraz bardziej tęskniła.

- Nie rozumiem, o co pytasz.

- Chodzi mi o kapitana Pottle'a. Biedak zachowuje się tak, jakby bał się ciebie panicznie.

- Naprawdę nie wiem, o czym mówisz. - Blake upił łyk kawy z kamionkowego kubka. Podróżowali na zwykłym frachtowcu, ale mieli świeże owoce, świeże warzywa, chleb pieczony na statku i dobrą, karaibską kawę. - Nie widzisz, jak się przy tobie zachowuje? Jakby się bał, że w każdej chwili możesz zmyć mu głowę.

- Nie zauważyłem.

- Oczywiście, że nie. - Sapphire podniosła się z miejsca.

- Dokąd idziesz?

- Do kabiny. Przyniosę szachy. Pogoda jest na tyle bezwietrzna, że możemy zagrać na pokładzie. Co prawda, wczoraj dałeś mi mata, ale to był czysty fuks.

Zeszła do kajuty, usiadła na podłodze i wysunęła szufladę w obudowie koi. Wyjmując pudełko z pięknymi szachami z kości słoniowej i onyksu, pomyślała o innym pudełku, leżącym pod innym łóżkiem - o szkatułce swojej matki.

Łzy napłynęły jej do oczu na to wspomnienie. Tak bardzo brakowało jej matczynej szkatułki, tak bardzo tęskniła za rodziną, za Armandem, który został sam na Martynice, za Lucią i Angel, zdanymi na siebie w Londynie.

Była zła na siebie, że tak się maże.

Nie rozumiała swoich reakcji.

Jak może siedzieć przy jednym stole z Blakiem, żartować, śmiać się, jeść z nim śniadanie, kiedy to on, Blake Thixton, skazał ją na rozłąkę z ciotką i teraz biedna Lucia na pewno umiera z niepokoju, nie wiedząc, co dzieje się z jej Sapphire.

Gorzej, jak może kochać się z człowiekiem, który nadal widzi w niej oszustkę, naciągaczkę, tylko nie córkę Edwarda, hrabiego Wesseksa?

Może dlatego zatęskniła za matczynym pudełkiem. Było cennym potwierdzeniem, jeśli nie dla niego, to dla niej samej, że jej matka wyszła za Edwarda, była jego żoną, była kimś. A ona sama nie jest córką ładacznicy, tylko bogatego arystokraty i jego ukochanej żony. Nie jest oszustką, lecz pochodzi ze starej rodziny i zasługuje na to, żeby być kochaną choćby przez Blake'a Thixtona.

Kochana przez Blake'a? Skąd ta myśl powstała jej w głowie?

Świeże łzy napłynęły jej do oczu. Jasno przecież powiedział, że jedno, co go obchodzi, to miłość fizyczna. A ona tylko dlatego szła z nim do łóżka, że... że...

Łzy spływały ciurkiem po policzkach. To, że z nim sypia, nie oznacza wcale, że została jego utrzymanką. Nigdy nią nie będzie. Zasługuje na coś więcej.

Blake Thixton nie wiedział, nie domyślił się, że ona gra na zwłokę. Kiedy dotrą do Ameryki, powie mu jasno i wyraźnie, jak się sprawy mają. Nie zostanie jego utrzymanką. Zażąda, by wsadził ją na najbliższy statek, płynący do Anglii. Nie chciał jej wysłuchać, a ona z każdym dniem była coraz bardziej zdeterminowana, by mu dowieść, kim jest, udowodnić swoje racje, słuszność swoich roszczeń. Zbyt często racja i słuszność były po stronie Blake'a. Kiedy ją porwał, powiedział, że pora wreszcie, by ktoś dał jej nauczkę. Teraz ona da jemu nauczkę.

- Sapphire, nic ci nie jest?

Drgnęła, słysząc dochodzące z korytarza wołanie Blake'a. Podniosła się na kolana i sięgnęła po pudełko z szachami.

- Już idę.

Blake stał na progu kabiny, tuż za jej plecami.

- Przestraszyłem się, że przewróciłaś się i znowu skręciłaś nogę. Tak długo cię nie było.

Kiedy zamknął drzwi, szybko otarła łzy.

- Wszystko w porządku tylko... - Opuściła ręce, głos drżał jej niebezpiecznie.

- Sapphire, co się dzieje? - Blake przyklęknął przy niej, chwycił za ramiona i odwrócił twarzą do siebie.

- Znowu upadłaś, tak? - zapytał, widząc, że płakała. Pokręciła głową, zawstydzona, że rozbeczała się z powodu pudełka z poślizgniętymi listami.

- Pozwól, obejrzę nogę.
- Nie
- Sapphire, jeśli coś cię boli...
- Nic mnie nie boli. - Nie mówiła prawdy: było jej ciężko na duszy.
Blake chwycił ją w pasie, posadził na podłodze i obejrzał dokładnie nogę.
- Opuchlizna prawie zesza. Możesz wstać?
- Nie chodzi o kostkę, tylko o moją ciotkę, Lucię - wykrztusiła wreszcie, nie patrząc mu w oczy. Teraz mówiła prawdę, chociaż niecałą. - Na pewno zamartwia się o mnie, rozpacza, myśli, że umarłam.
- Nie myśli, że umarłaś. - Głos Blake'a zabrzmiał dziwnie obco.
- Nie, nic nie rozumiesz. - Sapphire nie przestawała kręcić głową. - Kiedy umarła moja matka, ciotka Lucia...
- Sapphire, nie dręcz się. - Znowu musiał odwrócić ją twarzą do siebie. - Tuż przed naszym wyjazdem napisałem do Jessupa Stowe'a. Za trzy dni będziemy w Bostonie i będziesz mogła wysłać list do ciotki, w którym ją uspokoisz, zapewnisz, że jesteś cała i zdrowa. - Zamilkł na moment. - I że jesteś ze mną.
- Wiesz, jak długo idą listy. Powinnam też napisać do Armanda. On też będzie się martwił.
- List wcale nie będzie szedł tak długo. Popatrz, jak szybko pokonaliśmy ocean dzięki tej nowomodnej maszynie parowej. - Przysunął się bardzo blisko, tak że wargami prawie dotykał policzka Sapphire. Mówił teraz cichym, łagodnym tonem: - Twoje listy popłyną najszybszym statkiem, jaki akurat będzie wychodził z portu w Bostonie. Nadam je jeszcze tego samego dnia, kiedy dobijemy do brzegu.
Sapphire była obezwładniona bliskością Blake'a, ciepłem jego oddechu... Jednak obchodziło go, co się z nią dzieje. Słyszała to w jego głosie. Naprawdę obchodziło.
- Zgoda? - zapytał i ujął ją pod brodę, spoglądając w oczy.
Skinęła głową.
- Zatem umowa stoi. Tylko zawiniemy do portu, wyślesz listy do Luci i do Armanda. - Pocałował ją. - A potem pokażę ci Boston. Zobaczysz najświetniejsze gmachy w moim mieście, poznasz wspaniałych ludzi. - Raz jeszcze ją pocałował. - Tylko proszę, nie zamartwiaj się już i nie płacz.
- Dobrze - obiecała, zaczarowana dźwiękiem jego głosu, jego pocałunkami.
- Kupię ci najpiękniejsze suknie, klejnoty. Wszystko, co tylko będziesz chciała. - Blake znowu ją pocałował i tym razem odwzajemniła pocałunek. Lęk, strapienie gdzieś się ulotniły. Nic się nie liczyło poza bliskością Blake'a i tym, że przy nim żywiej bije jej serce.
- Będziesz miała najmodniejsze stroje, będziemy bywać na najwytworniejszych przyjęciach w mieście. Wszyscy będą się tobą zachwycać. - Wziął ją w ramiona i odgarnął włosy z czoła, raz jeszcze zajrzał jej w oczy. - Zapomnisz o Londynie i o Charlesie.
- A jeśli nie polubię Bostonu?
- Wtedy odeślę cię z powrotem do ciotki Luci. Wolałaby, by powiedział, że nie będzie w stanie się z nią rozstać.
- Dość już rozmów, obietnic - szepnęła, kładąc mu palec na ustach, a potem zbliżając wargi do jego ust.

- Ach, Sapphire - Blake posadził ją sobie na kolanach - nie mogę się tobą nasycić. Ciągłe nie mam cię dość.

Kiedy skończyli się całować, w głowie się jej kręciło i było lekko, na duszy.

- Nie boisz się mnie? - zagadnęła żartobliwie. Blake położył się na podłodze i pociągnął ją za sobą.

- Czy się boję? - powtórzył ze śmiechem, rozpinając guziki bluzy, którą nosiła.

Sapphire skinęła głową i podniosła ręce, uwalniając się z ubrania.

- W wiosce, która należy do naszej plantacji, ludzie się mnie bali. Nie wszyscy - dodała dla porządku - ale byli tacy. - Spojrzała Blake'owi prosto w oczy.

Gdzieś czytała, że oczy są zwierciadłem duszy, i teraz chciała zobaczyć, co kryje się w duszy Blake'a, ale nic nie potrafiła wyczytać z jego oczu.

- Jak można bać się ciebie? - zapytał miękko i rozwiązał jej gęste, lśniące włosy, patrząc, jak opadają na ramiona.

- Bali się moich oczu - wyjaśniła. - Jedno zielone, jedno niebieskie, znak złych mocy. - Szeroko otworzyła oczy, jakby chciała go przestraszyć.

Blake zaśmiał się i pocałował rowek między jej piersiami.

- Masz piękne oczy. Czynią cię tajemniczą, nieprzewidywalną.

Dotknął językiem jej sutka.

- Nieprzewidywalną? Pokiwał głową.

- Dlatego cię lubię. Kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, zwróciłem uwagę na twoje oczy i kasztanowe włosy. - Pieścił sutek tak długo, aż ten stwardniał. - Nigdy nie wiem, czego się po tobie spodziewać. Nie wiem, co powiesz, co zrobisz. Mam serdecznie dość przewidywalnych kobiet.

Sapphire wybuchnęła śmiechem.

- Ja sama sobie wydaję się nieprzewidywalna, w każdym razie ostatnio.

Sapphire z westchnieniem poddała się pieszczotom Blake'a, który rozwiązał jej spodnie i całował odsłonięty brzuch, zsuwając głowę coraz niżej.

A on doskonale wiedział, co robić, by poczuła dreszcz rozkoszy, żeby kompletnie zapomniała się w namiętnej miłości.

- Nikt mi nigdy nie mówił, że to będzie aż tak - szepnęła, kiedy wreszcie skończyli się kochać i mogła znów mówić. Zamknęła oczy i leżała w ramionach Blake'a, bezpieczna, zaspokojona, szczęśliwa.

- Zwykle nie jest - mruknął, całując ją w ramię. Chciała go zapytać, co miał na myśli, ale nie zapytała. Może bała się usłyszeć odpowiedź.

Ponieważ ostatniego dnia podróży rozpadło się, Sapphire i Blake nie wychodzili z kabiny. Czytali, każde sobie albo na głos, kochali się i rozmawiali.

Późnym popołudniem Sapphire leżała na koi i czytała „Prerię” Jamesa Fennimore'a Coopera. Obraz Ameryki, odmalowany w tej przesyconej duchem przygody powieści, fascynował. Im dalej Sapphire zagłębiała się w książkę, tym bardziej miała dość rejsu, tym silniej przeszkadzało jej poczucie uwięzienia na statku i niecierpliwie wyglądała chwili, kiedy będzie mogła wreszcie zejść na brzeg w Bostonie.

Nie rozmawiała z Blakiem o tym, jak ma wyglądać jej życie w Ameryce. Przyrzekł, że odeśle ją do Anglii. Wyobrażała sobie, że spędzi w Stanach tydzień, najwyżej dwa, i wróci do Londynu. Tyle jej opowiadał o Bostonie, o Nowym Jorku, że chciała poznać te miasta, zanim wyprawi się w drogę powrotną.

Należało jednak uświadomić mu dobitnie, że nie zamierza zostać jego utrzymanką, nawet jeśli jego towarzystwo, w łóżku i poza łóżkiem, sprawiało jej prawdziwą radość.

Odłożyła książkę i spojrzała na Blake'a. Siedział przy biurku, zatopiony w lekturze. Wiatr wpadający przez otwarty bulaj mierzwił mu włosy, nadając beztrioski wygląd.

Sapphire dopiero teraz uświadomiła sobie, że nie podejmowała dotąd tematu najbliższej przyszłości z obawy przed utarczkami, a tych nie chciała, przynajmniej nie teraz. Cieszyło ją dzielenie maleńkiej kabiny z Blakiem, godziny spędzane na lekturze, rozmowach, śmiechu, kochaniu się, ale czas płynął i to, co działo się w łóżku, nie mogło odwieść jej od raz powziętego postanowienia; chciała, by jej prawo do nazwiska ojca zostało uznane, i nie zamierzała rezygnować z roszczeń.

- Blake - zagadnęła. Czytał dalej.

- Blake - powtórzyła nieco głośniejszym głosem.

- Tak?

- Muszę z tobą porozmawiać.

Zabrzmiało to na tyle poważnie, że odłożył książkę.

- Tak?

- Usiądź koło mnie, tu, na koi.

- Równie dobrze mogę rozmawiać z tobą, siedząc w fotelu.

Sapphire raz jeszcze wskazała miejsce obok siebie. Blake westchnął, podniósł się z ociąganiem, przysiadł na brzegu koi i wbił spojrzenie w drzwi.

- Musimy porozmawiać o tym, co będzie, kiedy jutro zejdziemy na ląd.

- Pojedziemy do mnie do domu. Myślę, że ci się spodoba. Z okien roztacza się wspaniały widok na ocean. Część pokoi jeszcze nie jest umeblowana, ale może ty mi pomożesz je urządzić. Zastanowimy się, co w którym, i potem...

Położyła mu dłoń na ramieniu, uciszając ten potok wymowy.

- Blake, doskonale wiesz, że nie mówię o domu, tylko o mnie. O mnie i o tobie. Nie mogę zostać twoją utrzymanką.

- Nie możesz czy nie chcesz? Tym razem to Sapphire westchnęła.

- I nie mogę, i nie chcę - powiedziała powoli, ważąc każde słowo, w czym naśladowała sposób mówienia Blake'a. - Jestem córką Edwarda, hrabiego Wesseksa. Nie będę niczyją dziwką.

Blake podniósł się z koi zachmurzony i wsunął ręce do kieszeni spodni.

- Wiem, że jesteś bystra, sprytna, zabawna. - Zaczął chodzić w tę i z powrotem po niewielkiej kabinie. - Jednak ten podstęp ci się nie uda. Nie przekonasz mnie. Przeciwnie, twój upór mnie złości. Cokolwiek bym ci proponował, tobie ciągle nie dość. Jesteś zachłanna.

- Nie jestem zachłanna - zaproponowała, starając się trzymać emocje na wodzy. - Dopominam się tylko o swoje prawa. Chcę, żebyś uznał prawdę.

- A ja chcę, żebyś mówiła prawdę.

Miała ochotę ostro mu odpowiedzieć, ale wiedziała, że gniewem niewiele wskóra z Blakiem Thixtonem. Jeśli chce coś osiągnąć, powinna zachować spokój.

- Kiedy jutro zejdziemy na ląd, będą mi potrzebne ubrania odpowiednie dla osoby mojego stanu - oznajmiła chłodno. - A gdy już znajdziemy się w twoim domu, zamieszkać w oddzielnych pokojach, niepołączonych z twoimi, i wrócimy do tematu.

- Świetnie.

Wstała i spojrzała uważnie na Blake'a.

- Świetnie?
- Świetnie - powtórzył i podszedł do drzwi. - Idę na pokład, żeby odetchnąć świeżym powietrzem.
Sapphire zerknęła na bulaj.
- Ciągłe pada.
- Niedługo wrócę.
Nasłuchiwała odgłosu oddalających się kroków, walcząc z cisnącymi się do oczu łzami.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Kiedy Sapphire obudziła się następnego ranka, Blake'a nie było w kabinie, zniknęły też listy, które napisała do Armanda i ciotki Luci.

Na redę portu wpłynęli w nocy. Oboje wyszli na pokład, by spojrzeć na migoczące w oddali nieliczne światła miasta, a po powrocie do kabiny kochali się, ale Blake był daleki, nieobecny i Sapphire z niepokojem oczekiwała, co jej przyniesie pierwszy dzień na amerykańskim lądzie.

Wypiła kubek kawy, lecz nie tknęła śniadania, zbyt zdenerwowana, by przełknąć cokolwiek. Statek stał już zacumowany przy kei, ale nie chciała wychylać nosa z kabiny w obawie, by ktoś nie zobaczył jej w stroju majtka. Kiedy zejdzie na brzeg, pomyślała, wróci do swojego normalnego życia, zapominając o dwóch tygodniach spędzonych na oceanie w charakterze branki Blake'a Thixtona.

Szczotkując włosy, czekała na ubrania, które Blake obiecał zamówić natychmiast po przybiciu statku do kei, i zapewne to zrobił. Czas zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Słyszała plusk wody, obmywającej burty, ożywioną krzątaninę na pokładzie, komendy wydawane z mostku i umierała z ciekawości, ale powiedziała sobie, że nie wyjdzie z kabiny, póki nie będzie odpowiednio ubrana, jak przystało na córkę hrabiego Wesseksa.

Słyszając znajome kroki w korytarzu, szybko odłożyła szczotkę i zawiązała włosy w prosty węzeł. Kiedy Blake wszedł do kabiny, stała obok biurka z rękami założonymi za plecami, w wyczekującej pozie.

- Przebierz się i możemy schodzić na ląd - powiedział, rzucając paczkę z ubraniami na koję.

Sam był ubrany w ciemne spodnie, surdut, na głowie miał melonik, jak przystało na poważnego, szanowanego biznesmena. W niczym nie przypominał mężczyzny, który trzymał ją jeszcze niedawno w ramionach i bawił się beztrząsco jej włosami.

- Powóz czeka na nabrzeżu, mój sekretarz również.

Sapphire spojrzała na paczkę, zbyt małą, by mogła zawierać suknię dla damy.

- Twój sekretarz?

- Pan Givens. Był również sekretarzem mojego ojca. Osobnik o dość ponurym usposobieniu, za to świetny pracownik.

Sapphire rozwiązała sznurek, odwinęła papier i jej oczom ukazała się prosta szara spódnica, znoszona bawełniana bluzka z długimi rękawami i fartuch. Były też czarne pończochy, stare trzewiki i czepek. Strój nawet nie pokojówki, tylko służącej do prostych

posług, stojącej najniżej w hierarchii służby domowej. Przyglądała się przez moment oniemiała.

- Co to ma być? - zapytała wreszcie.

- Ubranie.

- Widzę.

- Prosiłaś o suknie stosowne dla twojego stanu, Sapphire. - Blake podniósł dłoń. - Oto one.

- Ty łajdaku! Nie włożę tego. Jestem córką hrabiego Wesseksa, nie służą!

- W takim razie zostań w tym, w czym jesteś.

- Blake położył dłoń na kłamece.

- Nie zamierzam! - Cofnęła się i rozłożyła ręce.

- Nie pokażę się tak na ulicy. Nie wejdę tak ubrana do twojego domu. Nie pozwolę na to, żeby w takim stroju zobaczył mnie twój sekretarz, służba.

- Sapphire, powóz rusza za pięć minut, z tobą albo bez ciebie. - Otworzył drzwi i odwrócił się jeszcze w progu. - Mam nadzieję, że okażesz się rozsądną dziewczyną i zdążysz do niego wsiąść.

Sapphire nie miała wyjścia. Była całkowicie uzależniona od samowoli Blake'a, który w oczywisty sposób obraził ją, a co gorsza, upokorzył, ot tak, bez żadnego powodu, dla własnej przyjemności.

Pięć minut później zeszła po trapie na nabrzeże, ubrana w suknię służącej, zaciskając zęby z bezsilnej złości.

- Jak to dobrze, że już pan wrócił, sir - przywitał Blake'a sekretarz, który czekał przy powozie. Do Sapphire się nie odezwał, a Blake nie pofatygował się, by dokonać prezentacji.

W powozie Sapphire usiadła możliwie najdalej od Blake'a i utkwiała spojrzenie w oknie. Podobnie jak w Londynie, na ulicach panował ożywiony ruch.

Mnóstwo wytwornych powozów, dorożek, furmanek, różnego rodzaju wózków i wozów, jeszcze więcej przechodniów: pospólstwa, ludzi prostego stanu, ale i eleganckich jak Blake dżentelmenów, wystrojonych dam, paradujących pod osłaniającymi przed słońcem parasolkami.

Chociaż powóz nie wyjechał jeszcze z dzielnicy portowej, a więc najbiedniejszej, panowała tu inna atmosfera niż na nawet najbardziej zakazanych ulicach Londynu. Ludzie zdawali się lepiej ubrani. Nawet tragarze, posłańcy czy dokerzy robili wrażenie spokojniejszych, bardziej zadowolonych z życia. Nie było tu też fetoru i brudu jak w Londynie, dzieci nie biegały na bosaka. To wrażenie relatywnego dobrobytu było dla Sapphire miłą niespodzianką. Londyn był fascynującym miastem, ale też przygnębiającym z powodu widocznej na każdym kroku nędzy. Boston natomiast nastrojał optymistycznie, zdawał się nieść obietnicę lepszego życia.

Sceny za oknem zmieniały się szybko i zafascynowana Sapphire odciągnęła zasłonkę, by lepiej widzieć. Ulice, przez które teraz przejeżdżali, zabudowane były wysokimi domami o architekturze zupełnie odmiennej, znacznie śmielszej, od londyńskiej. Co prawda, Sapphire, nie uważała się za znawczynię architektury, chociaż Armand dopilnował, by wiedziała coś i na ten temat.

- Jakie piękne gmachy - szepnęła mimowolnie. - To *greek revival*, prawda? Jedna z odmian amerykańskiego klasycyzmu? - Wskazała na mijany budynek.

Blake, zatopiony w rozmowie z panem Givensem zamilkł i spojrzał na Sapphire, wyraźnie zaskoczony jej wiedzą.

- Albo ten ze złotą kopułą - ciągnęła zachwycona. - Piękny.

- To gmach władz stanowych - wyjaśnił Blake, zakładając nogę na nogę.

- Też neoklasycyści...

- Chyba tak - przytaknął, ciągle zdziwiony. - Projektu Charlesa Bullfincha, budowniczego wielu gmachów publicznych w Bostonie. Fascynujący człowiek. Polubisz go. Poznam cię z nim.

Pan Givens spojrzał na Blake'a pytająco; nie rozumiał, po co chlebodawca proponuje słudze, że pozna ją z pierwszym architektem Bostonu. Sapphire czekała, co Blake zrobi, w końcu to nie ona powinna się tłumaczyć, dlatego ma na sobie odzienie marnej posługaczki. Jednak Blake nie udzielił wyjaśnień. Cóż, ona ma czas; kiedy przebierze się w stosowne suknie, pan Givens będzie wiedział, z kim ma do czynienia.

- Chciałabym obejrzeć z bliska niektóre z tych gmachów. Armand ma w domu kilka wzorników z przykładami *greek revival* i muszę powiedzieć, że bardzo lubię ten styl. - Uśmiechnęła się nieznacznie na myśl, w jaką konfuzję musi wprawiać biednego pana Givensa. - Może dlatego, że jestem rozmiłowana w tragedii greckiej.

Pan Givens uniósł brwi.

- Jeśli lubisz grecki neoklasycyzm, spodoba ci się mój dom. - Blake uniósł palec. - Zaraz będziemy na miejscu. Ta dzielnica nazywa się Beacon Hill i z jednej strony jej granicę wyznacza rzeka Charles. Jeszcze pod koniec zeszłego wieku na Beacon Hill rozpalano ogniska, które miały ostrzegać statki, że dopływają do lądu. Bullfinch i jego wspólnik ścięli sam wierzchołek wzgórza, jakieś sześćdziesiąt stóp i postawili tam domy mieszkalne, a w ostatnich latach zaczęły powstawać nowe rezydencje wokół Louisburg Square.

- I jedna z nich należy teraz do ciebie?

- Tak. Zaprojektował ją Alexander Parris, uważany za jednego z najlepszych żyjących architektów amerykańskich. Od pewnego czasu zajmuje się wyłącznie zamówieniami publicznymi, ale wyświadczył mi tę przysługę i zaprojektował dom dla mnie. Kiedyś przyjaźnił się z moim ojcem.

Powóz wjeżdżał już na wzgórze, pnąc się stromą uliczką, i Sapphire wyteęzała wzrok, by dojrzeć domy na zboczu.

- Który jest twój?

- Ten z szarego kamienia, z mansardowymi oknami w dachu. - Blake wskazał imponującą rezydencję z fasadą z granitu, trochę stylizowaną na barok francuski, ale wtapiającą się dobrze w otoczenie. - Nazywa się po prostu Thixton House. My, Amerykanie, w przeciwieństwie do Anglików, nie nadajemy swoim domom wymyślnych nazw.

Powóz zatrzymał się przed ogromną, trzykondygnacyjną rezydencją z widokiem na zatokę i na podjeździe natychmiast pojawiła się służba; lokaj chwycił cugle rzucone przez stangreta.

- Jesteśmy na miejscu.

Inny lokaj, w zielonej liberii, otworzył pospiesznie drzwi powozu.

- Witamy w domu, panie Thixton.

- Dziękuję, Billy. - Blake wysiadł, wysiadł również pan Givens, ale żaden z nich nie podał ręki Sapphire.

W drzwiach frontowych pojawił się kolejny lokaj w takiej samej jak poprzedni zielonej liberii.

- Witamy w domu, panie Thixton.

To samo powitanie zostało wygłoszone jeszcze z pół tuzina razy, zanim stanęli na środku wielkiego holu. Kiedy wreszcie zostali na moment sami, Sapphire przestała zajmować się podziwianiem obrazów na ścianach i zwróciła się do Blake'a:

- W porządku, zabawieś się moim kosztem. Upokorzyłeś mnie przed swoim sekretarzem i służącymi, a teraz chciałabym dostać odpowiednie ubranie, i to bez dalszej zwłoki.

- Prosiłaś o odzienie stosowne dla twojego stanu i takie dostałaś. Jesteś prostą dziewczyną, która szuka sobie miejsca w życiu, chce polepszyć własną sytuację, wspiąć się wyżej, niż pozwalałoby na to urodzenie... Czy może jesteś moją kochanką?

Do Sapphire sens słów Blake'a dotarł dopiero po chwili. Gdzieś w odchodzącym z holu korytarzu rozległy się kroki. Ktoś nadchodził, podzwaniając kluczami. Sapphire wyprostowała się i dumnie uniosła głowę, spoglądając Blake'owi prosto w oczy.

- Powiedz - szepnął. - Zaraz tu będzie moja gospodyni, pani Dedrick, osoba bardzo czuła na punkcie dobrych obyczajów. Dla niej to niepojęte, by służąca rozmawiała z panem. - Zamilkł na moment. - Nawet taka, którą przywiozłem z Londynu.

Sapphire była wściekła. Jak ten człowiek mógł robić coś podobnego komuś, z kim dzielił łóżko, z kim zdawał się być tak blisko? Jak ktoś do tego stopnia może upokarzać drugiego człowieka?

- Nie jestem twoją kochanką.

- Moja kochanka powinna spać w wytwornej sypialni na drugim piętrze. - Wskazał kręcone marmurowe schody. - Nosić suknie szyte według najnowszej mody. Bywać ze mną na przyjęciach i balach, na które jestem regularnie zapraszany, oraz pełnić rolę gospodyni, gdy z kolei ja przyjmuję gości u siebie w domu.

Sapphire milczała, więc Blake ciągnął:

- Moje służące natomiast śpią na poddaszu, we wspólnej sypialni, gdzie w lecie panuje skwar, a zimą jest trochę zbyt zimno. Co noszą, już wiesz. - Spojrzał z lekceważeniem na nędzną suknię Sapphire. - Masz czas, żeby się zastanowić nad swoją decyzją. - Odgłos kroków był coraz wyraźniejszy. - Ale niezbyt wiele czasu.

- Nie jestem twoją utrzymanką - powiedziała Sapphire kategorycznym tonem.

- Świetnie. - Blake się odwrócił.

- Witamy w domu, panie Thixton. - W holu pojawiła się drobna kobieta w szarej sukni, z pękiem kluczy przy pasku. - A kogo my tu mamy? - zapytała protekcjonalnym tonem.

- To jest Sapphire. Biedna sierota. Znalazłem ją na ulicy w Londynie i pomyślałem, że zda się na służącą, chociaż nie ma żadnego doświadczenia. Przepraszam, że nie uzgodniłem tego z panią, ale zdecydowałem się przywieźć ją do Bostonu. Jeśli nie znajdzie pani dla niej miejsca w kuchni czy przy innych obowiązkach, to... - Zawiesił głos, nie kończąc zdania.

- Zobaczmy, phoszę pana. - Gospodyni wymawiała „r” jak „h”, co brzmiało bardzo dziwnie. - Chodź ze mną, mała - nakazała surowo. - Pan na pewno uthudzony i chciałby odpocząć, nie będziesz mu się tu pałętać na pokojach.

Sapphire spojrzała na Blake'a, ale on odwrócił się już i szedł ku schodom.

- Będę w gabinecie, pani Dedrick. Proszę przysłać mi kawę i coś słodkiego, na przykład bułeczki cynamonowe pani Porter.

Sapphire pocięła ślinka na wspomnienie jedzenia. Od rana nie miała nic w ustach poza kilkoma łykami kawy i żołądek zaczynał się już dopominać stawy.

- Oczywiście, panie Thixton, będą bułeczki. Mamy świeżutkie, phosto z pieca, specjalnie upieczone na pana przyjazd.

Blake położył dłoń na lśniącej mahoniowej poręczy i zaczął wchodzić po schodach.

- Doskonale.

- A ty co tak się zagapiłaś, jak shoka w gnat? - zbesztła pani Dedrick Sapphire.

- Ja... ja... - Sapphire poczuła się bezradna.

- Najlepiej zchobisz, jak będziesz trzymała buzię na kłódkę. Będę cię wołała Molly, Sapphire to nieodpowiednie imię dla posługaczki. Chodź ze mną, Molly. - Pani Dedrick odwróciła się i ruszyła korytarzem, a Sapphire podążyła za nią.

Kątem oka zdążyła zobaczyć jeszcze, że Blake stoi na podeście pierwszego piętra i przygląda się jej z triumfalnym uśmiechem. Odwracając głowę, pomyślała, że woli wygarniać popiół z paleniska i myć gary, niż podporządkować się jego kaprysom.

Wieczorem jakaś dziewczyna z kuchni, imieniem Myra, pożyczyła jej koszulę nocną i Sapphire mogła wreszcie położyć się na wąskim wyrku w sypialni dla służących. Tak jak powiedział Blake, na poddaszu było duszno i choć miała za sobą wyczerpujący dzień, nie mogła zasnąć. Była rozbita, oburzona na Blake'a, ale też zła na siebie. Nie powinna była ulegać porywom namiętności. Należało raczej nago wyskoczyć za burtę, kiedy statek wychodził z portu w Londynie. Wszystko byłoby lepsze niż ten idiotyczny uśmieszek na jego twarzy, kiedy patrzył, jak ona idzie z panią Dedrick do kuchni, żeby „przyuczyć się za służbę”.

Oczekiwała, że Blake w końcu przyjdzie po nią, wyjmie miotłę z ręki i poprowadzi na górę, do apartamentów pani, gdzie będzie mogła wziąć kąpiel i przebrać się w lekką, letnią suknię, a potem usiądą razem na tarasie, z którego rozpościerał się widok na zatokę. Jednak Blake się nie pojawił. W miarę jak mijały godziny, jak trud niewdzięcznej pracy coraz dotkliwiej dawał się jej we znaki, coraz bardziej zacinała się w swoim postanowieniu, że nie ustąpi temu człowiekowi.

Powie mu, że chce znowu znaleźć się w Londynie. Obiecał przecież, że pozwoli jej wrócić do domu, niechże teraz dotrzyma słowa.

Jednocześnie miała ochotę zwiedzić Boston, obejrzeć z bliska piękne gmachy, poznać architekta, którego dzieła podziwiała. Był na to tylko jeden sposób: awansować z pomywaczki na pokojówkę, która ma wstęp na salony.

Poczuła ucisk w gardle, ale powiedziała sobie, że nie będzie płakać. Odwróciła się na bok, zamknęła oczy, zmówiła pacierze i wreszcie zasnęła.

- Manford. - Blake podniósł się z fotela i wyciągnął dłoń do jednego z niewielu ludzi, których zaliczał do przyjaciół.

- Witaj, Blake. A może powinienem zwracać się do ciebie per milordzie?

Blake zachmurzył się i cofnął o krok. Wylewność Manforda wprawiała go zawsze w niejaki zakłopotanie. Poznali się na Harvardzie, gdzie Manford był wykładowcą, w czasie gdy Blake tam studiował. Manford, syn kupca z Baltimore, przeprowadził się do

Bostonu po ślubie z panną z miejscowej socjety, a kiedy przejął firmę po ojcu, przeniósł tutaj także i interesy.

- Masz ochotę na kieliszek brandy? - zagadnął Blake.

Manford się zaśmiał.

- Słyszałeś, żebym kiedy odmówił łyka dobrej brandy? A choćby i podłej? - Zdjął fular i rzucił go na fotel, w którym Blake siedział przed jego przyjściem. - Przepraszam, że nie pojawiłem się wcześniej, ale Elizabeth znowu otrzymała zaproszenie na bal dobroczynny, na którym musieliśmy być. - Pogroził przyjacielowi palcem. - Musiałem też opiekować się Clarice. Miała kilka zaproszeń od bardzo interesujących młodych ludzi, harwardczyków, a jakże, ale wszystkie odrzuciła. - Wziął z rąk Blake'a kryształowy kieliszek. - Powiedziała, że woli raczej zostać w domu, niż pójść z którymś z tych fircyków, jak się wyraziła. Ona naprawdę kocha się w tobie, mój przyjacielu.

Blake, zakłopotany, szybko podniósł kieliszek.

- Dobry toast. Wypijmy w takim razie za spotkanie starych przyjaciół.

- I od razu poczułem się stary. - Manford musnął palcami przyprószone siwizną włosy i ostrożnie posmakował brandy. - Siądźmy na tarasie. Gorąco tutaj niczym w Hadesie.

Blake dolał sobie trochę brandy i wyszedł za przyjacielem na taras. Jediną dobrą stroną wyjazdu do Londynu było to, że na jakiś czas udało mu się uciec od panny Clarice Lawrence, córki Manforda. Dziesięć lat od niego młodsza panna wbiła sobie do głowy, że jest zakochana w Blake'u, a on, choć czynił wszystko, żeby nie wpaść w sidła, coraz częściej towarzyszył Clarice. Zrazu robił to dla Manforda: tu bal, tam otwarcie wystawy, niby nic, bagatela, ale minęło trochę czasu i już cały Boston plotkował, że szykują się zaręczyny Clarice Lawrence z najlepszym przyjacielem jej ojca, a niekiedy partnerem w interesach, Blakiem Thixtonem.

Clarice była śliczną dziewczyną o klasycznych rysach twarzy. Miała odpowiednie wykształcenie, doskonałą pozycję towarzyską, z kimś takim właśnie Blake powinien się ożenić. Problem polegał na tym, że ledwie otworzyła usta, cały czar pryskał, bo przy wszystkich swoich niewątpliwych zaletach Clarice była także niedojrzała i przeraźliwie nudna.

Kiedy wychodził na taras, przemknęło mu przez głowę, ku jego najwyższemu zdumieniu, że Sapphire nie mogła być wiele starsza od Clarice.

Zbył tę refleksję wzruszeniem ramion, mówiąc sobie, że wiek Sapphire nie ma żadnego znaczenia. - I cóż tam? - zagadnął, podchodząc do przyjaciela, który stał oparty o kamienną balustradę, rozkoszując się widokiem zatoki. - Pan Givens zreferował mi pokrótce, co się działo ostatnio w naszym bostońskim świecie interesów, ale chciałbym teraz usłyszeć wersję nieoficjalną i stąd bliższą prawdy. - Poklepał Manforda po plecach, choć zwykle nie pozwalał sobie na serdeczniejsze gesty. - Mów wszystko, mój stary.

Manford zaśmiał się i upił łyk brandy.

- Dobrze, że wreszcie wróciłeś, Blake. Brakowało tu ciebie.

Blake starał się nie myśleć o tym, że Sapphire śpi teraz pod tym samym dachem w dusznych pomieszczeniach dla służby.

- Ja też się cieszę, że jestem znowu w domu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Sapphire szybko się zorientowała, że spycha się na nią najcięższe, najbrudniejsze roboty, których nikt inny nie chce albo nie może wykonać. W ciągu kilku porannych godzin drugiego dnia pobytu w Bostonie zdążyła umyć, wytrzeć i odstawić na miejsce całą stertę naczyń, zamieść podłogę w kuchni, wyszorować schody od frontu, wyczyścić sześć srebrnych kandelabrow oraz klamki i kołatkę przy drzwiach wejściowych oraz wynieść odpadki z kuchni do dołu z kompostem na końcu ogrodu. Teraz miała zebrać brudną pościel z czterech sypialni i wymienić ręczniki w pokoju kąpielowym pana Thixtona.

Pierwszy błąd popełniła, zapędzając się na główne schody. Złajana przez panią Dedrick, którą ciągle ledwie rozumiała, musiała się cofnąć i pójść tymi dla służby. Drugi błąd polegał na tym, że pozwoliła swobodnie błądzić myślom.

Ręczniki w pokoju kąpielowym? Blake miał w swojej rezydencji osobny pokój kąpielowy?

Przekonywała się na każdym kroku, że był znacznie bogatszy, niż dotąd sądziła. Żył w luksusie, jakiego istnienia nawet nie podejrzewała. Armand był człowiekiem zamożnym, miał służbę, niewolników, ale jego majątku nie można było nawet porównać z zasobnością Blake'a, to była zupełnie inna jakość, inny świat.

W Londynie, gdzie wrażenie robił arystokratyczny tytuł, majątek ziemski i nobliwa rezydencja miejska, które Blake odziedziczył po jej ojcu, nikt się nie domyślał, w jak oszałamiającym zbytku żyje we własnym kraju nowy hrabia Wessex.

Dom na klifie nad zatoką, tak jak ją uprzedzał, nie był w pełni umeblowany, ale te pokoje, które zdążył urządzić, prezentowały się wspaniale. Blake swobodnie mieszał style: meble z epoki Ludwika XIV z salonu sąsiadowały ze szlachetnymi w swojej prostocie meblami wytwarzanymi przez amerykańskich projektantów, które stanowiły wyposażenie gabinetu pana domu. Każdy pokój stanowił przemyślaną, zamkniętą kompozycję, począwszy od obić krzeseł, skończywszy na obrazach na ścianach. Każdy miał swój niepowtarzalny klimat, a małą jadalnię nie bez przyczyny nazywano „chińską”, gdy w dużej niepodzielnie panowało francuskie rokoko.

Armand miał w Orchid Manor wszystkiego dwa dywany, a tu stąpało się po arabskich, perskich, tureckich, jeden piękniejszy od drugiego. W każdym pokoju można było podziwiać dzieła sztuki: cenne obrazy Jeana-Antoine'a Watteau, grafiki Piranesiego, rzeźby mniej i bardziej znanych mistrzów europejskich, wreszcie rzemiosło artystyczne ze wszystkich zakątków świata.

Sapphire wspinała się po schodach z koszem na bieliznę i zadawała sobie w myślach pytania: Jak może wyglądać pokój kąpielowy i co też powodowało Blakiem, że wybudował tak luksusową rezydencję.

Od poprzedniego ranka, kiedy rozstali się w holu i zajęła się nią pani Dedrick, Blake nie szukał z Sapphire kontaktu, a ona z kolei, nawet gdyby zdołała oderwać się na chwilę od swoich zajęć, nie wiedziałaby, gdzie można go znaleźć. Chłopak ze stajni, który zalecał się do Myry, powiedział, że pan Thixton wyjechał rano do biura, więc na razie i tak nie mogła się z nim rozmówić i powiedzieć, co o nim myśli. W domu też nie byłoby to łatwe, bo musiałaby opowiadać się potem pani Dedrick, a nie zamierzała nikomu z niczego się tłumaczyć, bo jak wyjaśnić farsę, w którą wplątał ją Blake?

Niech on się tłumaczy swojej służbie, a ona będzie tymczasem wypełniać obowiązki posługaczki, pomimo pęcherzy na nogach od niewygodnych trzewików i poobcieranej skóry na dłoniach.

Pierwszej sypialni, do której trafiła, nikt od dawna nie używał, ale pomimo to Sapphire zdjęła bieliznę pościelową z łóżka, tak jak jej kazano. Druga, jak zorientowała się zaraz od progu, musiała być sypialnią samego Blake'a, na co wskazywały różne drobiazgi, znajdujące się w pokoju.

Zostawiła kosz na bieliznę w korytarzu i podeszła do łóżka, ale zamiast zabrać się do pracy, nachyliła się nad poduszką i wciągnęła głęboko powietrze. Przypomniała sobie, jak leżała obok niego na wąskiej koi w ich kabinie, jak kładł jej dłoń na biodrze, jak zasypiała w jego ramionach...

Zakłęła pod nosem i zaczęła zdejmować bieliznę pościelową.

- Nie wiem, za kogo się uważasz, jakie masz

o sobie mniemanie, panie Thixton, wiem za to, że na pewno nie jesteś mnie godzien - mówiła do siebie, składając prześcieradło. - Muszę wynosić pomyje, zmieniać ręczniki, czyścić srebra. Z jakiej to niby racji mam...

Z korytarza doszedł ją głos Blake'a i Sapphire zamarła.

- Daj mi pół godziny, Givens. Spotkamy się w gabinecie na dole - usłyszała i serce zabiło jej szybciej. Nie była gotowa na spotkanie. Nie ułożyła sobie jeszcze w głowie tego, co powinna mu powiedzieć.

- Przepraszam - rzekł, stając w progu. - Widzę, że przeszkadzam. Wrócę za chwilę.

- Ależ proszę wejść, milordzie, proszę - odparła z przekąsem i poprawiła poduszki na łóżku. - Właśnie kończę.

Blake rozpoznał ją dopiero, kiedy się odezwała i zdawał się tak samo zaskoczony spotkaniem, jak ona.

- Sapphire! Co tutaj robisz?

Poczuła się zupełnie bezbronna. Ponad dwa tygodnie spędziła z Blakiem i teraz bardzo jej go brakowało: nie tylko pieszczot i pocałunków, ale jego głosu, obecności, rozmów i śmiechu.

- Co robię? - powtórzyła chłodnym tonem, bo też pytanie było idiotyczne. - A jak się panu wydaje, panie Thixton? Zmieniam pościel. Zajęcie bardzo odpowiednie dla osoby mojego stanu.

Blake zamknął drzwi.

- Wystarczy, że to powiesz, Sapphire. Przyznasz, że zwabiły cię moje pieniądze, mój tytuł. Tylko tyle. To przecież proste. Chcesz czegoś ode mnie, ja chcę czegoś od ciebie. Układ wzajemnych korzyści. Sapphire pokręciła głową.

- To nieprawda. Zwabiło mnie to, jeśli można użyć słowa, które wydaje się tutaj mocno nie na miejscu, że jesteś dziedzicem mojego ojca. Musiałam się z tobą skontaktować, bo nie było nikogo, kto mógłby mówić w moim imieniu i przedstawić ci sprawę. Nie mam pełnomocnika.

Blake podszedł do Sapphire, zbliżył twarz do jej twarzy i powiedział dobitnym głosem:

- Tej sprawy nie podjąłby się żaden pełnomocnik. Żaden sąd by jej nie rozpatrzył.

- Mam niezbite dowody. Listy, które ojciec pisał do matki...

- Listy to nie akt ślubu - zauważył Blake.

- Owszem, niemniej...

- To jakiś absurd! - Blake chwycił ją za ramiona. - Spójrz na siebie. To przecież nie ty. Powinnaś nosić najpiękniejsze suknie, jakie można kupić. Jakie ja mógłbym ci kupić. Powinnaś teraz siedzieć na tarasie, popijać lemoniadę i zastanawiać się, jakim parkietem wyłożyć podłogę w sali balowej, zanim jesienią pojawi się mój Włoch. - Zaciśnął dłonie, twarz habiegła mu krwią. - Powiedz to, do diabła.

Sapphire była nieugięta.

- Nie powiem. Żądasz, bym wyparła się prawdy. Cóż, spotkałeś kobietę, której nie złamiesz, Thixton. Nie zrobię tego! Prędzej umrę.

Blake stał tak blisko, że czuła zapach jego wody po goleniu, widziała zmarszczki wokół ust.

- Jesteś najbardziej upartą, najbardziej nieznośną kobietą... - Nie kończąc zdania, wziął ją w ramiona i zaczął całować.

Sapphire nie chciała mu pozwolić na czułości, nie teraz, nie tym razem, ale kiedy był tak blisko, nie potrafiła mu się oprzeć, walczyć z nim, i on doskonale o tym wiedział.

Zarzuciła mu rękę na szyję, przestała zaciskać wargi i odwzajemniła pocałunek.

- Nienawidzę cię - powiedziała, odsuwając się od niego i chwytając oddech. - Nienawidzę.

A potem wszystko potoczyło się w błyskawicznym tempie.

Blake zerwał z niej fartuch, wyszarpnął bluzkę ze spódnicy. Sapphire rozwiązała mu fular, rzuciła na podłogę i zaczęła rozpinąć śnieżnobiałą koszulę, a potem przesuwała dłońmi po jego nagiej piersi, pieściła.

Blake całował jej szyję, ucho, rozpinając szarą spódnicę, z której szybko się uwolniła.

- Drzwi - tchnęła cicho. - Blake...

- Nikt tu nie wejdzie - uspokoił ją. - Nikt nie śmie tu wejść, nawet sam Lucyfer.

Pragnęła go. Nie mogła dłużej wypierać się tego pożądanego. Kiedy była z Blakiem, przestawała myśleć.

Kochali się krótko: szybkie zbliżenie, pozbawione czułości. Potem Sapphire leżała na eleganckim łóżku i patrzyła w sklepienie. Wyczerpana, nie mogła złapać oddechu, jej myśli biegnęły w różnych kierunkach równocześnie. Czy nie zachowuje się nierozsądnie? Jeśli Blake chce tylko jednego, by przyznała, że zmyśliła historię z Edwardem, powinna się na to zgodzić i nie nosić już więcej pomyj do kompostownika.

Nie, nie może tego zrobić. W imię czego? Po to, żeby mogli cieszyć się sobą nawzajem przez kilka miesięcy, może nawet przez kilka lat? Po to, żeby mógł ją utrzymywać przez jakiś czas w zamian za to, że zgodzi się być jego metresa? Blake jej nie kocha. Nigdy nie pokocha. A ona tego właśnie pragnęła od mężczyzny.

Usiadła i sięgnęła po bluzkę.

Blake obrócił się na bok i chwycił ją za ramię.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał cicho. Sapphire się odsunęła.

- Muszę zanieść tę brudną bieliznę na dół. Praczka czeka, będzie się wściekać, że tak długo nie wracam.

- Dlaczego jesteś taka uparta, Sapphire? - Blake wstał i zebrał z podłogi ubranie. - Nie musisz tego robić.

- Ale robię. - Włożyła bluzkę, która była wyjątkowo paskudna, i sięgnęła po spódnicę. - I będę robiła, dopóki nie dostanę od ciebie biletu na statek, płynący do Londynu.

Blake zaczął zapinać koszulę, ale zapiął ją krzywo, więc szarpnął tak, że oderwał guziki, klnąc przy tym ze złością:

- Niech to wszyscy diabli! I tak była pognieciona - zreflektował się. Podszedł do bielizniarki i wyjął czystą, wykrochmaloną koszulę, identyczną jak ta, którą przed chwilą cisnął ze złością na podłogę.

- Powiedziałeś, że będę mogła wrócić do Londynu, jeśli nie będzie mi się tutaj podobać. Nie podoba mi się i chcę wrócić do Londynu.

- To rozumiałe, że ci się tutaj nie podoba! - wybuchnął Blake. - Nie planowałem, że zostaniesz posługaczką w moim domu. Nie chciałem, żebyś targała kosze brudnej bielizny. Miałeś być...

- Miałam być twoją dziwką - dokończyła ze łzami w oczach, nie mniej rozszoszczona niż Blake.

- Nie to chciałem powiedzieć - zachnął się. - Nie tego pragnę.

Odwróciła się gwałtownie w jego stronę, walcząc ze łzami, które w każdej chwili mogły popłynąć po policzkach.

- Owszem, tego właśnie pragniesz. Chcesz, żebym została twoją dziwką - rzuciła oskarżycielsko i podniosła porzucone na podłodze koszulę oraz prześcieradło. - Mam być twoją zabawką. Chciałbyś pokazywać mnie ludziom jak lalkę. Nigdy mnie nie pokochasz. I nie zamierzasz się ze mną ożenić.

- Ożenić się z tobą? A skąd ci to przyszło do głowy? - zapytał zadziwiająco spokojnym głosem.

Przerażona tym, co wypsnęło się jej w gniewie, Sapphire otworzyła drzwi, wrzuciła brudne rzeczy do kosza i ruszyła pospiesznie ku schodom.

- Sapphire! - zawołał Blake, stając w progu sypialni. - Wracaj, do diabła!

Słyszała, jak ruszył za nią, najwidoczniej chcąc ją dogonić, a potem widać zmienił zdanie, bo zatrzymał się, kroki umilkły.

- Doskonale. Noś sobie kosze z brudami, poleruj srebro, szoruj gary, męcz się, może za kilka dni wróci ci rozum - powiedział.

Ciężko obrażony, wycofał się do sypialni.

Już na schodach Sapphire oparła się o ścianę i rozszlochała, ściskając kosz z bielizną w ramionach. Miłość? Nie było między nimi mowy o miłości. Blake nigdy nie dał do zrozumienia jednym słowem czy gestem, że ją kocha. Ona też go nie kocha. Nie, nie!

Pociągnęła kilka razy nosem, wytarła łzy i ruszyła na dół. Blake obiecał, że wyśle ją z powrotem do Londynu, a ona dopilnuje, żeby dotrzymał danego słowa. Następnym razem będzie bardziej uważała, postara się być ostrożniejsza, nie odkryje się tak jak dzisiaj. To głupie, że znowu uległa jego czarowi i własnym prymitywnym pragnieniom.

Kiedy ponownie go zobaczy, postara się panować nad sobą i to ona będzie górą.

Przez kilka następnych dni nie widziała go ani razu. Napisała oszczędny w słowach list do ciotki Luci i Angelique, drugi do Armanda, podkradła kilka groszy na znaczki z biurka Blake'a i poprosiła jednego ze stajennych, by wysłał listy.

Nie wspominała w nich o swoich zawikłanych relacjach z Blakiem, a podróż do Ameryki starała się przedstawić jako wielką przygodę. Przyrzekała, że wkrótce znowu napisze, prosiła, by rodzina się o nią nie martwiła, i obiecywała, że wszystko opowie ze szczegółami, kiedy znów będą wszyscy razem.

Pani Dedrick wynajdywała jej coraz to nowe zajęcia. Sapphire nigdy, ani na Martynice, ani w Londynie, nie lekceważyła pracy wykonywanej przez służbę. Do ludzi, którzy zajmowali się domem, odnosiła się z szacunkiem, była uprzejma i starała się nie zostawiać po sobie bałaganu, wychodząc z założenia, że ktoś inny posprząta. Dopiero teraz jednak zaczynała rozumieć, co oznacza służyć innym. Nie zdawała sobie w pełni sprawy, jak ciężko pracują ci ludzie, którzy w dodatku powinni poruszać się bezszelestnie, być niemal niewidzialni, a jednocześnie zmuszeni uczestniczyć w najbardziej intymnych sferach życia swoich państwa.

Nowa przyjaciółka Sapphire, Myra, która pracowała w Thixton House mniej więcej od roku, opowiadała jej o poprzednich chlebodawcach. Pani Sheraton miała oto romans z kuzynem swego męża, pan Sheraton romansował z żoną swojego współnika, a jedyna córka państwa Sheratonów, panna już zaręczona, spotykała się potajemnie z żonatym mężczyzną. Kiedy zaszła w ciążę, musiała uwieść narzeczonego, by wmówić mu później, że to on jest ojcem dziecka. Mimo przygnębienia własną sytuacją Sapphire zaśmiewała się z opowieści Myry.

Szóstego dnia po przyjeździe Sapphire do Bostonu obie sprzątały większą jadalnię Thixton House. Myra, czyszcząc brązowe ornamenty kominka, zabawiała Sapphire opowiadaniem o różnych dziwactwach państwa Sheratonów. Jeden z ich synów zaczął smalić cholewki do Myry, co skończyło się tym, że „przeniesiono” ją do Thixton House. Pani Sheraton nie mogła jej odprawić bez dania racji, więc w trosce o cnotę siedemnastoletniego syna znalazła dla niej inne miejsce pracy.

- Powinnaś się wstydzić, Myro - zażartowała Sapphire, polerując blat stołu. - To się nie godzi, deprawować niewinnego chłopca.

Myra parsknęła śmiechem i uklękła, żeby wyczyścić blachę przed kominkiem.

- Ja bym powiedziała, że to raczej on próbował mnie deprawować. - Pokręciła głową tak zadzierzyscie, że kilka ciemnych loków wysunęło się spod czepka. - Tłumaczyłam, że nie wypada zalecać się do pokojówki własnej matki, i to jeszcze będąc gołowąsem. No i co? Miałam rację. Widzisz, jak się skończyło, byłam pokojówką, a teraz czyszczę kominki. „Degradacja”, tak John to nazwał. Ależ był wściekły na matkę, kiedy się dowiedział, że mnie odprawiła, mówię ci.

Sapphire uśmiechnęła się mimo woli. Myra nie skończyła szkół, ale była bystra, dowcipna, ładna i, co najważniejsze, miała dobre serce. Od razu pierwszego dnia przyjęła Sapphire serdecznie, zajęła się nią i zrobiła wszystko, żeby nowa poczuła się dobrze w zupełnie obcym otoczeniu.

Myra, serdeczna, otwarta, zasługiwała na dobrego towarzysza, kogoś znacznie lepszego, bardziej wartościowego niż synek bogatych Sheratonów. Bogacze mają to do siebie, że są dufni, jak Blake Thixton, myślała Sapphire, pucując mosiężną klamkę.

- Opowiedz coś o naszym panu - poprosiła Myrę cicho. W pokoju nie było nikogo poza nimi dwiema, w przyległych również, ale zdążyła już się przekonać, że ściany mają uszy.

- Niewiele jest do opowiadania. Chyba to tylko, że nie ma przystojniejszego dżentelmena niż on w calutkim Bostonie, ale to sama przecież widzisz, co ja ci będę mówić. Musiałaś tak sobie pomyśleć od razu, jak tylko znalazł cię na ulicy w Londynie...

Sapphire odwróciła głowę; korciło ją, by w dosadnych słowach wyrazić, co myśli o Blake'u Thixtonie.

- Po co mu taki wielki dom, kiedy mieszka sam?

- Też się zastanawiałam, jak tylko tu nastalam.

- Myra usiadła na podłodze, żeby odetchnąć chwilę, co robiła często, kiedy pani Dedrick nie mogła jej widzieć. - Ciężko pracuje, to pewne, ciężiej niż pan Sheraton. Wychodzi z domu wcześniej rano, wraca późno wieczorem. Dziewczyny w kuchni, co znały inne, takie, co tu pracowały przed nimi, mówią, że jego ojciec był taki sam, tylko że z usposobienia gorszy niż młody Thixton. - Tu uniosła wymownie brwi.

- Mów - szepnęła Sapphire, bezwiednie naśladowując bostoński akcent Myry.

- Paskudny człek, stary Thixton. - Myra zmarszczyła nos. - Do tego pijus. Mówią, że bił syna, jak ten był dzieckiem. Służbę gonił. Nikt w domu długo miejsca nie zagrzał, tylko jeden pan Givens, ale on nie liczy się przecież za służbę. - Myra oparła dłoń na lśniącej podłodze i nachyliła się konspiracyjnie do Sapphire, zniżając głos do ledwie słyszalnego szeptu.

- Wiesz, wystarczy spojrzeć na naszego Thixtona i od razu z twarzy widać, że to nieszczęśliwa dusza. Ja nie wiem, czy stary przez to tak się zawziął na dziecko, że żona go zostawiła dla jakiegoś rybaka, ale mówią, że był z niego podlec, jakby się siarki nażarł.

Określenie było tak niespotykane, że Sapphire zasłoniła usta dłonią, żeby nie parsknąć śmiechem. Myra w ogóle operowała barwnym słownictwem i nie można jej było odmówić talentu gawędziarki.

Myra zachichotała i poklepała Sapphire po dłoni.

- Po mojemu, to pan Thixton tak pracuje, bo nie ma nic innego do roboty. Czasem widzę, jak w nocy siedzi na balkonie sypialni i patrzy na zatokę. Samotny jest, ot co. I nie po to dom postawił, żeby się pokazać, chociaż niektórzy tak mówią. Ja myślę, że to jest dom dla kogoś. Niby zaproszenie. A on czeka, żeby ktoś go pokochał. I w końcu pojawi się zaczarowana księżniczka, co go pokocha i da mu dzieci.

Coś w słowach Myry, ich baśniowy ton, sprawiło, że Sapphire musiała odwrócić głowę. Była tak zła na Blake'a, że z trudem panowała nad gniewem, ale kiedy myślała o nim, robiło się jej smutno.

- Czy... czy on spotyka się z kobietami? - zapytała wbrew własnej woli.

- Och, kobiet to tu przewija się aż nadto, ale wszystkie tylnymi drzwiami wchodzą i wychodzą, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. - Myra mrugnęła porozumiewawczo. - Pani Sheraton między nimi. Wszystkie, za wyjątkiem jednej.

- Wszystkie za wyjątkiem jednej, powiadasz? - powtórzyła niemal machinalnie.

Myra, a ciągle siedziała na podłodze, ujęła się pod boki i lekko zakotłosała.

- Jest taka. Panna Clarice Lawrence, córka pana Lawrence'a, współnika pana Thixtona. Pan Lawrence to podobno miły człowiek, tak mówią pokojówki. No więc ten pan Lawrence nie tylko interesy razem z naszym panem prowadzi, ale też jest jego najlepszym przyjacielem od lat. I jego córka zagięła parol na naszego Thixtona. Panna wie, czego chce. Tylko patrzeć, jak będzie spała w wielkim łóżu w głównej sypialni i całym domem rządziła, a nami to już najbardziej.

Sapphire podniosła się klęczek, dłonie położyła na udach.

- Czy... on... pan Thixton...

- A kto to może wiedzieć. Kwaśna jest jak niedojrzałe winogrono, za to piękna jak malowanie. - Myra wskazała wiszący nad kominkiem obraz, przedstawiający młodą arystokratkę przebraną za słodką pastereczkę.

Sapphire ogarnął smutek. Oczywiście całe zainteresowanie nią Blake'a ograniczało się do miłosnych igraszek. Nie mogła równać się z Clarice Lawrence - tu odruchowo spojrziała na obraz - panną piękną, zamożną, z dobrej rodziny.

W sąsiednim salonie rozległy się kroki i obie przyjaciółki chwyciły za ścierki, wracając do przerwanej pracy.

- Proszę, panno Lawrence - rozległ się głos pana Danza, kamerdynera.

- Mam nadzieję, że pan Thixton nie każe długo na siebie czekać - powiedziała panna piskliwie.

- Jestem pewien, że przyjdzie za moment - zapewnił kamerdyner z powagą.

- To ona - szepnęła Myra. - Trzeba by ci widzieć, jak się do niego przymila, cud prawdziwy, że mu w spodnie nie wejdzie.

Sapphire uniosła wysoko brwi.

- Ciągłe tu przyjeżdża. Jak tylko papa spuści z niej oko, ona myk i już jest tutaj - ciągnęła Myra ściszym głosem. - Strasznie napalona pannica. Za grosz wstydu, skromności. Lepi się do naszego pana, robi co może, aż ją skręca w wąpiach, tyle że nic jeszcze nie wskórała. Poczekaj tylko, zaraz usłyszysz, o czym mówię. - Chcesz powiedzieć, że on nie... - Sapphire zawzięcie polerowała brązowe ornamenty kominka, szukając właściwego słowa.

Myra zachichotała.

- Chcę powiedzieć, że nie. I jeszcze ci powiem, że nie ma takiej pary na Beacon Hill, ech, w całym Bostonie, o której Myra Clocker by nie wiedziała.

Sapphire się uśmiechnęła.

- A to jakim sposobem?

- Ciii. Idzie. Daj mi szmatkę. - Myra wyrwała Sapphire z ręki czysty kawałek płótna, przedarła na pół, jedną połowę oddała Sapphire i skinęła, by ta poszła za nią.

Obydwie przysunęły się bliżej drzwi.

Co prawda, Sapphire miała niejaki skrupuły, że podsłuchuje rozmowę Blake'a, ale tłumaczyła sobie, że robi to dla jego dobra.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

- Miło cię widzieć, panno Lawrence - przywitał gościa Blake. Kątem oka Sapphire widziała przez otwarte drzwi, jak Thixton podchodzi do eleganckiej dziewczyny i całuje ją w dłoń.

Myra nie przesadziła, choć lubiła koloryzować, opisując pannę Lawrence.

Rzeczywiście była śliczna jak obrazek: długie, złote włosy, świetliste brązowe oczy, delikatna buzia o klasycznych rysach. Prosty nosek, kształtna broda, wysoko osadzone kości policzkowe, jasna cera...

Sapphire westchnęła.

Po prostu oszalałmająca, zachwycająca uroda.

Sapphire odruchowo wetknęła kosmyk dawno niemytych włosów pod czepek. Na statku kąpała się codziennie w wannie żeliwnej, którą Blake kupił specjalnie na podróż, ale w Thixton House nie było wanien dla służby; mogła korzystać z miski, dźwigając

wodę z parteru na poddasze, albo myć się pod pompą na podwórku koło kuchni. Jedno i drugie nie dawało poczucia, że jest się naprawdę umytą.

Znowu zerknęła do sąsiedniego pokoju. Myra stała bezczelnie w przejściu i odkurzała sztukaterię wokół drzwi, ona sama zaś ukryła się pod ścianą, niewidziana przez pannę Lawrence i Thixtona. Jeśli ci natomiast dostrzegli Myrę, nie dali niczym odczuć, że świadomi są jej obecności. W końcu służby, z zasady, się nie zauważa.

Kiedy usiedli na kanapce, Myra spojrzała na Sapphire i zagięła palec, przywołując ją bliżej.

- Doprawdy, panno Lawrence, niepotrzebnie się fatygowałaś, dzień taki upalny, tym bardziej że jutro będę u was na kolacji. Trzeba było poczekać, aż ja przyjadę, zamiast wyprawiać się do Thixton House w taką spiekotę.

Sapphire podeszła bliżej. Blake siedział sztywno wyprostowany, z rękami na kolanach, nie dotykając panny Lawrence, ale ona wychylała się ku niemu, jakby zamierzała paść mu w ramiona. Nawet z odległości piętnastu kroków Sapphire czuła intensywny zapach perfum.

Blake wyglądał na zmęczonego. Musiał pracować do późna w nocy; może dlatego, żeby nie wracać do domu i uniknąć spotkania z Sapphire.

- Nie mogłam czekać aż do jutrzejszego wieczoru. - Panna Lawrence wydeła usta i nachyliła się jeszcze bardziej do Blake'a. - Wiem, że może to zbytnia śmiałość z mojej strony, ale muszę powiedzieć, że bardzo mi pana brakowało, panie Thixton. Tyle czasu cię nie było, tyle miesięcy...

Blake odwrócił wzrok.

- Mów mi po prostu Blake. Tyle razy cię prosiłem. Pamiętam cię maleńką, szkraba ledwie, na kolanach u ojca. Śmieszne, byśmy nie mieli mówić sobie po imieniu.

Panna Lawrence zachichotała i Sapphire omal nie jęknęła; nie znosiła tego typu dziewcząt. Znała kilka takich na Martynice, były to córki plantatorów, polujące na dobrą partię. W Londynie też ten typ występował w dużej obfitości: słodkie, zalotne i niezwykle sprytne panny, wystawiające swoje oferty na rynku matrymonialnym, na którym raz na zawsze decydował się ich przyszły los.

Blake był prawdomówny. Wierzył w ciężką, uczciwą pracę i przy całym swym wykształceniu i majątku był w gruncie rzeczy prostym człowiekiem. Nigdy nie potrafiłby pokochać kogoś takiego jak Clarice Lawrence. Sapphire wątpiła, czy wytrzymałby z nią jedną noc.

Spojrzała na swoje dłonie, w których ścisnęła ścierkę, potem znowu na pannę Lawrence w jasnozielonej sukni, białym słomkowym kapeluszu z szerokim rondem i białych koronkowych rękawiczkach. Kontrast był uderzający, irytujący i niesprawiedliwy, ale winę za przepaść, oddzielającą dwie młode kobiety, ponosił nie kto inny, lecz sam Thixton.

- Powiedz, że za mną tęskniłeś, drogi Blake'u - mizdrzyła się panna Lawrence.

Sapphire omal nie parsknęła śmiechem. Doprawdy paradne. Panna Lawrence usiłuje usidlić Blake'a, a ona, która kochała się z nim wiele razy, poleruje brązowe ozdoby kominka i odkurza sztukaterie w jego jadalni.

Sapphire nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać.

- Żałuję, że musiałem wyjechać - powiedział Blake oględnie i wstał akurat w chwili, gdy panna Lawrence chciała dotknąć jego ramienia. - A teraz proszę wybaczyć, ale mam niecierpiącą zwłoki sprawę do załatwienia.

- Praca, praca. Wy, mężczyźni, tylko tym się zajmujecie - zaszczebiotała panna Lawrence, wstając również. - Papa to samo. Wychodzi do biura skoro świt i wraca w nocy. Jest zupełnie taki sam jak ty, Blake. - Tu zatrzepotała rżęsami. - Pewnie dlatego jestem w tobie odrobinę zadurzona.

Raz jeszcze próbowała go dotknąć i raz jeszcze Blake wykonał zgrabny unik.

- Danz - zawołał - bądź tak dobry i odprowadź pannę Lawrence do drzwi.

- Nie mówiłam ci? - szepnęła Myra, wycofując się chyłkiem w stronę kominka. - Prawdziwa latawica, choćby i z wiankiem. Takie są najgorsze. Gotowa tak omotać pana Thixtona, że ten ani się obejrzy, a skończy w charakterze jej prawowicie poślubionego męża.

Następnego dnia Sapphire przypadkiem natknęła się na Blake'a na korytarzu pierwszego piętra. Było już dość późno, ale pewna, że Blake nie wrócił jeszcze z biura, poszła śmiało na górę zmienić ręczniki w pokoju kąpielowym. Zdążyła się już przekonać, że jest naprawdę imponujący: przestronny, z wielką białą wanną i nowomodnym, porcelanowym, splukiwanym przemyślnie wodą klozetem.

Miała właśnie wejść, kiedy Blake pojawił się na progu w tej samej jedwabnej bonzurce, w której widziała go w czasie ich pierwszego spotkania w Londynie.

Cofnęła się gwałtownie i mocniej przycisnęła ręczniki do piersi.

- Przepraszam, sir - mruknęła jadowicie. - Nie wiedzieliśmy, że wielmożny pan wrócił już do domu.

Wystarczyło jedno spojrzenie, by na nowo uświadomiła sobie, jak bardzo za nim tęskni. Bez niego czuła się nieszczęśliwa, z nim też byłaby nieszczęśliwa. Nie mogła zostać jego utrzymanką, niczyją, jeśli już o to chodzi. Nie mogłaby tak splamić pamięci rodziców. Jednak pragnęła Blake'a, tęskniła za nim.

- Właśnie zamierzałem cię szukać - powiedział, puszczając mimo uszu jej złośliwość.

Był ubrany w jedwabne domowe spodnie, na nogach miał orientalne, wzorzyste pantofle. Jeszcze mocniej ścisnęła naręcze ręczników.

- Jesteś bardzo zajęty. Prowadzenie firmy, przyjęcia, kolacje, panna Lawrence.

Blake parsknął śmiechem.

- Czyżbym słyszał zazdrość w twoim głosie, panno Fabergine?

- Skądże! - prychnęła. - Niech sobie panna Lawrence bierze cię, jeśli ma ochotę.

Powinam tylko ją ostrzec, że z twojego łóżka łatwo trafić do szorowania garów i podłóg oraz wynoszenia nocników.

- Nie może być, droga Molly. W tym domu nikt po nikim nie wynosi nocników. Zadbalem o to i wydałem sporo pieniędzy, żeby zainstalować klozet. Nie korzystałem z nocnika, od kiedy wyszedłem z kojca. - Znowu się zaśmiał. - Czy w ten sposób chcesz mi dać do zrozumienia, że masz już dosyć?

- Chcę powiedzieć, co mówiłam od początku: czekam, kiedy będę mogła wsiąść na statek, płynący do Londynu.

- Sapphire, jesteś uparta jak dziecko.

Chwycił ją za ramię i wciągnął do sypialni. Próbowała się opierać, ale Blake był silniejszy.

- Spójrz tylko na siebie. Tak się nadajesz na służbę, jak... prezydent Jackson na lokaja.

- Puść, to boli - syknęła. Blake westchnął i opuścił rękę.
- Musi być jakiś sposób, który pozwoli nam wybrnąć z tej sytuacji. - Zamilkł na moment. - Brakuje mi ciebie. - Przesunął palcem po jej policzku i Sapphire nagle zabrakło tchu. - Brakuje mi ciebie w łóżku i wiem, że ty też za tym tęsknisz.
- Nie - oznajmiła, unosząc hardo głowę. - Nie zrobisz mi tego.
- Czego nie zrobisz? - zapytał zdławionym głosem. - Nie zgodzisz się ze mną kochać?
Każde jego dotknięcie, każde słowo przyprawiało ją o dreszcz podniecenia i Blake świetnie o tym wiedział; igrał z nią, wabił, specjalnie zniżał głos.
- Twoje ręczniki - burknęła i wcisnęła mu naręczce w ramiona.
- Dziękuję. Wezmę chyba kąpiel. Wiesz, na poddaszu jest zbiornik, z którego woda płynie rurami prosto do wanny. Nie miałabyś ochoty na letnią kąpiel po ciężkim, upalnym dniu, Sapphire? Umyłbym ci plecy... Całą bym cię umył. - Znowu wyciągnął rękę, ale Sapphire uchyliła się gwałtownie.
- Dobranoc, Blake. - Przywołując na pomoc całą siłę woli, odwróciła się i wyszła z pokoju.
- W końcu zmęczy cię ta gra! - zawołał za nią.
- Zmęczy tak bardzo, że wrócisz do mnie i do mojego łóżka. Ale wtedy już na moich warunkach - dodał.
- Nigdy - mruknęła do siebie, idąc korytarzem ku schodom dla służby.

Przez następne trzy dni w Thixton House wrzało jak w ulu. Blake wydawał skromną kolację na szesnaście osób i pani Dedrick, postanawiając, że rezydencja na Beacon Hill musi lśnić na przyjęcie gości, zarządziła generalne sprzątanie. Każde łóżko zostało przesłane, każdy marmurowy kominiek wypucowany, mebel odkurzony. Nawet pokoje, w których nie było jeszcze mebli, zostały przewietrzone, a parkiety wyfroterowane. W dzień przyjęcia Sapphire miała pomagać pani Porter. Na godzinę przed przybyciem gości do kuchni wpadła zdyszana Myra, ubrana w nową czarną sukienkę, biały fartuszek i biały czepek.

Dygnęła przed panią Porter i podbiegła do Sapphire, która wycinała ozdobne krążki z masła.

- Molly, chodź szybko! Musisz się przebrać. Pani Dedrick mnie przysyła - wyrzuciła z siebie jednym tchem, podniecona, z wypiekami na twarzy. - Będiesz dzisiaj podawała razem ze mną do stołu w dużej jadalni. Felicjty źle się poczuła. - Tu zniżyła głos do szeptu. - Ta, co to zawsze robi maślane oczy, jak widzi pana Thixtona. Mówią, że nie skąpi swoich łask, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Niby chora na żołądek. Nudności. Z rana szczególnie - szeptała Myra. - A za kilka miesięcy na świat przyjdzie małe stangreciátko.

Sapphire spojrzała na panią Porter, znowu na Myrę i pokręciła głową.

- Nie - powiedziała cicho, cofając się o krok. - Nie będę podawać do stołu. Mam pomagać pani Porter tutaj, w kuchni.

- Zdarzają się hóżne nieprzewidziane rzeczy, moja dhoga - oznajmiła Myra, stając sztywno i składając ręce jak pani Dedrick. - Służba winna być przygotowana na takie sytuacje i sphostać zadaniu. - Uśmiechnęła się szeroko i chwyciła Sapphire za rękę. - Chodź, będzie zabawa. Panna Lawrence też jest zaproszona - szepnęła Sapphire do ucha.

Sapphire nie wiedziała, jak postąpić. Nie chciała kolejnego upokorzenia przy serwowaniu Blake'owi kaczki z truflami. Może jednak źle patrzyła na sprawę. Nie prosiła przecież, żeby skazywał ją na rozłąkę z najbliższymi, przywoził do Bostonu i zamieniał w popychadło do najbardziej niewdzięcznych posług w jego pysznej rezydencji. To on powinien czuć się zakłopotany, że Sapphire podaje wazę z zupą gościom. Poza tym będzie miała okazję przyjrzeć się pannie Lawrence.

Sapphire spojrzała na panią Porter, która mieszała pracownicę sos w rondlu.

- Idź. - Kucharka machnęła ręką, nie bardzo nawet zła. - Pani Detrick lubi pokazać, że ona tutaj rządzi. Zabiera mi dziewczyny spod nosa. Co tak stoisz, głuptasie? Idź, przebierz się w czarną sukienkę. I pamiętaj, nie wylej sosu panu na spodnie, bo cię z hukiem odeślą na powrót do kuchni.

Myra chwyciła Sapphire za rękę i dziewczęta wybiegły na korytarz, prowadzący ku schodom dla służby.

- Musimy się pospieszyć - ponaglała Myra, sadząc po dwa stopnie naraz.

Pół godziny później Sapphire była z powrotem w kuchni. Ubrana w odrobinę za długą sukienkę z czarnej alpaki, biały, sztywno wykrochmalony fartuszek i czepeczek, trzymała przed sobą srebrną tacę, na której Myra ustawiała ostatnie szklaneczki do lemoniady.

- Myślałam, że będziemy usługiwać tylko przy kolacji - szepnęła nerwowo. Sukienka uwierała w szwach, poza tym Sapphire bała się, że przydepcie kraj spódnicy i wywróci się w najmniej odpowiednim momencie, upuszczając ciężką tacę na ziemię.

- Nie. Podajemy napoje na tarasie i usługujemy do obiadu - wyjaśniła Myra. - Po kolacji panowie przechodzą do gabinetu pana na pierwszym piętrze, a panie do salonu na kieliszeczek sherry albo na taras, jeśli będzie ciepły wieczór. Pani Sheraton zdecyduje, gdzie usiądą, ona zawsze decyduje.

Sapphire pokiwała głową, powtarzając sobie, że nie wolno się denerwować, nawet jeśli za duże trzewiki spadają jej z nóg.

- Gotowe - oznajmiła Myra. - Idziemy. Ty niesiesz, ja podaję. - Ruszyły ku drzwiom, gdzie czekała już na nie pani Detrick, przytupując groźnie czubkiem trzewika o podłogę.

- Panno Clockah, szybciej. Uwijaj mi się - pogoniła Myrę.

- Gotowa? - szepnęła jeszcze Myra do Sapphire.

- Gotowa.

- Idziemy, pani Detrick - odezwała się Myra śpiewnym głosem. Sapphire szła za Myrą przez hol, balansując tacą, która chwiała się niebezpiecznie przy każdym stąpieniu to w jedną, to w drugą stronę.

- Nie dam rady - szepnęła głośno.

- Dasz radę. - Myra zwolniła kroku. - Oczy do góry. Nie patrz na tacę.

Sapphire podniosła brodę i skupiła się na tym, by utrzymać za duże trzewiki na stopach.

- Patrz przed siebie. Nie zaciskaj ust, ale też się nie uśmiechaj. I nie patrz gościom w oczy. Nawet jeśli który zagada do ciebie.

Sapphire skinęła głową.

- Wiem. Jestem niewidzialna. A jeśli pan Thixton coś do mnie powie?

- Na pewno nie powie - uspokoiła ją Myra. - On nigdy nie odzywa się do służby.

Zatrzymała się przed drzwiami salonu.

- Gotowa? - spytała ponownie.

Sapphire usłyszała gwar tak dobrze jej znany z przyjęć w domu rodzinnym i zatęskniła za Orchid Manor. Tutaj goście mówili ze śmiesznym nowoangielskim akcentem, ktoś śmiał się beztrudnie. Pokój rozświetlały lampy, rzucające złoty blask, a z werandy dochodziły dźwięki dyskretnej muzyki, bo gościom przygrywał wynajęty specjalnie na tę okazję kwartet.

Przyjęcie! Jakże brakowało jej przyjęć. I ciotki Luci. I Angelique. Wszystko było nie tak. Dlaczego Blake nie rozumiał, że ona powinna teraz bawić się, śmiać, tańczyć?

Przeszła za Myrą przez salon i już miała wyjść na taras, gdy w drzwiach minęła wchodzącego do pokoju Blake'a. Usunęła się na bok, dając mu przejście.

Ledwie na nią spojrzął, dopiero po kilku krokach zarejestrował, że to Sapphire, zatrzymał się, odwrócił, a potem rozejrzał, chcąc się upewnić, czy nikogo nie ma w pobliżu.

- Co ty tu robisz? - zapytał zniżonym głosem, wyraźnie rozeźlony.

Sapphire, tak jak kazała jej Myra, utkwiała spojrzenie w dali.

- Serwuję lemoniadę pańskim gościom, panie Thixton - oznajmiła wyniośle.

- Do diaska, Sapphire.

- Jestem Molly. Wykonuję polecenia pańskiej gospodyni, sir.

Podszedł krok bliżej, ale Sapphire stała nieporuszona, jak ją uczyła Myra.

- To jakiś absurd!

- Naprawdę nie wiem, o czym pan mówi, panie Thixton.

- Myślę, że doskonale wiesz, panno Fabergine. - Nachylił się ku niej ponad tacą tak, że czuła jego oddech na policzkach. - Manford Lawrence jest moim wspólnikiem w interesach, ale też najdroższym przyjacielem. Jeśli powiesz coś, co mnie ośmieszy...

- A panna Lawrence? - zapytała. Stali tak blisko siebie, że mogłaby go pocałować. Albo wymierzyć mu policzek, zapominając o tacy. - Czy też jest pańską najdroższą przyjaciółką?

Blake odchylił się na piętach, w szarych oczach błysnął gniew.

- Coś mi się wydaje, że jesteś zazdrosna.

- Bzdura.

- Myślę, że tęsknisz za mną - szepnął, znowu się nachylając. - Tęsknisz za moim dotknięciem. - Musnął koniuszkami palców jej ramię i szybko cofnął rękę.

Ten drobny gest wystarczył, by Sapphire ogarnęła fala gorąca, i Blake doskonale o tym wiedział.

- Myślę, że chcesz całusa i czegoś więcej, ale twoja duma stoi na przeszkodzie... obustronnie satysfakcjonującemu porozumieniu.

Taca z napojami lekko się zakołysała i Sapphire spojrzała Blake'owi prosto w oczy.

- Wiesz, kim jesteś? - syknęła. - Jesteś podstępny, manipulującym ludźmi...

- Panie Thixton - rozległ się kobiecy głos od strony tarasu.

Sapphire cofnęła się o krok i w tej samej chwili w salonie pojawiła się ładna, ciemnowłosa dama w różowej sukni. Pani Sheraton. Myra wskazała kilka dni wcześniej Sapphire swoją byłą chlebodawczynię na ulicy, kiedy przejeżdżała otwartym powozikiem koło Thixton House.

- Tu jesteś, mój drogi - powiedziała, ignorując obecność Sapphire, jakby ta nie istniała.

- Zastanawiałam się, gdzie też zniknąłeś. Chciałam opowiedzieć pani Carter o tym włoskim obrazie, który kupiłeś. Nie powiesiłeś go jeszcze, prawda? - Wzięła szklanę

lemoniady z tacy, ujęła Blake'a pod ramię i poprowadziła go z powrotem na taras, do gości.

Sapphire stała przez chwilę bez ruchu. Ocknęła się i dopiero, kiedy do salonu zajrzała Myra i zaczęła przywoływać ją gorączkowo.

- Co pan ci powiedział? - szepnęła. - Niezadowolony z czegoś?

Sapphire pokręciła tylko głową, nie była jeszcze w stanie wydobyć głosu z gardła.

- Chodź już. - Myra raz jeszcze kiwnęła na nią. - Panie czekają na napoje. - Pani Sheraton już mnie pytała, ma się rozumieć, czy nie będzie przed kolacją aperitifów. - Myra mrugnęła porozumiewawczo i zwróciła się do pierwszej z brzegu pani: - Może szklaneczkę lemoniady? - zapytała z uśmiechem.

Podają napoje, lecz nie wróciły do kuchni, jak Sapphire miała nadzieję. Zostały na tarasie do dyspozycji gości. Usunęły się tylko dyskretnie pod ścianę, czekając na ewentualne dalsze polecenia.

- To najbardziej lubię - szepnęła Myra. - Stoimy tu sobie, a jakby nas nie było.

Sapphire chłonęła okiem i uchem wszystko, co działo się wokół. Z tarasu rozciągał się wspaniały widok na ciemniejące powoli niebo, zatokę w dole z białymi grzbietami uderzających o brzeg fal i migotliwe światła na lądzie.

- Poprosił cię już? - W pobliżu dziewcząt zatrzymały się Clarice Lawrence i jakaś druga, ciemnowłosa dama. - Poprosił? - powtórzyła dama, nachylając poufale głowę do swojej towarzyszki.

Obie ubrane były w eleganckie, bardzo podobne, wieczorowe suknie z białego jedwabiu, z tą różnicą, że ta, którą nosiła Clarice, przepasana była jasnofioletową szarfą, a suknią szatynki - różową. Obie miały we włosach świeże kwiaty. Sapphire zatęskniła za piękną suknią, umyтыми włosami i ładną fryzurą. Te dwie młode damy zdawały się tak bez troskie, swobodne, zadowolone z życia, gdy ona męczyła się w niewygodnej czarnej sukience pokojówki. Swędziała ją szyja, a nie mogła się podrapać. Za nic by tego nie uczyniła, nie na oczach panny Clarice Lawrence.

- Kiedy wreszcie się oświadczy? - pytała szatynka.

- Mówiłaś, że na pewno to zrobi, jak tylko wróci z Londynu. „Teraz, kiedy ma tytuł hrabiego, będzie potrzebował odpowiedniej żony”, to twoje słowa, pamiętam doskonale - zakończyła niemal oskarżycielskim tonem.

Myra trąciła Sapphire łokciem w bok i zerknęła na nią, jakby chciała się upewnić, czy ta słucha, po czym znowu wbiła niewidzące spojrzenie w przestrzeń.

- Jeśli nie poprosi cię o rękę w najbliższych dniach, możesz zacząć szukać innego kandydata - ciągnęła szatynka - bo najwyraźniej nie ty jedna masz ochotę na pana Blake'a Thixtona, hrabiego Wesseksa.

- On się oświadczy, nie bój się - odparła Clarice z przekonaniem i otworzyła kościany wachlarz.

- Nie wiem. Pani Sheraton ma swoje plany. Myśli wydać za niego swoją córkę. Sybill skończy w przyszłym miesiącu osiemnaście lat. Jest młodsza od ciebie i jak mówią niektórzy, ładniejsza.

- Ożeni się ze mną, jeśli papa mu powie, że musi - szepnęła Clarice.

- A to niby jakim sposobem twój ojciec ma mówić Blake'owi Thixtonowi, co ten musi ro...

Szatynka urwała w pół słowa i zachichotała.

- Panno Lawrence, nie powiesz mi chyba, żeś straciła wianek z panem Thixtonem! - W głosie młodej damy było tyle zgorszenia, co podniecenia.

- Jeszcze nie, panno Breton.

Sapphire nie zdzierzyła, musiała spojrzeć na spiskujące panny. Poprawiła tacę w dłoniach i przeniosła ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Panny zanosiły się śmiechem.

- Zamierzasz uwieść pana Thixtona?

Clarice chwyciła towarzyszkę za rękę i nachyliła się ku niej, budząc w Sapphire coraz większą niechęć, zazdrość i gniew.

- Jutro wieczorem - wyjaśniła Clarice - mam być z rodzicami na jakimś benefisie w nowej galerii sztuki przy Trudeau. Pan Thixton nie przyjął zaproszenia, tłumacząc się nawalem pracy.

- Co oznacza, że wieczorem powinien być sam w domu - szepnęła szatynka konspiracyjnym tonem.

- Odwiedzę go pod pierwszym lepszym pretekstem i pozwolę się uwieść. - Clarice uderzyła lekko swoją towarzyszkę wachlarzem w ramię. - A za kilka dni, tonąc we łzach, wyznam papie mój straszny grzech.

- Twój ojciec rozmówi się z panem Thixtonem, a on nie będzie miał innego wyjścia, jak tylko...

- ... ożenić się ze mną, jeśli ceni własny honor. - Clarice ścisnęła dłoń przyjaciółki.

Myra zerknęła na Sapphire, która zrobiła krok w kierunku młodych dam.

- Mogę prosić szklankę po lemoniadzie, panno Lawrence? - zapytała, spoglądając pięknej pannie prosto w twarz i podtykając jej tacę pod nos.

- Oczywiście. - Clarice cofnęła się, zdumiona bezceremonialnością pokojówki.

- Moją też możesz wziąć - powiedziała szatynka, odstawiając szklankę tak niedbale, że o mało nie upadła na ziemię. - I powiedz w kuchni, że lemoniada była niesmaczna - dodała, nie spoglądając na Sapphire, po czym chwyciła Clarice za rękę i odciągnęła.

- Jak się już pobierzecie, musisz zaprowadzić porządek w tym domu. Zachowanie służby jest absolutnie niewybaczalne.

- Co ty robisz? - szepnęła Myra, gdy obie młode damy oddaliły się na bezpieczną odległość.

- Zbieram naczynia. - Sapphire podeszła do następnej damy i niemal wyrwała jej szklankę z dłoni. Potem do następnej, i do następnej. Myra, nie wiedząc, co czynić, szła za nią.

- O co chodziło? - spytała, kiedy obie znalazły się wreszcie w korytarzu, prowadzącym do kuchni.

Sapphire westchnęła.

- Musimy ją powstrzymać.

Myra gwałtownie pokręciła głową.

- Służba nie wtrąca się w sprawy państwa. My tylko wykonujemy polecenia.

Po raz pierwszy od wielu dni Sapphire miała uczucie, że znowu kieruje swoim życiem.

- W takim razie to jest absolutnie niewybaczalne. Myra zmrużyła oczy.

- Co jest niewybaczalne? - Oparła jedną dłoń na biodrze. - Wiesz, ja tam nie pytam, coś robiła na ulicy, że cię pan Thixton musiał ratować, ale powiedz szczerze, służącą to ty nie byłaś?

- Nie chcę mówić o mojej przeszłości, Myro.

- Balansując tacą w jednej ręce, drugą chwyciła przyjaciółkę za rękaw i pociągnęła w głąb korytarza.

- Chcę natomiast, żebyś mi w czymś pomogła. Musimy zrobić coś, żeby panna Lawrence nie straciła swojej cennej cnoty z panem Thixtonem.

Myra była zaszokowana propozycją.

- To nie moja sprawa i nie twoja, panienko. Chcesz wylecieć na bruk?

Sapphire spojrzała jej prosto w oczy.

- A ty chcesz, żeby panna Lawrence objęła rządy w Thixton House? Pierwsze co zrobi, jak się tu wprowadzi, to odprawi ze służby wszystkie ładne dziewczęta.

- I zgodzi same wredne, stare krowy, żeby pan nie miał za kim wodzić głodnym wzrokiem - dokończyła Myra po swoim dobitnie.

Sapphire parsknęła śmiechem.

- Lubisz swoją pracę? - zapytała, kładąc dłoń na ramieniu Myry.

Dziewczyna skinęła głową.

- Robota łatwa, byle pani Detrick się na człowieka nie zawzięła.

- Zatem panna Lawrence nie może pojawić się tutaj jutro.

- Co chcesz zrobić, Molly?

- Nie wiem jeszcze dokładnie - powiedziała Sapphire, ale miała już pierwszy zarys planu. Podły plan, ale skuteczny, o ile udałoby się go zrealizować.

- Twoja babcia jest podobno zielarką, tak? Potrafi znaleźć zioła na każdą przypadłość, prawda? Uczyla cię, jak sporządzać różne napary...

- Prawda... Jak brzuch boli, zgaga piecze albo jak okres dostaniesz.

Sapphire zatrzymała się przy drzwiach kuchennych.

- A nauczyła cię, jak przygotować... - Tu Sapphire nachyliła się i zaczęła szeptać coś długo Myrze do ucha.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

- I co z tym zrobisz? - Myra otworzyła drzwi, przepuszczając lokaja z ogromną wazą zupy zółwiowej, potem Sapphire, która niosła talerze. Pani Detrick właśnie przed chwilą zaanonsowała, że goście usiedli do stołu i można serwować kolację.

- Nie wiem - szepnęła Sapphire, nachylając się do Myry. - Mam ochotę wrzucić do zupy i niech wszyscy skosztują.

- Nie możesz. - Myra aż się zatchnęła z wrażenia. - Zaraz by wiedzieli, że to my.

Sapphire zachichotała pod nosem.

- Bądź spokojna, nie zrobię tego, chociaż pan Thixton powinien ponieść karę za swoją głupotę, kiedy idzie o Clarice.

- To przecież córka jego przyjaciela. - Myra stanęła w obronie Blake'a. - A on jest dżentelmenem.

- Sama chyba się w nim zadurzyłaś - fuknęła Sapphire.

Myra zachichotała.

- Jak my wszystkie - rzuciła jeszcze przez ramię i weszła za lokajem do sali jadalnej, niosąc tacę.

- Panie i panowie - odezwał się Blake od szczytu stołu, który Sapphire polerowała osobiście dzień wcześniej. - Możemy zaczynać kolację.

Przez następne pół godziny Sapphire obsługiwała gościom, trzymając się ściśle poleceń Myry, która z kolei pilnie wykonywała dyrektywy pani Dedrick. Sapphire czuła, że Blake co rusz spogląda w jej kierunku, ale omijała go wzrokiem, skupiając się na wykonywanych czynnościach, bo przecież nigdy nikomu nie obsługiwała przy stole, a już na pewno nie w czasie proszonej kolacji na szesnaście osób. Jednak czekała tylko, kiedy będzie mogła wprowadzić w czyn swoje zamierzenia, czyniąc zadość sprawiedliwości.

Okazja nadarzyła się mniej więcej w połowie kolacji.

- Boski ten sos truflowy. - Clarice Lawrence sięgnęła po sosjerkę i wylała resztkę sosu na swoją porcję mięsa. - Nie ma więcej? - spytała zmartwiona. Siedziała po prawej ręce Blake'a, zamieniwszy się sprytnie z ojcem, bo według kartek rozstawionych na stole, jemu przypadało to miejsce.

Myra zerknęła na Sapphire i wzięła pustą sosjerkę ze stołu.

- Zjadła połowę tego, co pani Porter przygotowała na szesnaście osób - szepnęła do Sapphire, podchodząc do stojącego pod ścianą pomocnika.

- Widać czeka jeszcze na swoją porcję.

- Podług mnie to zjadła aż nadto. Wiesz, ile takie trufle kosztują?

- Och, nieważne. Niech je jeszcze, skoro ma ochotę. - Sapphire napełniła małą sosjerkę sosem, szybko wydobyla małą buteleczkę z kieszeni fartucha, wlała jej zawartość do sosu, pustą buteleczkę schowała na powrót, sosjerkę ustawiła na porcelanowej podstawce i podeszła do stołu, nie dając Myrze czasu na sprzeciw.

- To tylko dla pani, madame - szepnęła, dygając grzecznie i postawiła małą sosjerkę przed Clarice. Myra tymczasem postawiła dużą na środku stołu.

Kiedy Sapphire się cofała, napotkała spojrzenie Blake'a i odpowiedziała na nie tak wyzywającą miną, że rozchylił wargi, jakby chciał coś powiedzieć, ale, oczywiście, powstrzymał się w porę.

I kto tu jest uparty? - pomyślała z cichą satysfakcją.

Myra twierdziła, że specyfik, który sporządziła, działa błyskawicznie - i rzeczywiście. Właśnie serwowały ciasto, kiedy Clarice wykrzywiła się z bólu, na czoło wystąpiły jej kropelki potu.

Kątem oka Sapphire widziała, jak dama siedząca obok ściska dłoń Clarice i coś do niej szepcze. Clarice upiła łyk wody, wyprostowała się, dyskretnie otarła pot z czoła, ale goście już zdążyli się zorientować, że coś jest nie tak, i nie przerywając rozmów, zerkali ukradkiem w stronę Clarice.

Sapphire popatrzyła na stojącą po drugiej stronie Myrę; obserwowała całą scenę z taką miną, jakby za chwilę miała wybuchnąć, nie wiadomo, śmiechem czy płaczem.

- Kochanie, dobrze się czujesz? - zapytała głośno Patricia Lawrence.

- Ja... - Clarice raptem zrobiła się zielona na twarzy, zerwała się od stołu i spojrzała błagalnie na Myrę. - Toaleta... - wykrztusiła, nie zważając na konwenanse.

Myra rzuciła się ku niej i pospiesznie wyprowadziła z sali, a pani Lawrence nachyliła się do męża, mówiąc, że powóz ma podjechać, bo wracają natychmiast do domu.

Sapphire odwróciła głowę, by nikt nie dostrzegł jej pełnego satysfakcji uśmiechu. Kiedy po chwili zerknęła w stronę stołu, pochwyciła chmurne spojrzenie Blake'a.

- Pójdę do niej - powiedziała pani Lawrence z troską w głosie i podniosła się z krzesła.
- Oczywiście, sprawdź, jak się czuje, moja droga - przytaknął pan Lawrence.

Wszyscy goście zaczęli rozmawiać z ożywieniem, wymieniając półgłosem uwagi. Najwyraźniej każdy miał jakieś niemiłe doświadczenia związane z nagłymi niedyspozycjami przy stole i Sapphire z trudem powstrzymywała się od śmiechu.

Czas mijał, ale ani Clarice, ani Myra, ani pani Lawrence nie wracały do sali. Sapphire zaczynała właśnie uprzątać talerzyki po cieście, kiedy Blake podniósł się, prosząc panie do salonu, a panów na cygaro do swojego gabinetu. Wychodziła z tacą zastawioną naczyniami, kierując się do kuchni, gdy chwycił ją za łokieć i na oczach gości szepnął:

- Powiedz, że niedyspozycja panny Lawrence to nie twoje dzieło.

Sapphire spojrzała na niego niewinnym wzrokiem i zamrugła rzęsami jak sama panna Lawrence.

- Ależ panie Thixton, ja jestem tylko prostą sługą.

Co mogłabym mieć wspólnego z nagłą chorobą panny Lawrence? Może po prostu panna Lawrence dysponowana jest do niedyspozycji - zakpiła. - Widać żółć w niej zebrała.

Blake powściągnął uśmiech i zrobił surową minę.

- Chcę z tobą później porozmawiać - wycedził przez zęby.

- Oczywiście, panie Thixton. - Dygnęła uprzejmie, wyminęła go i wyszła pospiesznie z sali, zanim zdążył cokolwiek dodać.

Myra pojawiła się w kuchni dopiero po godzinie.

- Najwyższa pora - fuknęła pani Porter na jej widok. - Jaśnie pani przypomniała sobie wreszcie, że robota na nią czeka.

- Jedna z pań źle się poczuła i pani Dedrick kazała mi zostać przy niej, w razie gdyby czego potrzebowała - wyjaśniła Myra z poważną miną. Pani Porter machnęła ręką, a Myra podbiegła do Sapphire, chwyciła za rękę i wyciągnęła na podwórze kuchenne.

Kiedy znalazły się na zewnątrz, Sapphire głęboko wciągnęła w płuca chłodne, wieczorne powietrze. Myra zakręciła się jak fryga, parsknęła śmiechem i szybko zakryła usta obydwiema dłońmi.

- Jednak zadziało? - upewniła się Sapphire, chichocząc.

- Zadziało? Przez ostatnią godzinę nie wychodziła z wygodki. - Myra ponownie się zaśmiała. - Całkiem ją zmogło. Kto by pomyślał, że tyle nieczystego w człowieku może się nzbierać - kpiła.

- Nie do wiary - przytaknęła Sapphire z hamowanym śmiechem.

Myra pokiwała głową. - W końcu trochę jej ulżyło, tyle że mogła przejść do powozu. Przyniosłam miskę, ręczniki, wszystko, ale suknia panny Lawrence już nie była taka bieluśka jak przedtem.

Sapphire spojrzała na Myrę pytająco.

- Wiesz, zanim dobiegła do wygodki... Sapphire o mało nie udławiła się ze śmiechu.

- Nie zaprowadziłaś jej na górę do pokoju kąpielowego B... pana Thixtona?

Myra, podniecona, na szczęście nie zauważyła przejęzyczenia Sapphire.

- Żeby miała korzystać z tego nowomodnego klozetu? Niedoczekanie, żebyśmy jeszcze miały po niej sprzątać.

Sapphire roześmiała się na cały głos i chwyciła Myrę w ramiona.

- Pannie Lawrence przynajmniej na kilka dni odechce się uwodzić kogokolwiek.

Myra objęła Sapphire i zakręciła się z nią kilka razy w kółko w triumfalnym tańcu zwycięstwa.

- Odechce się, odechce, to pewne - powtórzyła za przyjaciółką.

* * *

Mało brakowało, a Sapphire dotarłaby na poddasze, unikając spotkania z Blakiem. Reszta służby udała się już na spoczynek. Myra i Sapphire zostały same, żeby jeszcze zanieść do kredensowego umytą zastawę, kiedy w kuchni pojawiła się pani Dedrick.

- Molly - odezwała się, zdejmując czysty fartuch; jej fartuchy były czyste nawet po całym dniu najgorliwszego krzątania się po domu. - Idź zmienić hęczniki w kąpielowym pana Thixtona, bo skahży się, że bhudne.

- Ja to zrobię. - Myra ścisnęła dłoń Sapphire. - Pan Thixton widać w złym humorze.

Sapphire miała ochotę powiedzieć, że dobrze zna humory Blake'a, szczególnie gdy szło o jej osobę, ale roztropnie powstrzymała się od komentarza.

- Nie, ty się kładź. Ja pójdę.

- Potrafi być okropny, kiedy coś go ugryzie - ostrzegła przyjaciółkę Myra.

Sapphire wręczyła Myrze ostatnią stertę talerzy z pięknej irlandzkiej porcelany.

- Ty zajmowałaś się panną Lawrence, teraz moja kolej - powiedziała stanowczo.

- A żeby mi się pan Thixton na ciebie potem nie skahżył. - Pani Dedrick pogroziła jej palcem na odchodnym. - Ja idę do siebie.

- Łyknać sobie dzinu przed snem - szepnęła Myra. Sapphire dała jej kuksańca w bok i obie wybuchnęły śmiechem, kiedy gospodyni zniknęła za drzwiami.

Sapphire skończyła sprzątać w kuchni i wysłała ziewającą Myrę spać.

- Zaczekam na ciebie.

- Nie czekaj - powiedziała Sapphire, czując, że może w końcu porozumie się z Blakiem. - Ledwo trzymasz się na nogach. Zobaczymy się rano.

Myra pomachała ręką i ruszyła na poddasze.

- Dziękuję! - zawołała za nią Sapphire.

- Za co niby dziękujesz? - Myra odwróciła się jeszcze. - Za to, że panna, która powinna dostać nauczkę, dostała nauczkę?

Sapphire się uśmiechnęła. Co prawda, własne położenie wydawało się jej czasem nie do zniesienia, jednak gdyby Blake jej nie porwał i nie przywiózł do Bostonu, nigdy nie poznałaby Myry.

- Za to, że jesteś moją przyjaciółką - powiedziała ciepło.

Jeszcze jeden uśmiech i Myra zniknęła. Sapphire wzięła z bieliznianego czyste ręczniki, czystą zmianę pościeli i przez pogrążony we śnie dom ruszyła do sypialni Blake'a, tym razem wybierając główne schody, zamiast tych dla służby.

Zapukała do drzwi i kiedy usłyszała stłumione „wejść”, nacisnęła klamkę, wkraczając do pokoju z naręczem świeżej bielizny.

- Zastanawiałem się, czy przyjdiesz - przywitał ją Blake.

Zdjął już surdut, fular, podwinął rękawy koszuli i popijał whisky.

- Pan kazał zmienić bieliznę pościelową i ręczniki, a dziewczęta mówią, że jak nie będę słuchać poleceń pani Dedrick, to wylecę na bruk ze służby.

Blake odstawił szklaneczkę, uwolnił Sapphire od naręcza bielizny, po czym chwycił ją w ramiona i zaczął całować.

- Tęskniłem za tobą, mała czarownico. Nawet nie domyślasz się, jak bardzo.
Sapphire przymknęła oczy na moment, walcząc z pożądaniem, jeszcze opierając się Blake'owi.
- Za to domyślam się, jak bardzo musi tęsknić za tobą panna Lawrence.
Blake całował jej szyję, kark. - Mówiłem ci, to córka przyjaciela. Nie mogę być dla niej niemiły. A ty nie możesz jej truć.
Sapphire położyła dłonie na ramionach Blake'a i parsknęła śmiechem.
- Nie otrułam jej. A panna miała wobec ciebie zamiary. Bardzo nieuczciwe zamiary.
- Nie pójdę do łóżka z córką mojego przyjaciela. To jeszcze smarkula.
- Ile ma lat? Blake uniósł głowę.
- A niech to. Nie wiem - zasępił się. - Dwadzieścia pewnie.
- Ja mam dwadzieścia - powiedziała Sapphire. Milczał przez chwilę, zbity z tropu.
- Ty to co innego.
- Nie widzę żadnej różnicy.
- Kiedy wreszcie będziemy mogli rozmawiać z sobą jak ludzie? - Blake przesunął palcem po jej brodzie.
- Hm? Musimy ciągle się klócić?
Sapphire przyszła żądać, by umożliwił jej powrót do Londynu, ale nie chciała się awanturować, jeszcze nie teraz.
- Nie wiem - odparła i ujęła go za rękę. - W niektórych sprawach się zgadzamy.
Blake nachylił się i pocałował ją w policzek.
- No właśnie. - Chciał rozwiązać fartuch, ale odepchnęła jego dłoń.
- Nie. Jestem spocona i brudna. Okropnie wyglądam.
- Nieprawda. - Cofnął się o krok. - Weź kąpiel - zachęcił i Sapphire spojrzała tęsknie w stronę pokoju kąpielowego.

- Nie powinnam.
- Nie bądź śmieszna. - Sięgnął po szklaneczkę z whisky, stojącą na szafce nocnej.
- To nie w porządku. Reszta dziewcząt nie korzysta z takich luksusów.
- Nie jesteś resztą dziewcząt. - Popchnął ją lekko w stronę pokoju kąpielowego.
Sapphire widziała przez uchylone drzwi wielką białą wannę, w której mogłaby wygodnie się wyciągnąć.
- Chcesz, żebym się rozebrała, a później to wykorzystasz.
Blake zaniósł się głośnym śmiechem.
- Z czego się śmiejesz? Powiedziałam coś zabawnego? - zapytała urażonym tonem.
Otarł łzy z kącików oczu i upił łyk szkockiej.
- Sapphire Fabergine, nigdy w życiu nie zrobiłaś nic, czego zrobić nie chciałaś. Bardzo współczuję człowiekowi, który próbowałby cię zmusić do czegokolwiek, złamać twoją wolę.
Patrzyła na Blake'a, myśląc, że przecież przywiózł ją do Ameryki wbrew jej woli, ale wiedziała, że on mówi o czymś innym.
- Wezmę kąpiel - zdecydowała - ale jeśli spróbujesz tam wejść, to...
- To co? - zagadnął Blake z zawadiackim uśmiechem, po czym machnął ręką, jakby poganiał Sapphire. - Nieważne. Wiem tylko, że nie powinienem ci się narażać, bo będę potem siedział godzinami w wychodku, jak, nie przymierzając, biedna Clarice.

Sapphire zaśmiała się, wzięła kilka z przyniesionych przez siebie ręczników i weszła do pokoju kąpielowego, starannie zamykając za sobą drzwi. W ciągu następnej godziny Blake dwa razy pukał do drzwi i za każdym razem Sapphire odsyłała go precz, a on posłusznie odchodził. Wiedziała, że nie może pławić się w nieskończoność, ale ilekroć wstawała, by wyjść z wanny, coś ją powstrzymywało i zanurzała się na powrót z silnym postanowieniem, że po raz ostatni splucze włosy i obmyje ciało. Jeszcze ten jeden raz...

Kiedy skóra zaczęła się marszczyć, Sapphire wyszła wreszcie z wanny, owinęła włosy ręcznikiem, sama też zawinęła się w duży ręcznik kąpielowy: nie była w stanie na powrót włożyć czarnej sukni z gryzącego materiału. Nawet stara, sprana spódnica i bluzka, które dostała od Blake'a, były wygodniejsze niż leżący na podłodze uniform pokojówki.

Otworzyła drzwi i weszła do sypialni. Blake zgasił większość lamp: paliła się tylko jedna, przy łóżku, spowijając pokój złotym, przyćmionym blaskiem. Sapphire nie widziała nigdzie Blake'a, ale czuła zapach dymu z cygara. Dopiero kiedy podeszła do drzwi balkonowych, zobaczyła zarys jego sylwetki na tle ciemnego nieba. Stał oparty o balustradę, zapatrzony w zatokę.

Sapphire podeszła do niego. Blake objął ją ramieniem i tak trwali długą chwilę, pogrążeni w milczeniu, spoglądając w dal, rokoszując się chłodnym wietrzykiem od oceanu i wzajemną bliskością.

- Powinnaś już iść - odezwała się w końcu cichym głosem.

Objął ją mocniej, przytulił do siebie, ale nie odrywał spojrzenia od fal w dole.

- Zostań ze mną na noc.

- Nie mogę. Jeśli któraś z dziewcząt się obudzi i zobaczy, że moje łóżko jest puste, podniesie alarm, zaczną mnie szukać.

- Powiedz, czego ode mnie oczekujesz. - Zgasił cygaro w stojącej na balustradzie szklanej popielniczce i odwrócił się do Sapphire.

- Czego oczekuję? - powtórzyła, zaskoczona niespodziewanym pytaniem.

- Tak. Co cię zadowoli? Chcesz, żebym powiedział, że cię kocham? O to chodzi? - Spoglądał na nią w mroku. - Mam zadeklarować miłość aż po grób?

Wypowiedział słowo „miłość” tak, jakby się nim brzydził. Sapphire nie potrafiła się złościć, nie czuła gniewu, tylko smutek i współczucie. Było jej najzwyczajniej w świecie żal Blake'a. Rozluźniła ręcznik i pozwoliła mu opaść na podłogę. Miała ochotę wziąć Blake'a w ramiona, położyć sobie jego głowę na piersi i głaskać go po włosach, po twarzy, ukoić pieściami ból, jaki słyszała w jego głosie.

Zamiast tego położyła dłonie na jego ramionach i pocałowała go w usta. Przez moment nie odpowiadał na pocałunek, ale potem rozchylił wargi i zamknął Sapphire w objęciach, przyciskając do balustrady.

Czuła, jak wilgotne włosy rozsypują się na wietrze, miała wrażenie, że opada w przepaść, ale wiedziała doskonale, że póki Blake trzyma ją w ramionach, nic jej nie grozi, nic złego stać się może.

Całowali się i kochali na balkonie, pod gwiazdami, nad skalnym urwiskiem opadającym ku oceanowi, a potem stali wtuleni w siebie, syci siebie, drżący jeszcze ze zmęczenia.

Co Blake miał na myśli, pytając, czy chce, by wyznał jej miłość? Nigdy nie było między nimi mowy o miłości, ale ona wiedziała, że go kocha, i była tego pewna. Czyżby rzeczywiście ją kochał, czy też jest to kolejne kłamstwo z jego strony?

- Chodźmy do środka - szepnął, kiedy mógł już normalnie oddychać. - Gdzie moje manieri. Przy tobie całkiem się zapominam.

Sapphire zaśmiała się i pozwoliła wprowadzić się do sypialni. Kiedy położyli się na łóżku, oparła głowę na jego ramieniu i przez chwilę słuchała tykania zegara, stojącego na kominku.

- Pytałeś mnie, czego od ciebie oczekuję - odezwała się wreszcie.

Wiedziała, że Blake nie śpi, słucha, chociaż nie odpowiada.

- Chcę, żebyś zaakceptował to, kim jestem. - Przerwała na moment. - Zaakceptował to, kim mogę być. Zaakceptował możliwe.

- Sapphire...

Uniosła się lekko i położyła mu palec na ustach.

- Nie prosiłam, byś uwierzył, że jestem córką hrabiego Wesseksa. Prosiłam tylko, byś dał mi szansę dowiedzenia prawdy.

- Nie masz dowodów.

Teraz ona nie odpowiedziała. Leżała cicho, wsłuchując się w tykanie zegara, niosące się łagodnym dźwiękiem po przestronnej sypialni.

- Naprawdę mnie kochasz? - zapytała cicho. Blake odwrócił ku niej głowę.

- Nie wiem.

Smutek ją ogarnął, ale dostrzegła iskierkę nadziei. Nie powiedział wszak, że jej nie kocha, co mogło oznaczać, że jednak kocha. A może był niezdolny do miłości?

- Co zrobimy? - zapytał, przerywając przeciągające się milczenie.

Sapphire westchnęła.

- Nie wiem - odparła, kładąc głowę na poduszce. Nie miała ochoty rozstawać się z Blakiem. - Chyba oboje potrzebujemy czasu, żeby się zastanowić.

- Chyba tak - zgodził się Blake. - A na razie przeniesiesz się tutaj, do mojej sypialni?

- Nie mogę, Blake. Poza tym w kuchni wcale nie jest najgorzej. Zaprzyjaźniłam się już z kimś.

- Sapphire, ja nie chcę, żebyś...

- Myślę, że jak na jeden wieczór wystarczy. Nie uważasz?

Blake odwrócił się ku Sapphire i zaczął bawić się jej włosami.

- Ja mam dyplom Harvardu, a ty chodziłaś do szkoły prowadzonej przez siostry, na tym skończyłaś naukę, a jednak coraz częściej myślę, że z nas dwojga ty jesteś mądrzejsza.

Sapphire zaśmiała się i spojrzała mu głęboko w oczy.

- Pocałuj mnie - szepnęła.

Tak bardzo chciała powiedzieć mu, że go kocha. Miała ochotę stanąć na balustradzie balkonu i wykrzyknąć całemu Bostonowi swoją miłość do Blake'a. Ale kiedy ją pocałował, niewypowiedziane słowa pierzchnęły: pozostały gesty i jej własne lęki.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

- Jessup? - Lucia wpadła do kancelarii rejenta z listem w dłoni. Kancelista, pan Turnburry, wiedział już, że nie ma sensu jej zatrzymywać; madame Toulouse miała wstęp do gabinetu pryncypała o każdej porze, wedle własnej woli. - Jessup, najdroższy.

Angelique szła za nią, ściągając powoli niciane rękawiczki.

- Ciociu Lucio, to naprawdę w złym tonie zakochiwać się w mężczyźnie, którego jesteś utrzymanką.

- Ja utrzymanką? - Lucia zatrzymała się na środku korytarza i odwróciła do swojej podopiecznej. - Wiedz, młoda damo, że nie jestem niczyją utrzymanką! Nie jestem bogata, ale od wielu lat żaden mężczyzna nie musi płacić za mój wikt i opierunek. Jak śmiesz! - powiedziała z wyrzutem, podchodząc do Angelique.

„Młoda dama” była autentycznie zdumiona.

- Bardzo przepraszam, ciociu Lucio. – Podniosła ręce w geście kapitulacji. - Nie chciałam sprawić ci przykrości. Ja nie widzę nic złego w tym, że mężczyzna płaci za moje względy.

- Nie sprawiłaś mi przykrości. Ty mnie obraziłaś.

- Nie chciałam cię obrazić. - Angelique się zaśmiała. - Jestem ostatnią kobietą, która miałaby prawo osądzać inną kobietę. Chciałam tylko powiedzieć, że... wasze zachowanie jest trochę... zenujące. To publiczne okazywanie sobie uczuć...

- Dobry Boże. Kocham cię, kocham Sapphire. Nazwiesz zenującym fakt, że nie kryję się z tym, co do was czuję?

- Nie.

Angelique patrzyła na ciotkę tymi swoimi pięknymi oczami. Lucia nadal, choć tyle lat minęło, nie miała pewności, czy Angelique nie jest jednak córką Armanda. Miała w sobie jego żar, to pewne.

- Jesteś za stara, żeby całować się publicznie.

- Angelique zachichotała. - To jednak coś innego niż miłość do mnie czy do Sapphire.

Lucia poprawiła nowy słomkowy kapelusz wiązany pod brodą na szeroką różową wstążkę.

- To jest absolutnie to samo.

- To inna miłość - upierała się Angelique. - Doskonale o tym wiesz. Ciebie, Sapphire, Armanda będę kochała całe życie. Tak zwana miłość Henry'ego do mnie minie po kilku tygodniach, miesiącach, w najlepszym razie latach, ale on w końcu zmęczy się mną, przestanie mnie kochać.

- Jesteś zbyt cyniczna jak na pannę w tym wieku.

- Lucia poprawiła koronkowy kołnierzyk przy spacerowej sukni Angelique. - Miłość matki do córki różni się pod wieloma względami od miłości między mężczyzną a kobietą, ale znowu nie tak bardzo. Przekonasz się, jak będziesz trochę starsza.

- Westchnęła bezradnie, że lepiej nie potrafi wyłożyć kwestii. - Obydwie potrafią porazić człowieka swoją siłą i coś mi się wydaje, że dlatego boisz się pokochać swojego Henry'ego.

- Uważasz, że boję się pokochać Henry'ego? Skąd ta absurdalna myśl? Znowu był u ciebie? Bo jeśli złożył ci wizytę, to...

- Uspokój się, Angel. Henry nie pojawił się u mnie ani razu od czasu, gdy ukarałaś go za ostatnią wizytę, nie widując go przez cały tydzień. Mówię o tym, co widzę w twoich oczach, kiedy jesteście razem.

- Ciociu, jesteś tak samo nienormalna, jak on. Idziemy spytać pana Stowe'a, czy wypije z nami herbatę, czy będziemy tu stały i dyskutowały o moim kochanku?

Lucia miała ochotę kontynuować rozmowę na temat Henry'ego, ale uznała, że w materii prawdziwych uczuć powinna postępować z Angelique rozważnie: nie naciskać, nie przyspieszać. Dla Angelique myśl, że mogłaby pokochać kogoś, była trudna do zaakceptowania, bo uparła się, żeby być kochaną, ale samej nie kochać. Potrzebowała czasu, by przywyknąć do myśli o uczuciu, dopuścić do siebie taką możliwość. Kiedy zamieszkała w Orchid Manor, rok trwało, zanim zdecydowała się sypiać w łóżku zamiast na macie rozścielanej na podłodze sypialni Sapphire. Angelique z najwyższym trudem i nieufnością przyjmowała wszelkie zmiany.

- Luciu najdroższa, tu jesteś. - Jessup wyszedł na korytarz i wyciągnął ramiona. - Wydawało mi się, że słyszę twój słodki głos.

Angelique znacząco spojrziała na ciotkę, jakby chciała powiedzieć: „To właśnie miałam na myśli”, ale Lucia zbyła jej miny śmiechem i nadstawiła policzek do pocałowania. W przeciwieństwie do Angelique wiedziała doskonale, jak rzadkim darem jest prawdziwa miłość.

- Mam wspaniałe wiadomości - zwróciła się do Jessupa. - Chciałyśmy zaprosić cię na herbatę, ja i Angelique.

- Bardzo chętnie wypiję z wami herbatę. Ja też mam dobre wiadomości. - Wskazał drzwi swojego gabinetu. - Wejdziecie? Opowiedzcie mi, co to za wspaniałe wieści, ja dokończę, co miałem dokończyć, i będziemy mogli iść.

- Przyszedł wreszcie list od Sapphire - powiedziała Angelique i pierwsza weszła do gabinetu. Zdjęła kapelusz i trzymając go zawieszono za wstążkę na palcu, okręciła się wokół własnej osi z miną pełną podziwu dla liczby zgromadzonych tu książek. - Nasza skromniska została kochanką hrabiego Wesseksa.

- Nic takiego nie napisała - obruszyła się Lucia, siadając w wielkim skórzanym fotelu. - W jej liście nie ma ani słowa, które potwierdzałoby twoje domysły.

- Co pisze Sapphire? - Jessup dyplomatycznie położył kres sprzeczce, zasiadł na swoim miejscu za biurkiem i założył okulary.

- Niewiele. - Lucia wyprostowała list, który zdążyła przeczytać już z dziesięć razy. - Píše, że jest w Bostonie u pana Thixtona, żebyśmy się o nią nie martwiły i że przeżywa wielką przygodę - wzruszenie odebrało Luci głos na moment - i że niedługo wróci do Londynu. - Złożyła kartkę i spojrziała na Jessupa. - Prosi, żebym opiekowała się skrzyneczką z pamiątkami po matce i bym poprosiła kochanego pana Stowe'a, by nie ustawał w swoich poszukiwaniach dokumentów, które potwierdziłyby zawarcie małżeństwa między Sophie a Edwardem Thixtonem.

- Rozumiem - powiedział Jessup. - To znaczy, że nie doszła do porozumienia z hrabią Wesseksem.

- Mówiłam ci, Jessupie, ona chce mieć niezbity dowód, że jej rodzice byli małżeństwem. A i mnie lżej będzie odchodzić z tego świata, wiedząc, że życzeniu mojej ukochanej Sophie stało się zadość. - Lucia schowała list do torebki z taką pieczołowitością, jakby był to największy skarb. - Mówiłeś, że masz dobre wiadomości. Mam nadzieję, że dotyczą Sapphire.

- W rzeczy samej. - Jessup złożył podpis na jakimś dokumencie, po czym zdjął okulary i przeniósł wzrok na Lucie.

- Proszę mówić, panie Stowe - ponagliła go Angelique, biorąc do ręki książkę z półki. Jessup wyprostował się i oznajmił z dumą w głosie:

- Wszystko wskazuje na to, że odnalazłem rodzinną wieś panny Sophie Barkley w Sussex.

- To cudownie, mój kochany Jessupie. - Lucia obróciła się w fotelu. - Słyszysz, Angel? Pan Stowe odnalazł rodzinę naszej Sophie.

- Pan Stowe nie powiedział, że odnalazł rodzinę, ciociu. - Angelique odstawiła książkę na miejsce i zdjęła z półki następną. - Ma pan jakieś książki o Ameryce? Któregoś wieczoru przy kolacji jeden z przyjaciół Henry'ego opowiadał zupełnie niebywałe historie o Indianach i teraz Henry ciągle wraca do tematu. Ciekawe, czy w tym całym Bostonie, gdzie mieszka hrabia Wessex, też mają dzikich Indian.

Jessup zaśmiał się, wstał zza biurka i podszedł do regałów, wypełniających całą jedną ścianę gabinetu.

- Chyba coś mam. - Zaczął przesuwając palcem po grzbietach książek, po czym zerknął na Lucię. - Jak powiedziała panna Fabergine...

- Na litość boską, mów jej po imieniu, przynajmniej kiedy jesteśmy sami. - Lucia wzniosła oczy do sufitu. - Wierzyć się nie chce, ile wy, Anglicy, marnujecie czasu i energii na niepotrzebne ceremonie.

Angelique popatrzyła z rozbawieniem na pocziwego rejenta, on popatrzył na nią, a kiedy skinęła przyzwalająco głową, odchrząknął i podjął raz jeszcze:

- Jak zauważyła Angelique, nie wspomniałem nic o rodzinie. Smutne, ale wszyscy dawno nie żyją: rodzice, rodzeństwo Sophie... Ci, co żyją, porozjeżdżali się na cztery strony świata.

- Na jakiś ślad jednak trafiłeś?

- Można tak powiedzieć. Pan Wiggins, jegomość, który prowadził dla mnie poszukiwania, zlokalizował wioskę rodzinną Sophie. Wkrótce zamierzam się tam udać osobiście. - Podał Angelique książkę, która mogła ją zainteresować. - Oczywiście nie powinniśmy cieszyć się przedwcześnie. Nie wiemy jeszcze, czy chodzi o tę samą Sophie i czy znajdziemy kogoś, kto pamięta jeszcze romantyczną historię miłości wieśniaczki i wicehrabiego.

- Na pewno pamiętają - orzekła Lucia

- O mnie nie musisz się martwić, Jessupie. Ja nie będę czuła zawodu, jeśli poszukiwania skończą się fiaskiem. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego ta sprawa jest taka ważna dla Sapphire. Ja nie znałam swojego ojca i jakoś ten fakt nie przyprawia mnie o bezsenność. - Angelique otworzyła książkę, którą wręczył jej Jessup.

- Ty jesteś z innej materii niż Sapphire - zauważyła Lucia. - Dziękuję, Jessupie.

- Bardzo proszę, najdroższa. - Jessup podszedł do Luci i ucałował jej dłoń.

- Mogę pożyczyć tę książkę? - Angelique uniosła trzymany tom. - O Dzikim Zachodzie i niejakich Lewisie oraz Clarku. Henry będzie zachwycony.

- Możesz, oczywiście - odparł Jessup, wpatrując się z uwielbieniem w Lucię.

- Dziękuję. Zaczekam na was w powozie, moje gołąbeczki. - Angelique rzuciła jeszcze od drzwi: - Nie marudźcie za długo. Zważcie na swój wiek i na to, że jest środek dnia.

Lucia zaśmiała się, Angelique zniknęła, a Jessup nachylił się, żeby pocałować swoją najdroższą.

- Gdybym cię nie znała, powiedziałabym, że to wyzwanie - szepnęła Lucia.

- Wyzwanie? Co masz na myśli? Lucia podniosła się z fotela.

- Czy te drzwi zamykają się na klucz, mój kochany Jessupie?
- Owszem. - Rejent spojrział pytająco na damę swego serca i dopiero teraz zrozumiał, co miała na myśli. - A niech to - mruknął. - A niech to.
- Tylko mi nie mów, proszę, że ty i twoja żona wypełnialiście powinności małżeńskie wyłącznie w łóżku. - Lucia spojrzała przez ramię, idąc ku drzwiom, by przekręcić klucz w zamku. - Nie obrażając drogich nieobecnych, to musiało być nudne.
- A niech to - powtórzył kolejny raz z rzędu.
Lucia podeszła do niego, pocałowała i pociągnęła w stronę kanapki stojącej w rogu gabinetu.
- Sprawdzimy przydatność tego mebla, najdroższy. Wygląda, jakby od dziesiątków lat nikt z niej nie korzystał. - Uśmiechnęła się figlarnie. - Naprawimy zaraz to zaniedbanie.

- Molly, obudź się.
Głos dochodził skądś z daleka, Sapphire słyszała go, ale nie dopuszczała do siebie. Głowę miała pełną myśli o Blake'u, wspomnień jego pieszczot, zapamiętanych obrazów i słów, które padły minionej nocy. Chyba nigdy dotąd nie zdarzyło im się rozmawiać tak poważnie jak wczoraj.
Przypomniała sobie chłodną, ożywczą kąpiel, a ta z kolei przywiodła na myśl Martynikę, wspólne zabawy z Angel i kąpiele pod wodospadem. Potem przemknęło rozkoszne wspomnienie wygodnego łóżka Blake'a - oto leży w jego ramionach i zasypia powoli, wyczerpana miłością, ale szczęśliwa. Niczego nie postanowili, jednak ostatniej nocy coś się między nimi zmieniło.
Ale to nie Blake teraz do niej mówił. Głos należał bez wątpienia do Myry, a to, na czym leży, to może być tylko niewygodny siennik na wyrku na poddaszu.
- Długo cię nie budziłam - mówiła Myra - boś mi wyglądała na mocno umęczoną. Nie miałam serca ściągać cię z łóżka, ale pani Detrick chce z tobą mówić. Że niby nie zmieniałaś pościeli u pana Thixtona wczoraj wieczorem.
Sapphire otworzyła oczy i zamrugła oślepiąca porannym światłem, padającym z małego okienka prosto na twarz.
- Molly - powtórzyła Myra.
- Już dobrze. Budzę się. - Sapphire odrzuciła pled i usiadła na łóżku. - Która godzina?
- Prawie ósma. Pan Thixton już wyszedł, ale zadysponował, że kolację będzie jadł u siebie, na balkonie. Widać spodziewa się wizyty. - Myra wsparła się pod boki. - Chce, żebyś ty usługiwała. Dał wyraźne polecenie pani Detrick.
Sapphire sięgnęła po szarą spódnicę i bluzkę. Codziennie nosiła ten sam strój, ale wczoraj miała przynajmniej okazję go uprać, korzystając z tego, że na cały wieczór przebrano ją w suknię pokojówki.
- Czemu mi się tak przyglądasz? - zapytała, wciągając spódnicę.
- Gdzie byłaś w nocy?
- Jak to gdzie? Tutaj. - Odwróciła się tyłem do Myry. Nie chciała jej okłamywać, ale nie mogła wyjawic prawdy. Po wczorajszej rozmowie z Blakiem nie umiała powiedzieć, jak ułoży się między nimi, dokąd oboje zmierzają. Teraz, kiedy wreszcie przyznała się sama przed sobą, że go kocha, nie wiedziała, co począć z tą wiedzą. Blake nie wyznał jej miłości. Zapytał tylko, czego ona po nim oczekuje.

Myra stuknęła kilka razy czubkiem buta w podłogę.

- Kiedy zasypiałam, jeszcze cię nie było. . - A kiedy się obudziłaś, byłam.

- Jeśli chcesz mojej rady, trzymaj się z daleka od pana.

Sapphire wetknęła brzegi bluzki za pasek zniechęconej spódnicy, przeczesawszy włosy palcami i zebrała je do tyłu, radząc sobie, jak potrafiła, bez lusterka.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Myślę, że dobrze wiesz. Przyłączyliście się razem. Dał ci szansę na nowe życie. Nie wiem, od czego uciekłaś, ale czasami trzeba zwać i zacząć jeszcze raz - monologowała Myra. - Teraz jesteś tutaj i powinnaś się pilnować. Ja znam takich jak pan Thixton. Myśl sobie, co chcesz, ale nie jesteś w jego typie. Nie słuchaj, co szepcze ci do ucha, bo potem będziesz płakać. Zostaniesz sama, albo jeszcze gorzej, z dzieckiem, którego będziesz musiała wychować. W żadnym porządnym domu nie przyjmą cię na służbę. Tyle ci powiem.

Sapphire schowała włosy pod czepek i wzięła trzewiki.

- Nie chcę być niemila, ale to znacznie bardziej skomplikowane, niż myślisz. Nie mogę ci nic więcej powiedzieć.

Myra wpatrywała się w nią, zbита z tropu.

- Złamane serce to złamane serce, prosta rzecz, co tu gadać o komplikacjach - powiedziała w końcu, po czym odwróciła się i wyszła.

Blake wcześniej wyjechał do swojego biura, które znajdowało się w dzielnicy portowej, w jednym z najstarszych budynków w Bostonie. Od kiedy w siedemnastym wieku osiedli w mieście pierwsi kolonizatorzy, tutaj miały swoje siedziby kantory kupieckie, najpierw angielskie, a po ogłoszeniu Deklaracji Niepodległości już amerykańskie.

Manford od dawna namawiał Blake'a, by przeniósł biura do któregoś z nowo powstających budynków w śródmieściu, ale obecną siedzibę firmy wybrał ojciec Blake'a, kiedy zaczął prowadzić interesy, i choć Blake nie czuł sentymentu do swojego rodzica, lubił pamiętać, że pracuje w tym samym miejscu, w którym pracował ten drań. Dzięki temu lepiej potrafił panować nad sobą, liczyć się ze słowami i powściągać wybuchy gniewu.

Dzisiaj Blake'a czekało mnóstwo zajęć, dlatego wcześniej wyszedł z domu; nie zjadł nawet śniadania i nie zdążył się wykąpać. Poza wszystkim nie chciał natknąć się na Sapphire.

Był zaskoczony, kiedy o trzeciej nad ranem uparła się wrócić na poddasze. Zezłościła go. Czego, do diaska, od niego chciała? Miał pieniądze, mógł dać jej wszystko. Dlaczego tak się upierała przy tym, że jest córką Edwarda? Nie rozumiała, że jego to nie obchodzi?

Blake upił łyk kawy i wypluł ją z powrotem do kubka.

- Givens! - ryknął.

- Tak, sir? - Drzwi się uchylily i w progu stanął sekretarz.

- Kawa jest letnia. Naprawdę niewiele od ciebie żądam, zważywszy na astronomiczną pensję, jaką ci płacę. Czy mógłbyś zadbać o to, żeby moja poranna kawa była gorąca?

- Tak jest, sir. Zaraz podam gorącą. Przyszedł pan Lawrence, chce się z panem zobaczyć.

- Proś go.

- Witaj. - Manford wszedł do gabinetu, na powitanie wyciągając rękę.

Blake podniósł się z biurka.

- Jak się czuje twoja córka? - Wskazał gościowi fotel, bardzo podobny do tego, który stał w gabinecie pana Stowe'a. W ostatnich dniach Blake często myślał o rejencji. Może dlatego, że sam po powrocie z Londynu musiał zwolnić dwóch doradców prawnych? Czyżby w całym Bostonie nie było jednego uczciwego prawnika?

- Dziękuję. - Manford usiadł, Blake również. - Clarice ma się lepiej, chociaż mało co spała ostatniej nocy. Bardzo szczególna niedyspozycja. - Zatroskany ojciec pokręcił głową. - Nikomu innemu wczorajsze jedzenie nie zaszkodziło?

Blake wolał nie zastanawiać się głębiej nad przypadłością biednej Clarice. Sapphire nie przyznała się do niczego, zresztą jakim sposobem mogłaby struć dziewczynę?

- Z tego co wiem, nikt inny nie zachorował. Ja sam spałem dobrze ostatniej nocy. - Niemal uśmiechnął się na myśl, jak miło było zasypiać obok Sapphire. Od powrotu do Bostonu bardzo mu brakowało dzielenia z nią łóżka.

- Dwa, trzy dni i moja Clarice całkiem dojdzie do siebie - powiedział Manford i uderzył dłonią w blat biurka, zmieniając temat. - A teraz powiedz mi, co powinienem wiedzieć, zanim pojawi się pan Falkin. Jak pani Lawrence usłyszała, że mamy się dzisiaj widzieć z młodym człowiekiem z Filadelfii, który zamyśla budować lampy na ropę ziemną, chciała wzywać doktora, że niby mnie też gorzej.

Blake zachichotał.

- Wiem, że pomysł może wydawać się szalony, ale wiele rzeczy w historii z początku wydawało się niemożliwymi. Z Londynu przypląnąłem statkiem napędzanym maszyną parową. Prawie nie potrzebowaliśmy żagli i przebyliśmy Atlantyk w rekordowym czasie. Sto lat temu rzecz zupełnie nie do pomyślenia. Co ja mówię, nasi ojcowie czegoś takiego sobie nie wyobrażali.

- A pan Falkin wierzy, że z ropy taki cud może sprokurować?

- To geolog. Mieszka w Filadelfii, ale jego odkrycia znane są już w świecie. W Londynie rozmawiałem z uczonymi, którzy znają i cenią jego odkrycia i bardzo pochlebnie się o nich wyrażają.

- Nie odwiedzałeś ich przypadkiem w zakładzie dla obłąkanych?

Blake się uśmiechnął.

- Posłuchaj, co pan Falkin powie o ropie ziemnej i o możliwości wydobywania jej w zachodniej Pensylwanii, ale nie chcę, byś czuł się w jakikolwiek sposób zobligowany. Pamiętaj, nie musisz inwestować w to przedsięwzięcie, jeśli nie będziesz przekonany. Żadnych zobowiązań.

- Cóż, to trochę niezwykły zamysł. My zajmujemy się handlem, a tutaj raptem... - Manford pokręcił głową z powątpiewaniem.

- Rozumiem cię, ale rozumiem też i doceniam potrzebę różnorodności. Nie lokujesz przecież wszystkich swoich aktywów w jedno przedsięwzięcie, jak, na przykład, Crawfordowie, którzy zajmują się tylko wielorybnictwem. - Słyszę, co mówisz, i chętnie wysłucham pana Falkina, ale nie jestem pewien, czy zdołam przekonać panią Lawrence, że powinniśmy zainwestować nasze ciężko zarobione pieniądze w ropę.

Blake się zaśmiał. Zawsze podziwiał małżeństwo Lawrence'ow, jedno z niewielu udanych, jakie znał. Manford kochał żonę, ona kochała jego, byli partnerami i wspólnie podejmowali wszystkie ważne decyzje.

- Geolodzy wiedzą, że pod powierzchnią ziemi kryją się ogromne złoża ropy, w Pensylwanii i w innych rejonach. Niewyczerpane bogactwo. Jeśli z tej ropy udałooby się wytwarzać paliwo, które napędzałoby maszyny, to takie maszyny zupełnie odmienia świat. Perspektywy są zawrotne, nie wspominając już o dochodach, które też będą ogromne dla tych, co pierwsi zainwestują.

Manford pogłodził w zamyśleniu bokobrody.

- I tu pojawia się temat, który dość niezręcznie mi poruszać.

Blake odchylił się w fotelu, złączył palce obu dłoni

I w tej samej chwili wydało mu się, że poczuł zapach Sapphire, ale zapewne była to tylko jego imaginacja.

- O co chodzi, Manfordzie? Pierwsze słyszę, żebyś miał obiekcje, by wyłuszczyć przede mną sprawę. Myślałem, że nas to nie dotyczy.

Manford się uśmiechnął.

- Ja też. Zanim zacznę, obiecaj, że będziesz ze mną całkowicie szczery.

- Zawsze jestem z tobą szczery. Manford pokiwał głową. Blake czekał.

- Clarice... wbiła sobie do głowy, że kocha się w tobie. Tak twierdzi moja żona.

Blake spojrział na biurko, na którym piętrzyły się porządknie poukładane papiery, dotyczące spraw do załatwienia oraz kilka książek z dziedziny geologii.

- Mów dalej.

- Towarzyszyłeś jej kilka razy do teatru czy na przyjęciach, ale traktowałem to raczej jak przyjacielską przysługę, nie doszukując się innych znaczeń. Chociaż muszę przyznać, przeszło mi przez myśl, że wy może... Miałem chyba nadzieję... - Manford spojrział Blake'owi w oczy. - Nie mógłbym marzyć o kimś lepszym, godniejszym dla mojej córki, ale...

- Nie, Manfordzie - powiedział cicho Blake. - Ja nie kocham Clarice.

Manford ponownie spuścił wzrok.

- Tak myślałem, ale musiałem zapytać.

- To słodka dziewczyna, niemniej...

- Nieprawda - przerwał Manford. - Kocham ją, to moja krew, ale Clarice jest rozpieszczona, zajęta sobą. Jej babka była dokładnie taka sama i nikomu nie życzył piekła, jakie ona potrafiła ludziom zgotować.

Obydwaj przyjaciele się zaśmiali. Blake miał okazję zetknąć się kilka razy z teściową Manforda i wiedział aż za dobrze, co ten ma na myśli.

- Przykro mi - rzekł Blake.

- Nie ma powodów. Muszę jednak powiedzieć, że martwię się o ciebie.

- O mnie? - W głosie Blake'a zabrzmiało zdziwienie. - To śmieszne.

- Śmieszne? A dlaczego ten piękny dom na Beacon Hill stoi pusty?

- Wcale nie. Przyjmuję przecież gości, wydaję przyjęcia. - Blake uśmiechnął się z przymusem i Manford odpowiedział uśmiechem.

- Wiesz, że mówię o czymś innym. Zaslugujesz na to, by być szczęśliwym. Zaslugujesz na to, by ktoś cię pokochał, prawdziwą, bezwarunkową miłością.

- Poezja romantyczna przez ciebie przemawia - sarknął Blake.

- Niech sobie przemawia. Najwyższy czas, żebyś się ożenił, założył rodzinę.

Blake przez chwilę milczał.

- Nie każdy musi się zenić - stwierdził wreszcie, starając się nie myśleć o Sapphire, o tym, jak puste wydawało się łóżko rano, kiedy obudził się w nim sam.

- Nie chcę patrzeć, jak żyjesz w samotności, nie znając smaku tego, co najpiękniejsze, najcenniejsze.

Blake skrzywił się i powiedział z kpiną w głosie:

- Pani Lawrence chyba ma rację, z tobą coś dzisiaj niedobrze. Doktor powinien cię obejrzeć. - Podniósł się i wyciągnął rękę.

Manford wstał także i przyjaciele uścisnęli sobie dłonie.

- Zatem widzimy się o pierwszej tutaj?

- Tak. Pan Falkin potwierdził, że stawi się na spotkanie punkt pierwsza.

- Doskonale. - Manford cofnął się ku drzwiom. - Do zobaczenia w takim razie. Teraz muszę załatwić sprawy związane z najbliższym frachtem do Londynu.

Kiedy Manford wyszedł, Blake sięgnął po jedną z książek poświęconych geologii, których kilka leżało na biurku. Chciał zapomnieć o rozmowie z Manfordem, przede wszystkim jednak chciał zapomnieć o Sapphire, bo słowa przyjaciela przywołały myśl o niej.

- Givens! - zawołał, - Gdzie ta obiecana kawa, do diaska?

* * *

- Mój drogi, zobacz co ci przyniosłam - rozległ się śpiewny głos Tarasai i dziewczyna weszła do sypialni.

Armand podniósł głowę znad książki o botanice, którą czytał bez wielkiego zainteresowania.

- Co takiego mi przyniosłaś? - Usiadł wygodniej w pościeli i zdjął okulary.

Tarasai przysiadła na brzegu łóżka, poprawiła poduszki.

- Zgadnij. - Uśmiechnęła się promiennie. Armand odpowiedział uśmiechem i ujął jej drobną dłoń. Może to i lepiej, że umiera, pomyślał. Za stary jest dla tej młodej, ślicznej, pełnej życia dziewczyny.

- Nie mam pojęcia.

- Coś, czego pragnąłeś, mój kochany. - Zbliżyła twarz do jego twarzy. - List.

- List, powiadasz?

Tarasai pokiwała radośnie głową.

- Od Sapphire?

Znowu skinęła i z fałd sukni wydobyła kopertę zaadresowaną tak dobrze znanym Armandowi śmiałym charakterem pisma.

- Co pisze?

- Niemądry staruszek - zbeształa go dobrotliwie. - Nie czytam twoich listów.

Armand wziął list, nałożył na powrót okulary na nos i drżącymi z niecierpliwości dłońmi otworzył list, po czym rozprostował starannie kartkę.

- Co pisze? - spytała teraz z kolei Tarasai. - Wszystko u niej dobrze?

List był krótki, ale Armand przeczytał go dwa razy.

- Sapphire jest w Ameryce! - zawołał. Od wielu dni, może nawet tygodni, nie czuł się tak dobrze, jak w tej chwili. - Z człowiekiem, którego, jak pisze, na pewno bym polubił.

- Wyszła za mąż. Widzisz, mówiłam ci, że Sapphire sobie poradzi.

Armand pokręcił głową.

- Nie, nie wspomina nic, żeby wyszła za mąż.

- Podniósł wzrok i zaczął składać kartkę w zamyśleniu. - Prawdę mówiąc, dziwny ten list. Zwykle jest bardzo wymowna, a tu zaledwie kilka zdań, pospiesznie skreślonych.

- Ale pisze, żebyś się nie martwił?

- Tak, niemniej... - Armand spojrzął na Tarasai.

- Przynieś mi papier i przybory do pisania. Muszę napisać do Luci. Sapphire ani słowem nie wspomina o niej ani o Angelique. Pewnie nadal przebywają w Londynie. Muszę się dowiedzieć, czy u Sapphire rzeczywiście wszystko w porządku i co to za człowiek, z którym popłynęła do Ameryki.

Tarasai położyła dłoń na dłoni Armanda.

- Zima się zbliża, mój kochany, zaczną się sztormy na Atlantyku, kto wie, kiedy twój list dotrze do Europy. Trzeba będzie może miesiącami czekać na odpowiedź.

Armand spojrzął jej w oczy. Rozumiał, co chciała powiedzieć. Zostało mu niewiele czasu... Uśmiechnął się i dotknął zaokrąglonego brzucha Tarasai.

- Przynieś przybory do pisania.

- Wyglądasz na zmęczonego. Powinieneś najpierw odpocząć.

Armand przymknął na chwilę oczy, jakby zbierał siły.

- Najpierw napiszę do Luci, list zaniesiesz do portu, a potem odpocznę.

Tarasai podniosła się powoli i wyszła, ocierając łzy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Sapphire zapukała do drzwi Blake'a. Czuli się idiotycznie; odgrywali farsę, którą wykreowali przez własny upór. Przez trzy wieczory z rzędu on ordynował kolację na balkonie sypialni, a ona ją serwowała. Nikt, nawet surowa gospodyni, nie zgłaszał żadnych zastrzeżeń ani względem poleceń pana, ani z powodu wyboru tej, a nie innej usługującej. Przez trzy wieczory z rzędu Sapphire przychodziła do pokoju Blake'a, siadała z nim do stołu, kochała się z nim, po czym zakładała na powrót strój sługi, odnosiła puste naczynia do kuchni i szła spać na poddasze.

Blake nie odpowiadał, Sapphire zastukała jeszcze raz, tym razem czubkiem trzewika, poprawiając tacę. Spod platerowych pokryw unosiły się smakowite zapachy, a ona czuła się coraz bardziej głodna.

Myra nic już nie mówiła na temat Blake'a, nie komentowała późnych powrotów nowej przyjaciółki, ale Sapphire, kładąc się spać dobrze po północy, czuła na sobie jej spojrzenie.

Drzwi w końcu się otworzyły i w progu stanął Blake: boso, w rozpiętej na piersi koszuli, z rozwianymi włosami. Przed jej przyjściem musiał siedzieć na balkonie i wiatr zmierzył mu włosy.

W ostatnich dniach każdą wolną chwilę poświęcał na lekturę. W sypialni i w gabinecie zgromadził całą bibliotekę książek poświęconych geologii oraz inżynierii. Minionego wieczoru cała służba przetrząsała dom w poszukiwaniu książki o pompach hydraulicznych, która została, jak sądził, przełożona w inne miejsce przy sprzątanii. W końcu po godzinie książka znalazła się w powozie.

- Musiałam dźwigać tę tacę aż tutaj, a potem stać pod drzwiami i czekać, aż otworzysz.

- Sapphire irytowała się, chociaż nie potrafiła powiedzieć dlaczego.

Może była zła na samą siebie, że pozwala, by ten dziwaczny układ się ciągnął. Blake miał to, czego chciał: towarzyszkę przy stole, kochankę w łóżku oraz pokojówkę. Po co miałby zmieniać cokolwiek?

- Przepraszam - powiedział, odbierając tacę od Sapphire. - Nie słyszałem pukania. Siedziałem na balkonie, a wieje dzisiaj dość silny wiatr.

- Czytałeś? - zapytała łagodniejszym tonem. Nie chciała być dla niego niemiła. Nie widziała go cały dzień i się stęskniła.

- Tak. Chciałem, żebyś czegoś posłuchała. Moglibyśmy pojechać do Pensylwanii obejrzeć to dziwo. Przeczytam ci przy kolacji, o co chodzi.

Wyniósł tacę na balkon. Sapphire zatrzymała się w drzwiach, zdjęła czepek, rozpuściła włosy i wciągnęła głęboko w płuca wieczorne powietrze.

- Jaka ulga. Wreszcie trochę się ochłodziło.

- Tak, przyszła pora na zmianę pogody. - Blake postawił tacę i zdjął pokrywy z półmisków. - Jeszcze kilka tygodni i zaczną się prawdziwe jesienne chłody. A zobaczysz, jaki śnieg spadnie zimą.

- Nigdy w życiu nie widziałam śniegu. Trudno raczej go uświadczyc na Martynice.

- Też tak przypuszczam, ale za to my nie mamy palm kokosowych. - Podniósł wzrok na Sapphire, bardziej odprężony i rozmowny niż zazwyczaj. - Kiedy za oknem śnieżyca, nie ma nic przyjemniejszego, niż zakopać się w ciepłym łóżku z dobrą książką, a jak jeszcze ma się obok kobietę...

Sapphire uśmiechnęła się, widząc, jak w oczach Blake'a zapalają się wesołe chochliki. Blake mówił o pożądanym i tylko o pożądanym, a to nie dość. Są ludzie, którym to wystarcza, na przykład Angelique, lecz dla niej namiętność to za mało.

- Zaczniemy jeść - powiedziała, siadając w fotelu, który dla niej odsunął. - Umieram z głodu. Możesz mi poczytać o tej twojej ropie, a ja zabieram się za ostrygi. Zobaczysz, jakie są pyszne. Pani Porter...

Ktoś głośno pukał do drzwi sypialni. Sapphire spojrzała w tamtą stronę, potem na Blake'a. Dotąd nie zdarzyło się, żeby przeszkodzono im w czasie wieczornego posiłku. Nawet jeśli cały dom wiedział, że Blake i Sapphire razem zasiadają do kolacji, wszyscy udawali, że niczego nie zauważają.

- Sih... panie Thixton. - Zza drzwi doszedł głos pani Dedrick, nienaturalnie wysoki, niemal piskliwy.

Sapphire zerwała się od stołu i nacisnęła czepek na głowę.

- Zaczekaj - próbował uspokoić ją Blake, ale ona podbiegła już do drzwi.

- Pani Dedrick - dygnęła. - Ja właśnie...

- Panie Thixton, ma pan gościa - zaanonsowała pani Dedrick. - Pani Shehaton...

- Proszę się odsunąć - poleciła dama, którą Sapphire widziała na przyjęciu, i wkroczyła do pokoju, szeleszcząc niebieskimi jedwabiami.

- Odpraw służbę, Blake, proszę! - zawołała niemal z płaczem i rzeczywiście musiała wcześniej płakać, bo oczy miała zaczerwienione i podpuchnięte, a w drobnej dłoni ścisnęła chusteczkę.

Sapphire spojrzała na Blake'a, stojącego w drzwiach prowadzących na balkon, i uświadomiła sobie, że oto osiągnęli decydujący punkt w ich związku, jeśli to, co ich łączyło, można było nazwać związkiem.

- Chodźże tu - syknęła pani Dedrick, przywołując ją gestem palca, jak przywołuje się maleńkie dziecko albo psa. - Chodź.

- Blake, nie uwierzysz... Rufus... Och... - jęknęła pani Sheraton, wyciągając dłoń na powitanie.

- Co się stało, Grace? - usłyszała jeszcze Sapphire, wychodząc z sypialni.

- Taca - bąknęła do pani Detrick.

- A niech zostanie - sarknęła pani Detrick. - Sypialnia pana to nie miejsce dla ciebie.

- Och, Blake - załkała Grace Sheraton, rzucając mu się na szyję.

Blake stał sztywno na środku pokoju; nie był pewien, co właśnie wydarzyło się między nim a Sapphire i jakie to będzie miało znaczenie. - Co się stało? - powtórzył machinalnie.

- Rufus zachorował?

- Zachorował? - Po ładnej, acz niemłodej już twarzy popłynęły obfite łzy. - Gdybym miała to szczęście...

- Może usiądziesz? - Nie było mu najwygodniej stać z uwieszoną na szyi panią Sheraton.

Ich romans trwał już pięć lat. Mąż zdradzał Grace, z kim się dało, damami i pokojówkami, zaniedbując ją i lekceważąc, a Blake'owi związek z sąsiadką zdawał się nader wygodny. Grace była dyskretna, nie wymagała od Blake'a ognistych deklaracji, w łóżku stanowili zgraną parę, ale od powrotu z Londynu unikał z nią spotkań. Miał nadzieję, że romans umrze śmiercią naturalną, bez melodramatycznych rozstań, i że uniknie szczęśliwie scen podobnych do tej, która właśnie miała się rozegrać.

Z kobiecymi łzami nie najlepiej sobie radził, a już łzy cudzych żon całkiem zbijały go z pantafyku. Nie był pewien, czy ma do czynienia z prawdziwą rozpaczą, czy też pada ofiarą manipulacji.

- Nie chcę siadać! - zawołała Grace, przywierając mocniej do niego. - Chcę, żebyś mnie objął. Obejmij mnie, Blake.

Z pewnym ociąganiem otoczył Grace ramieniem, poczuł mocny zapach jej perfum i przemknęło mu przez głowę, jak zupełnie inaczej pachnie Sapphire. Nawet w Londynie rzadko używała perfum, ale jej włosy i skóra miały swój niepowtarzalny zapach.

- Cóż takiego zrobił Rufus?

- Chce unieważnienia małżeństwa - powiedziała zdławionym głosem Grace.

- Unieważnienia? - Blake się zaśmiał. - Po dwudziestu latach małżeństwa? - Grace dobiegała czterdziestki i była prawie dziesięć lat starsza od Blake'a. - Macie trójkę dzieci...

- A on chce unieważnienia albo rozwodu. Wszystko jedno. Chce się mnie pozbyć. Nie jestem mu potrzebna. - Grace rozplakała się na dobre, rosząc obficie łzami Blake'owa koszulę. - Mówi, że kocha inną i że musi mnie zostawić, by móc ożenić się z tamtą.

- Może to tylko puste gadanie - próbował ją pocieszać. - Wiesz, jaki potrafi być Rufus, szczególnie jeśli sobie trochę wypije.

- Mówił, to na trzeźwo - łkała. - To... to jakiś dzieciak. Dziewka z pubu, w którym Rufus jada lunch. Mogłam się domyślić, że coś jest nie w porządku, kiedy przestał wracać do domu w przerwie obiadowej.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Nie chcę, żebyś mówił cokolwiek. Zdradzała męża, to prawda, ale go kochała. Była najwyraźniej zdruzgotana.

- Po prostu przytul mnie - szepnęła. - Niech chociaż przez moment poczuję się lepiej.

Pocałowała go w usta i Blake znowu pomyślał o Sapphire, o ich rozmowie sprzed kilku dni, o słowie, którego nie potrafił wypowiedzieć i które wzbudzało w nim niemal

zabobonny lęk. Zapytał, czy Sapphire chce, by powiedział, że ją kocha. Nie odpowiedziała, a on nie wiedział, co to oznacza. Czy Sapphire uważa, że go kocha, czy też grała, chcąc osiągnąć to, co sobie zamierzyła?

Był zdezorientowany. Nie potrafił zdecydować, co do niej czuje. Gdyby przyznał, że ją kocha, dokąd by go to zaprowadziło? Jak długo by z nim była, zanim przejrzałaby na oczy i odeszła do innego?

Pocałunki Grace sprawiły, że przestał się zastanawiać nad własną sytuacją. Grace była piękna, tyle razy już się z nią kochał, dlaczego nie mieliby i dzisiaj pójść do łóżka?

Zamknął oczy i teraz on zaczął całować Grace.

Na dole, w kuchni, Sapphire umyła naczynia po kolacji, a potem zabrała się za stół: szorowała zawzięcie drewniany blat, łykając łzy. W pewnym momencie obok Sapphire stanęła Myra, milczała długą chwilę, wreszcie odezwała się szeptem:

- Ponoć pani Sheraton wparadowała do sypialni pana jak po swoje.

- A ty skąd wiesz? - zdziwiła się Sapphire.

W przeciwieństwie do reszty służby pani Dedrick nie zajmowała się plotkami, zbyt poważnie traktowała własne stanowisko i pozycję w domu.

- Felicity widziała, jak sadziła po schodach. - Tu zerknęła spod oka na przyjaciółkę. - A ty byłaś w sam raz z panem.

- Myro, ja znam Blake'a jeszcze z Londynu.

- Tyle akurat się domyślam - zauważyła Myra z przekąsem. - I tam już się w nim zadurzyłaś?

Sapphire kiwnęła głową; bała się, że jak powie słowo, rozbeczy się niczym dziecko.

- Biedactwo. - Myra objęła ją serdecznie. - A on teraz barłoczy się z panią Sheraton.

Sapphire rzuciła drucianą szczotkę. Myra wypowiedziała na głos jej najgorsze obawy. Chociaż Myry przy tym nie było i nie widziała wyrazu twarzy pani Sheraton, kiedy gospodyni zamykała drzwi sypialni, doskonale wiedziała, co sprowadza do Thixton House jej byłą chlebodawczynię.

- Tak myślisz?

- Nie mam co myśleć. Wiadoma rzecz. Od lat przychodzi do niego. Wszyscy w domu wiedzą.

- Ja nie wiedziałam. - Pierzchły nadzieje. Blake jej nie kocha. Gdyby kochał, nie pozwoliłby, żeby pani Sheraton została w sypialni. Nie dopuściłby do tego, by pani Dedrick zabrała Sapphire na dół.

- Jak jeszcze u niej służyłam, wszyscy żeśmy wiedzieli. Nawet żeśmy mówili: i dobrze, i po sprawiedliwości. Wiesz, pięknym za nadobne... Niech sobie pan nie myśli, że jemu tylko wolno.

Sapphire wzięła się w garść. W głowie już zrodził się plan.

- Potrzebuję twojej pomocy.

- Ma się rozumieć. - Myra położyła jej dłoń na ramieniu. - Chcesz się przyjąć gdzie indziej, rozpytam, gdzie mogę. A i pani Dedrick chętnie ci pomoże. Ona tylko dużo burczy, ale ma dla nas dobre serce.

Sapphire pokręciła głową.

- Nie, nie zrozumiałaś mnie. Nie jestem służącą.

- Spojrzała Myrze prosto w oczy. - Jestem damą - szepnęła - i chcę wrócić do rodziny, do Londynu.

Myra nie zadawała żadnych pytań. W głębi duszy wiedziała, że Sapphire mówi prawdę.

- Nie mam wiele. Prawie wszystko, co zarobię, oddaję mamie na dzieciaki, ale dam ci, ile mam.

- Nie wzięłabym od ciebie pieniędzy, Myro. Potrzebne mi tylko ubranie i kilka drobiazgów.

- Jak chcesz wsiąść na statek bez grosza? Nie rozumiem. Może pan Thixton...

- Nie! - zachnęła się Sapphire. - O nic nie będę go prosiła. Niczego od niego nie wezmę.

- W takim razie inni ci pomogą. Kiedy chcesz wracać do domu?

Sapphire zacisnęła mocno usta, żeby nie wybuchnąć płaczem.

- Im szybciej, tym lepiej - odparła, siląc się na spokój. - Dzisiaj wieczorem. Nie zamierzam przebywać w jego domu ani minuty dłużej.

Około jedenastej Myra zęgnęła się z Sapphire na podwórzu koło kuchni.

- Dobrze wyglądasz - powiedziała ze łzami w oczach.

Sapphire spojrzała na bluzę i na spodnie z grubego płótna. Myra chciała znaleźć jej suknię, ale ona w ostatniej chwili doszła do wniosku, że znacznie bezpieczniej będzie podróżować w przebraniu chłopca niż w stroju kobiety.

- Tak myślisz? - upewniła się jeszcze. - Ujdę za chłopaka?

- Ujdiesz. Całkiem urodziwy z siebie kawaler. - Myra uszczypnęła ją w policzek. Sapphire roześmiała się, ale czuła, że łzy znowu napływają do oczu.

- Nie wiem, jak ci dziękować za wszystko, co dla mnie zrobiłaś.

- Nie bądź niemądra.

- Mówię poważnie. - Uścisnęła serdecznie dłoń Myry. - Przez te ostatnie tygodnie byłaś dla mnie prawdziwą przyjaciółką.

- Ty zrobiłabyś dla mnie to samo.

- To prawda. Na mnie już pora, a ty wracaj do domu i kładź się do łóżka, bo zaczną coś podejrzewać.

- Dokąd ty teraz pójdziesz? Za te pieniądze, co masz, nie kupisz nawet bochna chleba.

- Lepiej, żebyś nie wiedziała. Jakby ktoś zaczął cię wypytywać, nie będziesz musiała kłamać.

- Pewnie masz rację. Lepiej, żebym nie wiedziała, jak rozpęta się burza w domu.

Czasami boję się pana Thixtona. Potrafi tak się pieklić, kiedy go złość najdzie, że strach.

Sapphire się uśmiechnęła.

- Tym razem może nie będzie się pieklił. Może nawet nie zapyta o mnie.

- Zapyta, zapyta. Jest jak każdy mężczyzna, wszystko i wszystkich lubi mieć pod kontrolą.

Sapphire po raz ostatni uściskała Myrę, poprawiła jej czepek i ruszyła do bocznej bramy.

- Bywaj, Myro.

- Bywaj, Molly. Obyś wróciła bezpiecznie do domu. - Myrze zakręciły się łzy w oczach. - Obyś znalazła szczęście.

Shczęście? Sapphire zaczynała myśleć, że szczęście jest dla niej nieosiągalne.

- Poszła sobie? Co znaczy poszła sobie?! - huknął Blake, odkładając gazetę. - Poszła na rynek, do piekarni?

- Nie, phoszę pana. - Pani Dedrick wbiła spojrzenie w dywan.

Blake zdecydował się zjeść śniadanie w małej jadalni na dole, zamiast w sypialni, zmniejszając w ten chytry sposób ryzyko awantury ze strony Sapphire.

- Gdzie poszła, pani Dedrick?

- Nie wiem. Poszła sobie phec. Odeszła ze służby.

- Odeszła? - Blake uderzył pięścią w stół. - Nie mogła odejść. Dokąd? To niewiarygodne. Proszę przepytać służbę. Niech pani weźmie na spytki tę ciemnowłosą dziewczynę. Zdaje się, że były zaprzyjaźnione.

- Wszystkich już przepytałam. Dziewczęta w domu, lokai, nawet chłopców w stajni. Nikt nic nie wie. Nikt jej nie widział od wczohajszego wieczohu, panie Thixton.

Blake chwycił surdut z oparcia krzesła.

- Niech powóz zajeżdża.

Pani Dedrick usunęła się z przejścia.

- Tak jest, phoszę pana.

- Nie mogła zniknąć. Bez pieniędzy, nie znając miasta... - mruzczał pod nosem. - Nie mogła.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Sapphire nie chciała zostać w Bostonie i ryzykować, że Blake ją odnajdzie. Zeszła w dół stromymi uliczkami Beacon Hill i skierowała się na południe. Nie wiedziała, ile czasu zajmie jej znalezienie pracy, jak długo będzie musiała odkładać, zanim uzbiera pieniądze na bilet do Londynu. Wychowana na Martynice, bała się nadchodzących chłódów i na pewno raźniej by się czuła w cieplejszym klimacie. Zwłaszcza że nie miała dachu nad głową.

Przebrana za chłopca, z płóciennym workiem przewieszonym przez ramię, szła przed siebie, starając się nie myśleć o Blake'u i swoim złamanym sercu. Dodawała sobie otuchy wspomnieniami z Martyniki, w których była miłość i radość.

W nocy trzymała się głównych dróg, mając ocean po lewej, ale o brzasku uznała, że bezpieczniej będzie zejść z widoku, w razie gdyby Blake wszczął poszukiwania, rozsyłając ludzi. Wszystkiego można było się po nim spodziewać. Mógł ją oskarżyć o kradzież, o jakikolwiek inny występki, byle tylko dostać ją znowu w swoje ręce.

Kilka mil za miastem napotkała opuszczony młyn nad strumieniem. Zjadła parę znalezionych po drodze jabłek, zwinęła się w kłębek na posłaniu ze starych worków, okryła kocem, który dała jej Myra, i zapadła w ciężki sen bez snów.

Musiała być bardziej zmęczona, niż przypuszczała, bo obudziła się dopiero o zmierzchu: przespała cały dzień. Zjadła kolejne jabłko, kromkę chleba upieczonego przez panią Porter i spakowała swój nędzny dobytek. Wkładała właśnie wełniany kaftan, który dostała od jednego z chłopców ze stajni, kiedy doszły ją jakieś odgłosy z zewnątrz.

Zamarła. Nie należała do łekliwych. Dorastała, słuchając przeróżnych opowieści o duchach i strachach, dziwnych historii, które lubili snuć wyspiarze, i nie bała się mocy nieziemskich, ale ludzi. Kobieta bez opieki, sama jedna na drodze, to nie mieściło się w głowie. Mogła zdać się tylko na własny instynkt samozachowawczy i łut szczęścia.

Znowu doszły ją odgłosy: chrzęst kamieni i cichy dźwięk, jakby ktoś ocierał się o uchylone drzwi. Wstrzymała oddech. Ktoś tu jest, ale kto? Może podobny jej wędrowiec, szukający bezpiecznego schronienia na noc?

Zaległa cisza i Sapphire powoli wypuściła powietrze z płuc. Potem znowu jakiś chrobot, trzask, coś jak płacz czy ciche skomlenie, po czym w szparze pojawił się wilgotny, czarny nos i Sapphire parsknęła śmiechem. Pies wsadził łeb do środka i przyglądał się jej z zainteresowaniem. Przykucnęła, wyciągając dłoń.

- Chodź tutaj, piesku.

Mały psiak w biało-rude łaty wbiegł do młyna, merdając zawzięcie ogonem. Zatrzymał się jednak, zamiast podbiec prosto do Sapphire, i spojrzał na nią nieufnie. Był wychudzony i najwidoczniej bezdomny, zupełnie jak ona.

Sapphire wyjęła z worka kawałek chleba, który zachowała na następny dzień. Pies podbiegł do niej już bez wahania, wywijając w zachwycie ogonem, połknął chleb i przyglądał się jej wyczekująco.

- Wybacz - powiedziała, głaszcząc go po łbie. - Nie mam więcej. A teraz idź sobie swoją drogą. - Machnęła ręką, chcąc się pozbyć towarzystwa, ale pies zamachał znowu ogonem i zaczął wokół niej skakać.

Wyszła z młyna w przedwieczorny chłód, pies za nią. Dopiero teraz zobaczyła, że jej nowy kolega kuleje.

- Co ci się stało? - Przykucnęła, nie wiedząc, czy zwierzak pozwoli obejrzeć sobie łapę, czy też ją ugryzie, lecz nie przejawiał złych zamiarów, więc się odważyła. - Biedaku, kolec ci się wbił. Nic dziwnego, że kulejesz. - Ostrożnie wyciągnęła długi kolec tkwiący w łapie. - Teraz będzie lepiej.

Pies polizał łapę, a potem dłoń Sapphire.

- Dobry piesek - powiedziała, ruszając w drogę. Pies jej nie odstępował.

- Nie możesz iść ze mną - wyjaśniła. Uszła spory kawałek, a kiedy się obejrzała, zobaczyła, że zwierzak cały czas za nią podąża. - Wykluczone. Mowy nie ma. Wracaj do domu, jeśli masz dom. Idź gdziekolwiek, ale mnie zostaw.

Szła jeszcze przez chwilę, spoglądając za siebie, uśmiechnięta. Psiak był tak brzydki, że w tej swojej brzydocie właściwie śliczny.

- Piesku, naprawdę nie potrzebuję twojego towarzystwa. Nie wiem nawet, dokąd zmierzam, gdzie dojdę. Nie mam dość jedzenia, żeby starczyło dla nas dwojga, pieniędzy też nie mam.

Pies pisał cicho w odpowiedzi i szedł za nią dalej.

Sapphire od czasu do czasu oglądała się za siebie. Jej towarzysz dreptał cały czas za nią, szedł teraz znacznie pewniej, prawie nie kulał.

- Jesteś lojalny, tak? - zagadnęła, uszedłszy jakąś milę. - Znacznie lojalniejszy niż bywają ludzie.

Cichy pisk i machnięcie ogonem.

- Całkowicie oddany, jak nie przymierzając pan Stowe cioci Luci. - Zatrzymała się i przykucnęła ponownie. Pies podbiegł natychmiast, zaczął lizać jej dłonie i próbował koniecznie polizać po twarzy, kiedy bardziej się ku niemu nachyliła.

- Dobrze, już dobrze. Chcesz powiedzieć, że mnie kochasz, tak? - Zachmurzyła się. - Ktoś jednak mnie kocha. - Podrapała kundla za kosmatym uchem, które kiedyś musiało zostać rozerwane w walce, o czym świadczyła długa blizna. - Kochasz mnie taką, jaka jestem, tak, Stowe?

Pies zamerdał entuzjastycznie ogonem, wyraźnie zadowolony z nowego imienia.

- W porządku - powiedziała, wstając. - Idziemy na południe, nie wiem dokąd i jak długo będę mogła cię karmić, a podejrzewam, że nie jadasz jabłek.

Pies wpatrywał się w nią wielkimi ślepiami, całkiem podobnymi do oczu pana rejenta.

- Mam rozumieć, że się przyłączasz? - zagadnęła, a pies, mogłaby przysiąc, uśmiechnął się.

- W porządku, chodź. - Skinęła na niego ręką. - Idziemy. Myślałam o Nowym Jorku. Dużo czytałam o tym mieście, chciałabym je zobaczyć.

Pies szedł teraz obok niej: wywiesił język i przebierał pracowicie krótkimi łapami.

- Nie mam pojęcia, jak daleko stąd do Nowego Jorku, a ty? Wiem tyle tylko, ile Blake mi powiedział. Mieliśmy tam pojechać razem, zwiedzić miasto. Blake, musisz wiedzieć, to był...

Głos jej się załamał. Przystanęła na chwilę i opuściła głowę, walcząc ze łzami. W końcu otworzyła oczy i zobaczyła, że Stowe przysiadł i wpatruje się w nią uważnie.

- Kocham go, ale on mnie nie.

Ruszyła znowu. Teraz, kiedy powiedziała to głośno, poczuła się rażniej.

- Może wspólnie zwiedzimy Nowy Jork, co ty na to, Stowe?

Pies zamachał ogonem.

- Świetnie. Możesz iść ze mną, ale powinieneś dotrzymywać mi kroku, rozumiesz? - uprzedziła swojego towarzysza. - Te twoje małe łapki muszą cię zaprowadzić do samego Nowego Jorku.

- To jakiś absurd! - irytował się Blake, chodząc w tę i z powrotem po salonie. - Jak dwudziestoletnia dziewczyna bez grosza przy duszy może zniknąć w mieście, w którym nikogo nie zna?

Pani Dedrick i pan Givens słuchali połajanek, stojąc sztywno, ze wzrokiem wbitym w kosztowny perski dywan.

- Nikt jej nie widział. W sklepach, w porcie...

- No właśnie. To niepojęte. - Blake zawrócił w swojej jednostajnej wędrówce. - Trudno nie zauważyć dziewczyny o kasztanowych włosach, z jednym okiem niebieskim, drugim zielonym. Jak to możliwe?

- Może wyjechała do innego miasta? - podsunęła ostrożnie pani Dedrick.

- Czy to domysły służby? Tak mówi... - strzelił nerwowo palcami - jakże jej na imię? Myra! Myra tak twierdzi?

- Ona nie wie, dokąd panienka poszła, sih.

- Chcę z nią porozmawiać.

- Panie Thixton... - zaczęła gospodyni.

- Proszę ją do mnie przysłać, pani Detric - polecił Blake. - A ty, Givens, odwołaj wszystkie moje spotkania. Pojadę do portu i sam się rozejrzę. Na was dwoje nie ma co liczyć. Weszłoby jedno z drugim na słońca i też by go nie zauważyło.

Gospodyni i sekretarz wycofali się pospiesznie, a Blake krążył niespokojnie, łamiąc sobie głowę nad tym, gdzie szukać Sapphire. Na to, by się zastanowić, dlaczego odeszła, nie miał już czasu. Nie było teraz sensu rozważać, co złego uczynił, co nie tak powiedział. Przede wszystkim musi ją odnaleźć i sprowadzić na powrót do Thixton House, ale już nie w charakterze służącej. Wy tłumaczy jej wszystko i Sapphire zrozumie.

Do salonu weszła drobna szatynka i dygnęła przed Blakiem.

Wiedział, że czasami potrafi być okropny, a nie chciał wystraszyć dziewczyny. Natomiast chciał usłyszeć, co ona wie, musiał więc powściągać złość, mieć się na baczności.

- Rozumiem, że przyjaźniłaś się z S... z Molly - poprawił się szybko, starając się mówić najłagodniejszym tonem, na jaki było go stać w tej sytuacji.

Myra skinęła głową.

- Mówiła ci może, dokąd się wybiera?

- Powiedziała, że lepiej będzie, bym nie wiedziała, dokąd idzie, bo jak pan zapyta, nie będę mogła nic wyjawić.

W głosie dziewczyny zabrzmiała wyraźna nuta wrogości. Co Sapphire jej naopowiadała? Jakimi kłamstwami nakarmiła? Wyjawiała prawdę? Niecałą prawdę?

Blake odwrócił się, przetarł oczy, jakby chciał usunąć sprzed nich obraz rudowłosej piękności.

- Zamierzała wsiąść na statek, płynący do Europy, i wrócić do Londynu? Dał jej ktoś z domowników jakieś pieniądze?

- Powiedziała, że nic nie weźmie z pańskiego domu, ani centa - oznajmiła Myra.

Służyła u niego od mniej więcej roku. Przyjął ją na prośbę Grace. Chodziło o amory między służącą a siedemnastoletnim synem Sheratonów, ale była bardzo spokojna, zrównoważona, bała się go chyba nawet trochę. Teraz nie robiła wrażenia zalęknionej, wręcz przeciwnie. Zastanawiał się, czy to sprawka Sapphire.

- Powiedziała, że nic nie weźmie z mojego domu, tak? - powtórzył.

Myra założyła ręce za siebie i uniosła hardo głowę.

- Złamanego centa.

Zaśmiał się, czym mocno zaskoczył Myrę, a potem pokręcił głową i znowu zaczął chodzić w tę i z powrotem. Tak właśnie mogła powiedzieć Sapphire, to do niej podobne, Myra nie kłamała. Trudno będzie mu odszukać Sapphire. Może obydwójce potrzebowali czasu. Być może wtedy, kiedy już ją odnajdzie, zwróci się do Sapphire właściwymi słowami.

Sapphire i Stowe wędrowali niezmordowanie; ona cały czas mówiła do psa, który zdawał się słuchać niekończącego się monologu nowej pani. Szli w mroku nocy, mając za przewodnika srebrny blask księżyca. Opowiadała mu o matce chrzestnej i jej karierze luksusowej kokoty w Nowym Orleanie, o Angelique i jej rodzinnej wiosce, o rodzicach i o tym, w jaką awanturę za ich sprawą się oto wdała.

Stowe był wdzięcznym słuchaczem, świetnym towarzyszem. Kiedy zmęczył się i zaczął zwalniać, wsadziła go do worka, który niosła na plecach, zostawiając tylko psi łeb na wierzchu.

- Będę cię niosła do samego Nowego Jorku - wyjaśniła kundlowi. - Masz za krótkie łapy, za szybko się męczą. Odpocznij sobie.

Pies zamknął oczy, zapadł w drzemkę i Sapphire przez następną godzinę wędrowała w milczeniu, ale nie czuła się ani samotna, ani zagubiona. Po północy niebo zaciągnęło się chmurami i Sapphire zaczęła rozglądać się, gdzie by tu się schować przed deszczem, a że nie natrafiła na nic lepszego, schroniła się pod mostem. Kiedy pierwsze krople zaczęły bębnić o deski, ona i Stowe leżeli już pod przęsłem, bezpiecznie zawinięci w wełniany koc. Następnego ranka uznała, że na tyle oddalili się od Bostonu, że może odważyć się na wędrowkę za dnia. Spotkała na drodze kobietę, która szła na targ sprzedać herbatniki i ser. Staruszka za kilka groszy odstąpiła jej parę biskwitów i małą gomółkę sera. Poczęstowała nawet Stowe'a jednym, który się pokruszył i był już nie do sprzedania, a potem wskazała na swój dom, stojący na wzgórzu w oddali, i powiedziała, że „kawaler”, jak zwracała się do Sapphire, może sobie nabrać wody ze studni. Od niej też Sapphire dowiedziała się, że jest w Connecticut, i zapytała, czy w dobrym kierunku idzie, jeśli chce dotrzeć do Nowego Jorku, gdzie, jak wyjaśniła, zniżając głos, ma ciotkę, którą chce odwiedzić. Staruszka potwierdziła, że owszem, że kierując się cały czas na południe, dojdzie do Nowego Jorku.

- Kawaler trzyma się głównego traktu.

Po śniadaniu złożonym z biskwitów, sera i wody ze studni Sapphire i Stowe ruszyli w dalszą drogę. Sapphire znalazła kij, który służył jej za kostur, buty przewiesiła przez ramię i szła teraz bosą, tak było wygodniej, kiedy już podeszwy stóp przywykły. Powinna jednak kupić nowe buty, jeśli chciała zejść do Nowego Jorku.

Szła i opowiadała Stowe'owi o tym, co widziała, co chciałaby zobaczyć, i obiecała, że zabierze go do Londynu. Towarzystwo łaciatego przyjaciela było naprawdę wielką pociechą; we dwójkę wędruje się znacznie różnie, myślała Sapphire, wystawiając twarz do słońca.

Dobrze zrobiła, że wyniosła się z domu Blake'a; ani przez chwilę nie żałowała swojej decyzji. Oto zmierzała na spotkanie przyszłości, na spotkanie kolejnej wielkiej przygody. Nie miała czasu na łzy. Jak tylko zbierze pieniądze, wróci do Londynu, do ciotki Luci i Angelique, znajdzie dowód, że rodzice byli małżeństwem, wniesie sprawę do sądu i wreszcie będzie wobec prawa i ludzi córką hrabiego Wesseksa. Wtedy i dopiero wtedy odezwie się do Blake'a. Wyśle list, podpisze się „Sapphire Wessex” i uwolni się wreszcie od tego człowieka.

- Jak myślisz, dobry plan? - zapytała Stowe'a, a pies w odpowiedzi pomachał ogonem.

Słyszając turkot nadjeżdżającego wozu, zeszała na pobocze, ale woźnica zamiast ją minąć, zwolnił i przyjrzał się uważnie Sapphire spod szerokiego randa słomkowego kapelusza.

- Witaj, synku - mruknął niezbyt zachęcająco, ściągając lejce. Dłonie miał pomarszczone, zniszczone ciężką pracą.

- Dzień dobry panu - odparła grzecznie Sapphire, pamiętając cały czas, by mówić odpowiednio niskim głosem.

- Jadę do Nowego Jorku, wiozę drabiny na sprzedaż - powiedział stary, wskazując kciukiem na ładunek. - Dostanę za nie dobrą cenę. Buduje się tam tyle, aż strach. Ci z Nowego Jorku szukają dobrych, mocnych drabin.

Sapphire spojrzała na wóz przykryty plandeką, w nozdrza uderzył ją zapach drewna.

- I ja do Nowego Jorku - powiedziała, próbując naśladować akcent chłopców ze stajni Blake'a. Niektórzy nie wymawiali „r” jak pani Dedrick, innych łatwiej było zrozumieć. Szła dalej, a stary jechał obok niej, mrużąc cały czas oczy, jakby był krótkowzroczny.

- Stolarz? - zagadnęła.

- Niejednego w życiu się miałem. Byłem rybakim, kucharzem, kiedyś nawet lód rozwoziłem po domach. - Pokiwał głową. - Wszystkiego próbowałem, ale nigdy długo w jednym fachu nie zdzierżyłem. - Uśmiechnął się szeroko.

Włosy, które wysuwały się spod kapelusza, i krótka bródka były mocno przyprószone siwizną, ale z twarzy Sapphire nie potrafiła odgadnąć, ile ten człowiek ma lat. Mógł mieć równie dobrze czterdzieści pięć jak sześćdziesiąt.

- Czyżby? - Sapphire poczuła się odrobinę pewniej. Albo stary miał rzeczywiście bardzo marny wzrok, albo jej przebranie się sprawdziło; w każdym razie widział w niej chłopca.

- Czego chcesz szukać w Nowym Jorku, młodzieńcze? - zagadnął stary.

- Idę odwiedzić siostrę mojej matki - odparła, żeby trzymać się raz już użytej opowieści.

Stary pokiwał głową.

- Kawał drogi.

Sapphire wzruszyła ramionami.

- Ale pogoda ładna, słońko świeci. Stary zarechotał.

- Tylko patrzeć, jak się jesienne wiatry obudzą. Sapphire nie odpowiedziała. Przez chwilę słychać było tylko skrzypienie kół wozu.

- Powieź cię? - zapytał stary, kiedy mijali leszczynę, sypiącą orzechami przy najlżejszym powiewie wiatru.

Sapphire zebrała ich trochę i wrzuciła do kieszeni, zastanawiając się, co powinna odpowiedzieć. Nie знаła tego człowieka, nie wiedziała, czy to bezpiecznie siadać na jego wóz. Najwyraźniej stary był pewien, że ma do czynienia z chłopcem, poza tym w każdej chwili mogła zeskoczyć z wozu, gdyby musiała salwować się ucieczką, a droga do Nowego Jorku zapowiadała się długa i męcząca także dla Stowe'a z jego krótkimi łapkami.

- Będę bardzo wdzięczny - odparła.

Stary cmoknął na dwie jabłkowite klaczki i ściągnął lejce.

- Pies panu nie będzie przeszkadzał? - zapytała, biorąc Stowe'a na rękę.

- Nie. Lubię psy. Wziąłem dwa, kiedy żona ode mnie odeszła. To się nazywa dobra zamiana. - Zaśmiał się w własnego dowcipu. - Psy nie podnoszą larum, kiedy człowiek zapali sobie fajkę we własnej kuchni.

Sapphire posadziła Stowe'a na ławeczce i sama wskoczyła.

- Mam go umieścić z tyłu? - zapytała.

Stary spojrzął na psa, pies spojrzął na starego.

- To Stowe - wyjaśniła.

- Miło mi poznać, Stowe. - Stary ujął psią łapę i potrząsnął nią kordialnie. - Petrosky jestem.

- Miło mi pana poznać. - Wóz zakołysał się na wykrocie i Sapphire mocno chwyciła się ławki. - Jestem...

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że musi podać męskie imię.

- Sam - rzuciła pierwsze, które przyszło jej na myśl.

- Miło cię poznać, Sam. - Stary wyciągnął dłoń i Sapphire ją uścisnęła.

- Mnie pana również, panie Petrosky.

Stary zmarszczył czoło przysłonięte słomkowym kapeluszem.

- Jaki tam pan. Po prostu Petrosky. Sapphire skinęła głową.

- Petrosky. - Otworzyła swój worek. - Ma pan ochotę na biskwita? - Wyjęła zawiniątko. - Mam też trochę sera, jabłka i orzechy.

- Czemu nie. A ja znam jedno takie miejsce w sam raz na nocleg. Zatrzymamy się tam dzisiaj. Ryby biorą, że hej. - Zerknął na Sapphire. - Umiesz upiec rybę na ognisku, chłopcze?

- Nauczę się.

Sapphire spędziła z Petroskym półtora dnia. Tak jak obiecał, pierwszego wieczoru zatrzymali się przy niewielkiej zatoczce. Stary, który, jak się okazało, dobiegał siedemdziesiątki, złapał dwie duże ryby, które Sapphire upiekła na kolację według jego wskazówek. Następnego dnia okolica się zmieniła, zaczęły się wzgórza, skałki i Sapphire gratulowała sobie, że skorzystała z propozycji Petrosky'ego.

Dobrze się z nim podróżowało. Nie zadawał zbyt wielu pytań, raczej sam opowiadał: o tym co robił w życiu, o ludziach, których spotkał, o swoich marzeniach. Najmilsze w Petroskym było to, że polubił od razu Stowe'a, a pies w zamian obdarzył go sympatią.

- Aż żal będzie się żegnać, jak już dojedziemy - powiedział do Sapphire. Słońce właśnie zachodziło, zrobiło się chłodniej. Jechali wzdłuż brzegu pięknej rzeki, która nazywała się Hudson. - Chyba że was wezmę do spółki i Stowe będzie sprzedawał drabiny.

Sapphire się zaśmiała. - Dziękuję, ale nie. Chcemy zostać trochę w Nowym Jorku.

- U ciotki pomieszkać - odpowiedział Petrosky.

- Tak - przytaknęła Sapphire.

Stary milczał przez chwilę, po czym zerknął na nią spod oka.

- Nie ma żadnej ciotki, prawda? Nie odpowiedziała.

- Z domu uciekłeś, powiedz? Objęła Stowe'a i nadal milczała.

- Kiepskie mam oczy, ale tyle jeszcze widzę, że mama musiała gonić cię do roboty. Do babskich zajęć, co? Szorowanie, sprzątanie... - Zaśmiał się głośno. - Ze mną było to samo, tyle że ja byłem młodszy, jak pierwszy raz uciekłem z domu. Tak już jest, że chłopaka zawsze ciągnie w świat.

- Nie mam ciotki - przyznała cicho.

- Znaczący nie masz gdzie się zatrzymać w Nowym Jorku?

Przytuliła mocniej Stowe'a, mówiąc sobie w duchu, że nie powinna się bać.

- Nie.

- Wiesz co... - podjął Petrosky po chwili. - Dzisiaj planowałem zanoć u kuzyna pod Nowym Jorkiem. Jest stajennym u Carringtonów. Słyszałeś o Carringtonach?

Sapphire pokręciła głową. Przecież w Ameryce nie znała nikogo poza Blakiem.

- Bogaci ludzie. Stara rodzina, stary pieniądz. Od stu lat przynajmniej zasiedziała. Kochają konie i wyścigi konne. Mają ogromne stajnie. Praca dla młodego, zdrowego chłopca zawsze się u nich znajdzie. Bez obrazy, chudy jesteś trochę, ale wyglądasz mi na takiego, co nawóz z boksów potrafi wygarnąć. Nie boisz się ciężkiej pracy?

Na wspomnienie stajen Sapphire od razu się zapaliła. Tęskniła za końmi, a w czasie pobytu w Bostonie pani Detric tak ją goniła do domowych zajęć, że ani razu nie miała okazji zajrzeć do stajen Blake'a.

Petrosky spoglądał na nią z ukosa, czekając na odpowiedź.

- To jak będzie? Mam zapytać Reda, czy potrzebuje jeszcze jednej pary rąk na tę zimę?

Miałyby pracę, mogłyby odłożyć pieniądze na powrót do Londynu. Jedyne niedogodność to ta, że musiałyby nadal pozostać Samem; nikt nie najmie dziewczyny do pracy w stajni, a już na pewno nie hodowca, który trzyma konie wyścigowe.

Petrosky'ego udało się jej zwieść, ale sam przyznał, że oczy ma kiepskie. Czy z równym powodzeniem wprowadziłaby w błąd Reda i resztę ludzi pracujących u Carringtonów?

Odruchowo dotknęła czapki. Na pewno nie z długimi włosami. Nie będzie w stanie ukrywać ich w nieskończoność pod czapką, wygarniając gnój z boksów.

Podjęła decyzję.

Musi ściąć włosy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

- Mój drogi. - Tarasai delikatnie potrząsnęła za ramię Armanda, który drzemał w fotelu na tarasie.

Ocknął się gwałtownie, zrzucając na podłogę leżącą na kolanach książkę.

- Tak, tak... Co się stało?

- List. - Podała mu kopertę. - George mówi, że z Londynu.

- Zapewne od Luci. Moje okulary... - Zaczął się rozglądać, ciągle jeszcze nie do końca rozbudzony.

- Gdzie one się podziały, Tarasai? Miałem je przecież gdzieś tu przed chwilą.

Tarasai zaczęła szukać szkieł najpierw na stoliku, potem koło fotela.

- Dopiero je zdjęłem, były tutaj - zaczął gderać. - A ty nie kręć się tak nerwowo, proszę cię. Spokojnie.

- Armand zaniósł się kaszlem.

Tarasai przestała szukać okularów, wyprostowała się i spojrzała na niego z troską, czekając, aż atak minie - Nie kręć się. Szukam twoich okularów. Chcesz je? - zapytała, kiedy otarł zakrwawione usta chusteczką.

Armand westchnął i odwrócił wzrok.

- Masz rację. Przepraszam cię, Tarasai. Zirykowałem się. Nie mogę przeczytać listu bez okularów. Nie mogę pomóc mojej Sapphire i...

- Są tutaj, mój drogi. - Podniosła okulary z posadzki. - A teraz już uspokój się i czytaj.

Armand założył okulary, rozerwał kopertę i szybko przebiegł oczami list.

- To od Luci. Píše, żebym nie martwił się o Sapphire.

- Dawno powinienesz być to zrozumieć.

- Nie miała od niej żadnych wieści, ale listy mogły się minąć po drodze. - Spojrzał znad okularów na Tarasai. - Nie pisze natomiast ani słowa, dlaczego ten człowiek nie ożenił się z moją córką. - Opuścił list na kolana. - To okropne tkwić tutaj, kiedy one są tak daleko. Nic nie mogę zrobić. Chyba że napisać do Sapphire do Bostonu. Nie! Napiszę do hrabiego Wesseksa, że powinien niezwłocznie ożenić się z Sapphire.

Tarasai podniosła leżącą na podłodze książkę, zamknęła ją i położyła na stoliku.

- Może ona wcale nie chce wychodzić za niego za męż.
- To śmieszne. Po co w takim razie jechałaby z nim do Ameryki?
Tarasai wzruszyła ramionami.
- Jedni mężczyźni nadają się na mężów, inni na kochanków.
- Przynieś moje przybory do pisania.
- Nie przyniosę. Najpierw wrócisz ze mną do domu, zażyjesz lekarstwa i przeczytasz mi, co pisze Lucia. - Wyjęła mu list z dłoni i zdjęła pled, którym miał okryte kolana. - Chodźmy.
- A ty co tak mną komenderujesz?
- Zajmuję się tobą i wiem, co dla ciebie dobre. Wstawaj z fotela. - Wyciągnęła dłoń i Armand podniósł się z ociąganiem.

Tego wieczoru Petrosky zawiózł Sapphire do majątku Carringtonów, gdzie jego kuzyn zarządzał stajniami. Red, jowialny rudzielec, natychmiast polubił Stowe'a. „Sam” też musiał wzbudzić jego sympatię, bo zatrudnił go bez namysłu i dał miejsce do spania w pomieszczeniach przy stajniach.

Kiedy Sapphire została sama, stanęła z nożyczkami w dłoni przed niewielkim lusterkiem, wiszącym na ścianie obok jej pryczy. Wzięła głęboki oddech i zaczęła obcinać włosy na pazia, bo podejrziała, że dwóch czy trzech chłopców ze stajni tak właśnie się nosi. Z krótką fryzurką, owiązanymi bandażem piersiami, w męskim ubraniu, mogła rzeczywiście uchodzić za chłopca.

Następnego ranka nadszedł moment pożegnania z Petroskym, któremu spieszo było dostarczyć drabiny do miasta.

- Nie wiem, jak ci dziękować - powiedziała, stojąc koło furmanki i walcząc ze łzami. Chłopcy stajenni nie mażą się przecież dlatego, że jakiś dobry człowiek wyciągnął do nich pomocną dłoń.

- Nie ma co dziękować. - Petrosky nacisnął kapelusz na głowę. - Mnie też ktoś pomógł przed ponad półwiekiem, kiedy po raz pierwszy uciekłem z domu.

- Mrugnął do Sapphire. - Opiekuj się tylko dobrze psem, w ten sposób podziękujesz. Sapphire ochoczo pokiwała głową.

- Tak jest, sir.

Petrosky podniósł jeszcze dłoń, żegnając Reda, i wóz potoczył się w kierunku miasta.

- Wiesz, co masz robić, Sam? - zagadnął Red, prowadząc Sapphire do stajni. Wręczył jej widły i zaczął tłumaczyć, na czym będą polegały jej obowiązki. Pierwszy raz widziała tak ogromne stajnie, a ta, do której weszli, była chyba główną, największą. Po każdej stronie pomieszczenia znajdowało się czternaście boksów. - Zacznij od tamtego końca - polecił, a Sapphire skwapliwie kiwnęła głową. - Większość koni jest teraz na łące, ale normalnie to będzie tak: wyprowadzasz konia, czyścisz boks, konik wraca do siebie. Po kolei. Proste, nie? Każdy koń ma własny boks i tego musisz się trzymać. Inaczej nie może być, bo pan Carrington tego akurat bardzo pilnuje, żeby koń znał swoje miejsce. Mówi, że wtedy konik biega lepiej, a ja nie będę się kłócił, zresztą każde stworzenie lubi wiedzieć, gdzie przynależy.

- Już się zabieram do pracy, proszę pana.

- Tu, u nas, nikt nad tobą stać nie będzie. Zachce ci się iść za potrzebą, kładziesz widły i idziesz. Rano śniadanie. - Wskazał na budynek, gdzie mieszkała większość służby, pracującej w stajniach. - W południe przerwa. Możesz sobie odpocząć, pożartować z

dziewczynami z obory, usiąść na kwadransik. Gonić cię nie będę, wszystko w swoim czasie, praca, odpoczynek, ale to wiedz, że leni nie lubię i boksy muszą lśnić, jasne?

Sapphire pokiwała głową.

- Jasne.

Red miał już odejść, ale coś jeszcze sobie przypomniał.

- Jednego ci jeszcze nie powiedziałem, mały. Koniki wyprowadzasz z boksów, tak? Otóż wszystkie, z wyjątkiem jednego. Księżę Karaibów się nazywa. Stoi zawsze tam, w ostatnim boksie - Red wskazał boks Księcia. - Do niego nawet nie podchodź. Szalony jak karaibskie wiatry, stąd wziął imię. Uważaj na bestię, dobrze?

Sapphire znowu pokiwała głową. Lubiła konie, ale miała przed nimi respekt.

- Jego boksu nie będę czyścił? - upewniła się.

- Dopiero jak trener przyjdzie. Tylko jeden Cosco może zbliżyć się do Księcia. Jak go wyprowadzi na padok, wtedy możesz wyczyścić boks. Jasne?

- Tak.

- I nie próbuj mi się popisywać. Nowi koniecznie chcą pokazać, jak to niby potrafią chodzić koło konia. Dwie złamane nogi, trzy ręce, jedna szczeka, nie wspominając o żebrach naszego najlepszego dżokeja i kolanie - to robota tego czarnego diabła.

Nadążasz?

- Ten ogier jest taki narowisty?

- Tak, mój chłopcze, diabeł wcielony. - Red wzruszył potężnymi barami. - Ale ja tam rozumiem, czemu pan Carrington go kupił. Księżę pochodzi z najlepszej stajni, co ma ją taki jeden, na Południu. Mówią, że lepszych koni niż u niego nie znajdziesz.

Sapphire się otrząsnęła.

- Okropność.

- Zjrzę później do ciebie. I pamiętaj, co powiedziałem, żebyś potem nie żałował.

Trzymaj się z daleka od tego czarnego diabła.

- Słyszałeś? - zagadnęła Sapphire do Stowe'a, kiedy Red wyszedł. - Omijaj Księcia z daleka, bo inaczej cię strątuje.

Stowe zamerdał ogonem.

- Mądry pies - pochwaliła Sapphire i otworzyła pierwszy boks. Smród przyprawiał o mdłości, ale wolała wygarniać gnój u Reda, niż podawać Blake'owi kolacje na srebrnej tacy.

Przez cały ranek wygarniała gnój, wrzucała na taczki, wywoziła daleko pod las i wracała do stajni za każdym razem, dla urozmaicenia, trochę inną trasą.

Farma Carringtona położona była nad samym Hudsonem, wśród łąk i wzgórz, w tak pięknym krajobrazie, że widoki zapierały dech w piersiach.

Koło południa Sapphire odstawiła widły i podrapała Stowe'a za uchem.

- Głodny jesteś?

Stowe zaskomlał w odpowiedzi i wywalił jęzor.

- Ja też - powiedziała. - Znalazłam doskonale miejsce na piknik. Widzisz te skałki za łąką, patrząc na południe? Tam pójdziemy.

Stowe w podskokach ruszył za swoją panią przez podwórze, potem przez łąkę. Do skałek było dalej, niż Sapphire sądziła i kiedy wreszcie dotarli na miejsce, umierała z głodu.

Zjedli resztę biskwitów, które kupiła od spotkanej na początku wędrowni staruszki, trzy plasterki bekonu, które przy śniadaniu wzięła z myślą o lunchu, i ostatnie jabłko z

tych, co zbierała po drodze. Stowe bardzo chętnie zjadł biskwit i bekon, ale kiedy poczęstowała go jabłkiem, odwrócił z niesmakiem łeb.

- Nic więcej już nie mam. - Sapphire zaśmiała się, pokazując dłonie. - Widzisz? Tylko to jabłko. - Ugryzła kęs i oparła się plecami o wygrzaną w słońcu skałkę. Wszystkie mięśnie ją bolały, ale czuła się zaskakująco dobrze. Przez cały ranek nie miała nawet czasu pomyśleć o Blake'u. W końcu całkiem o nim zapomnia... Nie, nie zapomnia, ale będzie mogła wspominać go spokojnie.

Odrzuciła w trawę ogryzek jabłka, zamknęła oczy i przytuliła Stowe'a, który ułożył się obok niej do drzemki. Zasypiała już, myśląc, że powinna jednak wracać do pracy, kiedy usłyszała podniesione głosy w oddali.

Spojrzała ku stajniom i zobaczyła Reda oraz jakiegoś mężczyznę, biegnących za czarnym koniem, który najwyraźniej wyrwał się z padoku i galopował teraz na oślep, ciągnąc za sobą lonżę.

Sapphire podniosła się i przysłoniła oczy dłonią. Koń przebiegł koło kępy wiązów, przeskoczył ogrodzenie, skręcił na zachód, zwolnił chód i biegł teraz kłusa w jej stronę. Red i mężczyzna zawrócili do stajni, coś krzycząc. Sapphire spojrzała znowu na biegnącego prosto na nią konia, na Stowe'a i czekała na rozwój zdarzeń.

Stowe przysiadł na trawie i się najeżył. Koń zwolnił jeszcze bardziej, szedł teraz stępa. Na widok człowieka i psa zarżał, zatrzymał się, uderzył kopytem w ziemię, znowu zarżał.

- Co się stało? - zagadnęła Sapphire spokojnie. - Wystraszyłeś się? - Zrobiła krok w stronę ogiera, spoglądając na długą lonżę. Gdyby się w nią zaplątał, mógłby złamać nogę, co dla niego oznaczało wyrok śmierci. Był wyjątkowo piękny i Sapphire zrobiło się go żal.

- Co z tobą, koniku? - przemawiała. - Wystraszyli cię ludzie? Na pewno nie chcieli zrobić ci nic złego. Nie ma się czego bać. Po prostu są głośni, wielcy i wszędzie ich pełno. - Zrobiła kolejny krok w kierunku ogiera.

Koń przyglądał się jej nieufnie.

- Powiem ci, że znam największego krzykacza w tym kraju i ani trochę się go nie boję, a wiesz dlaczego? Bo to dobry człowiek, ma dobre serce. - Wyciągnęła rękę, ale od konia dzieliło ją jeszcze dobre pięć kroków. Nie zdołała chwycić lonży. Musiała podejść jeszcze bliżej.

- Tak jest, koniku - mówiła. - Po prostu nie zwracam uwagi na jego krzyki. - Zrobiła jeszcze krok, koń potrząsnął łbem i się cofnął.

Sapphire stanęła.

- Ejże, koniku. - Opuściła ręce i zaczęła się zastanawiać, co robić. W oddali znowu rozległy się głosy. Mężczyźni krzyczeli coś, szli w jej kierunku.

Koń obejrzał się w stronę stajni, zarżał i parsknął kilka razy.

- Wiem, strasznie są głośni. Spojrzała na psa.

- A ty co myślisz, Stowe? Jak go mamy przekonać, żeby dał się złapać?

Sapphire przypomniała sobie ogryzek jabłka rzucony w trawę i powoli wycofała się w stronę skałek. Po chwili była już z powrotem, szczęśliwie odnalazła ogryzek.

- Zobacz, co mam - przemówiła przymilnie do ogiera, wyciągając otwartą dłoń.

Koń poczuł zapach jabłka, uniósł łeb i zarżał.

- Nie. Ja do ciebie nie zamierzam podchodzić. Ty musisz podejść do mnie. - Spojrzała na Stowe'a. - Zupełnie jak mężczyźni. - Podniosła wzrok. - Chcesz jabłko, to je sobie

weź. - Pamiętała, że Armand miał kiedyś wałacha, który bał się cieni, i przesunęła się tak, by nie rzucać cienia na konia.

Ogier postąpił krok w jej kierunku, jeden, drugi, znowu podniósł łeb i zarżał, jakby walczył z sobą. W końcu zbliżył się, sięgnął po jabłko, a Sapphire wolną ręką ujęła lonżę.

Koń zaczął się cofać, ale jej łagodny głos podziałał uspokajająco i mogła podprowadzić „czarnego diabła” do skałek. Nie widziała teraz ani Reda, ani jego towarzysza. Musieli zniknąć w kępie wiązów, tam widocznie szukając ogiera.

A ten zjadłszy ogryzek, zaczął spokojnie skubać trawę koło skałek.

Sapphire spojrzała w stronę stajni, potem na konia. Dzielilo ją od zabudowań jakieś pół mili, dawno już powinna być z powrotem przy swoich taczkach.

- Co myślisz? - zapytała konia, kładąc mu dłoń na grzbiecie. Koń drgnął, ciągle spłoszony, ale znacznie spokojniejszy niż jeszcze niedawno.

- On chyba nas polubił - powiedziała do Stowe'a, który pracowicie drapał się za uchem i ponownie zwróciła się do konia: - Pozwolisz się dosiąść? Obiecuję, że będę dla ciebie miła i ani razu nie podniosę głosu.

Przysięgłaby, że koń zrozumiał jej słowa. Podprowadziła go bliżej skałek, stanęła na kamieniu i dosiadła końskiego grzbietu.

- No widzisz... - szepnęła.

Tak jak przypuszczała, koń wystrzelił jak błyskawica i musiała chwycić się grzywy, żeby jej nie zrzucił.

- Spokojnie, spokojnie. - Poklepała go po szyi, odzyskując równowagę.

Obejrzała się i zobaczyła, że Stowe na swoich krótkich łapkach rzucił się w pościg za nimi.

- Musimy zwolnić - przemówiła do konia, mocno trzymając się grzywy i kolanami dając mu znak, żeby zmienił chód. - Nie cwałuj tak, bo biedny Stowe nie może za nami nadążyć.

Ku jej zdumieniu, ogier przeszedł posłusznie w kłus. Była już w połowie drogi do stajni, kiedy za plecami usłyszała nawoływania Reda. Zawróciła i podjechała do niego.

- Przepraszam - zaczęła się usprawiedliwiać. - Nie pytałem o pozwolenie, czy wolno mi go dosiąść, ale zobaczyłem, że uciekł spłoszony i...

Red i jego towarzysz stali bez ruchu i wpatrywali się w nią osłupiałym wzrokiem. Nie potrafiła zdecydować, czy są źli, czy zaszokowani, czy też jedno i drugie, ale wiedziała, że z całą pewnością nie powinna siedzieć na grzbiecie czarnego ogiera.

- Ty jesteś Książę Karaibów? - szepnęła do konia. - Coś mi mówi, że tak i że znalazłam się w poważnych tarapatach.

- Jak, u diaska, udało ci się go dosiąść? - zapytał nieznajomy.

- To jest Cosco. Trener, który pracuje dla pana Carringtona - wyjaśnił Red, nie odrywając zdumionego spojrzenia od Sapphire.

Sapphire skinęła głową.

- Sir.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. - Cosco, mężczyzna trzydziestokilkuletni, średniego wzrostu, miał twarz ogorzałą od słońca i wiatru, jasne włosy i szeroki nos.

Sapphire poklepała konia po karku, a kiedy zatańczył nerwowo i obaj mężczyźni się cofnęli, zrobiła małe kółko, dając wszystkim odrobinę więcej przestrzeni.

- Przepraszam - powtórzyła. - Zobaczyłem, że uciekł z padoku, a kiedy już go złapałem, pomyślałem, że zamiast prowadzić go do stajni, pojedę na nim wierzchem.

- Nowy chłopiec do wywożenia gnoju - przestawił ją Red i na jego twarzy pojawił się uśmiech. - Sam.

- Wiesz, co to za koń, synu? - zagadnął Cosco srogim tonem. - Taki, który nikomu nie pozwala się dosiadać.

Sapphire dopiero teraz zakłopotana się naprawdę.

- Mam zsiąść? - bąknęła.

- Do stu tysięcy kartaczy, tak. Masz z niego zsiąść natychmiast. Wiesz, ile ten koń jest wart? O wiele więcej niż ty jesteś wart dla swojego taty, to pewne.

Sapphire chciała już zsunąć się z Księcia, kiedy Red uniósł dłoń.

- Zaczekaj, Cosco. Rusz głową. Sapphire czekała.

- Mówiłeś niedawno, że nie wiesz, kto będzie dosiadał Księcia, dopóki Jimmy nie dojdzie do siebie po ostatnim upadku.

- Ten chłopak nie ma pojęcia o jeździe konnej - zachnął się Cosco. - Księżę to nie pierwszy lepszy konik, co na nim pojedziesz na oklep przez wieś.

Czarny ogier pochylił łeb i zajął się skubaniem ostatnich w tym sezonie koniczyn, najwyraźniej akceptując Sapphire, siedzącą pewnie na jego grzbiecie.

- Spójrz, Księżę ma na ten temat inne zdanie.

Blake stał obok kominka w gabinecie Manforda i grzał się przy trzaskającym wesoło ogniu, popijając szkocką z kryształowej szklaneczki. Była zaledwie połowa października, ale w Bostonie spadł właśnie tego dnia pierwszy śnieg. Niedługo miała się zacząć długa zima.

Kiedy Blake podniósł się rano z łóżka i zobaczył biały puch na balustradzie balkonu, pierwsze, co przyszło mu do głowy, to że Sapphire może teraz marznąć gdzieś, samotna, bez dachu nad głową, zdana tylko na siebie.

Powtarzał sobie, że to nie jego wina. Chciał dać jej wszystko, co mógł, a ona odeszła, nie fatygując się nawet pożegnać.

- Blake?

Podniósł wzrok na Manforda.

- Błądzisz myślami. Nie słyszałeś ani słowa z tego, co mówiłem.

- Przepraszam. - Blake odwrócił się od kominka, odszedł kilka kroków. Nie zasługiwał na to, by grzać się w miłym ciepłe. - Rzeczywiście nie słuchałem cię. Możesz powtórzyć, co powiedziałaś.

- Mówiłem, że przejrzałem wszystkie materiały, które mi dałaś. Rozmawiałem z panem Falkinem i postanowiłem, że wchodzę w ten interes.

- Wchodzisz?

- Tak. Jestem gotów zainwestować w wasz pomysł z ropą naftową.

Blake przysiadł na poręczy fotela.

- Przemysł to jeszcze, masz czas. Pierwsze wiercenia zaczniemy dopiero wiosną.

Manford usiadł naprzeciwko Blake'a, przysunął fotel trochę bliżej ognia i spojrzał uważnie na przyjaciela.

- Wierzysz w to?

- Wierzę, oczywiście. Nie proponowałbym ci, byś inwestował swoje pieniądze, gdybym nie wierzył, że to dobry interes. Czemu pytasz?

- Nie wiem. Jakoś nie widzę u ciebie tego entuzjazmu co kiedyś, jeszcze kilka miesięcy temu.
Blake wzruszył ramionami i wbił wzrok w swoją szklaneczkę.
- Nic się nie zmieniło. Po prostu byłem ostatnio bardzo zajęty innymi sprawami.
Manford nachylił się ku niemu.
- Chcesz o tym porozmawiać?
Blake westchnął i z kolei zapatrzył się niewidzącym wzrokiem w przestrzeń.
- Nie.
- Powiedz, że nie chodzi o Clarice. Przysięgła mi, że nie będzie już więcej żadnych wizyt, i mam nadzieję... Chyba zrozumiała...
- Nie, nie chodzi o Clarice. - Blake obracał szklaneczkę w dłoniach, nie patrząc na przyjaciela. - Chodzi o to, że... może popełniłem błąd.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

- Hej, Sarn, pójdziesz na sanki? - W drzwiach stajni pojawił się Paulie.
Sapphire kończyła poić ostatniego konia.
- Kiedy?
Mały piegus wzruszył ramionami.
- Nie wiem. Jak skończę robotę, przed kolacją.
- Gdzie idziecie? Na Big Hill?
Na Big Hill saneczkowało się najlepiej. Sapphire była tam już kilka razy z chłopcami ze stajni. Nie spoufaliła się z nimi zbyt: nie grała w karty, nie siadywała wieczorami przy ognisku, ale śnieg ją fascynował. Ona, dziecko Karaibów, mrozy znosiła, o dziwo, całkiem dobrze, choć chłopcy pokpiwali z niej, bo ubierała się cieplej niż oni. Dopiero zaczynał się grudzień, a już kilka razy spadł śnieg. Saneczkowanie było świetną okazją, żeby zbliżyć się trochę do chłopców, od których zwykle stroniła.
- Pewnie na Big Hill, chyba że Adam wymyśli coś innego. - Paulie uśmiechnął się szeroko. Adam był najstarszy, najbardziej wyrosnięty i jak on powiedział, tak musiało być; rządził chłopcami. Sapphire to nie przeszkadzało ani trochę. Adam był całkiem miły. Niezbyt rozgarnięty, ale pracowity. Co najważniejsze, nie zmuszał Sapphire, by spędzała wolny czas z resztą posługaczy. Zaakceptował fakt, że Sam jest samotnikiem, a jej w ten sposób łatwiej było skrywać własną tożsamość. Poparł ją nawet wtedy, kiedy wolała nadać sypiać w szopie przy stajni niż na górce w stodole, jak pozostali, choć chłopcom ten jej wybór bardzo się nie podobał.
Sypiając w szopie na uprząż, była bliżej Księcia, tak tłumaczyła swoją decyzję Redowi, i ten się z nią zgodził. Koń ją polubił, a sypianie w pobliżu ulubionego, otaczanego troską wierzchowca nie było niczym niezwykłym w światku dżokejów i groomów.
- Zaraz przyjdę - powiedziała Sapphire, nie odrywając się od pracy.
- Pomóc ci może? - zaoferował się Paulie, poprawiając z dumą nowiutkie mitenki, które właśnie przysłała mu babcia.

- Dziękuję, poradzę sobie.

Kiedy została sama, napełniła ostatnie poidła i obesza wszystkie boksy, mówiąc dobranoc konikom: tego podrapała za uchem, tamtego pogłaskała po chrapach, poklepała po szyi. Dla Księcia miała jabłko schowane w kieszeni drelchów.

Zmęczona, ale zadowolona po całym dniu ciężkiej pracy, poszła do siebie. Chciała napisać listy do Luci i Angelique oraz do Armanda. Następnego dnia, w sobotę, od rana miała ujeżdżać Księcia, ale popołudnie mogła spędzić, jak chciała. Zamierzała zabrać się do miasta którymś z wozów z farmy i nadać listy na najbliższej poczcie.

Zapaliła lampę i usiadła na wyrku nad czystą kartką papieru. Wiedziała doskonale, że rodzina martwi się o nią, wiedziała też, że musi do nich napisać, ale nie miała pojęcia, co im wyjawić.

Zawołała Stowe'a, który ułożył się w swojej skrzynce wymoszczonej sianem. Miała szczęście, jeśli pies był w pobliżu, bo często spędzał całe dnie z Redem, który, jak podejrzewała, kupował sobie sympatię Stowe'a różnymi psimi przysmakami.

Stowe wskoczył na przykryte kocem wyrko.

- Co myślisz, staruszkule? - szepnęła, drapiąc go za uchem. - Co mam im napisać o naszym życiu, o farmie pana Carringtona?

Pies ziewnął, położył jej łeb na kolanach i przymknął oczy.

Przymierzała się kilka razy, mięła kartkę, wreszcie zaczęła list do Luci i Angelique od tego, że jest zdrowa i bezpieczna. Prosiła, żeby pod żadnym pozorem nie kontaktowały się z Blakiem Thixtonem. Tego najbardziej się obawiała, znacznie bardziej niż tego, że na farmie odkryją jej prawdziwą tożsamość.

Zaraz po przyjeździe do majątku pana Carringtona napisała do Luci, nie wdając się w szczegóły, że wyjechała z Bostonu. Ani słowem nie wspomniała, gdzie obecnie mieszka, co robi. Tyle tylko, że jej i Blake'a drogi się rozeszły i że jeśli pisałby do Luci, ma odpowiedzieć, że chrześnica się do niej nie odzywała.

Sapphire miała wyrzuty sumienia, że nie wyjawia Luci prawdy, ale bała się, że ciotka gotowa zdradzić Blake'owi jej aktualne miejsce pobytu. Trudno, Lucia musi jej zaufać, dowie się wszystkiego z detalami, kiedy Sapphire wróci do Londynu.

I rzeczywiście, list do Luci i Angelique był bardzo lakoniczny. Napisała, że pomimo rozstania z Blakiem Thixtonem przeżywa wspaniałą amerykańską przygodę, co akurat było szczerą prawdą. Pisała o swoim zachwycie śniegiem, o tym, że świetnie znosi mrozy, że uwielbia saneczkowanie. Wspomniała nawet o Księciu Karaibów, choć nie wymieniła przezornie jego imienia. Nie napisała tylko o swoim złamanym sercu i o tym, że rana zdaje się powoli zablizniać, choć bywają dni, kiedy daje bardzo boleśnie znać o sobie. Nie napomknęła też ani słowem, ma się rozumieć, że odgrywa rolę chłopca stajennego.

W zakończeniu listu uprzedzała, żeby ciotka nie spodziewała się zbyt częstych wiadomości, bo jej trudno znaleźć czas na pisanie. Tak naprawdę nie chodziło jednak o czas, tylko o to, że nie bardzo wiedziała, co pisać. Obiecała jeszcze, że na pewno za kilka miesięcy się zobaczą, i przesała serdeczne ucałowania.

W stajni zarabiała niewiele, zaledwie kilka dolarów tygodniowo, ale Red obiecał, że jeśli Książę zacznie wygrywać gonitwy, dzokej może liczyć na niewielki procent z każdej wygranej i Sapphire miała nadzieję, że rzeczywiście przez następne miesiące, może do końca lata, uda się jej zebrać sto dziesięć dolarów, bo tyle kosztował najtańszy bilet do Londynu.

Nad listem do Armanda biedziła się jeszcze bardziej niż nad tym do Luci. Długo odkładała, zanim w ogóle zdecydowała się napisać, i wiedziała, że jeśli dalej będzie zwłóczyć, Armand zacznie się zamartwiać. Na szczęście nie podała mu amerykańskiego adresu Blake'a, kiedy zawiadamiała go o swoim przyjeździe do Ameryki. List był jeszcze krótszy niż do Luci i Angelique. Napisała, że dobrze się miewa, że zimę spędza w Nowym Jorku i z końcem lata zamierza wrócić do Londynu. Prosiła, by się o nią nie martwił i że bardzo się jej podoba w Ameryce. Zakończyła ucałowaniem, zakleiła kopertę, ubrała się i poszła na sanki.

- Wielkie nieba, nie!

- Jessupie, nic ci nie jest? - zawołała Lucia, spoglądając w stronę otwartych drzwi.

Kochali się, a potem Jessup wyszedł za potrzebą. Poczciwy Jessup nie chciał korzystać z nocnika w jej obecności i zawsze, nawet w najgorszy mróz, śnieg, biegł do wygodki.

Lucia była znacznie praktyczniejsza i korzystała z nocnika, tyle że w korytarzu.

- Jessupie?

- Och, na Boga! Och nie, tylko nie to! - słyszała ponawiane okrzyki.

- Co się dzieje? Jessup? - Podniosła się z łóżka, wsunęła stopy w kapcie i podeszła do drzwi.

Jessup stał w korytarzu, w koszuli nocnej, szlafroku, skarpetach i pasiastej, biało-zielonej szlafmicy na głowie, załamując ręce.

- Co się stało? - dopytywała się Lucia. - Źle się czujesz? Zrobiłeś sobie jaką krzywdę?

- Ja... Czuję się niezmiernie zakłopotany. Zmierzyła go uważnym spojrzeniem, z góry na dół, zastanawiając się, czy też nie przytrafił mu się aby jaki niemiły wypadek. W ich wieku takie rzeczy się zdarzały. Coś usiadło na żołądku: kapusta, lekko nieświeże mięso i nieszczęście gotowe.

- Przynieść ci miskę z wodą, serdeńko moje? Czystą bieliznę? - zapytała najnormalniej w świecie, ani trochę zdetonowana.

Jessup spojrzał na nią z urazą.

- Skądże!

- W takim razie wracaj do łóżka, mój drogi. Zamarzniesz na śmierć, stojąc tak w przeciągu - zakomenderowała, widząc, jak z jej ust przy każdym oddechu wydobywają się obłoczki pary.

- Nie... nie mogę.

- Co to znaczy, nie możesz? - Zirytowana, wsparła się pod boki. Zdążyła umościć się wygodnie w pościeli, rozgrzać, a niezrozumiałe jeremiady Jessupa wyciągnęły ją z łóżka i sterczy teraz nie wiedzieć po co w progu sypialni, w stopy jej zimno... - Jessupie, bo stracę cierpliwość i pojedę do siebie, położę we własnym łóżku i będę miała święty spokój.

- Bardzo mi przykro, najdroższa.

- Co się z tobą dzieje? - Postąpiła krok w stronę Jessupa.

- Nie! - krzyknął rozdzierająco i wyciągnął rękę tak gwałtownie, że zatańczył pompon szlafmicy.

- Co się dzieje? - powtórzyła. Nie widziała oznak nieszczęścia. Żadnej dziury w podłodze, żadnego wystającego gwoźdź. Dymu też nie czuła. - Powiedz mi wreszcie, o

co chodzi. Skąd to zamieszanie? Czemu nie możesz wrócić do łóżka, tylko uparłeś się tkwić w korytarzu?

Jessup odwrócił wzrok.

- Jestem zrozpaczony.

- Powiedz dlaczego - nalegała. Jessup zamknął oczy.

- Będziesz się śmiała.

- Nie będę, obiecuję.

- Emma zawsze się śmiała.

- Jessupie, porównujesz mnie do swojej nieboszczki żony? - Pogroziła mu palcem. - Jeśli tak, to powiem ci, że zaraz spakuję wszystkie swoje rzeczy, co mam u ciebie, i za godzinę nie będzie po mnie śladu w tym domu.

- Masz rację. Przepraszam cię. - Otworzył oczy i uniósł ręce w geście kapitulacji. -

Wybacz mi, moja droga Luciu.

- Przestań wreszcie bzikować i powiedz mi zaraz, o co chodzi.

Milczał przez chwilę, wahał się, w końcu wskazał palcem na podłogę.

- Mysz.

Lucia wyteżyła wzrok. Rzeczywiście, w cieniu, przy samym gzymsie, przycupnęła na deskach podłogi maleńka szara myszka.

Lucia zasłoniła usta dłonią, żeby nie roześmiać się w głos.

- Ty się boisz myszy, Jessupie?

- Od maleńkości. Od kołyski, kiedy mysz mnie ugryzła w duży palec u nogi.

Lucia podeszła do Jessupa, wyciągając rękę, a wystraszona mysz czmychnęła.

- Już dobrze, dobrze. Widzisz, biedne stworzonko boi się ciebie bardziej niż ty jego. - Objęła Jessupa ramieniem i poprowadziła do sypialni.

- Przepraszam cię, Luciu. Nic dziwnego, że nie chcesz za mnie wyjść za mąż. Kto chciałby wychodzić za mężczyznę, który boi się myszy...

Lucia uśmiechnęła się do siebie, pomogła Jessupowi zdjąć szlafrok, odchyliła puchową pierzynę, poczekała, aż ułoży się w łóżku, ustawiła jeszcze równiutko jego kapcie, przeszła na swoją stronę łóżka, zanurkowała w wygrzaną pościel i odwróciła się twarzą do nieszczęśliwego rejeta.

- Co ja mam z tobą począć, Jessupie? - zapytała z westchnieniem.

- Nie wiem - szepnął.

- Mężczyzna, a boi się maleńkiej myszy.

- Wiem, wiem - bąknął. - W dodatku angielski mężczyzna.

Lucia objęła go za szyję.

- Z takim mężczyzną można zrobić tylko jedno - oznajmiła.

- Mianowicie?

- Wyjść za niego, oczywiście. W końcu musi być w domu ktoś, kto będzie przepędzał myszy.

Jessup zaśmiał się, obrócił i przycisnął Lucię do piernatów.

- Kocham się - szepnął jej do ucha.

- Ja też cię kocham, stary koźle. A teraz kładź się po swojej stronie i daj człowiekowi trochę pospać po tych mrozących krew w żyłach przygodach. - Lucia pocałowała go i się odwróciła. Usnęli przytulni do siebie, chroniąc się wzajemnie przed chłodem.

Blake stał na balkonie w płaszczu, nie zważając na sypiący śnieg. Kiedy zimne płatki padały prosto na twarz, czuł przynajmniej, że żyje. Patrzył w mrok rozpraszany tylko gdzieś niedługo migotliwymi światłami. Port spał, w zatoce nie było ruchu. Mądry żeglarz siedział w taką pogodę bezpiecznie w domu. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia i w Bostonie niepodzielnie zapanowała śnieżna zima.

Wsunął dłonie do kieszeni i popadł w zamyślenie. Otrzymał tego dnia raporty od dwóch różnych detektywów, których wynajął, by odnaleźli Sapphire; żaden z raportów nie brzmiał optymistycznie. Intensywne poszukiwania trwały już od ponad dwóch tygodni, kosztowały go ponad dwieście dolarów, prawdziwą fortunę. Nie dbał o pieniądze, miał ich tyle, że nie wiedział, co z nimi robić.

Nie natrafił na najmniejszy ślad Sapphire. Zapadła się pod ziemię. Odeszła na dobre z jego życia i żaden detektyw, a zdążył już zmienić sześciu, nie potrafił jej odnaleźć, jakkolwiek mogło się to wydawać niewiarygodne.

Blake'owi nie wydawało się niewiarygodne. On znał Sapphire, wiedział, jaka potrafi być stanowcza, silna i uparta. Nie dziwiło go, że decydując się go zostawić, potrafiła skutecznie przeprowadzić swoje postanowienie. Żadna niespodzianka, gdy idzie o kogoś takiego jak Sapphire.

Rozległo się pukanie do drzwi, które przeszło w łomot, kiedy nie od razu zareagował.

- Panie Thixton!

- O co chodzi?! - ryknął, przekrzykując wiatr, kiedy w progu pojawiła się pokojówka. - Mówiłem przecież wyraźnie pani Dedrick, że nie będę jadł kolacji.

- Pan Lawrence chce się z panem widzieć. - Jak na ironię, kolejna Molly dygnęła i wycofała się pospiesznie, a do pokoju wszedł Manford.

- Nie spodziewałem się ciebie. - Blake nie ruszył się z balkonu; nadal stał oparty o balustradę.

- Nie muszę chyba mieć zaproszenia, żeby cię odwiedzić. - Manford podszedł do drzwi balkonowych. - Co ty, u diabła, wyprawiasz? Zmarzniesz. Mróz taki, że aż strach.

- Wcale nie jest tak zimno - powiedział Blake, wpatrując się w ciemności.

Manford milczał przez chwilę.

- Posłuchaj, Blake - odezwał się w końcu - wiem, że to nie moja sprawa, i nie powinienem się wtrącać, ale ta dziewczyna, o której mi mówiłeś...

- Masz rację, nie twoja sprawa i nie powinieneś się wtrącać - uciął Blake.

- To staje się śmieszne, jeśli chcesz wiedzieć. W końcu to była tylko służąca. Szczerze mówiąc, nawet nie...

- Milcz, Manford. Nie kończ! Rozumiesz? - Blake odwrócił się gwałtownie, uniósł pięść. - Nie waż się nigdy więcej powiedzieć czegoś podobnego, bo klnę się na wszystkie świętości, że... - Pohamował się, zanim pięść wylądowała na szczęce Manforda. Opuścił rękę, spojrzął w dół, rozgarnął śnieg czubkiem buta. - Chryste, nie wiem, co się ze mną dzieje. Wybacz mi, proszę.

Manford położył mu dłoń na ramieniu.

- Co powiesz na szklaneczkę whisky? Byłoby nie na tym mrozie. Może byśmy coś przekąsili? Zmarniałeś ostatnio, przyjacielu.

- Może być szklaneczka szkockiej - zgodził się Blake, puszczając mimo uszu propozycję zjedzenia czegoś.

Przyjaciele weszli do sypialni. Manford zamknął starannie drzwi balkonowe, otrząsnął się, podszedł do stolika i nalał whisky do dwóch szklaneczek.

- Z twojej gwałtownej reakcji wnoszę, że nie jest służącą - podjął raz jeszcze niewdzięczny temat. - Kim zatem jest? Opowiedz mi o niej, proszę. Nie wiem nawet, jak ma na imię.

Blake stał przy drzwiach, ciągle w płaszczu. Od momentu zniknięcia Sapphire nigdzie nie mógł znaleźć sobie miejsca, wszędzie czuł się obco: w biurze, w domu, we własnej sypialni, chyba nawet we własnej skórze.

- To skomplikowane.

- To zawsze jest skomplikowane. - Manford wcisnął mu w dłoń kryształową szklaneczkę do połowy napełnioną złocistym trunkiem, dotykając niechcący palców przyjaciela. - Przemarłeś na kość. Jak długo sterczałeś na tym balkonie?

- Niedługo. - Blake upił solidny łyk whisky.

- Poproszę, żeby przynieśli nam coś do jedzenia. Nie wiem jak ty, ale ja umieram z głodu. - Manford podszedł do drzwi sypialni. - Opowiedz mi o niej.

Blake obrócił szklaneczkę w dłoni.

- Nie wiem, czy potrafię.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Kiedy Lucia wróciła do domu, zastała Angelique przy oknie - wyglądała na ulicę.

- A to niespodzianka - zauważyła z uśmiechem, stawiając na ziemi paczki owinięte w szary papier. - Avena w domu? - Nie zauważyła dziewczyny, wchodząc do mieszkania, a zwykle Avena wybiegała na jej spotkanie.

- Dałam jej wolne popołudnie. Przedślubne szaleństwo.

Lucia ściągnęła rękawiczki i zdjęła kapelusz.

- Cieszę się, że wychodzi za męża. Ładna z nich para. Wiedziałałam, że ten jej krawiec to porządny chłopak, jak tylko usłyszałam, że przeszłość Aveny wcale go nie obchodzi. - Podeszła do Angelique i pocałowała ją w policzek. - Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? Całe wieki nie pojawiałaś się w domu. Spotykamy się już tylko na przyjęciach.

Angelique podparła brodę dłonią i zamyślona wyglądała przez okno na ruchliwą ulicę. Zachęteni wiosennym słońcem ludzie chętniej wychodzili z domów i w dole mrowił się tłum przechodniów, spacerowiczów i ulicznych handlarzy.

- Nie mogę uwierzyć, że już prawie rok minął od czasu, gdy zamieszkałyśmy w Londynie. Mam wrażenie, że dopiero wczoraj wyjechałyśmy z Martyniki.

- Mówisz jak staruszka - zaśmiała się Lucia. - Rok dla młodej dziewczyny to wiek cały. - Pogłaskała Angelique po głowie. - Jesteś dzisiaj zadumana. Coś się stało, kochanie?

Angelique westchnęła.

- Uważasz, że u Sapphire wszystko dobrze? Martwię się o nią od czasu, kiedy przyszedł ostatni list. Powinna była zostać z tym Amerykaninem, wyjść za niego, mieć dzieci.

Lucia usiadła w fotelu naprzeciwko Angelique.

- Myślę, że nic złego się nie dzieje i nie mamy powodu do zmartwienia.

- Tak lakonicznie pisze. Wiemy tyle tylko, że mieszka gdzieś w Nowym Jorku i że zostawiła Blake'a. To do niej niepodobne, być tak oszczędną w słowach. Przecież zdaje sobie sprawę, że chciałybyśmy wiedzieć, jak się jej powodzi.

Lucia wzruszyła ramionami.

- Najwyraźniej nie ułożyło się jej z hrabią Wesseksem. Podejrzewam, że chciała być sama, przezimować gdzieś w ukryciu, wylizać się z ran, stanąć na nogi.

- Ale zima już się skończyła! - zawołała Angelique nie na żarty zafrasowana. - Jest kwiecień! A jeśli ona nie ma za co wrócić do Londynu? Jeśli musiała pójść na ulicę, jak jej matka, żeby nie umrzeć z głodu? Powinnyśmy napisać do pana Thixtona i dowiedzieć się, gdzie Sapphire mieszka w Nowym Jorku i z czego się utrzymuje.

- Nie możemy tego zrobić - powiedziała Lucia stanowczo.

- A to niby dlaczego? Ja mogę. Ktoś musi napisać. Nie będę czekała z założonymi rękami. Tak straciłaś głowę dla swojego rejenta, że zapomniałaś całkiem o obowiązkach względem Sapphire! - Angelique zasłoniła usta dłonią, przerażona tym, co wykrzyczała właśnie ciotce w gniewie. Odwróciła wzrok, walcząc ze łzami cisnącymi się do oczu.

Lucia wzięła ją za rękę.

- Spójrz na mnie - poprosiła bez cienia złości w głosie.

Angelique powoli odwróciła głowę.

- Przepraszam - szepnęła. - Nie powinnam mówić takich strasznych rzeczy. Ja tak nie myślę. Naprawdę - usprawiedliwiała się.

- Wiem. Martwisz się o Sapphire i słusznie, bo ja też się o nią niepokoję.

- A jednak?

- Oczywiście. Tyle że martwienie się nic nie da. Nie można być nadopiekuńcza i na każdym kroku trząść się nad dzieckiem jak kwoka nad kurczęciem. Sapphire jest dorosła i musi zacząć żyć na własne ryzyko. Do hrabiego Wesseksa natomiast nie możesz napisać. Sapphire prosiła, żebyśmy tego nie robiły, zaufała nam, nie wolno nam jej zawieść. Pisze, że jest cała i zdrowa i że wróci do Londynu z końcem lata. Wierzmy w nią. Angelique odwróciła wzrok, po czym znowu spojrzała na Lucię.

- Ja i Henry... zastanawiamy się nad wyjazdem do Ameryki.

- Wspaniale!

- Chcemy ją odszukać. Lucia się zasępiła.

- Bardzo szlachetne postanowienie, ale też szalone. Ameryka to wielki kraj, trudno wam będzie odnaleźć tam kogoś, kto wcale tego nie chce.

- Jedź z nami, ciociu! Jessup mówi, że Blake Thixton to bardzo ważna persona w Ameryce. Jego odnajdziemy bez trudu.

Lucia zastanawiała się nad czymś.

- Henry jest gotów zrobić to dla ciebie? Przeplłynąć ocean i szukać Sapphire? Wiesz, że możecie minąć się z nią w drodze? Może zdecydowała się przyspieszyć powrót i właśnie wsiada na statek, płynący do Anglii?

- Nie chodzi tylko o Sapphire, ciociu Luciu. Henry powiedział, że pojedzie ze mną do Nowego Jorku, żeby jej szukać, jeśli ja potem pojedę z nim na zachód, zobaczyć Indian.

- Jesteś gotowa to zrobić? Angelique kiwnęła głową.

- W takim razie powinnaś wyjść za niego. Angelique podniosła się z uśmiechem z fotela.

- On mówi to samo. Twierdzi, że musimy się pobrać i że nic nas nie powstrzyma. Rodzice już go wydziedziczyli. Jedyne pieniądze, jakie ma, to te, które dziadek zostawił mu w spadku.

- Wbrew wszystkiemu postanowił trwać przy tobie. Angelique oparła się parapet.

- Tak.

- Chcesz wyjść za niego?

Lucia z radością patrzyła na Angelique - była taka śliczna. I o wiele dojrzała niż przed rokiem, w dniu przyjazdu do Londynu. Miłość potrafi całkowicie odmienić człowieka.

- Nie wiem - odparła Angelique cicho. - Nie wiem, co robić, ciociu Luciu. Brakuje mi rady Sapphire. Zna mnie lepiej niż ja sama. - Dolna warga jej zadrżała. - Zawsze mogłam na nią liczyć, polegać na jej trzeźwym osądzie.

Lucia milczała, dając Angelique szansę, by sama rozwikłała swój problem.

- Nigdy nie wyobrażałam sobie, że miałabym wyjść za męża, a już na pewno nie za prawdziwego angielskiego lorda, jak Henry. Spędzić całe życie z jednym mężczyzną? Wydawało mi się to takie... nudne.

- A teraz jak jest? Życie z Henrym wydaje ci się nudne?

Angelique się zaśmiała.

- Różnie mogłabym je nazwać, ale z całą pewnością nie nudnym.

- W takim razie sama sobie odpowiedziałas na pytanie.

- Powinnam wyjść za niego?

- Myślę, że powinnaś iść za głosem serca. Myślę też, że powinnaś wziąć pod uwagę, iż Henry gotów jest poświęcić wszystko, rodzinę, majątek, tytuł, za życie z tobą...

- I jestem mu je winna?

- Naturalnie, że nie. Nasze życie zawsze należy do nas. Nie jesteśmy go nikomu winni, nawet naszym najdroższym.

Angelique się uśmiechnęła.

- A ty, ciociu? Będiesz szczęśliwa, wychodząc za pana Stowe'a?

- Nie przypuszczałam, że jeszcze kogoś pokocham. Jessup to dobry człowiek. Nawet nie policzę, ile podróży odbył tej zimy, szukając to w takim, to w innym hrabstwie kościoła, w którym Sophie i Edward mogli wziąć ślub.

- Chce, żebyś była szczęśliwa.

- To prawda. - Lucia wstała z fotela. - Wydaje mi się jednak, że te poszukiwania stały się jego obsesją. Uparł się dociec prawdy za wszelką cenę.

- Uważam, że będzie z was dobrana para.

- A ja uważam, że powinnaś iść do kuchni i zobaczyć, czy Avena nie zostawiła nam biskwitów i kawy, bo umieram z głodu.

- Gotowy jesteś, Sam?

Sapphire mocno zacisnęła wodze w dłoniach i pochyliła się nad karkiem Księcia.

- Jestem gotowy, dam radę.

- Ma się rozumieć, że dasz radę, synu - przytaknął Red z niezachwianą pewnością w głosie.

Kiedy jesienią przekonał Cosca, żeby pozwolił Samowi ćwiczyć Księcia, Sapphire nawet nie przypuszczała, że będzie brała udział w gonitwach, ale koń ją uwielbiał,

stanowili jedność. Pan Carrington zdecydował się uczynić z chłopca stajennego prawdziwego dżokeja.

Sapphire było trochę przykro, że ma zająć czyjeś miejsce, ale Red wytłumaczył jej, że nie powinna mieć wyrzutów sumienia. Księżę nigdy nie lubił Jimmy'ego, który nie miał cierpliwości do ogiera, nie umiał się z nim obchodzić. Poza tym wynagrodzenie dżokeja było o niebo lepsze niż to, co zarabiał chłopiec stajenny.

- Gotowi?

Na dziedzińcu pojawił się pan Carrington, miły, zawsze uśmiechnięty dżentelmen z grzywą siwych włosów.

- Nie denerwuj się, synku - uspokoił Sapphire, poklepując Księcia po karku. - Pojedziecie kawalek wzdłuż brzegu rzeki i z powrotem. Niemal tak jak każdego innego dnia.

Gonitwa nie była zbyt ważna. Sezon dopiero się zaczynał, konie i dżokeje rozgrzewali się po zimie, próbowali sił. Za kilka tygodni Sapphire i Księcia czekała znacznie ważniejsza próba, start na Long Island, przed setkami widzów, inaczej niż dzisiaj, bo gonitwę obserwowali prawie wyłącznie hodowcy.

- Nie denerwujesz się chyba, Sam? - Pan Carrington spojrzał pytająco na Sapphire.

Pokręciła głową, choć wcale nie była pewna swych sił. Podczas treningów z Coskiem wszystko wydawało się tyleż łatwe i proste, co lekko nierealne, ale za chwilę miała zmierzyć się z innymi dżokejami i pozostawało jej wierzyć, że nie skręci sobie przy okazji karku.

- Nie denerwuję się - zapewniła pana Carringtona, starając się, żeby zabrzmiało to przekonująco.

- Dzielny chłopiec. - Pan Carrington cofnął się o krok. - Zwycięzisz dzisiaj, Samie, ja ci to mówię. Wieczorem wydaję kolację, a ty będziesz siedział na honorowym miejscu. Bogatszy o kilka ładnych dolarów. - Mrugnął do Sapphire wesoło.

- Dziękuję, sir.

- Gotów? - zapytał Red i kiedy Sapphire kiwnęła głową, poprowadził Księcia na linię startu.

W gonitwie na jedną milę brało udział dziewięć koni. W innych okolicznościach Księżę byłby pewnym faworytem, ale nikt nie wiedział, jak się spisze nowy, zupełnie nieznanymi i niedoświadczony dżokej pana Carringtona.

Bomba poszła w górę. Księżę ruszył przed siebie jak strzała, gnali tak, że pejzaż rozmywał się Sapphire przed oczami, wiatr grał w uszach, a w głowie nieoczekiwanie pojawiła się myśl o Blake'u. Co by teraz pomyślał o swojej służącej? Wyśmiałyby ją? Zbył jej wyczyny wzruszeniem ramion?

Poczuła piekące łzy w oczach.

Czy Clarice udało się wślizgnąć do łóżka Blake'a, zamieszkać w jego domu? A może nadal odwiedza go pani Sheraton?

Co ją to właściwie obchodzi? Dał jej przecież wyraźnie do zrozumienia, że nic dla niego nie znaczy. Od samego początku nie ukrywał, jakie miejsce z jego życia zajmują kobiety, i z pewnością mówił prawdę, głupotą byłoby sądzić inaczej. Jedno można było powiedzieć o Blake'u: był szczery.

Sapphire słyszała już okrzyki widzów, czekających na mecie, Red krzyczał najgłośniej.

- Udało ci się, synu! Mówiłem, że się uda! Niech ja skonam.

Koniec gonitwy.

Sapphire ściągnęła wodze i podjechała do grupki rozentuzjasmowanych panów, którzy cisnęli się wokół Carringtona. Każdy chciał pierwszy pogratulować mu wygranej Księżcia i trafnego wyboru dżokeja.

Obok Sapphire pojawił się Red.

- Dobra robota, chłopcze. Mówiłem ci, że przyjdziecie pierwsi do mety.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością do Reda, dziękując mu bez słów za jego serce, przyjaźń i stałe wsparcie.

- Cóż, synku. - Pan Carrington podszedł do niej, wspierając się na laseczce. - Wygląda na to, że zasiądziesz jednak dzisiaj wieczorem na honorowym miejscu przy moim stole - powiedział z szerokim uśmiechem.

Dwa miesiące później

- Chodź z nami - namawiał Blake'a Manford. - Rozerwiesz się trochę. Wyjdź z hotelu. Stajesz się nieznośny, zgorzkniały, opryskliwy, coraz bardziej podobny do swojego ojca.

Blake się skrzywił.

- Dziękuję ci serdecznie, wierny przyjacielu. Po takiej zachęcie rzeczywiście nie pozostaje mi nic innego, jak przyjąć twoją propozycję i iść z wami na to nudne przyjęcie.

- Wiesz, że nie to miałem na myśli - wycofał się szybko Manford. - Przepraszam. - Zakłopotany, przecesał włosy palcami. - Po prostu sam już nie wiem, jak mam ci przemówić do rozumu.

Obaj przyjaciele zatrzymali się w hotelu Martin--James. Przyjechali do Nowego Jorku, żeby spotkać się z fabrykantami płótna, od których zamierzali zakupić większą partię towaru.

Akurat w tych dniach odbywała się wielka doroczna gonitwa na Long Island, ale Blake'owi szczęśliwie udało się wymigać. Nie lubił hazardu, nie znosił wyścigów konnych. Nigdy nie podejmował żadnych zakładów, był zbyt trzeźwo myślącym człowiekiem, by zdawać się na łut szczęścia.

- Zgódź się - nalegał Manford. - Gospodarz dzisiejszego przyjęcia to bardzo interesujący pan, na pewno go polubisz.

- Hodowca koni wyścigowych. Nie wiem nic o koniach poza tym, z której strony należy ich dosiadać - odparł Blake, ale wiedział, że ustąpi.

Manford miał rację, kiedy go łajał, że za ciężko pracuje i zamyka się w sobie, gryząc myślami o Sapphire. Na próżno szukał jej całą zimę. Zniknęła bez śladu. Kilka razy w ciągu ostatnich miesięcy chciał pisać do pana Stowe'a, pytając, czy nie wróciła przypadkiem do Londynu, raz już nawet przygotował sobie brudnopis takiego listu, ale nigdy go nie wysłał. Być może bał się odpowiedzi. Gdyby Sapphire przytrafiło się coś złego, nie zniósłby tego i nigdy by sobie nie wybaczył.

Czuł jednak, że Sapphire jest cała i zdrowa, w przeciwnym razie przyszłaby wiadomość od pana Stowe'a albo od jej ciotki.

- Słyszysz mnie, Blake? Przyjęcie odbywa się tutaj, w naszym hotelu. Jeśli będziesz się nudził, możesz wrócić na górę i ukryć się znowu w swojej jaskini.

- Manford wyszedł, ale jeszcze wetknął głowę do pokoju. - Chociaż muszę powiedzieć, że całkiem niezła ta twoja jaskinia. Apartament. Proszę, tylko nie zdradź

mojej żonie, że wzięłaś apartament, bo będzie miała do mnie pretensje, dlaczego wynajęliśmy zwykły pokój. I obiecaj, że pójdziesz z nami.

- Nie jestem głodny. Chciałem przeczytać te ostatnie raporty o...

- Nie musisz jeść, możesz pić. Zejdź z nami na dół na drinka, to wszystko, o co proszę. Blake wyjął zegarek z kieszonki kamizelki.

- O której?

- Punktualnie o ósmej. Znakomicie. Powiem żonie, ucieszy się. Ona też o ciebie się martwi. Pogodziła się już z tym, że nie ożenisz się z Clarice, i ciągle myśli o tym, z kim by cię tu wyswatać. Wiesz, jaka ona jest.

Blake puścił mimo uszu uwagę Manforda o jego nowym stylu życia. Od wielu miesięcy nie pokazał się publicznie z żadną kobietą. Prawdę mówiąc, od czasu powrotu z Londynu, ale nie był to temat do dyskusji.

- Być może spotkamy się o ósmej - powiedział enigmatycznie.

- Żadne „być może”.

Sapphire rozwiązała fular i zaczęła go zawiązywać jeszcze raz od początku. Po raz trzeci usiłowała nadać właściwą formę upartemu kawałkowi jedwabiu, a nie miała kogo poprosić o pomoc. Do kogo mogłaby się zwrócić?

Przyjechała do hotelu sama, powozem pana Carringtona. Tu już czekał na nią pokój, w którym miała się przebrać w surdut kupiony specjalnie na takie okazje, jak dzisiejsza kolacja, a okazji było wiele, czego zupełnie nie rozumiała. Wszak to Księżę wygrywał gonitwy, ona tylko robiła wszystko, żeby z niego nie spaść, a jednak Nowy Jork zachwycał się nią właśnie - utalentowanym młodzieńcem dżokejem.

Znosiła ten szum wokół własnej osoby, odkładając pieniądze z kolejnych wygranych i licząc mijające tygodnie. Był początek czerwca; jeszcze parę gonitw, kilka tygodni i będzie mogła kupić kobiece stroje i bilet na statek do Londynu. Serdecznie polubiła ludzi, których poznała na farmie Carringtona, ale ogromnie tęskniła za Lucią i Angelique, za szkatułką matki, w której leżały listy rodziców oraz szafir Wesseksów.

Rozległo się pukanie do drzwi i Sapphire szybko zawiązała fular.

- Już idę! - zawołała niskim głosem, do którego zdążyła już przywyknąć.

- Pan Carrington czeka na dole - poinformował boy przez drzwi.

- Dziękuję. - Włożyła surdut i zeszła na dół, do sali recepcyjnej, w której odbywała się kolacja.

Hotel Martin-James był najpiękniejszym budynkiem, jaki widziała w życiu, i bardzo chciała obejrzeć go sobie dokładniej, ale o dziesiątej miała wrócić na farmę; pan Carrington zamówił już dla niej powóz. Jego dżokeje brali udział w przyjęciach, lecz nigdy nie bawili na nich zbyt długo.

- Panie Water. - Żona jednego z hodowców skinęła na Sapphire wachlarzem. - Niech pan podejdzie, proszę, chciałam pana przedstawić mojej przyjaciółce.

- Panie Water - odezwał się inny głos.

- Sam! - wołał jeszcze ktoś inny.

Sapphire miała wrażenie, że przestaje panować nad swoim życiem. Nie wiedziała, czego pragnie, poza tym, że chciała odzyskać nazwisko po ojcu, ale jedno wiedziała na pewno, że dłużej nie chce odgrywać popularnego dżokeja, maskotki nowojorskiej socjety.

- Miło mi panią poznać, madame. - Sapphire skłoniła się i ucałowała dłoń damy. Dama zachichotała.

- Sam jeździ na Księciu Carringtona - wyjaśniła żona hodowcy. - Mój Jonathan już złożył Samowi propozycję i Sam na pewno ją przyjmie.

Sam uśmiechnął się nic niemówiącym uśmiechem, który Sapphire podejrziała u Blake'a.

- Napijesz się czegoś, Sam? - zapytał ktoś za jej plecami.

- Nie, dziękuję. - Miała wrażenie, że odwracając się, coś dostrzegła kątem oka. A raczej kogoś dostrzegła.

Stał pod ogromnym żyrandolem, za przeszklonymi drzwiami w matowany wzór, ręce wsunął do kieszeni spodni, jakby zastanawiał się, czy wejść do sali, gdzie trwało przyjęcie.

Sapphire zabrakło powietrza w płucach. Przez sekundę nie mogła wykonać żadnego ruchu, sparaliżowana strachem. Nie wiedziała, którądy uciec. Właśnie miała się odwrócić, kiedy Blake na nią spojrzał.

Nie zwiodły go krótkie włosy ani męskie przebranie.

- Dziękuję bardzo, dziękuję - wykrztusiła, przyjmując od kogoś gratulacje, od kogoś innego szklaneczkę z trunkiem. - Dziękuję. - Przepychała się przez tłum, szukając drogi odwrotu.

Blake szedł prosto ku niej.

- Przepraszam, przepraszam - bąkała, zmiierzając do bocznych drzwi sali. Nie wiedziała, dokąd prowadzą, ale miała nadzieję, że uda się jej uciec.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

- Proszę zaczekać! - usłyszała za sobą wołanie Blake'a.

Odstawiła szklaneczkę, którą ktoś wcisnął jej do ręki, na stół, i wybiegła z sali. Znalazła się w wąskim, słabo oświetlonym korytarzu przeznaczonym dla personelu hotelowego. Zamknęła drzwi i oparła się o nie, czując, jak wali jej serce.

- Proszę pana? - rozległ się ponownie głos Blake'a. Sapphire spojrzała w lewo, w prawo, nie wiedząc w którą stronę się skierować. Musi być przecież jakieś wyjście, myślała gorączkowo, być może nawet bezpośrednio na ulicę, a wtedy będzie miała szansę zniknąć w Nowym Jorku, tak jak zniknęła w Bostonie.

Ale teraz od Blake'a dzieliło ją zaledwie kilka kroków. Był tuż obok, stał po drugiej stronie drzwi.

- Przepraszam, nie widziała pani wychodzącego tędy młodzieńca?

Sapphire doszedł kobiecy głos, ale nie zrozumiała odpowiedzi na pytanie Blake'a.

- Kto? - pytał teraz Blake.

- Dżokej - odparła dama, tym razem znacznie głośniejszym i wyraźniejszym głosem. - Na pewno pan go zna. Młody chłopak, który pracował w stajniach u Carringtona i z którego ten zrobił dżokeja. Nazywa się Sam Water. Jeździ na tym szalonym ogierze, Księciu Karaibów.

- Ach tak.

Klamka u drzwi się poruszyła. Sapphire uskoczyła w prawo, ale nie dość szybko. Jedna sekunda wahania przesądziła sprawę. Drzwi się otworzyły.

- Sam? - zawołał Blake.

Nie odwróciła się, nie zareagowała. Szła szybko, mając nadzieję, że Blake się wycofa, pomyśli, że się pomylił. Ta kobieta mówiła przecież o Samie, dżokeju Carringtona.

- Sapphire... proszę.

W jego głosie zabrzmiało coś, co sprawiło, że się zatrzymała. Co to było?

Tęsknota? Żal? Skrucza?

Zadufany, mający w sobie tyle uczucia, co kamień, Blake Thixton, hrabia Wessex, miałby przemawiać pełnym skruchy i tęsknoty głosem? Niemożliwe. Musiało się jej wydawać.

- To naprawdę ty? - Złapał ją za ramię i odwrócił twarzą ku sobie.

Chyba jeszcze nigdy w życiu nie była tak przerażona, jak w tej chwili. Jednocześnie poczuła ogromną, bezbrzeżną ulgę. Wbrew swojej woli przez tyle dni, tygodni, miesięcy tak bardzo go pragnęła, tak rozpaczliwie potrzebowała, i oto stał przed nią. Sapphire powiedziała.

- Sam Water, chłopiec stajenny, czasami dżokej. Do usług, panie Thixton.

- Od razu wiedziałem, że to ty. - Chwycił ją w ramiona. - Boże, tak bardzo się bałem, że już nigdy...

Sapphire nie była w stanie oddychać, taki czuła ucisk w piersiach.

Targały nią sprzeczne uczucia: gniew, ulga, uraza. On się bał, a ona była pewna, absolutnie pewna, że już nigdy więcej go nie zobaczy, że to raz na zawsze zamknięty rozdział.

Blake był uszczęśliwiony, widziała to.

Ma się rozumieć, że się ucieszył. Odeszła od niego bez słowa, nie pytając o pozwolenie. Od Blake'a Thixtona nikt nie odchodzi bez jego zgody i błogosławieństwa na drogę.

Próbowała go odepchnąć.

- Puść mnie!

- Gdzieś ty się, do diabła, podziewała? - Nadal nie wypuszczał jej z objęć, choć próbowała się uwolnić. - Co to za przebranie? - Spojrzał na jej ubranie ze wzgardą. - Co to za bzdura z tym dżokejem?

- Puść mnie - powtórzyła przez zaciśnięte zęby.

- Co takiego? I potem szukać cię po całym Nowym Jorku? Ani myślę.

- Blake, proszę. Muszę wrócić na przyjęcie. Ludzie zauważą moje zniknięcie, zaczną pytać. Mój chlebodawca, pan Carrington...

- Dżokej? - zapytał z niedowierzaniem. - Rzeczywiście wmówiłaś ludziom, że jesteś mężczyzną, a w dodatku dżokejem?

Sapphire poczuła, jak wzbiera w niej gniew.

- Jestem dżokejem! Nikomu nie musiałam nic wmawiać. To przyjęcie zostało wydane na moją cześć, na cześć konia, na którym jeżdżę, oraz jego właściciela.

- Kpisz sobie chyba ze mnie - mruknął, zbity z tropu.

- Nie kpię - odparła hardo.

- Wiesz, ile czasu i pieniędzy kosztowały mnie poszukiwania zaginionej panny Fabergine?

- Nie wiem. - Szarpnęła się, raz jeszcze próbując się uwolnić. - Miałaś panią Sheraton - rzuciła z gniewem. - Ja nie byłam ci potrzebna.

- Sapphire...

- Muszę wracać na salę. - Nie chciała słuchać, co Blake może mieć do powiedzenia na temat pani Sheraton. Nie było to dla niej istotne. Jedyne, co miało znaczenie, to że ona, Sapphire, nigdy nie byłaby dla niego nikim więcej niż utrzymanką.

- Nie wrócisz na przyjęcie. Pójdiesz ze mną.

- Co zrobisz? Jak mnie powstrzymasz? Znowu mnie porwiesz?

- Nie, nie zamierzam cię porwać. - Puścił ją tak gwałtownie, że omal nie upadła. - Wróc na przyjęcie, proszę, a rozgłoszę, kim jesteś... czy też raczej czym jesteś. - Odsunął się i zmierzył ją uważnym spojrzeniem. - Coś ty zrobiła, zabandażowałaś piersi? - Wyciągnął rękę i koniuszkami palców musnął jej włosy. - Obcięłaś swoje piękne włosy. Czyś ty całkiem straciła rozum, Sapphire?

Wbiła wzrok w czubki swoich butów.

- Sapphire - powtórzył cicho. - Pomyśl. Rusz głową. Przecież jesteś mądra. Po co nam skandal? Po co skandal temu człowiekowi, który zatrudnił cię w dobrej wierze?

Nam? Co miało znaczyć to „nam”? Sapphire nie pomyślała o Carrington Farm. Wygrywała każdą gonitwę, jedną po drugiej. Zawistni konkurenci mieliby jedyną w swoim rodzaju okazję, by zdyskredytować stajnie Carringtona, jego samego. Nawet w Ameryce kobietom nie wolno było stawać do wyścigów konnych. Okryłaby hańbą wszystkich, z którymi przez tyle miesięcy pracowała. Reda, który dał jej zajęcie w stajni, a później wspierał na każdym kroku, Cosca, który tak niechętnie zgodził się, by dosiadła Księcia. Nie mogła im odpłacić za ich dobroć i wysiłki, pozwalając Blake'owi na ujawnienie swojego oszustwa.

- Dobrze - powiedziała.

Jakże go nienawidziła za to, że stawia ją w takiej sytuacji. Nienawidziła też siebie za to, że po raz kolejny pozwala mu na niegodziwość. A jeszcze bardziej, że wbrew wszystkiemu go pragnie.

- Pójdiesz ze mną?

Otworzył ramiona i Sapphire przywarła do niego, ukryła twarz na jego piersi.

- Pójdę z tobą - odparła i dodała szeptem: - Przynajmniej na tę jedną noc.

Tak jak obiecał, przemknęli do jego apartamentu niezauważeni. Kiedy już znaleźli się na górze, Blake przekręcił klucz w drzwiach.

- Napijesz się czegoś?

Sapphire stała pośrodku luksusowego wnętrza, nie wiedząc, czy śmiać się, czy płakać.

- Szampana? Wzruszyła ramionami.

- Może być.

- Potem zamówię coś do jedzenia.

- Potem - powtórzyła.

Otworzył butelkę i podał jej kieliszek.

- Spodziewałaś się gościa? Planowałaś małe przyjęcie?

Blake się skrzywił.

- To prezent od przyjaciela. Przyjechałem tu w interesach i Manford... Jest teraz na przyjęciu... Przekonał mnie, żebym zszedł na dół. Gdybym nie uległ jego namowom, mógłbym nigdy nie... - Zamilkł, nie dopowiadając myśli do końca.

Sapphire wiele by dała, żeby ją usłyszeć. Ucieszył się, kiedy zobaczył ją na dole, ale teraz... nie była pewna.

- Opowiedz mi, co się z tobą działo przez te wszystkie miesiące. - Podprowadził ją do foteli, stojących przed kominkiem, i oboje usiedli.

- Niewiele jest do opowiadania. - Spojrzała na niego znad kieliszka. Wychudł, źle wyglądał, jakby przestał o siebie dbać. Czy to z jej powodu? Martwił się

o nią? - Od razu pierwszego wieczoru opuściłam Boston. Następnego dnia spotkałam na drodze życzliwego człowieka. Tak trafiłam do stajen Carringtona i zostałam dżokejem.

Blake pokręcił głową.

- Chcę usłyszeć całą historię. Musisz opowiedzieć o każdym swoim kroku, o każdej osobie, którą spotkałaś. Nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo byłem przygnębiony po twoim odejściu.

Tak bardzo chciała wiedzieć, co on teraz czuje! Powoli zaczęła opowiadać: o Petroskym, Redzie, o psie i Księżciu, o kociętach w stajni i o tym, jak omal nie została zdemaskowana, kiedy brała kąpiel.

Nie zorientowała się, kiedy cała jej złość, cały gniew minęły bez śladu.

- Nie wierzę - Blake kręcił głową - że też nikt się nie poznał na twoim oszustwie.

- Zaprawiłam się w udawaniu. Byłam już służącą

I też nikt się nie poznał. Molly, sługa jaśnie pana. Pamiętasz?

Blake parsknął śmiechem i zaraz spoważniał.

- To był błąd z mojej strony.

- Czyżbyś przeproszał?

Wziął ją w ramiona i pocałował.

- Sapphire, Sapphire - szepnął. - Tak bardzo za tobą tęskniłem.

Przywarła do niego i całowała do utraty tchu. Surdut opadł miękko na podłogę, w ślad za nim koszula i spodnie. A potem bandaże krępujące piersi...

- Głodny jestem - mruknął Blake, kiedy leżeli, odpoczywając po miłości.

Sapphire odwróciła się ze śmiechem na bok.

- Ja też.

- Ten problem, Samie, czy też panno Molly, mogę rozwiązać bez trudu. - Blake pociągnął za gruby sznur przy łóżku, po chwili do drzwi zapukał lokaj, a pół godziny później, siedząc w pościeli, zajadali kuropatwę na zimno, popijając szampanem.

- Zamówić jeszcze? - zapytał Blake, kiedy w butelce pokazało się dno. Sapphire zaśmiała się i włożyła do ust truskawkę.

- Ja mam już dość, sir.

- Może jednak? Taka okazja raz się zdarza, trzeba ją uczcić...

- Co mamy uczcić, hrabio Wessex?

- Twój powrót do mnie, oczywiście.

O świcie Sapphire ostrożnie wstała z łóżka. Nie chciała budzić Blake'a, wołała uniknąć konfrontacji, a zostać nie mogła. Nie chciała być z człowiekiem, który jej nie kocha.

Ubrała się szybko, przy drzwiach obejrzała się jeszcze i szepnęła z uśmiechem:

- Kocham cię.

Spacerowała po ulicach Nowego Jorku, a kiedy zaczęto otwierać sklepy, weszła do pierwszego lombardu, zamieniła wytworny surdut i elegancką koszulę na tweedowe pumpy, drelichową kurtkę i kilka dolarów, zapytała, jak dojść do portu, i ruszyła w tamtą stronę. Zamierzała wrócić do Londynu.

Bez pieniędzy zaoszczędzonych z gonitw, które zostały na farmie w przemyślnej skrytce pod podłogą, rzecz nie przedstawiała się łatwo, ale Sapphire była zdecydowana wracać, choćby przyszło jej przepłynąć ocean w pław.

W porcie musiała znaleźć statki płynące do Anglii. W najbliższym czasie wypływały trzy. Ktoś jej powiedział, że na okręcie „Sally Mae”, który odpływał po południu, poszukują kuchcika. Kucharz, niemłody już, mrukliwy Anglik, najpierw próbował ją zbyć, ale w końcu go przekonała, że mimo wątlej postury potrafi ciężko pracować. Stała obok niego na pokładzie, kiedy „Sally Mae” miała odbijać od nabrzeża. Podniesiono już trap, na rufie i dziobie marynarze gotowali się wybierać cumy. To ona pierwsza zobaczyła Blake'a, jeszcze zanim on ją spostrzegł.

- Czekaście! Czekaście! - zaczął krzyczeć, wymachując rękami. - Hej, tam na mostku! „Sally Mae”!

Sapphire zacisnęła dłonie z wściekłości. Nie miała dokąd uciec przed Thixtonem.

- Kapitanie! - wołał Blake, przysłaniając oczy w popołudniowym słońcu. - Kapitanie! Chcę mówić z kapitanem.

Kapitan, zdumiony spektaklem urządzonym przez bogato ubranego dżentelmena, zszedł z mostku i zbliżył się do relingu.

- Ja jestem kapitanem - przemówił grzecznie. - Czym mogę służyć?

- Mój syn - gorączkował się Blake. - Macie na pokładzie mojego syna. Rude włosy, szczuplutki, niewysoki. O, tam stoi.

Kapitan rozejrzał się i napotkał stropione spojrzenie kucharza.

- Chłopak szukał roboty - powiedział, rozkładając ręce. - Skąd miałem wiedzieć, że to bogaty dzieciak, co uciekł z domu.

- Nie mam do nikogo żalu. - Blake odgrywał rolę zatroskanego ojca. - Każcie mu tylko zejść z pokładu. Naczytał się książek, wyzwał mnie od wyzyskiwaczy i powiedział, że nie chce moich pieniędzy, bo są z ludzkiej krzywdy. Jak go pan nie wyrzuci ze statku, smarkacz urządzi panu jeszcze bunt marynarzy. Kapitan parsknął śmiechem i dał znak, by na powrót opuszczono trap.

- Schodź na ląd, synu - polecił dobrotliwie. Sapphire zeszła na nabrzeże, ale nie zamierzała podporządkować się woli Blake'a.

- Nie pojedę z tobą - powiedziała, kiedy podeszli do czekającego powozu.

- Co to znaczy, nie pojedziesz? Coś ty, do diaska robiła na tym statku?

- Wracalam do domu! - krzyknęła przez łyzy.

- Do domu? Dom jest tam, gdzie ja.

- Nie, Blake. Dom nie jest tam, gdzie ty. Kiedy wbijesz sobie wreszcie do tego pustego, amerykańskiego łba, że nie będę twoją utrzymanką? Jestem córką hrabiego Wesseksa i nie będę niczyją utrzymanką! Niczyją, nawet twoją.

- Wsiadajmy do powozu. - Blake jakby nie słyszał słowa z tego, co powiedziała. - Ludzie zaczynają się nam przyglądać.

- Nie wsiadę do twojego powozu. Wracam do Anglii. Jak najdalej od ciebie!

Zagniewana twarz Blake'a zmieniła się w jednej chwili.

- Ty mówisz poważnie, prawda?

- Najpoważniej. Nie zostanę dłużej z tobą, nawet gdybyś...

- Nawet gdybym ożenił się z tobą?

- Słucham? Coś ty powiedział? - szepnęła Sapphire. Mogłaby przysiąc, że widzi łyzy w jego oczach.

- Pytam, czy zostaniesz, jeżeli się z tobą ożenię? Ja wiem... popełniłem mnóstwo błędów - tłumaczył ze ściśniętym gardłem. - Grace Sheraton... Nie wiem, co wtedy myślałem. Bałem się.

Sapphire potrząsnęła głową. Takiego Blake'a nie znała.

- Czego się bałeś?

- Czasami jesteś ponad wiek dojrzała, a czasami jak dziecko. Bałem się, bo nigdy w życiu nikogo nie kochałem, a ciebie pokochałem całym sercem. - Głos mu się łamał. - Nie wiedziałem, co robić. Nie wiedziałem, jak...

- Kochasz mnie? - zapytała bez tchu. - I z miłości mnie porwałeś? A potem zrobiłeś służącą? To wszystko z miłości?

Blake uśmiechnął się krzywo.

- Oczywiście tak nie myślałem, ale owszem, to wszystko z miłości. Tak się upierałaś, że jesteś córką Wesseksa...

Sapphire kręciło się w głowie, nie nadążała za rozumowaniem Blake'a,

- Chwileczkę - przerwała mu. - Chcesz powiedzieć, że nadal w to nie wierzysz?

- Tego nie powiedziałem. - Ujął jej dłoń i położył sobie na sercu.

Dopiero teraz ludzie zaczęli się im przyglądać; wytworny pan w cylindrze, przyciskający do serca dłoń wyrostka w drelichach.

- Co w takim razie powiedziałeś?

- Uciekłaś z Bostonu, udawałaś chłopca...

- Żeby zarobić pieniądze na powrót do Anglii. Żeby dowieść ci... Nie, żeby dowieść sobie...

- Jeśli chcę być wobec ciebie uczciwy, nie mogę powiedzieć, że wierzę, iż jesteś córką Edwarda, ale wierzę, że ty wierzysz i...

- I co w związku z tym? - Teraz wszystko zawisło od jego odpowiedzi.

- W związku z tym jestem gotów wrócić z tobą do Londynu, by szukać potwierdzenia, że Edward rzeczywiście ożenił się z Sophie. - Zajrzał jej w oczy. - Pod warunkiem, że zgodzisz się za mnie wyjść.

- Ponieważ mnie kochasz?

- Ponieważ pokochałem cię od pierwszego wejrzenia, kiedy zobaczyłem cię czekającą w salonie Wesseksów, żeby utemperować moją zadufaną w sobie osobę. Wyjdiesz za mnie? Żebym nie musiał już uganiać się za tobą po ulicach Bostonu, Nowego Jorku i Bóg wie jakich jeszcze miast na świecie?

- Tak! - zawołała, zarzucając mu ręce na szyję. Blake objął ją wpół i uniósł.

- Tak?

- Tak! Wyjdę za ciebie Blake'u Thixtonie. Tak, kocham cię. Chciałam usłyszeć to samo od ciebie. Tylko tyle. Pokochałam cię od pierwszego wejrzenia, kiedy twoja zadufana w sobie osoba pojawiła się w salonie mojego ojca.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Trzy tygodnie później Blake i Sapphire przyплыли razem do Londynu, żeby rozstać się na nabrzeżu. On pojechał do rezydencji Wesseksów w Mayfair, ona do mieszkania Luci na Charing Cross.

Zaraz po decydującej rozmowie w nowojorskim porcie zarezerwowali bilet na najbliższy statek pasażerski, płynący do Londynu, i kilka dni, które pozostały do wyruszenia w podróż, spędzili w hotelu Madison--James, rzadko opuszczając wielkie łóżce.

Blake kilka razy proponował, by wzięli ślub od razu, w jednym z kościołów w Nowym Jorku, ale Sapphire chciała, żeby w ceremonii uczestniczyły Lucia i Angelique. Żałowała bardzo, że Armand nie może cieszyć się jej szczęściem. Nie wiedziała nawet, czy jeszcze żyje.

Przed drzwiami mieszkania Luci Sapphire wygładziła fałdy nowej sukni, poprawiła kapelusz, uśmiechnęła się do siebie i zapukała.

- Duch! - pisnęła uszczęśliwiona Avena na jej widok. - Jak bożę kocham, duch. Jeszcze nigdy w życiu nie widziałam ducha - błaznowała.

- Czy to Jessup, Aveno? - rozległ się głos Luci. - Powiedz mu, że już idę. Nie możemy się spóźnić. Statek nie będzie czekał. - Lucia pojawiła się w holu. Najpierw zaniemówiła z wrażenia, a potem szeroko rozwarła ramiona. - Sapphire! To ty, to naprawdę ty. Mówiłam Angelique, że... Och nie! - jęknęła rozdzierająco. - Angelique i Henry. Pan Stowe. Statek.

- Jaki statek? - Sapphire nic nie rozumiała z tych bezładnych okrzyków.

- Statek do Bostonu, ma się rozumieć - wyjaśniła Lucia takim tonem, jakby miała do czynienia z nierozumnym dzieckiem.

Avena wybiegła z mieszkania, zostawiając drzwi otwarte.

- Angelique i Henry mają nim płynąć. Pobrali się w zeszłym tygodniu i postanowili płynąć do Ameryki, żeby cię odnaleźć.

Sapphire zaśmiała się i łzy wzruszenia napłynęły jej do oczu.

- Nie mogą nigdzie płynąć, ciociu. Angelique musi być na moim ślubie.

Niecały miesiąc później Sapphire i Blake wzięli ślub w katedrze westminsterskiej. W kościele pojawił się cały Londyn. Wszyscy chcieli zobaczyć, jak hrabia Wessex prowadzi do ołtarza pannę, która rok wcześniej siała zgorszenie wśród socjety. Pojawiła się wdowa Wessex z trzema skwaszonymi córkami, lord i lady Morrow, baron i baronowa Wells, nawet lord oraz ady Carlisle, która kiedyś wymówiła Sapphire gościnę. Londyn szybko zapominał o tym, co niemiłe, i teraz wszyscy życzyli nowożeńcom szczęścia, zachwycając się urodą panny młodej i arystokratycznym wzięciem pana młodego.

- Hrabino Wessex, kochana, moje gratulacje.

- Przez tłum składających młodemu życzenia przecisnęła się ciotka Lucia i ucałowała serdecznie swoją Sapphire, potem Blake'a. - Mój Jessup ma dla ciebie prezent - zwróciła się do chrześnicy i odwiodła oboje na bok, po czym zaczęła energicznie wymachiwać ręką. - Jessupie, chodź tutaj.

Pan Stowe zbliżył się pospiesznie, prowadząc z sobą niepozornego człowieczka. Ucałował Sapphire, uścisnął prawicę Blake'owi.

- Wszystkiego najlepszego - sapnął. - Wszystkiego. Chciałem wam przedstawić ojca Paula Setona.

- Wskazał na duchownego. - Wielebny był przez całe lata pastorem w kościele w Shemingsbury Cross, wielu ślubów udzielił, ale jeden zapamiętał szczególnie dobrze. - Pan Stowe zawiesił głos dla większego efektu. - Ślub pewnego utytułowanego dzentelmena i wiejskiej dziewczyny.

Sapphire chwyciła Blake'a za rękę.

- Kościół spłonął przed laty - odezwał się duchowny. - Wszystkie księgi parafialne strawił ogień.

- Niechże wielebny nie trzyma młodych dłużej w niepewności i powie, jakim był przemysłnym człowiekiem - zgromiła go Lucia.

- Sporządzałem kopie wszystkich dokumentów. Zawsze tak czyniłem, od początku mojego kapłaństwa. - Sięgnął do kieszeni i wyjął mocno pożółkły papier. - Oto kopia aktu ślubu zawartego dziesiątego kwietnia roku pańskiego tysiąc osiemset dziesiątego między panną Sophie Barkley, córką oberżysty, i lordem Edwardem Thixtonem, wicehrabią Hastings.

Sapphire dłonie drżały tak bardzo, że nie mogła utrzymać dokumentu, który wręczył jej wielebny. Blake wziął papier, przeczytał uważnie, a potem przyklęknął przed Sapphire na jedno kolano.

- Wybacz, hrabino Wessex, że kiedykolwiek wątpiłem w prawdziwość twoich słów.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Tarasai wstała w nocy nakarmić maleństwo i zajrzała do Armanda. Niepokoiła się o jego stan, bo dzień miał pełen wrażeń. Najpierw przyszedł list od Sapphire, opisujący szczegółowo jej ślub z hrabią Wesseksem, a zaraz potem Armand kazał wezwać swojego reagenta. Tarasai protestowała, prosiła, żeby odpoczął, ale Armand się uparł i potem przez kilka godzin konferował z prawnikiem, a kiedy Tarasai przyszła powiedzieć mu dobranoc, był znacznie bardziej zmęczony niż zwykle.

- *Mon amour?*

Tarasai poprawiła dziecko na rękę i podeszła do łóżka.

Armand leżał na plecach, miał zamknięte oczy, lekko rozchylone usta. Zanim jeszcze się nachyliła, by zbadać puls, wiedziała już, że nic nie wyczuje.

- Nie - szepnęła. - Nie, Armandzie. Jeszcze nie teraz.

Położyła głowę na jego piersi, łzy spływały jej po policzkach. Kiedy przygotowywała go do snu tego wieczoru, był wyczerpany, ale taki szczęśliwy, tak się cieszył wieściami od Sapphire! Wziął synka na ręce, całował małe rączki, opowiadał maleństwu, że wyrośnie z niego kiedyś duży, silny mężczyzna i wspaniały plantator.

Tarasai nie zwracała wtedy uwagi na jego słowa.

- Mój Armand - przemówiła. - Nigdy ci nie powiedziałam, że cię Kocham.

Miała jednak świadomość, że on o tym wiedział.

- *Au revoir, mon amour* - szepnęła i uśmiechnęła się przez łzy. - *Au revoir* i dziękuję ci, mój Armandzie. Dziękuję za syna.

EPILOG

Sapphire siedziała na brzegu łóżka i po raz kolejny czytała list od Luci, z Londynu. Ciotka załączyła też list do Angelique, który Sapphire miała posłać dalej, jak tylko będzie знаła aktualny adres siostry i Henry'ego.

Armand nie żył. Ukochany Armand odszedł. Wiedział, że Sapphire jest teraz bogata, więc plantację zapisał synowi. Armand miał syna!

- Wiedziałyśmy, że śmierć się zbliża - powiedziała, podnosząc wzrok na Blake'a. - Dlatego wysłał nas do Londynu. Smutne, że nie mogłam się z nim pożegnać. - Wstała i odłożyła list na biurko, omijając po drodze kosz, w którym smacznie spał szczeniak, prezent ślubny od męża.

Po powrocie z Londynu Blake zaproponował, żeby pojechali na farmę Carringtona po Stowe'a, ale Sapphire uznała, że pies powinien zostać z Redem; jeszcze za jej pobytu wybrał sobie stajennego za pana.

Blake objął ją i pocałował w czubek głowy. Włosy trochę jej odrosły i tego wieczoru rozpuściła je, tak jak lubił.

- Nie chcę widzieć cię smutną, moja ukochana żono. - Blake się uśmiechnął. - Kim właściwie jesteś, hrabianką Wessex, hrabiną Wessex czy może panią Thixtonowa, żoną potentata w handlu morskim?

- Hm. - Sapphire udała, że głęboko się zastanawia.

- Nie wiem. Może jestem Molly, prostą służącą?

- Uwolniła się z objęć męża i wzięła stertę czystych ręczników, leżącą na krześle przy drzwiach.

Myra była teraz jej pokojówką, miała własny pokój na poddaszu, obok pokoju pani Dedrick, i inną sukienkę na każdy dzień tygodnia. Stała się ważną osobą w domu i bardzo dbała, by pani miała co wieczór komplet czystych ręczników, w razie gdyby chciała zażyć wspólnej kąpieli z mężem.

- Mam zmienić ręczniki, panie Thixton? - zapytała Sapphire, trzepocząc rzęsami, a kiedy Blake próbował ją chwycić w ramiona, uskoczyła zgrabnie. - Pościel też mam przewlec?

- Chodź tu do mnie! - Blake zatarasował jej drogę ucieczki i obydwójce ze śmiechem przewrócili się na łóżko.

- Ależ, panie Thixton, jak pan może - oburzyła się.

- Przysięgał pan pani Thixton, że nigdy już nie będzie miał kochanki.

- Myślisz, że przysięga dotyczy też Molly? Sapphire się uśmiechnęła. Była taka szczęśliwa.

Miała wrażenie, że śni. Jeśli tak, był to najdłuższy sen w jej życiu.

- Może powinniśmy zapytać panią Thixton - odszepnęła.

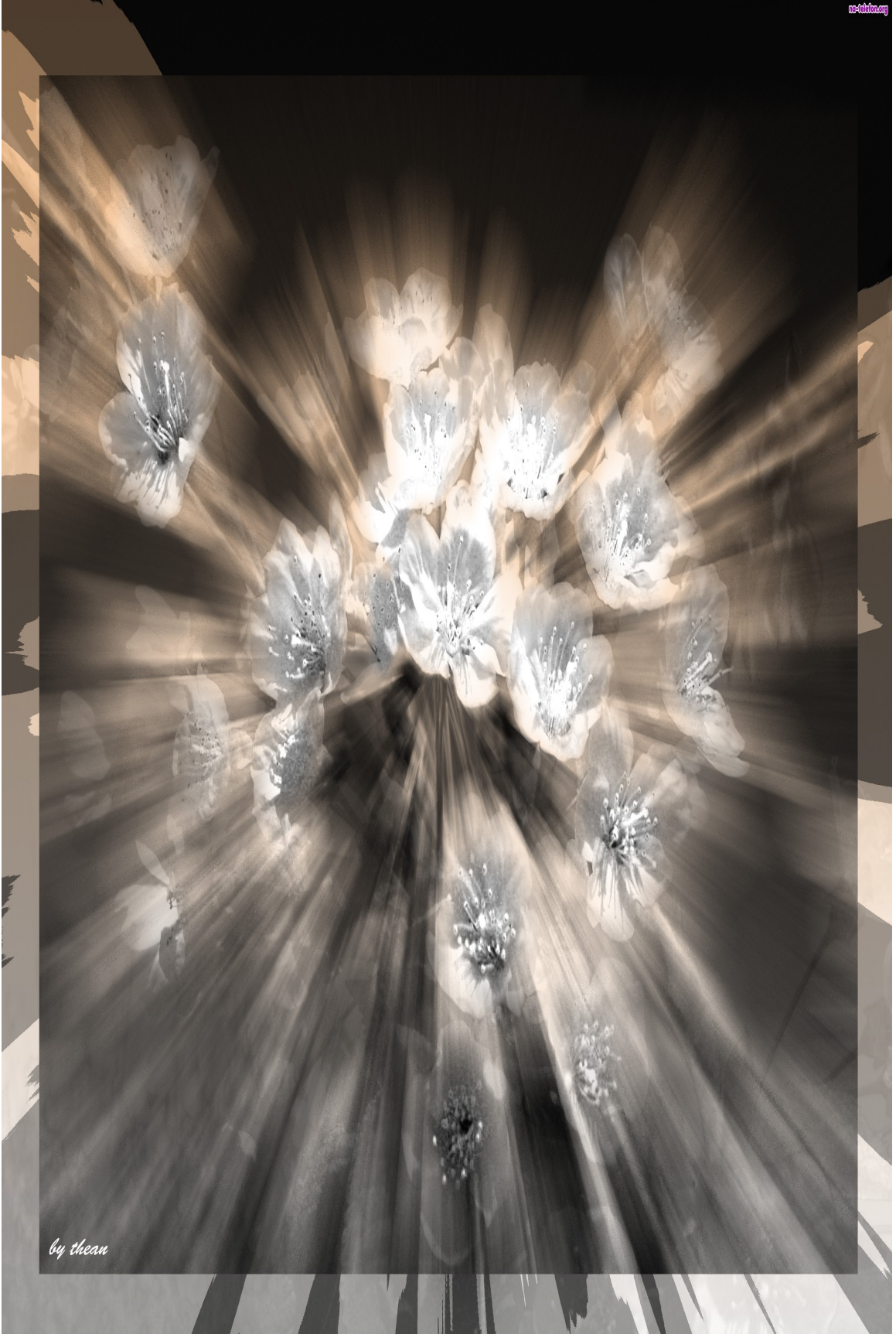
Blake odgarnął jej kosmyk z czoła.

- Jedno oko zielone, drugie niebieskie. Kto by pomyślał, że te oczy zaczarują takiego mruka, jak ja?

- Powiedz to.

- Kocham cię.

- Jeszcze raz.
- Kocham cię, kocham, Sapphire Fabergine, Sapphire Thixton, hrabino Wessex, i chcę kochać się z tobą, kimkolwiek jesteś.
- Nie zapomnij o Molly.
- Jak mógłbym zapomnieć o Molly? - Blake zamknął żonie usta pocałunkiem, tak że musiała zamilknąć. Przynajmniej na chwilę...



by thean